1884. XII. 17.

Wydawnictwo
na cele dobroczynne samborskie.

VII. ROCZNIK.

Samborski

Nowa serja illustrowana

VII

wydawana

NAKŁADEM I STARANIEM

G. Kohna.

Cena 1 złr. 50 ct.

dla prenumeratorów przemyskich i samborskich, dla wszystkich innych przedpłacicieli, jakoteż dla nabywających dzieło po upływie prenumeraty 1 złr. 80 ct.

PRZEMYŚL.
Czcionkami S. F. Piątkiewicza.
1883—1884.



JAN III, SOBIESKI

2/

Wydawnictwo
na cele dobroczynne samborskie.

VII. ROCZNIK.

Nowa serja illustrowana

wydana

NAKŁADEM I STARANIEM

G. Kohna.

(Z zastrzeżeniem praw wydawcy i współpracowników.)

PRZEMYŚL.
Czcionkami S. F. Piątkiewicza.
1883—1884.

I.

SOBIESCEANA.*)

---

*) Pod tym tytułem umieszczamy na czele rocznika VII. szereg artykułów rozmaitych autorów, odnoszących się albo wprost do oswobodziciela Wiednia, albo też do epoki uwiecznionej bohaterskiemi jego czynami.
(Przyp. redakcji.)

RĘKOPIS

króla

Jana III. Sobieskiego.

Po zwycięztwie pod Lwowem r. 1695 nad 60.000 Ordą przez hetmana Jabłonowskiego i Miączyńskiego, pozostawała Polska jakiś czas w spokoju, niby w przededniu gorszych losów. Król Jan III. Sobieski nie ruszał się prawie z Wilanowa, mało mięszał się do spraw publicznych, do domowych jeszcze mniej: coraz mocniej zapadając na zdrowiu — oddawał się często czarnym myślom. Wielki ten obywatel i bohater przetoczył senatorowi w tym czasie wielkie i pamiętne słowa — „Jeszcze czterdzieście dni i zaginie Niniwe“.... I gdzież ta Niniwe, gdzież to jego królestwo — gdzież Polska? — A gdy przeczuwał swój bliski koniec, odezwał się do biskupa Załuskiego i do swego przyjaciela Matczyńskiego: — „Czyliż nikt nie pomści mojej śmierci?“—

Czyż król Jan III. miał te słowa wyrzec bez znaczenia? Czyż po śmierci tego bohatera Rzeczpospolita znalazła już jakie poszanowanie u obcych? Czyż nie była to już ostatnia gwiazda wielka i piękna, świecąca na naszym dziejowym horyzoncie, która — gdy zgasła — już po dzisiejszą dobę nie mieliśmy dnia pogodnego w dziejach naszych; a w ciemniach upadku ducha, bezładzia i gnuśnej bezczynności, swarząc się i rozkoszując — niby w ustawicznej hulance nocnej — nastała straszna epoka moralnego upadku pod hasłem —„Jédz, pij i popuszczaj pasa,“— a że nie wrogi,

lecz wynikła ztąd niemoc w państwowym ustroju Rzeczypospolitej i we wszystkich składnikach narodu — doprowadziła do rozdarcia w szmaty tej niegdyś tak wielkiej, potężnej, i na straży cywilizacyi u wschodu z chlubą czynnej Ojczyzny naszej?...

I czytamy słowa króla Jana III. powtórzone w zapisie na miejscu, gdzie spoczęło serce królewskie śród swoich w grobach Żółkiewskich — „Czyliż nikt nie pomści mojej śmierci?“...

Oswobodziciel chrześcijaństwa, bohater w zwyż czterdziestu wielkich bitwach, wybawca oblężonej stolicy Rakuzkiej — Wiednia w r. 1683 — z bolem niewypowiedzianym serca patrzał na upadek własnego narodu, może słowa te odniósł do tegoż w przenośni... Może przeczuwał, że skoro mu przyjdzie zawrzeć oczy, nie będzie już komu skuteczny opór stawić wrogom, i nie będzie komu za bohaterów naszych splugawienie szczątków świętokradzką dłonią wroga pomścić takowe?.... Korona Piastów i Jagiellonów spoczywająca na głowie króla Jana III. po śmierci tegoż poszła rychło na frymarkę i handel; obcy przybysz zbrojno zdołał ją sobie ubiedz i na głowę włożyć. Saski elektor nie głosem wolnego narodu, lecz frymarką i najazdem zdobył sobie po królu Janie III. Sobieskim koronę Piastów i Jagiellonów. Niegodne skronie przywdziały tę koronę po to, by naród w ciągu lat 50 doszedł do ostatniego upośledzenia.... Toż już od tego czasu szczerzy patrjoci widzieli upadek ojczyzny. Wreszcie zabrano króla Polski z czasem w jasyr carów moskiewskich.... Stanisław August postawił Janowi III. Sobieskiemu pomnik w Warszawie chyba na to, by zamanifestować w przededniu rozdarcia Rzeczypospolitej zapytanie: „Czyliż nikt nie pomści mojej śmierci?“ — Niebawem Stanisław August poszedł w niewolę do Petersburga i tam zmarł; car Paweł z paradą pochował ostatniego króla Polski, i od czasu tego zaprzepadł słych o koronie Piastów i Jagiellonów; berło Chrobrego, Jagiełły, Stefana Batorego, Sobieskiego jako niepotrzebny grat poszło w zapomnienie; korona na przeróbkę; naród na męki....

— „Czyliż nikt nie pomści śmierci?“...

Król Jan III. Sobieski w dobie smutnej dla się, a nie-

bawem przed swą śmiercią, napisał też krótką monografję swego rodu. Pisał ją widocznie dla potomności, jakby przeczuwając, że dzieci jego nie odziedziczą już tronu po ojcu, i zginie ród Sobieskich w Polsce. Więc chociaż potomność niech ma wzór przed sobą, że bohaterstwo, wielkość, szlachectwo — okupuje się nie kupą złota i blichtrem; lecz ofiarnością, służbą nieskalaną ojczyznie i wytrwałością swemu powołaniu. Plugawi swój ród ten, kto nie spełnia misyi przez ojców wskazanej, kto zatraca byt i ducha, bawiąc się w szalbierza, kutwę i fagasa, gdy ojczyzna woła o czyn i pracę. — Niech nam więc wolno będzie w 200 lat po najgłośniejszym czynie króla Jana III. Sobieskiego, w rocznicę odsieczy Wiednia, słowa te króla Jana III. odnalezione w archiwum starożytnem niegdyś dziedzicznego zamku, Sobieskich w Pomorzarzanach w r. 1865 przypomnieć obcemu pokoleniu. Niech słowami własnemi jeniusz króla Jana III. odżyje w naszej pamięci, jak następuje:

„.....Nie wchodząc w dawniejsze czasy, jako Janina wojewoda Sędomirski sub Leśno jeszcze Nigro, z którego i sam szedł rodu, extirpuit owych pogan Jazyges z Podlasia, co dotąd świadczą ogromne koło Sobieszyna nad Wieprzem mogiły, y Poganów wieś niedaleko ztamtąd.... Nie wspominam innych wielkich ludzi i wielkich expedycji z Moskwą, Szwedami y innemi, tego królestwa nieprzyjaciołami, ale Bella Domini chcę tylko wspomnieć, y tych co ziemie pogańskie skropili krwią swoją; a mnie dali i zostawili okazyę zemsty y niby jakąś przyrodzoną domu z pogany antypatią. Jednego tylko wspomnię Dziada mego, który taką u króla Stefana miał reputatią, że to nie raz mawiał y wspomniał, że gdyby mu przyszło stawić całe Królestwo Polskie o jeden pojedynek, nie wybrałby na to tylko jednego Marka Sobieskiego. On to był jako pisze Heidensztein i inni, okazyą wielkiej owej Zamoyskiego w Multanach na Telezynie z Mialem wygranej recognoscowawszy miejsce sposobne do attakowania nieprzyjaciela y upewniwszy ztąd o wygranej Hetmana: Onże kończył tę woynę mając komendę nad woyskiem kwarcianym, kiedy Zamoyskiego do Inflant obrócono, nikomu han Provintiam powierzać

nie chciał i królowi nie radził, jeno Markowi Sobieskiemu... Między innemi actiami wielkiemi tego to Marka Sobieskiego, z których tak wielką o nim on tak waleczny król Stefan wziął opinią, były też i te dwie: Pierwsza z Gdańszczany pode Tsczowem, gdy jeszcze w młodym wieku pod Dworzańską chorągiew swóy ten stawił poczet, bo w tej okazyey y wojnie nie było służałego ani kwarcianego woyska, jeno dwór królewski, poczty pańskie, za jednym officyerem znacznym we zbroi rzucił się w wodę do Wisły y w pół oney, tam go dopiero dokonał. Na łowach też litewskich trafiło się, że niedźwiedź srogiej wielkości wypadł na króla Stefana. Zawołał tedy Marek Sobieski na spółdworzanina i wielkiego swego przyjaciela Allemaniego Włocha, a dziada z matki nieboszczyka Połubińskiego marszałka — — y Modrzejowskiego, aby nie zażywając innej broni, tylko on szpady, a on szabli, tę tak okrutną w oczach Królewskich zabili bestyą — — Syn jego Jakób, a ojciec mój w świeżej zostaje pamięci, ten począwszy od expeditiey Moskiewskiej y od szturmu pod stolicą, gdzie postrzał znaczny otrzymał w ramię, żadnej nieomieszkiwał okazyey, stawiając zawsze roty usarskie swym kosztem, które złotymi zwać zwykli byli, od munderunku bogatego y porządku osobliwego. Ten Szwedzkie, Kozackie, Tureckie stanowił traktaty, ten cztery razy będąc marszałkiem poselskim, z których ostatnim był na electiey króla Władysława destinowany Extraordinarius Legatus ad Pacem Monasteriensem, umarł pierwszym świeckim senatorem, to jest kasztelanem Krakowskim przeszedłszy wtedy koronne i stołki senatorskie województw Bełzkiego i Ruskiego.

Ex linea materna, pradziad mój Stanisław Żółkiewski wygrawszy wiele z różnemi nieprzyjaciołmi potrzeb.... pod Rewlem.... w Inflanciech.... Tatarów.... Kozaków.... monarchią Moskiewską całą... królowi Zygmuntowi podbił... został potem wielkim hetmanem i kanclerzem... wychodząc na ostatnią swoją expeditią w liście przez który żegnał króla Zygmunta i pieczęć wielką koronną zostawując, poszedł do Wołoch w kilka tysięcy tylko na posiłek Gracyanowi Hospodarowi, chcąc Jura Reïp. zatrzymać... Ten Gracyan y siebie

y jego zawiódł... umarł tam tedy na placu honoru stando, jako Imperator należy, skropił krwią swoją pola Wołoskie... A gdy syn jego sam postrzelony leżąc y z bratem stryjecznym a synowcem hetmańskim na wozach, doświadczonego swego a bardzo rączego podeń posłał konia, aby się salwować chciał... odpowiedział: — Gdzie owce giną, tam powinien y pasterz, boby się go spytano, gdzieś podział owce?... W tej tedy potrzebie Żółkiewski zginął z całym domem swoim to jest z synem, z synowcem y zięciem: sam na placu poległ, a ci trzej z postrzałów w pogańskie dostali się ręce... Kanclerzyna i hetmanową, a pozostała wdowa z domu Herburtów... pierwsze starania uczyniła o głowę męża swego, która była zawieziona aż do Konstantynopola. Wielkiemi tedy pieniędzmi dostawszy oney, do jednego grobu z ciałem w bazylice Żółkiewskiej od nich fundowanej złożyła. Syna zaś swego, to jest Jana Żółkiewskiego... wielką sumą wykupić z rąk Tatarskich musiała... Ten powracając z niewoli a chcąc się mścić krwi ojca... uczynił z kozakami zaporozkiemi pactum... o zniesienie... Krymu; ale Bóg nie pozwolił wykonać intencyey, bo zaraz tamże w Warszawie... z razu tego ciężkiego, który był w kolanie, nie będąc jeszcze leczony, fatis cessit: y tak dom z nim wespół y z tak wielką zszedł Impressą... Dostały się więc wszystkie haereditatis siostrze jego rodzonej a córce hetmańskiej Zofiey Żółkiewskiej, która była matką rodzicielki moiey. Ta poszła za Jana Daniłowicza wojewodę Ruskiego, a brata podskarbiego wielkiego koronnego, który marszałkował izbie poselskiej, podczas sejmu Inquisitionis, bo się na inszego strony sobie przeciwne zgodzić nie mogły. Ten miał syna Stanisława Daniłowicza, rodzonego brata matki mojej a wuja mego. Ten... nie tłumiąc ognia, który wielkie dzieła przodków jego w nim wzniecały, y chcąc się tem pomścić krwi dziada y wuja rodzonego swego, to jest Stanisława Żółkiewskiego starosty Rubieszowskiego wuja: tentował z Kozakami y ludźmi swymi kosztem na to zaciągnionemi jakoby tych Tatarów znosić, którzy szeroko w dzikich polach, aż ku włości naszej rozszerzać i rozgaszczać się poczęli, gromił ich kilka razy szczęśliwie.

Tandem uniosła nieuhamowana ochota, do czego y ſata ciągnące y niechcącego podobno przywiodły: że się uwiódł męztwem.... uderzywszy na nierówną siłę... w ręce dostał się pogańskie... Kantemir, które imię znaczy: krwawe żelazo... kazał do siebie więźnia przywieźć: y bez wielkiej recolectiey... szyję mu uciąć kazał... I tak y ten hojnie skropił krwią swoją ziemie pogańskie za wiarę Chrystusową, oyczyznę a sławę domu i przodków swych. Ciało ludzki Murza odebrawszy... do Żółkwi do siostry rodzonej a matki moyey odesłał. Który do tegoż grobu dziada y wuja złożony.

Jam się urodził w domu jego y matki jego a babki moiey, w któreyem się y chował aż do śmierci iey. Urodziłem się w Olesku zamku na wysokiej górze mila od Białego Kamienia, gdzie się też król Michał rodził. Podczas urodzenia mego biły pioruny bardzo, tak aż krawiec matki moiey od tego ogłuchł, y był głuchem do samey śmierci; Tatarowie też podpadli w tenże właśnie czas pod zamek, których zaś ów sławny gromił Chmielecki.... Ociec móy miał dwie żenie, pierwsza była Xiężna na Zbarażu Wiśniowiecka. Córka Xięcia Wojewody Ruskiego. Z tą miał córek dwie, które w młodym wieku Pan Bóg pobrał, pochowane w Złoczowskim kościele, druga Theophila Daniłowiczówna córka Jana Daniłowicza Wojewody Ruskiego y Theophiliey Żółkiewskiej córki kanclerza i hetmana kor. Pojęli się za dispensą, bo sobie byli krewni z Herburtów in 4to gradu. Ociec móy nie miał rodzonego brata z jedney matki tylko sióstr pięć, z których jedna była poszła za Wojewodę Podlaskiego Wołyńskiego, druga za Radziejowskiego Wojewodę Łęczyckiego, trzecia za Wiesiołowskiego Marszałka W. X. L., czwarta wprzód zda mi się za Karnkowskiego Wojewodę Rawskiego, a potym za Rozrażewskiego Podczaszego Kor., piąta mniszką Xienią klasztoru grodzińskiego zakonu św. Brygity. To z pierwszego małżeństwa Matka Sobieskiego, który miał wprzód za sobą Snopkowską siostrę chorążego koron. Drugim zaś małżeństwem miał Tęczyńską, z którą spłodził syna Jana i córkę Helenę, którzy oboje z tego świata zeszli, pochowani oboje w Żółkiewskim kościele.... Spłodził nas ociec czterech braci i trzy siostry. Pier-

wszy Marek o którym będzie niżej. Drugi Jan pięć ćwierci roku młodszy. Trzecia Zophia, która w dziecinnym zeszła wieku. Czwarta Katarzyna wprzód Xiężna Ostrowska y Zasławska, wojewodzina krakowska, a potym Xiężna Radziwiłłowa podkanclerzyna y Hetmanowa W. X. L. Piąta Anna, zakonnica tegoż klasztoru we Lwowie zakonu Benedykta św. zmarła w 19 roku wieku swego, po uczynioney professiey. Braci dwóch: Stanisława i Michała, w dziecinnym pomarli wieku, pochowani obydwa w Żółkiewskim kościele. Ci tedy rodzice nasi procreati fortes ex fortibus, bo y matka nasza nie białogłowskiego ale mężkiego była serca, największe za nic mając niebezpieczeństwa. Wprawowali nas z młodu, abyśmy nie byli degeneres od przodków swych.... a gdy nas do cudzych krajów wyprawiono, napisał nam ociec nasz instructią nauk y exercitorium; a gdy przyszło do tańców uczenia się, dał na wolę, ale przypisał prophetico spiritu, że się tu natańcujecie z Tatarami powrociwszy do ojczyzny torem przodków swych. Matka zaś nasza, gdyśmy wrócili z cudzych krajów już po śmierci ojcowskiej właśnie podczas electiey króla Kazimierza, a po owey Piławieckiej expeditiey, nie pojedenkroć mawiała, że gdyby tak który z synów moich miał uyść z potrzeby, nigdybym go nie miała za syna — y pokazując nam nie raz na herb nasz, przypominała ową spartańską niewiastę, która wyprawując synów swoich na podobne expeditie ukazowała im na ich tarcze mówiąc: vel cum hoc, vel super hoc. I tak się też stało, co zaś nie było bez wielkiego żalu macierzyńskiego, bo to był nayukochańszy z dzieci jako primogenitus, że nietylko krwią swą Marek starosta Krasnostawski starszy brat móy skropił pola Ukraińskie nieszczęsne, y od przezwiska samego Bateskie (braterskie?); ale y kości jego carent sepultura ani przyniesiono super hoc, bo y z swoim tam poległ puklerzem, a co naywiększa y wielkiey consideratiey y politowania godna, że ścięty, nierozegrzany w bitwie, ale nazajutrz, jak mówią, w zimney krwi, przykładem okrucieństwa nigdy nie słychanym, bo też się stało y tegoż dnia z kilkąnastą tysięcy spółtowarzyszów tey tak okrutney tragedyey; a od ręki tegoż praedestinowanego niby na linią domu

naszego rodu, Kantymirowskiego, które imie wyżej się tłumaczyło, że się znaczy krwawem żelazem. Tak tedy Pradziad, dziad, wuy y brat rodzony od pogańskiej położeni ręki, takiego przykładu w domach lubo rycerskich wojennych podobno się mało trafiło, ale z pogany za wiarę św. y kościół Boży. Pokazał był ten pomieniony Marek w młodości swey wielkie toga et sago roztropności i dzielności specimena. Posłował razów kilka już na seymach, expedycyą Zbarazką, Berestecką, Winnicką, Kupczyńską, przy usarskich chorągwiach y pułkach swoich, któremi już komendował y sam je wodził glioriose y szczęśliwie odprawił; ale zawisne fata postąpiły sobie z nim tak, jako tam gdzieś Job pisze, velutia texente." —

*
* *

Tyle słów zawierał rękopis króla Jana III. Pisał o swoich, o bracie Marku.... o sobie nic. Za to historya chrześcijaństwa i ojczysta nasza — piękne karty otwarły dlań. Krew — „pradziada, dziada, wuja i brata rodzonego od pogańskiej położonych ręki" — zdołał król Jan III. pomścić w świetnych bojach na ziemi ojczystej, wreszcie pod Wiedniem złamać potęgę Osmanów omal doszczętnie. Kościół chrześcijański święci dzień zwycięztwa pod Wiedniem 12. września 1683 jako dzień tryumfu... tak więc Jan III. „pomścił śmierć swoich poprzedników i brata; lecz na nim przerwała się gloria jego rodu. Jak gdyby nieba tak zrządziły, skoro nam niestało takich Sobieskich — ustała i gloria Rzeczypospolitej.

Za życia króla Jana III. pojedyńcze rody doznawały klęsk i męczeństwa... teraz męczeństwo stało się udziałem całego narodu.... przed niewielu jeszcze laty bo w r. 1863 legł setny i tysiączny za sprawę, bohatersko poszedł na męczeństwo, na śmierć, na Sybir czy na wygnanie; a nie masz „mściciela," nie masz takiego Sobieskiego zdolnego w imię prawdy dziejowej, jeniuszem, ramieniem i sercem stać się bohaterem wieku, i wyzwolić ojczyznę. Brak nam wielkich ludzi, bo coraz to bardziej zagubia się szlachetność rodów, patryotyzm i cnoty domowe. Synowie i córy, widząc w swych rodzicach poślednie wzory, nie mają

już w sobie ducha iście rycerskiego; zaprawdę zapytać przychodzi: — Jest li jeszcze pośród nas matka wpajająca w swe syny bohaterską cnotę: „Vel cum hoc, vel super hoc?“ —

Pisałem we Lwowie 1883 r.

Bronisław Zamorski.

Podanie o Krasnopuszczy

z Kroniki Pomorzańskiej

wypisał

Bronisław Zamorski.

Na tronie polskim królował Jan Kazimierz. Było to właśnie po wielkiej wyprawie przeciw Moskwie uciskającej Ukrainę. Po śmierci Bohdana Chmielnickiego syn tegoż Juryi obwołany hetmanem kozackim potykał się mężnie z Moskalem broniąc Ukrainy, pobity przez Moskali — ustąpił z hetmaństwa i schroniwszy się do klasztoru został mnichem; poczem kozacy obwołali hetmanem Teterę, i ten dalej toczył bój rozpaczliwy z Moskwą. Aż król stanął w przeszło 30.000 na Ukrainie i rozdzielił wojsko na trzy części. Stefan Czarnecki z jedną częścią wojska ruszył ku Dubnu, z drugą Jan Sobieski, jako chorąży koronny, ku Barowi — a sam król z hetmanem Potockim ku Białocerkwi, gdzie Czarnecki i Sobieski mieli się z nim połączyć. Na wieść o przybyciu króla Jana Kazimierza oblężenie w Czehryniu Tetery ze strony Moskwy i zmoskwiconych kozaków ustaje — Moskwa uchodzi; Tetera przybywa do króla w 30.000 kozaków. Jan Sobieski przyprowadza też królowi w pomoc 40.000 Tatarów pod Sefer Girejem i Mengli Girejem. Także pułkownicy kozaccy: Hohoł, Hulanicki, Haneńko i

Doroszeńko przyłączyli się pod komendą króla. Tak połączone wojska weszły na Zadnieprze i prowadziły bój chwalebny i zwycięzki od jesieni r. 1663 aż po r. 1665. Cudów waleczności i sprytu wojskowego dokazywali w tej wojnie Stefan Czarnecki i Jan Sobieski; wreszcie Sobieski dokonał pod Koniowem świetnego i zupełnego zwycięztwa nad Moskalem. — To też król mianował Stefana Czarneckiego hetmanem polnym a Jana Sobieskiego marszałkiem wielkim koronnym.

Tak Czarnecki jak Sobieski należeli do szlachty wiernie służącej ojczyznie, gardzili intrygami i przekupstwem, które wciskały się między panów polskich. Ci też panowie nie cierpieli ich za to. Panowie i służąca im szlachta nie chcieli też wojny z Moskwą — toż w onczas król, Czarnecki i Sobieski prowadzili ją omal na własną rękę. Czarnecki z wycieńczenia sił i z ran niebawem umarł. Za to cała nienawiść panów padła na nowomianowanego marszałkiem wielkim koronnym Sobieskiego. Zebrana na sejm szlachta nie chciała mu nawet przyznawać tytułu marszałka koronnego. Lada kiep i pijanica wołał do przyszłego króla, do walecznego rycerza: „Mości Chorąży! co to aść tak spanoszał!“— Takie niewdzięczne obchodzenie się zabolało Sobieskiego; duch jego wówczas jeszcze młodzieńczy i wrażliwy, po tej uciążliwej wojnie i po doznanych niesnaskach i obelgach od swoich zapragnął spokoju i ciszy. Wybrał się więc do Złoczowa, zkąd częste wycieczki czynił do sąsiednich Pomorzan, gdzie z starym a serdecznie lubianym podstarościm zamkowym Andrzejem Wardeńskim — „bratem od serca“— jak go zwał Sobieski, i z kilką służby dworskiej rozrywał smutne myśli częstymi a czasem i zapamiętałymi łowami. —

W tej dobie życia zapewne usposabiał się duch Sobieskiego na wielkie czyny, jakich mu Opatrzność niebawem dokonać naznaczała. Wielki król, wielki bohater chrześcijaństwa, zwycięzca z pod Podhajec, Chocimia, Wiednia i Parkanów — potrzebowałże on owych swobodnych łowów i wytchnienia, a dlaczego potrzebował? — Niech wytłumaczy wypadek, który oto właśnie opowiem.

Jakoś w drugiej połowie stycznia 1665 r. na przybycie „pana marszałka koronnego" urządzono wielką obławę w rozległych lasach Pomorzańskich od strony starego już wówczas zamczyska niegdyś Granowskich a w onczas Sieniawskich — Buszcza — w kierunku ku Dunajowu. Niedostępne wąwozy i jary, częste ściekiem wody wyżłobione przepaście, górzyste położenie, przytem gęsty odwieczny las buczyną i dębiną obrosły, a okolony u stóp wzgórzy olbrzymiemi stawami i jeziorami utworzonemi rozciekiem wód przepływającej je rzeki — Złotej Lipy — dozwalał w tej stronie różnorakiej zwierzynie licznego i swobodnego przybytku; to też las ten był, jak miejscowa kronika mówi, najulubieńszem miejscem na łowy dla „pana marszałka." Na oznaczony dzień wyszedł różnoraki tłum służby równo z dniem w las do obsaczenia miejsc wyznaczonych przez łowczego nadwornego Jarchockiego. — Polowanie rozpoczęło się już dobrze ku południu. Pan marszałek stanął na stanowisku dziś zwanem „bracką pasieką," przy nim „kozacze pacholę" podające broń. Od miejsca tego ciągnął się długi a szeroki wąwóz ku północy, jako droga leśna do grobli zwanej Dunajowską, od zachodu na wschód ledwie dojrzana ścieżka gubiąca się po obu stronach w dziko zarośniętych jarach; od południa była polanka obszerna, punkt, na który nieomylnie liczny zwierz miał wypaść. W tem na dany znak ruszyła obława — pędzono zwierza od strony Dunajowskiej, w Mieszczuckim lesie (gdzie dziś Nestiuki) rozstawieni strzelcy dawali ognia z muszkietów; marszałek tą razą strzelał gęsto lecz nieszczęśliwie, przeszło kilka rogaczy, poszedł potężny niedźwiedź — ledwie że ubił coś z mniejszej zwierzyny. Alić łomot i trzask dał się słyszeć — oznaka grubego zwierza; wyszedł ogromny odyniec prosto na marszałka — za strzałem aż przykląkł. Już pacholę rogiem poczęło sygnować zwierza od pańskiego strzału, gdy ten za zbliżeniem się marszałka porwał się, i słaby ale wściekły ruszył w gąszcz. Marszałek chwyciwszy za kordelas puścił się za nim. Pacholę przystawając w tyle znaczyło pochód odcinaniem gałęzi, wreszcie zgubiło pana z oczu; niebawem ponowny łomot, krzyk obławy, przybycie strzelców, Wardeńskiego

i Jarchockiego — zmyliło mu ślad. — Nie wiedziano co począć, gdyż na liczne nawoływania i huk trąb nie było słychać odpowiedzi ni też nikt nie przybywał. Rozporządził Jarchocki iść w ślad za panem marszałkiem, gdzie i sam ruszył; ale był to czas mglisty, a do tego zapadał już zmrok — więc zamiast co miało tyle ludzi co pomódz, to jeszcze jeden drugiego mylił. — Wardeński, zostający w najwyższym niespokoju, kazał dawać salwy z palnej broni i porozpalać ognie — wszystko nadarmo.... o „panu marszałku" ani słychu.

Tymczasem gdy wszyscy w takiej trwodze, zapamiętały marszałek tuż — tuż następował na zwierza, który coraz częściej upadał — słyszał wprawdzie zrazu sygnały i nawoływania, lecz nie odpowiadał — bo broń palną i róg myśliwski pozostawił w ręku pachołka, a zwierza nie chciał z oczu stracić. — Tymczasem już dobrze szarzeć zaczęło, gdy marszałek dopiero się spostrzegł, że może i za daleko zapędził się za zwierzem bezskutecznie. Trzeba było myśleć o powrocie do swoich, a tu już i noc ciemna się poczyna; śród mgły zaczął gęsty śnieg pruszyć i o trzy kroki nic nie widać — głuche tylko echo trąb i strzałów rzucanych dawało do zrozumienia, że daleko od swojej drużyny zapędził się Sobieski. Zgłodniały i zmarznięty próbował koniecznie przydostać się do swoich lub gdziekolwiek, bo z różnych stron odzywano się a nikt w głęboki jar, w którym znalazł się Sobieski nieprzybywał. Wolnym krokiem, co moment zapadając w śnieg, gramolił się Sobieski jarem w górę, zkąd miarkował, że się wydostanie na równiejsze miejsce i tem samem łatwiej natrafi na swoich. Po sporym czasie wydostał się na jakąś dolinkę obszerną, z której jednego kąta słabo przebijało światełko z gęstwiny leśnej. W tem porwał się rogacz prawie z pod nóg i podążył prosto ku miejscu zkąd światło biło, śladem jego podążył Sobieski. Rogacz stanął u chaty niziutkiej, z której maluczkiem okienkiem przebijało światło; uderzył rogiem o drzwi i rozwarły się. Niebawem rozwarły się drugie, a z izdebki łuczywem oświeconej wyszedł poważny w kutę zakonną odziany starzec, któremu rogacz przypadł do nóg i tak leżał

czas cały, póki Sobieski wszedłszy do chaty nie powitał gospodarza: — „Pochwalony Jezus Chrystus!" —

— Sława Bohu, sława Jezusu Chrystu, sława i Wam wo wiki! — odpowiedział starzec drżącym od wzruszenia głosem.

Na co mu Jan Sobieski rzecze:

— Kto jesteś starcze? Nie bluźnij Bogu; tylko Boska sława trwa wieki, ludzie znikomi i sława ich znikoma. Powiedz gdzie jestem, i co tu robisz? —

— Ne lakajte sia Pane, i prystupit błyższe. Ja Bohomołec łychyj, szczasnyj budu nyni pryjmaty Was w tyj chati; bo na Waszyj hołowi wydżu korolewsku koronu, a na Waszom serdciu napysano: „Sława wo wiki!" — I przypadł starzec do nóg i ucałował ręce zdumionemu Sobieskiemu, a łzy gorące uczuł Jan na obliczu starca.

Przerażony, pomięszany, a przytem dziwnem przejęty uczuciem, podniósł Jan sędziwego starca, i wzruszony zawołał:

— Powstań czołowicze, jesłyś znachor Bożyj, naj sia dije światа wola Jeho! — Nyni budu u Tebe w hostyni zmerzły, hołodny, zahubeny; zawtra was woźmu do sebe." —

I wszedł Jan do izdebki pustelniczej ojca Gedeona: na małym kominku pryskał ogień, a w garnku niewielkim gotował się groch, który potem służył na wieczerzę Sobieskiemu.

Starzec dołożył drewek na kominek, zrobiło się jaśniej i weselej.

Za wolą starca, któremu na imię było Gedeon, Jan legł na mchem i wonnem zielem uścielonem łożu, i rozmawiał swobodnie. Dowiedział się gdzie jest, zkąd starzec, i od kiedy w pustyni zamieszkał. Z rozmowy dowiedział się Jan, że rogacz był starca chowu, że dziwnym sposobem żaden zwierz, żaden myśliwy dotąd nie szkodził mu; dla tego zwan od starca — „królem!" —

Na liczne zapytania Jana, starzec prawił dalej: Jako dawno, bardzo dawno, gdy szczęście było na kozaczej Ukrainie, przystał był do kozaków.... Był w Tartaryi i w Tureczczyznie; był daleko aż w moskiewskiej stolicy jeszcze pod starym Żółkiewskim

w kozaczym zaciągu. — A gdy potem złe nastały czasy, Gedeon przerażony strasznym mordem i zniszczeniem, skrył się do monastyru, zkąd wyciągnięty musiał służyć w wyprawie Chmielnickiego jako pop. Gdy przyszło do Zborowskiej przeprawy, uszedł samotrzeć w lasy, aż przyszedł na miejsce dawnej pogorzeli, gdzie przed laty stała wieś Krasnopuszcza; tu znalazł szczątki pieca i ścian, własną ręką dorobił co brakowało, w czem mu jeden towarzysz poczciwy i wieśniak Plichowski do dziś jeszcze żywności dostarczający dopomógł; teraz modli się za ludzkie i za swoje grzechy, jako wierny wyznawca zakonu Bazylego Wielkiego.

Mówił też w końcu starzec:

— Miałem raz sen: Widziałem cię jako dziś w koronie i z mieczem w ręku; u stóp twych padały muzułmańskie głowy i buńczuki liczne; a kędyś ruszył, rosły krzyże za Tobą... I oto urodziło się dziecię na imię Jan na zamku Oleskim, toś Ty panie! — Naznaczonem mi jest pierw nie umrzeć, aż cię królem obaczę! —

I padł starzec na kolana i począł się goraco modlić, a było to już późno w noc.

Sobieski wpatrywał się długo w starca z zachwytem, wreszcie sen oczy mu skleił, i spał tak miło jak nigdy. — I zdało mu się jako na ulubionym cisawym koniu dalekie przebiegał strony, a z nim wierna drużyna zbrojna; u stóp jego padały muzułmańskie głowy, a kędy się ruszył wyrastały krzyże. Na swej piersi widział wielki krzyż złocisty, a na swej głowie poczuł ciężką koronę królewską... tłumy ludu cisnęły się do stóp jego i wołały: — „Sława, sława na wieki!" —

Gdy Jan oczy otworzył, było już późno w dzień. U stóp jego stał Gedeon oparty o piec, u drzwi stary Wardeński, na dworze słyszał głosy zebranych ludzi. Mimoto w uszach jeszcze mu brzmiało owe „Sława, sława na wieki!" — Kilkakroć mimowoli chwycił się za głowę, jak gdyby go gniotła „ciężka korona królewska." — Wstał, a wielka zmiana zaszła w jego obliczu, odtąd zeń niezwykła powaga przebijała; on uczuł w sobie królewskość.

Długo tego ranka modlił się; gdy chciał powstać z klęcznika, stary Gedeon włożył ręce na jego głowę i błogosławił mu. Poczem Jan, powstawszy, rzecze do Gedeona:

— Święty starcze! Chcę, aby na miejscu, gdzie dziś byłem u ciebie w gościnie, stanął monastyr twego zakonu! — Wardeńskiemu rozkazuję, aby obrosłe dziś i puste to miejsce oczyszczono; a ile na dzień człek dokoła tego miejsca zbiegnie, tyle ziemi daję na własność mnichom. Ty zaś, święty starcze! pojedziesz ze mną, by dla nowej fundacji ułatwić co należy; gdyż chcę, abyś nowemu monastyrowi przewodniczył! —

I oto z tym wypadkiem od r. 1665 datuje się fundacja monastyru obecnie w lesie Pomorzańskim położonego w „Krasnopuszczy."

Gedeon odjechał natychmiast z Janem do Lwowa, gdzie Jan pod dniem 7. marca 1665 w jednym czasie dwie fundacje na piśmie mnichom św. Bazylego uczynił — jedną dla Krasnopuszczy, i tego monastyru przełożonym został Gedeon, drugą dla Złoczowa. Poczem niebawem uposaża Jan jeszcze trzeci dawny monastyr Bazyliański w Podhorcach.

Gedeon już z wiosną 1665 miał gotowy monastyr drewniany w Krasnopuszczy i trzech zakonników pod sobą. Doczekał się w lat 10 tego szczęścia, że oglądał na własne oczy Jana IIIgo ukoronowanego i doznał obfitych łask monarchy. Nietylko monastyr uposażył Jan obszarem 1000-morgowym, ale nadto udzielił dzwonów lanych z dział zdobytych na Turkach. Rozkazał swemu nadwornemu malarzowi Bazylemu ze Lwowa wykonać cały „ikonostas" w cerkwi bazyliańskiej krasnopuszczańskiej, która to robota tego znakomitego malarza ruskiego cenioną jest bardzo wysoko.

Nadto król Jan III. udzielił do cerkwi w Krasnopuszczy pędzla Altomontego portrety całego rodu Sobieskich, znajdujące się tam po dziś dzień.

Z czasem Krasnopuszcza stała się ulubioną miejscowością dla króla Jana Sobieskiego, z ścieżki wązkiej leśnej zdążającej z Pomorzan do Krasnopuszczy kazał zrobić szeroką „drogę królewską," na miejscu

dzisiejszej „brackiej pasieki" stał niegdyś letni z drzewa zbudowany pałacyk królewski, w nim zbierano się na łowy, dawano uczty i zabawy. —

Za staraniem o. Gedeona pochowanego w Krasnopuszczy, w dzwonnicy r. 1689 oznaczono granice posiadłości zakonników kamieniami, jako niegdyś król Jan III. kazał poznaczyć, na nich wypisano, na jednym: „Ojciec Gedeon Bojnicki otrzymał od króla Jana III. Sobieskiego dla Bazylianów w Krasnopuszczy fundacją i grunta r. 16,9." Na innym:

„Dla tego tu jest tablica wyryta,
Niechaj świat cały pochwały wyczyta;
Że Krasnopuszczy grunta koferował
Jan Najjaśniejszy kiedy suplikował
Ojciec Gedeon hegumen z braciami;
Znaki uczynił granic kamieniami."

Na odwrotnej stronie kamienia napisano dokoła orła polskiego: „Jakób Ludwik królewicz polski 1736." Jakób Ludwik Sobieski królewicz przeznaczył nadto Bazylianom w Krasnopuszczy 280 złotych rocznej zapomogi r. 1726 i przydał ziemi 200 morgów.

Biskup Kryspin Ciszkowski 1781 zbudował z cegły obszerne mieszkanie dla mnichów.

Cerkiew bazyliańska w Krasnopuszczy jest pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela, w który to dzień rokrocznie tysiące ludu okolicznego zbiera się na nabożeństwo do Krasnopuszczy, jako w dzień odpustowy.



z Litogr. Towarz. przemysł. Lwów Kopernika 9.　　podług rysunku K. Potockiego w Trembowli

WIDOK RUIN ZAMKU TREMBOWELSKIEGO.

Obrona Trembowli.

Śpiew historyczny

przez

Tymona Zaborowskiego

(z wizerunkiem ruin trembowelskich.)

Autor, którego pracę i pamięć niniejszem odnawiamy, a który w r. 1828 nienaturalną śmiercią zbyt wcześnie dla literatury zginął, należał do rzędu najzdolniejszych romantyków. Był w nim zaród przyszłego Bajrona polskiego. Teraz zaledwie w historji literatury polskiej i w wypisach polskich znaleźć ślady jego. My publikujemy niniejszem w odnowionem wydaniu jego „Obronę Trembowli,“ odnoszącą się do epoki, w której żył i działał bohater wyswobodziciel Wiednia, do epoki wsławionej imieniem Sobieskiego i Chrzanowskiej. By zaś rzecz przez nas wydaną przystępną uczynić dla ogółu czytających, załączamy obok oryginału polskiego nasz przekład niemiecki, z którego równocześnie 300 odbitek zrobiliśmy, przeznaczając ²/₃ części zysku z rozsprzedaży tychże na wystawienie pomnika Chrzanowskiej w Trembowli.

Zbaraż, 4. lipca 1883.

G. Kohn.

Obrona Trembowli.

Śpiew historyczny.

I.

Komu nie znane Chrzanowskiego imię?
I kto Trembowli drogich gruzów nie zna?
Gdzie twój skruszony oręż Ibrahimie
Swobodna więzi w głębiach swoich Gniezna? *)
Lecz zawsze miły dzień po dniu jaśnieje,
I wciąż powtarzać miło ojców dzieje,
W otchłań przeszłości zachodzące krwawo.
Kto tego ofiar dla ojczyzny święta,
Tej czci dla swoich przodków nie pamięta,
Do czci potomnych drogie traci prawo.

2.

Już się roztaczał księżyc lata wtóry
W pełni świetnego złotych żniw miesiąca,
Lecz pola chlebne, miodorodne góry
Z ich ludem wojna pożerała wrząca.
Jak z chmurnych Tatrów powstające grady,
Podobnie Turków niesforne gromady
I tłumy błędnych snuły się Tatarów;
Kraj cały pastwą był zuchwałej czerni,
A takim stali obozem niewierni,
Że mógłby zmieścić ludność grodu carów.

---

*) Gniezna, rzeka poczynająca bieg swój w bliskości Zbaraża, płynie przez Trembowlę i dalej pośród skalistych jarów, łączy się z rzeką Seretem, którą wpada do Dniestru.

Die Vertheidigung Trembowla's.

Historischer Gesang.

1.

Wer hört' Chrzanowski's Name unerschüttert?
Wem wär'n Trembowla's Trümmer unbekannt,
An denen sich Ibrahims Schwert zersplittert,
Das in der Gnjezna Fluth ein Grabmal fand? *)
Doch Tag für Tag vergeht, und jeder neue
Mahnt uns an unsrer Ahnen Muth und Treue,
An Tage, die uns nicht mehr angehör'n.
Wer weichend von der Tugend heil'gen Bahnen
Gleichgültig bleibt beim Ruhme seiner Ahnen,
Der ford're nicht, dass ihn die Enkel ehr'n.

2.

Reich war die Ernt', wie keine wohl sein mögen
In diesem Jahr, gereift durch Sonnengluth,
Allein des Landmanns Fleiß, der Ernte Segen,
Verheerete des grausen Krieges Wuth.
Dicht wie sich Wolken auf der Tatra schaaren,
Ergossen sich der Türken und Tataren
Mordbrennerische Horden über's Land;
Was lebte, fiel zum Opfer ihrem Hassen,
Ein Lager bildeten des Feindes Massen,
So zahlreich fast, als wie des Meeres Sand.

---

*) Die Gnjezna, ein Fluß, der in der Nähe von Zbaraż beginnt, fließt durch Trembowla und vereint sich, längs Felsschluchten sich windend in seinem weiteren Laufe mit dem Sereth, der in den Dniester mündet.

3.

Wsie, miasta, ziemie zniszczone gorzały,
Chwiały się mury wysokiego Lwowa;
Jednego zamku trembowelskiej skały
Bronił niezłomny Samuel z Chrzanowa.
Ani skwar bojów i niewczasy pilne,
Mogły nadwątlić jego ramię silne,
Ani odwagę w piersiach głód wycieńczy;
Tak, lubo z blaskiem niestałej jesieni
Las różnobarwne stroje codzień mieni,
Jeszcze się majem czoło dębu wieńczy.

4.

Nielicznych mężów przy nim, lecz walecznych
Zapał wojennym wzmaga się rozruchem,
Często Chrzanowski w razach niebezpiecznych
Męztwo ich jeszcze takim żywi duchem:
„Prosto do boju torem naszych przodków
„Spieszmy, omylnych nie chwytając środków,
„Może łaskawsze niebo nam przeznacza
„Ojczyznę naszę zbawić od zagłady
„I jej niewoli zatrzeć mieczem ślady
„I krwią Turczynów zmazać dług Buczacza.“

5.

Rzecze i zaraz brzmienia swojej mowy
Własnym na wałach dowodzi orężem,
I wnet bluźniących wrogów ścięte głowy
Na twarz przed wielkim upadają mężem;
A pogrom nagle wywodząc za mury,
Jak piorun z czarnej wylatuje chmury
I mieczem tłumy pogańskie rozprasza,
Tatarów śmiałe powściąga zagony,
Że ledwo zdoła z wojskiem porażony
Żywot swój unieść do obozu Basza.

6.

Lecz coraz bardziej ludożercze smoki,
Niewytępione hordy Ibrahima
Wzrastają, jako wzdętych wód potoki,
Gdy je rozwięzi konająca zima.

3.

In Flammen Städt' und Dörfer schon aufgehen,
Die Mauern Lembergs geben keinen Schutz:
Es bietet auf Trembowla's Felsenhöhen
Dem Feind nur Samuel von Chrzanow Trutz.
Nicht Nachtwachen, nicht Sorgen und nicht Schwächen
Vermögen seines Armes Kraft zu brechen,
Der Hunger nicht zu dämpfen seinen Muth;
Fest steht er gleich dem Eichbaum, der, wenn's Wetter
Des Herbsts, das rauhe, gelb färbt alle Blätter,
Noch frischbelaubt ist, noch grünt wohlgemuth.

4.

Umgeben ist er nur von wen'gen Treuen,
Die willig für ihn opfern Gut und Blut,
Und wenn Gefahren ihm Verderben dräuen,
Belebet durch sein Wort er ihren Muth:
„Den Ahnen gleich fürs Vaterland zu sterben,
„Greift zu den Waffen, ihres Ruhmes Erben,
(Ruft er), Gott höret unsrer Stimme Hall,
„Er wird mit uns sein, Er wird uns erhören,
„Er wird die Gunst, die selt'ne, uns gewähren,
„Durch Türkenblut zu rächen Buczacz' Fall."

5.

Er spricht's und macht, von Kampfesgluth entbrennet,
Mit seinem Schwert zur Wahrheit, was er sprach,
Und Feindeshäupter, von dem Rumpf getrennet,
Sie wälzen sich vor ihm im Staub voll Schmach;
Sowie aus schwarzer Wolken Schoße Blitze,
So fährt er von Trembowla's Felsensitze,
Ein Blitz, hernieder auf der Feinde Schaar,
Was sich in Weg ihm stellt, das wird zertreten,
Und kaum sein Leben durch die Flucht zu retten
Vermag der stolze Pascha mit Gefahr.

6.

Doch immer stärker schwellen an die Horden
Ibrahims, der Tod und Verderben dräut,
Gleich den Gewässern, die geschwellet worden
Durch Regengüsse um des Lenzes Zeit.

Takie się w spiekłej puszczy Kafrów mnożą,
Karą na skrzydłach oznaczone bożą,
Lotne gromady, bujnych żniw pożerce:
Taki w zdradzonej chwilą szczęścia duszy
Zaród się ciągłych rozwija katuszy,
Wieczny wąż wspomnień, który ściska serce.

7.

Lecz darmo hardy Koranu niewolnik
Ludowi grozi naszemu jasyrem;
Żołnierzem każdy jest za wiarę rolnik,
Każdy za wolność żołnierz bohatyrem.
Chociaż śmierć zawsze mężnych krwi niesyta
Codzień z ich grona zdobycz drogą chwyta,
Wre w pozostałych ta krew niewygasła,
Jak ogień w dawnej piorunów świątyni;
Każda ich strata bitniejszemi czyni,
Święte do sławy pomnażając hasła.

8.

Nakoniec twierdzę ciągły bieg wyludnia
I jej obrońców przerzedza szeregi,
Tak zwolna tchnienie skwarnego południa
Uparte ściera na Karpatach śniegi.
Których nie zmiotą gromobitne działa,
Krzywy tnie bułat, lub niepewna strzała
Przewlekłym zgonem domęcza okropnie;
Dla drogich ofiar ziemia się rozpada,
I Chrzanowskiemu śmierć na trupach blada
Wskazuje bliskie już do grobu stopnie.

9.

Jednak wódz mężny i w tym nawet stanie
Zgubnych rozpaczy środków się nie ima;
Ufnością w Bogu trwając, nieprzerwanie
Wstrzymuje wszystkie siły Ibrahima.
Tak przed potęgą gromów, śród ulewy,
Kiedy do ziemi słabe gną się krzewy,
Orzeł się wspiera na niezłomnym dębie;
Tak żeglarz walcząc z morską nawalnicą,
Rzuconą śmiałej nadziei kotwicą,
Mierzy pod sobą wrzące śmierci głębie.

In solchen dichtgeschaarten Schwärmen mögen
Heuschrecken wohl verheeren Erntesegen,
Der schon entgegenreift der Sonne Strahl;
Erinnerungen aus vergang'nen Jahren
Bestürmen so des Menschen Herz in Schaaren
Und machen's Leben ihm zur Last und Qual.

7.

Doch nutzlos drohn des Korans feile Würger
Mit Knechtschaft uns: ihr Drohen schreckt uns nicht.
Zum Glaubensstreiter wird ein jeder Bürger,
Zum Helden jeder, der für Freiheit ficht.
Obwohl der Tod mit unbarmherz'gem Wüthen
Stets neue Opfer holt aus unsrer Mitten,
Die Überblieb'nen harren aus voll Muth;
Sowie das Feu'r, das unverlöschlich-klare,
Stets brennt an Peruns heiligem Altare,
So glimmt in ihnen stets des Kampfes Gluth.

8.

Allein Strapatzen, Fasten, Kampfesmühen,
Sie lichten der Vertheid'ger Reih'n gemach,
So thauet vor der Mittagssonne Glühen
Der Schnee auf, der auf den Karpathen lag.
Wen ein Geschoß nicht trifft, von Blut geröthet,
Wen nicht ein krummer Türkensäbel tödtet,
Dem droht des Hungers Furie schreckhaft-bleich,
Und er, der niemals vor dem Tod gezittert,
Chrzanowski fühlet seine Kraft erschüttert
Und fühlt, ein Mensch, sich schwachen Menschen gleich.

9.

Doch ob ihm dräu'n des Hungers Schreckgestalten,
Legt er verzweiflungsvoll nicht an sich Hand
Und bietet im Vertrau'n auf Gottes Walten
Ibrahims Kräften mannhaft Wiederstand.
So bietet, wenn's auch noch so heftig stürmet
Hoch auf des Eichbaums Wipfel unbeschirmet
Der Aar dem Ungewitter Trotz ganz frei;
So fährt der Segler auf des Meeres Tiefen,
Trotz bietend täglich Stürmen, Klippen, Riffen
Und mißt das Meer mit seines Ankers Blei.

10.

I wtenczas, kiedy sam przy drogiej żonie
W rzadkiej dla niego odpoczynku chwili,
Mąż nieszczęśliwy stłumić w mężnem łonie
Jeszcze się ciężkich głos udręczeń sili,
Gdy przedmiot razem uciech i boleści,
Jedyną córkę słowem lubem pieści,
Jak wielki smutek jego serce tłoczy!
Serceżto ojca wtedy ukryć zdolne
I te westchnienia żalów mimowolne
I te łzy gorżkie, których pragną oczy?

11.

Żona przywykła ważne męża troski
Przenikać, sobie przybierając w podział;
Jak z łona niebios pocieszyciel boski
Gdyby w śmiertelną postać się przyodział,
Dojrzałej była piękności niewiasta,
Jak ten dzień świetny, który już nie wzrasta,
Kiedy dościga pierwszy owoc wiosny
I niedalekie przyjście lata wróży,
A jeszcze pełne kwiaty wonnej róży
Po ziemi urok rozwodzą miłosny.

12.

Helena, córka jej dziesięcioletnia
Jej obraz twarzą odnawia młodzieńczą,
Jak odnowione miłem tchnieniem kwietnia
Liście, rodzinne swoje drzewo wieńczą.
Gdy ojciec od niej nie odrywa wzroku,
W burzliwym czasów dzisiejszych potoku
Widząc przeszłego szczęścia obraz błędny:
„Mężu (Chrzanowska ozwie się) mój drogi!
„Tak więc niepokój w te już nawet progi
„Jak cień za tobą wkrada się niezbędny.

13.

„Jakież mi odkryć wahasz się obawy?
„Polskiego domu córka nieodrodna,
„Że twojej dzielić jam niezdolna sławy,
„Czyż cierpień z tobą dzielićem niegodna?
„O pomnij mężu na opór Zbaraża,
„Czyż ogrom nieszczęść, który się pomnaża
„I nasze siły zniszczył do ostatka?

10.

Doch selbst in jenen selt'nen Augenblicken,
In denen er, ausruh'nd von Kampf und Streit,
Die theuere Gattin an sein Herz darf drücken
Und suchen vollen Trost an ihrer Seit',
Wenn auf dem Töchterlein, dem einz'gen, lieben,
Des Vaters Aug' ruht, seine Blick' sich trüben
Und Muth und Thatkraft jählings ihn verläßt:
Dann ist's Gefühl er nicht im Stand zu hemmen,
Dann sucht die Thränen nutzlos er zu dämmen,
Die Gram und Sorge seinem Aug' erpreßt.

11.

Allein die Gattin weiß ihn zu verstehen,
Sie fühlt mit ihm, sie theilet seine Mühn,
Dem Tröster gleich, der von des Himmels Höhen
Den Sterblichen zum Beistand ward verliehn,
In ihrer Schönheit, in der Anmuth Kranze
Gleicht sie dem Tag in seinem vollen Glanze,
Der reifen macht des Lenzes erste Frucht,
Indeß noch Blumen hold und freundlich blühen,
Indessen noch des Maien Rosen glühen,
Die Lüfte schwängernd mit gewürz'gem Duft.

12.

Der Mutter treues Ebenbild, Helene,
Ist ihre Zierde, ihre Freud', ihr Trost,
Dem Baum gleich, dessen Wipfel voller Schöne
Das junge Laub ziert, das im Lenz gesprosst.
Indeß von Sorg' und Kampfesmühn entkräftet,
Der Vater auf sie seine Blicke heftet
Und in ihr sucht vergangnen Glückes Bild,
Spricht seine Gattin: „Theurer! was für Sorgen,
„Die du mir hehlest, zehr'n an dir verborgen?
„O! sage mir, welch Kummer dich erfüllt?

13.

„O! hehle ihn nicht, nenne ihn mir, nenne!
„Dem Vaterlande treu zu jeder Zeit,
„Meinst du, weil deinen Ruhm ich theil'n nicht könne,
„Sei ich nicht werth, zu theil'n mit dir dein Leid?
„O denke, wie in jüngstvergangnen Tagen
„Des Feindes Angriff Zbaraż abgeschlagen.
„Brach's Unglück schon für immer Polens Muth?

„Powiedz! czy wolność już w tych murach kona?
„Cios ten znieść mężnie zdoła twoja żona,
„A nieszczęśliwa milczeć będzie matka."

14.

— „Droga mojego towarzyszko losu!
(Mąż jej odpowie) i łkaniem rozpaczy
Przerwał tę żałość, która nie ma głosu,
Tylko bolesnym wzrokiem się tłumaczy.
„Ciężkie nieszczęście na nas niebo zsyła,
„Tyś żoną, matką. Polką dotąd była!
„Dziś jeszcze w lubem ojczyzny imieniu
„Szukasz pociechy! może w ciągu doby
„Już go nie wspomnisz w milczeniu żałoby
„I w okropniejszem niewoli milczeniu!

15.

„Los już niepewną chwieje bojów szalą
„I wnet na stronę wrogów ją przeważy,
„Mnie okrutnicy życia nie ocalą,
„Lecz go w stambulskiej nie zhańbię sprzedaży,
„Wy tylko wieńcząc tej ziemi podbicie,
„Wy, ich zwycięzki rydwan ozdobicie,
„Ani się kiedy w litość duma zmieni,
„Ani bezbożnych święte skruszą cnoty,
„Serc ich nie zmiękczą nawet łzy sieroty,
„Jak twardych rosa niebieska kamieni."

16.

Więzów i hańby sama myśl zelżywa
Obraża zacność wolnej Podolanki,
Swoje więc dziecię za rękę porywa,
Jak Scytów niegdyś w Tauryce kapłanki,
Srogie dla wrogów dwa chwyciwszy noże:
„Wielki (zawoła) moich ojców Boże!
„I wy, ich cienie! macie dwie ofiary,
„Obie niewinne, przyjmcie razem obie,
„Jedna niech padnie na wolności grobie,
„A druga czystsza na ołtarzu wiary!"

17.

Potem do męża jeszcze zwraca mowę,
Gdy już dziecięcia uzbroiła dłonie:
„Patrz, spólnie z tobą jesteśmy gotowe,
„Walczyć i poledz na ojczyzny łonie!"

„O hehle mir's nicht, wolle mir es sagen!
„Das Schrecklichste hat Muth dein Weib zu tragen,
„Es weiß zu opfern schweigend Gut und Blut."

14.

— „O! theuerste Gefährtin meines Lebens,
(Entgegnet er mit Schmerz im Angesicht)
„Vergebens wär' es, hehlt' ich's dir, vergebens,
„Was so beredt aus Blick und Miene spricht.
„Des Unglücks Fülle sendet Gott uns nieder,
„Du warst ein Weib, warst eine Gattin bieder,
„Du warst es... heut ist Alles das vorbei.
„Auf! waffne dich mit deines Muthes Fülle,
„Daß Polens Fall du tragest in der Stille,
„Ertragen mögst der Heiden Sklaverei.

15.

„Schon neigt der Sieg sich auf des Feindes Seite,
„Schon triumphiret ob dem Tag die Nacht —
„Mich wenigstens nicht in dem blut'gen Streite
„Der Feind lebendig zum Gefangnen macht!
„Ihr, Theuern! nur müßt Schmach und Schande leiden,
„Für den Triumphzug auserseh̃n vom Heiden,
„Du arme Tochter, mitleidswerthe Frau!
„Es wird vergeblich bleiben euer Sehnen,
„Des Feindes Herz nicht rühren eure Thränen,
„Wie nicht den Stein erweicht des Himmels Thau."

16.

Schon beim Gedanken an der Knechtschafts Bande
Empöret sich des freien Weibs Gemüth,
Treu ihrem Glauben, ihrem Vaterlande,
Drückt sie ans Herz ihr Kind, von Muth erglüht,
Und scharfgeschliffne Messer zwei ergreifend,
Ruft sie, Furcht und Verzagtheit von sich streifend:
„Dir, Ew'ger! bring' ich diese Opfer dar!
„Nimm, o Allmächt'ger! huldvoll auf die Gabe,
„Die Mutter falle an der Freiheit Grabe,
„Die Tochter an des Glaubens hehr'm Altar!"

17.

Sie spricht's und waffnet ihres Kindes Rechte
Und sagt zum Mann, der staunend es gesehn:
„Bereit sind wir! nun laß uns im Gefechte
„Fürs Vaterland gemeinsam untergehn."

Ta postać, taka niewiasty odwaga
Podwójnem czuciem siły męża wzmaga
I już na mury spieszą razem troje.
Tak czyste, takoż nad przepaści brzegiem
Nierównym z góry rozdzielone biegiem
W jeden wodospad łączą się trzy zdroje.

18.

Już tłum pohańców twierdzę był opasał
I nowym do niej wdzierał się wyłomem.
Pożar wojenny ledwo co przygasał,
Znowu się palił dział morderczych gromem,
Już chmurą dymu okryte posępną,
Stroną do zamku najłatwiej przystępną
Pną się wrzaskliwe bisurmanów roty;
Jak wicher świszczy przeraźliwie w tuczy,
Tak i tej burzy, która śmiercią huczy,
Jęk jej przerywa nieustanne grzmoty.

19.

Dzień w cichym jaśniał blasku i łagodnie
Wzgórza około Trembowli oświecał;
Jakoby krwawej wojny ćmił pochodnie
I boską w ludziach iskrę, miłość wzniecał.
W tem na wysokich polach od Winiawy
Z opadłych nagle obłoków kurzawy
Szereg się hufców rozwija niebieski,
Nad niemi orzeł połyskuje biały
I głosy w twierdzy radosne zabrzmiały:
„Sobieski! Zbawca! Król nasz! Jan Sobieski!“

20.

Zagrzmiało wielkie Sobieskiego imię.
Kto go nie słyszał, kto z poganów nie zna?
Dumny uchodzisz przed nim Ibrahimie,
Jak ta z pod skały trembowelskiej Gniezna!
I piękna sława Chrzanowskich jaśnieje,
I już Trembowli oblężonej dzieje
Na ziemi naszej są wyryte krwawo;
Ta ziemia z kości naszych przodków święta,
W swoich wnętrznościach czuje i pamięta,
Jakie ich dzieci mają do niej prawo.

Lwów, 1827.

Tymon Zaborowski.

Sie spricht's und weiset mit der Hand nach Oben,
Des Mannes Muth fühlt sich auf's Neu' gehoben,
Und auf die Wälle eilen sie ins Frei.'
So einen sich, von Berg zu Thal geflossen,
Drei der Gewässer auch zu einem großen
Gewalt'gen Wasserfalle alle drei.

18.

Umzingelt hatte schon der Feind die Veste,
Schon drang in sie durch eine Bresch' er ein,
Verzweiflungsvoll noch wehren sich die Reste
Der Vaterlandsvertheidiger, der treu'n,
Dort wo das Schloß am leicht'sten zu gewinnen,
Dort sucht des Feindes Schaar emporzuklimmen,
Von Rachegier, von blinder Wuth erfüllt;
Sowie vom Blitz durchfurchet wird der Himmel,
So tönet durch das dichte Schlachtgetümmel
Der Ruf des Todes fürchterlich und wild.

19.

Es ging der Tag auf ob Trembowla's Höhen
In vollem Glanze, eine wahre Lust!
Als wenn er mildern wollt' des Krieges Wehen,
Die Liebe weckend in der Menschen Brust.
Das Sonnenlicht brach durch der Wolken Schleier:
Herangesprenget kommen die Befreier,
Schon vor der Festung ihre Schaar jetzt hält,
Es strahlet Polens Adler in der Sonne
Und tausend Stimmen rufen voller Wonne:
„Sobieski hoch! hoch unser Siegesheld!“

20.

Sobieski kam, zu retten und zu richten,
Wer kennt nicht seines großen Namens Schall?
Besiegt mußt' Ibrahim sich vor ihm flüchten
Mit seiner Söldner, seiner Knechte Schwall!
Chrzanowski's Haupt des Ruhmes Lorbern kränzen
Und ewig wird Trembowla's Name glänzen,
Verherrlicht durch so vieler Helden Blut,
Und heilig wird der Boden stets uns gelten,
In welchem ruhn des Vaterlandes Helden,
Die uns erkämpft des Menschen höchstes Gut.

Sambor, 1873.

G. Kohn.

Król Jan III. Sobieski

jako poeta

(z portretem tegoż na czele rocznika.)

Są chwile w życiu królów, gdzie ci, zapominając o wysokiem stanowisku swojem, przestają być królami, a stają się śmiertelnikami zwykłymi. Wówczas natura według charakteru i temperamentu każdego wybucha, albo w całej grozie dzikości, albo ukazuje się w całym blasku i okazałości cnoty, pamiątką przodków hartując się na dni walki, ich wielkiem imieniem uzbrajając sterane dłonie, ich pobożnością krzepiąc serce.

Taką to chwilę nakreśliła nam historja, nauczycielka pokoleń, uwidoczniając pożegnanie króla Jana III., z ulubioną jedynaczką.

Sobieski, wielki bohater, zwycięzca z pod Podhajec, Kałusza, Chocimia, Trembowli i Wiednia, znękany intrygami dworskiemi i niezgodą domową, pod koniec życia, bo 15. sierpnia r. 1694go, wydaje w Warszawie córkę jedynaczkę Teresę Kunegundę za Maksymiliana, elektora bawarskiego. Nie będziemy się kusili o to, opisać, co się w ojcowskiem jego sercu podczas bolesnego tego rozłączenia działo. Wszakże odblask wierny tych uczuć widzimy w wierszu, który król — starzec drżącą ręką nakreślił na obrazie Matki Boskiej, danym córce na pamiątkę w chwili ostatecznego rozstania (dnia 13. listopada 1694.)

Król, czujący z powodu odjazdu córki próżnię, nie dającą się niczem wypełnić, znajduje w religii pocieszycielkę jedyną i wskazuje boską tę pocieszycielkę także córce jako źródło wytrwałości

poświęceń. Porucza ją opiece Zbawiciela, Matki Boskiej, Aniołów-stróżów, patronów Polski. Przestrzega, by herb domu, Janinę zachowała wolen skazy.

Na końcu życzy, by przeciwności wszelkie ulubione jego dziecię minęły i prosi, aby niebiosa swe błogosławieństwa na córkę królewską zlały, obdarzając ją licznem potomstwem.

Rzecz wprawdzie w rodzaju swoim prosta ale rzewna, a przypominająca wielkich poetów, którzy w podobnych okolicznościach nie lepiej od oswobodziciela Wiednia się wyrażali.

To też uznaliśmy za stosowne, rzecz tę załączyć do naszego zbioru pamiątek po Sobieskim, żeby ją zaś przystępną uczynić dla ogółu, podajemy ją również jak i „Obronę Trembowli" w tekscie podwójnym, w przekładzie przez nas dokonanym, i życzymy tylko, aby publiczność, jak najszersze korzyści z tej pracy uzyskać zdołała.

G. Kohn,
redaktor i wydawca.

Pożegnanie

króla Jana III. z córką.

I.

Idź, gdzie cię niesie ta ſortuna twoja
Z domu rodziców, jedynaczko moja!
Idź z domu braci za ojczyste progi,
Bierz się do drogi!

2.

Niech cię Ta, co w swym pisze konsystorzu
Prawa naturze, niebu, ziemi, morzu:
Wszechmocna ręka, wziąwszy miłościwie,
Wiedzie szczęśliwie.

3.

Niewinny Jezus i ukrzyżowany
Niechaj cię przyjmie w swe otwarte rany,
I niechaj strzeże, zasłania i broni
W przeciwnej toni.

4.

Panna i Matka, za wiecznem przymierzem,
Niechaj cię składa niebieskim puklerzem,
I twą ojczystą na każdą godzinę
Zmacnia J a n i n ę.

5.

Spiesz! niech ci drogę bezpieczną torują,
Za tobą i przed tobą postępują,

Abschiedsgruß

König Johanns des Dritten an seine Tochter.

1.

Zieh' hin! zieh' hin! daß dich das Glück geleite!
Mein Töchterlein, mein einz'ges! zieh' ins Weite!
Fort von den Eltern, fort von all' den Deinen,
Die um dich weinen!

2.

Daß dich die Hand, die hält im richt'gen Gleise
Erd', Himmel, Meer, den rechten Weg stets weise,
Und vor dir ebne voller Huld und Gnade
All' deine Pfade!

3.

Der starb am Kreuz, die Menschen zu beglücken,
Er möge schützend an sein Herz dich drücken,
Er mög' dich schirmen, hüten und bewahren
Vor all'n Gefahren.

4.

Vor Ungemach, vor Noth, vor schlechtem Lose,
Wahr' dich Marie, die Heil'ge Fleckenlose,
Und übermannt dich einst des Heimwehs Schmerze,
Stärk' sie dein Herze.

5.

Zieh' hin, zieh' hin, und mit dir mögen ziehen,
Erleichternd dir Beschwerlichkeit und Mühen,

Którym cię dało w moc zrządzenie Boże,
Anieli Stroże.

6.

I którym w Polsce chwała wiekuista,
I w których Dom nasz opiece korzysta,
Niechaj cię strzegą Patronowie święci,
Życzęć z mej chęci.

7.

Za ich modlitwą, prośbą i przyczyną,
Wszelkie Cię niechaj przeciwności miną,
A Bóg obfite szczęścia, łaski, dary, —
Zleje bez miary.

8.

Błogosławieństwo, co go w córkach, synach
Niebo udziela, miej w tamtych krainach.
Życzęć pociechy z mych wnuków, twych dzieci,
Ociec! — Jan Trzeci.

Die Engel Gottes, die dich hüten mögen
Auf allen Wegen.

6.

Und jene, denen Pol'n Altäre weihet,
Und die in der'n Schutz unser Haus gedeihet,
Polonia's Patrone mögen wahren
Dich vor Gefahren.

7.

In ihrem Schutz, im Schutz der benedeihten,
Mög' alles Unglück meiden dich von weitem,
Und auf dich streu' der Herr des Segens Spenden
Aus vollen Händen.

8.

An Söhnen und an Töchtern Freud' erleben
Laß dich der Ew'ge: seinen Segen geben
Mög' dir der Herr, erhör'nd des Vaters Bitte.
Johann der Dritte.

Przejażdżka do Żółkwi.

W dniu posępnym i dżdżystym jechałem do Żółkwi. Na niebie nie widać było słońca. Mgły ścieliły się po wysokich równinach, przez które białą linją wyciągnięty bieżał murowany gościniec. Minąwszy Sopuszyn i jak bukiet wśród niw zielonych, rzucone Przemiwółki, ujrzałem wreszcie przez mgłę przebłyskujące krzyże kościołów, i po lewej ręce mgłami, niby hiszpańskim płaszczem owinięty, ciemnozielony Haraj, górujący nad całą okolicą.

Dla mnie, który tak dobrze znałem wspaniałe ruiny Trembowelskie, Olesko, zbrojownię w Podhorcach, i tyle innych pamiątek, rozrzuconych po ziemi naszej, Żółkiew miała jakiś szczególny, nad wszystko silniejszy powab. Zdawało mi się, jakbym tam jeszcze po krużgankach zamkowych, pośród filarów kościelnych, miał ujrzeć przesuwające się cienie Żółkiewskich, Daniłowiczów i Sobieskich, owych postaci, które od najpierwszych lat niemowlęcych, w opowiadaniach matki i śpiewach Niemcewicza przed dziecięcą przesuwały się fantazyą. Jechałem więc z bijącem sercem, a z Pamiątkami księdza Barącza w kieszeni. Mniej obchodziło mię wprawdzie, kto i kiedy obrany był wójtem, a kto na ławie radzieckiej zasiadał, kto i kiedy z kolei burmistrzował, i kiedy któren cech ustanowiono. Ja piersią gorącą chciałem z tego miasta, które dziś zamarłym staje się już hieroglifem, obudzić jeszcze choć jedno tętno życia, wyczarować choć jedno tchnienie przeszłości, dla mnie zrozumiałe. Biedne miasto! Ileż ono klęsk nie ucierpiało, ilu niszczącym nie uległo zmianom! Tatarzy po kilkanaście

razy w zagonach swoich oparli się w Żółkwi, a zniszczywszy okoliczne wioski, na długo za każdą razą zostawiali po sobie pustkę i żałobę, później Chmielnicki po dwakroć z czernią swego kozactwa nawiedził Żółkiew. W wojnach Karola XII. Szwedzi, Sasi i Moskale niszczyli miasto i okolicę. Po kilkakroć powietrze morowe, dżuma, zmiatała tysiące mieszkańców, uciekających w sąsiednie lasy, gdzie krzyż i samotna mogiła świadczą do dzisiaj o okropności dni owych. I częste pożary niszczyły miasto, w perzynę obracając kościoły i cerkwie, a zawsze pobożność i gorliwa praca mieszkańców, wsparta hojnością dziedziców, co najpierwsi szli w pomoc swojemu ulubionemu miastu, podźwigała je z klęski, zabliźniała rany, goiła nieszczęścia i do kwitnącego przywodziła stanu.

Żółkiew ulubienicą była znakomitych fundatorów i dziedziców swoich — najdroższą, można powiedzieć perłą, w domowym ich skarbcu.

Tu oni po przebytych znojach wojennych spieszyli wypocząć z trudów w zaciszy domowej i kole rodzinnem, tutaj wówczas swobodnego wytchnienia chwile poświęcali nauce i umysłowemu zajęciu; pod strażą tutejszej warowni, idąc na wojnę, zostawiali swe żony modlące się o pomyślny skutek wyprawy, w zakonny habit aż do ich powrotu odziane. Tutaj to w zaciszy Żółkiewskiego zamku, Stanisław Żółkiewski, wróciwszy z wyprawy Moskiewskiej, opisał tę potrzebę, której sam był naocznym świadkiem i dowódcą, a Jakób Sobieski, obszerne podróże swoje, w Żółkiewskim zamku przesiadując, po polsku spisał; i król Jan z pod Wiednia, listy do swej kochanej Marysieńki adresował do Żółkwi. Tutaj w roku 1623 Sobieski, w ówczas hetman jeszcze, wspaniale podejmował Jana Kazimierza w przejeździe ze Lwowa do Warszawy. Do Żółkwi przywiózł po zwycięztwie pod Wiedniem Nuncjusz papiezki królowi Janowi III. podziękowanie od Ojca św. za uratowanie Chrześciaństwa, wraz z bogatemi darami dla króla i królowej, które w sam dzień św. Jakuba po odprawieniu uroczystego nabożeństwa w przytomności posła cesarskiego, hr. de Waldstein i Weneckiego, Angelo Morosini wraz z błogosławieństwem Ojca św. oddał królowi — szy-

szak z czerwonego aksamitu, złotem i drogiemi ozdobiony kamieniami i miecz z rękojeścią i pochwą szczerozłotą, jako rycerzowi św. państwa; królowej zaś różę, djamentami wysadzaną. Tym samym mieczem król posła weneckiego pasował na rycerza, a po skończonej uroczystości, panowie przypatrywali się obozowi, rozłożonemu obok zwierzyńca i obrotom wojska, naśladującym rozłożenie obozu tureckiego i bitwę pod Wiedniem.

Taką to nie jedną świetną uroczystość widziała Żółkiew na dworze Maryi Kazimiry, jakoteż przedtem i potem, będąc przez niemały przeciąg czasu zbiorowiskiem zagranicznej dyplomacyi. Tu wreszcie pod sklepieniami świątyń tutejszych spoczęły ciała Stanisława i Jana Żółkiewskich, Teofili Sobieskiej, Marka Sobieskiego, Jakuba i Konstantego królewiczów.

Te i tym podobne myśli, ów rój poważnych postaci krążył mi po głowie, gdym się zbliżył do miasta. Co krok wymijaliśmy kilkopiątrowe wozy, wyładowane węglami, długo ciągnące się transporta drzewa budulcowego wszelkiego rodzaju i w największych rozmiarach, których głównie te strony dostarczają do Lwowa, zaopatrując budulcem całe miasto. Przypomniało mi to znowu obszerny handel miasta, prowadzony niegdyś z Gdańskiem i innemi stronami dawnej Polski, owe bogactwo, którego już dzisiaj nie ma, gdyż handel tutejszy dzisiejszy ogranicza się na sprzedawaniu żyta i owsa do magazynów rządowych i na pieczeniu bułek, zwanych Żółkiewskiemi. I znowu tym nowym torem popchnięte zaczęły myśli krążyć i motać się w nowe pasma rojeń, gdy z marzenia ocknął mię chłopak powożący, pokazując mi z daleka świecącą, tak sławną między ludem złotą banię. Tymczasem byliśmy już w środku miasta, bryczka zatętniła po bruku rynkowym. Wnet zajechaliśmy na podwórze wielkiego murowanego domu.

Na podsieniu młody, wyprostowany żydek, właściciel, jak się później dowiedziałem domu tego, przywitał mię nadzwyczaj eleganckim i wielce pretensyonalnym ukłonem. Zajęty innemi myślami, nie zbyt uważając na grzeczne powitanie:

— Co słychać? — zapytałem machinalnie, zeskakując z bryczki.

— Już chwala Bogu, załatwiona kwestya o wispy wężowe — odpowie z powagą i wiele znaczącą miną dyplomaty.

Osłupiałem — spodziewając się usłyszeć jakąś smutną nowinę o spadającej cenie zboża i idącem za nią bankructwie, którego sąsiedniego szlachcica, nie myślałem się spotkać naraz z wiadomością podobnej wagi.

— Chwała Bogu, chwała Bogu; ale czyby nie można dostać stancyi — odrzeknę nadzwyczaj uradowany — podobnie szczęśliwym zwrotem sprawy Europejskiej.

Natychmiast grzeczny żydek-dyplomata wprowadził mię do swojego własnego pomieszkania, gdzie z całą uprzejmością i o ile można czystą polszczyzną prosił mię, ażebym się rozgościł i wypoczął.

— Pan Dobrodziej — rzecze z uprzejmością (a mówiąc nawiasem jest to wielki postęp od Wielmożnego i Jasnego Pana, w uściech spolszczonego żydka) — Pan Dobrodziej zrobił wycieczkę do Żółkwi, aby oglądnąć nasze starożytności, nasze pamiątki; już posłałem ażeby otwierano kościół.

A nim posłaniec wrócił i doniósł, że już kościelny czeka na mnie u fary, gościnny żydowski młodzieniec literat zaczął mię bawić opowiadaniem rozmaitych szczegółów, dotyczących historyi miasta; opowiadał o zaprowadzeniu pierwszej drukarni, na którą przywilej król Jan udzielił Filipowi i Dawidowi Lewi z jego rodziny, zapewniał, że zostawał w przyjaznych stosunkach z księdzem Barączem, gdy tenże pamiątki miasta Żółkwi spisywał, i szczycąc się tą znajomością, dodał, że nie jeden ciekawy szczegół on szanownemu udzielił autorowi, wreszcie pokazał mi swoją bibliotekę, składającą się z wielu pierwszej wartości dzieł polskich, między któremi całkowite wydanie Mickiewicza i wiele innych treści dziejowej.

Uskarzał się, że nie może dostać dzieł księdza Kołątaja, a gdy ofiarowałem się pożyczyć mu je, jak drugi raz będę w Żółkwi, nadzwyczaj uprzejmie z prawdziwą serdecznością mi dziękował, chociaż wątpię,

ażebym już kiedy miał sposobność dotrzymać mu obietnicy.

Wyszedłem na miasto. Gdzie dawniej stał ratusz miejski, po którym nie zostało ani śladu, dziś roztacza się ogromny rynek, trawą porosły. Po lewej stronie całą połać rynku zajmuje zrestaurowany po części i zamieszkały, częścią w ruinie stojący niegdyś pałac dziedziców Zółkwi. Naprzeciw zamku, górujący nad miastem stoi kościół farny i wieża z zegarem.

Stanisław Żółkiewski, kanclerz i wielki hetman koronny, chcąc mieć warowną dla siebie siedzibę i dla okolicznych mieszkańców obronę przed tatarskiemi napady, w miejscu gdzie stało miasteczko Winniki, postawił zamek warowny, wspaniały kościół, który kolegiatę uczynił, miasto opasał murami, około których pojmani Tatarzy pracowali, i tę ulubioną sobie siedzibę Żółkwią nazwał.

Dziś po większej części fortyfikacye z ziemią zrównane a strzelnice w murze obronnym służą za rynsztoki przyczepionym doń zabudowaniom. Z czterech niegdyś bram warownych, dwie już tylko, wspaniałe budową swoją istnieją; przy jednej wkuty ogromny łańcuch, zabytek zwodzonego niegdyś mostu. Nad rynkiem góruje kościół farny, którego gzymsy i ozdoby architektoniczne podpierają cztery orły polskie.

W tej świątyni niegdyś w czasach napadów i nieszczęść krajowych okoliczni mieszkańce składali pod opieką najwyższej Opatrzności skrzynie ze swemi majątkami i całym ruchomym dobytkiem, tutaj chronili się przed zagonami tatarskiej dziczy, i tutaj przechowywała rada miejska akta swe w czasie niebezpieczeństwa.

Dziś świątynia ta, którą mi proboszcz miejscowy, szanowny kapłan, pełen widocznej gorliwości o zachowanie zabytków ojczystych, z prawdziwą uprzejmością pokazywał, zawiera oprócz innych pamiątek cztery obrazy ogromnych rozmiarów, przedstawiające bitwy pod Kłuszynem, Chocimem, Wiedniem i Ostrzychoniem.

Dwie ostatnie malował Altamonte, bitwę pod Chocimem, najlepszą pod względem umniczym,

malował Kestler. Obrazy te przez zachowanie historycznego podobieństwa osób w nich przedstawionych, jakoteż ubiorów i zbroi, wysoką dla nas wartość mają.

Główną figurą tych obrazów, na ogromny rozmiar wykonanych jest zawsze Sobieski w naturalnej wielkości, na czele swych hufców kopijniczych, z wijącym się wiecznie Turkiem pod kopytami konia. Przy nim na białym koniu królewicz Jakób, Fantanique brave au dernier point. W młodziuchnej, pięknej twarzy widać bohaterską ciekawość młodzieńca, któremu bój jest jeszcze nowością. Za odnowienie i zachowanie tych obrazów prawdziwą wdzięczność winniśmy byłym stanom galicyjskim, które w r. 1823 na przedstawienie miejscowego proboszcza ks. Mikołajewicza, kilka tysięcy reńskich m. k. na odnowienie i naprawę tych butwiejących i wielce uszkodzonych obrazów ofiarowały i odnowienie ich Józefowi Engerthowi, nadwornemu malarzowi księcia Anhalt-Köthen poruczyły. Ciekawe są tu jeszcze do widzenia portrety naturalnej wielkości Jakóba Sobieskiego, ojca króla Jana, najpodobniejszy ze znanych, w starości już zdjęty; dobrego pędzla portret króla Jana III., portrety hetmana Żółkiewskiego i jego syna, jakoteż w czerwonym marmurze wykowane ich posągi, pod któremi był niegdyś napis złoconemi literami na czarnej marmurowej tablicy: Exoriare alicynis nostris ex ossibus ultor. Po lewej stronie pomnik matki i żony Stanisława Żółkiewskiego w habitach zakonnych również z czerwonego marmuru; pod niemi napis: Vae genti insurgenti contra genus meum, Dominus enim omnipotens vindicabit in eis.

W zakrystyi przechowuje się puszka na kielich misternej roboty, ze słoniowej kości rzeźbiona, darowana kościołowi przez Stanisława Żółkiewskiego, szkaplerz i złota obrączka z łańcuszkiem i z napisem: Ego mancipium Mariae, z grobu jego wyjęte. Ciekawą do widzenia jest także kapa mszalna, uszyta z chorągwi tureckiej przez Jana III. pod Wiedniem zdobytej. Jest ona z materii jedwabnej grubej i ciężkiej, na tle jasno fioletowem, mieniącem, zasiana

małemi kwadratami złocistemi, wyrażającemi Turka, trzymającego w prawej ręce nóż, w lewej za kołnierz Chrześcianina obalonego na ziemię. Świadectwo owej nienawiści i fanatyzmu, w imię którego dzicz mahometańska sypała się na zagładę chrześciańskiego świata.

Wyszedłszy z kościoła, obdarzony przez szanownego proboszcza dużym bukietem z jego ogródka, pełnego woni i najpiękniejszych kwiatów, oglądnąłem jeszcze kościół OO. Dominikanów, a w nim grób Teofili Sobieskiej, potem bożnicę żydowską, wspaniałej budowy; gdy bowiem król Sobieski ofiarował się gminie żydowskiej dać daremnie wszystkie materyały, jakich do wystawienia bożnicy zapotrzebują, Żydzi umieli należycie skorzystać z tej hojnej ofiary. Udałem się następnie z bijącem sercem do zamku... Gdzież one wspaniałe krużganki i sale, w których papieskich i cesarskich przyjmowano posłów? zwierzyniec królewski, owe jeziora, w których modrzewiowe przeglądały się lasy? gdzie ów pałac letni na szczycie Haraju, na którym gdy Sobieski strudzony polowaniem zatrzymał się niespodzianie, ujrzawszy przed sobą okolicę cudnej piękności, w zachwyceniu: Ha! raj! wykrzyknął. Niema tego wszystkiego, lecz zato na podwórzu zamkowym innego rodzaju zastałem scenę. Trzy strony zamku, świeżo odnowione i wynajęte, są zamieszkałe. Jedna zaś tylko główna strona zajmowana niegdyś przez samychże Sobieskich, nietknięta dotąd i nieodnowiona, upada z dniem każdym w zupełną ruinę. Tu u wejścia przed frontem, opartym na ośmiu kolumnach, stało siedm kolosalnej wielkości z kamienia wykutych posągów, któremi Michał książę Radziwiłł w r. 1735 wejście do zamku wspaniale przyozdobił. Posąg główny wyobraża króla Jana III. w koronie, z berłem w jednej, złotem jabłkiem w drugiej ręce; a obok niego Mikołaj, Karol i Michał Radziwiłłowie, Stanisław Żółkiewski, Jan Daniłowicz i Jakub Sobieski ojciec króla Jana. Za niemi w niszy popiersie Katarzyny z Sobieskich Radziwiłłowej. W twarzach i ubiorach rycerzy, zachowane ściśle podobieństwo historyczne, rzeźba ze wszechmiar niepospolitej wartości. Długo pomniki

te wystawione bez żadnej pieczy na wpływ niepogody i żartów ulicznych, stały jakby na urągowisko, z obtłuczonemi palcami i nosami, a nikt, nikt się nie znalazł, coby gorętszem sercem uczcił te świętobliwości narodowe, od dalszych zachował uszkodzeń; pod dach bezpieczny przeniósł te pod względem historyi i archeologii nieocenione zabytki.

Otoż biorąc się do restauracyi tej części zamku, grożącej upadkiem, polecono przedsiębiorczemu żydkowi pousuwać te posągi z wysokich piedestalów, byle się mularzom ustąpiły z drogi. Żyd zaczął najkrótszym sposobem, a zwoławszy ludzi z drągami, najprzód zepchnął posąg króla Jana, któren runąwszy z wysokiej podstawy, rozbił się w sztuki. Szczęściem, że zobaczył to jeden z wyższych urzędników, a przywoławszy żyda, rozkazał położyć koniec podobnemu barbarzyństwu. Posągi zdjęte i przeniesione z miejsca ostrożniej, zostały rozstawione na dziedzińcu zamkowym, gdzie zapewne tak niszczeć nie będą, jak dotąd niszczały. Nie doczekiwałem już końca tej roboty. Uciekłem z sercem ściskającem się z bolu i oburzenia.

— Jakto? — myślałem, wskakując na bryczkę — zezwolimyż na to, ażeby wśród nas niszczały podobne pamiątki, żywe świadki przeszłości, co po przeciągu wieków jeszcze by o niej rozpowiedzieć potrafiły? Czyż przedsionki kościołów naszych, gmachy zakładów, nowotworzące się muzea narodowe, nie przyjęłyby pod opiekuńczy dach swój owych pomników, które jedną z ich najpiękniejszych stanowiłyby ozdób.

Gdy gdzieindziej wszystko, cokolwiek dotyczy dziejów lub sztuki, tak skrzętnie wyszukują, zbierają i przechowują, my tylko jedni, my którzy zawiązujemy Towarzystwa naukowe, sztuk pięknych i wyłącznie archeologiczne, nie znajdziemy jeszcze na tyle obywatelskiej gorliwości, ochoczej ręki i trochę grosza, by wyrwać urągowisku publicznemu to co powinno stać na ołtarzach narodowych? Czy jeden bałwan ze Zbrucza ma już wypełnić wszystkie nasze poszukiwania i zadowolnić naukowe pragnienia? Tu gdzie nawet żyd

karczmarz zbiera co polskie i troszczy się o narodową historję, my jedni. my, coby Tatar oszczędził, pozwolimy bluźnierczą ręką rozbijać nasze świętości — my tylko, my...

Ale chłopek zacinał konie i byłem już daleko za miastem.

R. 1859.

Władysław Zawadzki.

Odsiecz Wiednia przez króla Jana III^go.

w roku 1683.

Skreślił

Adam Wojdałowicz,

nauczyciel ludowy.

ROZDZIAŁ I.

Jan III. Sobieski.

Oto imię jednego z największych królów polskich, imię obrońcy chrześcijaństwa i Wiednia przed nawałem Turków i Tatarów w XVII. wieku! Sławili imię to nasi ojcowie i praojcowie: pierwsi gdy z ust swych ojców o królu Janie III^m słyszeli, drudzy jako świadkowie odsieczy Wiednia w r. 1683, gdzie miecze swe na karkach tureckich wyszczerbili i dolinę wiedeńską tysiącami trupów tureckich zasłali. Nam zaś pozostaje tylko sławić bohaterskie czyny przodków, którzy dopomogli zgromadzonym wojskom chrześcijańskim pod dowództwem dzielnego króla Jana III. Sobieskiego walczącym, obronić stolicę Austryi, a z nią i chrześcijaństwo. Bo gdyby Bóg wszechmogący nie zesłał był Jana Sobieskiego, pewnieby dzisiaj zamiast krzyżów wznosiły się tureckie półksiężyce na kościołach chrześcijańskich, tak we Wiedniu jak może i w całej Europie.

Jan III. Sobieski urodził się w Galicji w miasteczku Olesku. Do dziś dnia oglądać tam można zamek i pamiątki, po wielkim królu pozostałe. Gdy tylko dorósł, już ćwiczył się w sztuce wojennej i w wczesnym wieku wyruszał przeciwko Turkom i Tatarom. Ojciec jego Jakub Sobieski był również wielkim wojownikiem. Wyprawiając synów swych Marka i Jana za granicę na nauki, rzekł do nich: „Uczcie się wszystkiego oprócz tańca, bo tego nauczycie się dokładnie w bitwie z Tatarami.“ Widać więc z tych słów, iż wojny z Tatarami i Turkami nie rzadkie wtedy były.

Za męztwo, jakiem się w bitwie odznaczał, został Sobieski wielkim hetmanem koronnym obrany. Piastując tę godność, pobił on w wielu bitwach nieprzyjaciół Polski, jak n. p. pod Chocimem dnia 11go listopada 1673 r., pod Żurawnem w Galicji i pod Trembowlą, gdzie broniła twierdzy w bohaterski sposób Chrzanowska, nie chcąc jej w ręce tureckie oddać. W tym samym czasie, kiedy pod Chocimem pobił Sobieski Turków, umarł w Warszawie gnuśny król Michał Korybut Wiśniowiecki po 4º-letniem panowaniu. Sobieski jako zwycięzca jechał w tryumfie do stolicy. Oczy wszystkich zwróciły się ku niemu i wszyscy upatrywali w nim nowego króla. Jakoż rzeczywiście nadzieje ich nie zostały zawiedzione, bo na sejmie elekcyjnym w r. 1674m został Sobieski królem polskim obrany. Pierwej jednak poszedł on ścigać Turków, którzy kraje polskie napadali, a potem koronował się uroczyście. Na najwyższym jednak szczycie sławy stanął Sobieski w jesieni r. 1683go, kiedy Wiedeń i chrześcijaństwo od Turków wyswobodził. Panował wówczas w Austryi Leopold I. cesarz, który z powodu nienawiści ówczesnego króla francuzkiego Ludwika XIVgo skutecznie przeciwko Turkom wystąpić nie mógł. Turcy odebrali mu prawie całe Węgry, a nawet i Peszt zajęli. Cesarza zewsząd otaczało niebezpieczeństwo: od zachodu Ludwik XIV. czyhał już na zgubę rywalizującej z nim potęgi domu habsburgskiego. Nie szczędził zabiegów i przez posła swego w Konstantynopolu tyle dokazał, iż wielki wezyr Kara Mustafa sułtana do wyprawy na Austryą namówił.

Zapewnił mu łatwość zwycięztwa: przedstawił mu' Austryą osłabioną i z powodu Ludwika XIVgo prawie nieczynną; Węgry dla cesarza nieprzychylne, a dowódzcę hr. Emeryka Tekelego gotowego lada chwilę odstąpić cesarza; o Polsce zaś twierdził, że ta, wysilona długiemi wojnami nie przyjdzie Austryi na pomoc. W różowych barwach przedstawił również dumny Kara Mustafa skutki zwycięztwa i bogate łupy, jakie wpłynąć mogą z Wiednia do pałacu sułtana.

ROZDZIAŁ II.

Pochód Turków pod Wiedeń.

Stał tylko na przeszkodzie Turkom król polski, Tego Ludwik XIV. łudził różnemi obietnicami w razie gdy pozostanie neutralnym. Obiecywał mu koronę węgierską i wieczysty spokój. Za nic jednak sobie ważył Sobieski te mniemane korzyści wobec upadku Austryi i Wiednia, wobec upadku późniejszego Włoch i innych ziem, ogółem wobec upadku chrześcijaństwa. Czyż mogłaby się ostać Polska w obec takiej potęgi Islamu? Wszakże Turcy, zawojowawszy wszystkie kraje austryackie, nie oszczędziliby Polski. I na Francją musiałaby przyjść kolej! I na pałacu dumnego Ludwika XIV. zabłysnąłby półksiężyc! Tego wszystkiego nie przypuszczał jednak pychą nadęty król francuzki, lecz całą potęgą dyplomacji swojej spowodował, iż sułtan pochód swój na Wiedeń przyspieszył.

Z wiosną r. 1683go zebrało się mnóstwo Turków na wyprawę. Tłumy te zebrane z Europy, Azji i Afryki liczyły do 650.000 ludzi, pośród których do broni zdatnych żołnierzy liczono do 300.000. Z taką to siłą szedł dumny Kara Mustafa z półwyspu bałkańskiego zmuszając jeszcze po drodze pozostałych w domu do łączenia się z nim.

Wyglądała ta wyprawa jak jakie nowe przesiedlenie się ludów. Tysiące wielbłądów dźwigających

na swych garbach juki tureckie, stada wołów i bawołów, mnóstwo koni i siedzących na nich Turków i Tatarów. Pozwijane namioty bieliły się z daleka i mieszkańcom okolicznym wskazywały ślady pochodu Turków. Pochód ten trwał kilka miesięcy i posuwał się przez Serbią, Bośnią, Sławonią i Węgry. Tutaj opanowali Turcy niektóre twierdze, najważniejsze jednak punkta zostawili poza plecyma, w czem wielki błąd popełnili. W końcu stanęli pod Wiedniem i dnia 15go lipca rozpoczęli pamiętne w dziejach oblężenie.

Dokoła Wiednia na równinach kilkanaście mil szerokich rozbili namioty. Sam namiot wielkiego wezyra tak był wielki, jako jest cała Warszawa, a cóż dopiero pozostałych 120.000 namiotów! To wszystko w połowie lipca stało już pod Wiedniem, czyhając na jego zgubę! Od kogoż spodziewać się pomocy w tak niebezpiecznej chwili? Ludwik XIV. wierny tradycjom domu swego prześladuje dom Habsburgów; państwo niemieckie, rozdrobnione na kilkaset księztw i królestw, słabą tylko pomoc dać mogło Wiedniowi pod dowództwem księcia lotaryńskiego i kilku udzielnych książąt. Jedyną nadzieję pokładano więc w Polsce i w jej walecznym królu Janie Sobieskim, który już nieraz Turków był gromił. Słali więc posłów do Sobieskiego i papież i cesarz: cesarz błagał jego pomocy w imieniu zagrożonej swej stolicy Wiednia, papież w imieniu zagrożonej wiary chrześcijańskiej. I Sobieski wysłuchał próśb tych, i postanowił zaciągnąć wojska pod sztandar białego orła na czerwonem polu i Matki Boskiej Częstochowskiej, Królowej Polski.

Tymczasem Wiedeń, miasto tak wspaniałe i ogromne zmieniło się i zmniejszyło w tej krytycznej chwili nie do poznania. Ówczesny cesarz austryacki Leopold I. wyniósł się wraz z dworem swoim z Wiednia a z nim większa część zamożnych mieszkańców stolicy. Tak uszczuplone miasto nie liczące więcej jak 10.000 obrońców, musiało stawić czoło 300.000 Turkom! Garstce wiernych i do ostatniego walczyć gotowych studentów i żołnierzy dodał wódz austryacki, książę Karol lotaryński jeszcze około 15.000 wojska. Według dobrej taktyki wojennej należało dla skuteczniejszej

obrony spalić przedmieścia miasta Wiednia, co wódz nasz znakomity i król księciu lotaryńskiemu był doradzał, ale go nie słuchano. Turcy tymczasem coraz bliżej stolicy pomykali się, w mgnieniu oka opanowali wszystkie jej przedmieścia, na których wygodne i bezpieczne szańce blisko murów miasta usypali.

Dowództwo nad załogą miejską objął dzielny jenerał hr. Starhemberg i postanowił raczej zginąć, aniżeli miasto w ręce niewiernych oddać. Bronił go też od początku oblężenia z lwią odwagą na czele garstki studentów i kupców. Jednak kiedy się w mieście dowiedziano, że i Leopoldstadt wzięty, przestrach niesłychany ogarnął wszystkich. Coprędzej posłano gońców do Sobieskiego, aby jak najrychlej z pomocą przybywał.

Tymczasem Ludwik XIV. wszystkie siły swej dyplomacji wytężał, aby Sobieskiego do neutralności skłonić. Nie udało mu się to jednak, bo żona Sobieskiego gniewała się na Ludwika z powodu, iż tenże ojca jej nie chciał uznać parem, a że na Sobieskiego wielki wpływ wywierała, więc sprawiła, iż tenże Ludwika nie słuchał. Ważniejszą jednak przyczyną, iż Sobieski oblężonemu Wiedniowi na pomoc podążył, było to, iż jako chrześcijanin zagrożonej od niewiernych wiary świętej bronić pragnął. Doniósł jednak o wszystkiem panu swemu poseł francuzki na dworze polskim i upewniał go, iż Sobieski tak ociężały, że na koniu żadną miarą utrzymać się nie zdoła, a i mowy być nie może, by aż pod Wiedeń podążał. W tem ostatniem jednak mniemaniu grubo się pomylił, bo chociaż Sobieski był otyły i ociężały jak w ogóle wojownicy polscy, jednakowoż najwyborniej na koniu jeździł.

ROZDZIAŁ III.

Pochód wojska polskiego pod Wiedeń.

Ucieszyło to wielce Karę Mustafę, że Sobieski nie nadciągnie. Leniwo więc prowadził oblężenie,

sądząc iż mieszkańcy morzeni głodem, sami się wkrótce poddać muszą. Tymczasem zbierała się powoli pomoc z Niemiec i zbliżyła się pod dowództwem swych książąt Wiedniowi. Pieniądze i klejnoty garnęły się zewsząd jak na krucjatę jakąś, ale nie do ziemi świętej, lecz pod Wiedeń. A Wiedeń opadł z sił tak dalece, iż wysłał czemprędzej posłów do Sobieskiego, aby przybył z pomocą.

I postanowił Sobieski zebrać wojsko. Naprzód jednak odbył kilka pielgrzymek do miejsc cudami slynących jak n. p. do Częstochowy, gdzie na Jasnej Górze w klasztorze OO. Paulinów znajduje się cudami słynący obraz Matki Boskiej z dzieciątkiem Jezus. Poczem bezzwłocznie zajął się zaciąganiem wojska.

Skoro armja polska w Krakowie się zebrała, odprawił Sobieski uroczyste procesje po wszystkich kościołach krakowskich i mszy św. wysłuchał, prosząc Boga o zwycięztwo. Po skończeniu obchodów zebrało się wojsko w porządku, a król przeczuwając zwycięztwo zawołał: „Proszę Boga, abym Turków zastał, niech nie będzie w Polsce trudno o tureckie konie.“ Myślano, iż mówi to z pychy, ale snać mówił tak, bo ufał Bogu, pod którego opieką dzień 12go września r. 1683 szczęśliwie przebył.

Pod rozwiniętymi sztandarami z białym orłem na czerwonem polu wyruszyło tedy pięknie uszykowane wojsko polskie dnia 15go sierpnia r. 1683go, t. j. w sam dzień Wniebowzięcia Matki Boskiej z Krakowa i puściło się w drogę ku Wiedniowi, nie czekając zastępów litewskich. Król Jan III. objął naczelne dowództwo i miał przy boku syna swego, 16o-letniego Jakuba. Hetmanami koronnymi byli Jabłonowski i Sieniawski. Pochód pod Wiedeń był nieprzerwanym szeregiem owacyj dla Sobieskiego. Wszędzie witano go jako wybawcę. Gdy się niemieccy książęta o bliskiem przyjściu króla polskiego dowiedzieli, czemprędzej pod jego rozkazy spieszyli. Niecierpliwie wyglądano pomocy Polaków. Już i hr. Starhemberg oświadczył, iż podkopy tureckie do środka miasta dochodzą, największa część obrońców już od kul i szabel tureckich poległa, a pozostałych trapiły głód i choroby. W najniebezpieczniejszych chwilach pu-

szczano rakiety z wieży Św. Szczepana, by dać znać o bliskim upadku miasta. I w tej to chwili pełnej niebezpieczeństwa Sobieski znajdował się koło Wiednia. Pragnął on niespodzianie jak grom wpaść na Turków. Zbudował więc niedaleko Wiednia most na Dunaju, a wojsko jego na lewy brzeg rzeki się przeprawiło.

Dziwili się Niemcy, mówi ówczesny żołnierz polski „naszym ubiorom, koniom, skrzydłom, a nadewszystko naszej odwadze i poświęceniu." Sprzymierzona armja, licząca do 70.000 żołnierzy, postanowiła przeprawić się przez górę Kahlenberg, aby wpaść na Turków z tyłu. Przeprawa przez Kahlenberg była jednak prawie niepodobną z powodu lasów, wąwozów, złomów skał i innych przeszkód. Musiano więc iść z siekierami w ręku i torować sobie drogę. Walczono z ogromnemi przeszkodami. Nie było pożywienia ani dla ludzi, ani dla koni. Te ostatnie żywiono liśćmi w lesie nazbieranemi. Pomimo przeszkód i niewygód król był wesół i żywo rozmawiał z książętami o bliskiem starciu z Turkiem.

Kilka dni jeszcze trwał pochód przez Kahlenberg, nareszcie dnia trzeciego stali u stóp tej góry, na którą się szczęśliwie wdrapali. Ze szczytów jej dano znać Wiedeńczykom o nadeszłej odsieczy. Radość napełniła mieszkańców oblężonego miasta, gdy dostrzeżono Polaków. Jak lwy poczęli się bronić Wiedeńczycy. Lecz i Turcy dowiedzieli się wkrótce o przybyciu Polaków. Kara Mustafa nie chciał wierzyć, iżby król polski miał być koło Wiednia. Tymczasem i w Konstantynopolu nie próżnowano. Sułtan przysłał surowy rozkaz wzięcia co rychlej Wiednia i przysłał nawet Karze Mustafie postronek z przestrogą, iż ten go nie minie, jeżeli Wiednia nie weźmie, bo jemu zachciało się tej wojny. Postronek przysłany mu, włożył sobie wielki wezyr na szyję i biegał jak wściekły od obozu do obozu, nakazując szturm powszechny. Ale im większy był napad, tem silniejsza też obrona oblężonych, którzy widząc zbliżającą się odsiecz, Wiednia zacięcie bronili.

ROZDZIAŁ IV.

Bitwa.

Nastał szturm powszechny. Turcy zachęceni przez wielkiego wezyra pną się na mury Wiednia. Walą ich z murów oblężeni. Turcy biorą się do armat, które pod same mury podtoczyli i straszne dziury w nich powybijali. Wiedeńczycy już tylko piersią swą zasłaniają owe dziury. Była to ostatnia próba wymagająca wielkiej cierpliwości i miłości ojczyzny ze strony oblężonych. Rzeczywiście i ten straszny szturm odparli oblężeni.

Gdy się wielki wezyr o przybyciu Sobieskiego przekonał, wysłał on przeciw niemu wojsko swoje, sam zaś pozostał w obozie. Polacy tymczasem ukazali się na szczytach gór, a połączywszy się z wojskami cesarskiemi, powoli na nizinę schodzić poczęli.

Nastał 12ty września, dzień pamiętny w dziejach Austryi i chrześcijaństwa. Armja sprzymierzona ułożyła się w szyk bojowy. Prawe skrzydło stanowiła jazda polska pod dowództwem wielkiego hetmana koronnego Jabłonowskiego, i z tego powodu uszykowała się na obszernej dolinie. Lewe skrzydło stanowiły wojska niemieckie, dowodzone przez księcia lotaryńskiego. Centrum stanowiła jazda cesarska. Jan III. objął naczelne dowództwo nad wojskami sprzymierzonemi. Przed bitwą jednak postanowili wszyscy wysłuchać mszy św. w kościółku św. Leopolda na górze Kahlenbergu i przyjąć Ciało i Krew Pańską. Mszę celebrował umyślnie w tym celu z Rzymu wysłany pobożny pustelnik ks. Marek de Aviano kapucyn, który udzielił zgromadzonej armii chrześcijańskiej w imieniu Ojca św. błogosławieństwa apostolskiego. Teraz dopiero nasyceni pokarmem duchowym, Niemcy bój na lewem skrzydle rozpoczęli i w przeciągu dwóch godzin opanowali niektóre wzgórza, bronione przez Turków. Koło południa złączyli się z Niemcami i Polacy, powitani okrzykami: „Niech żyją Polacy i król ich Jan III. Sobieski!“ Król jak niegdyś Jagiełło przed bitwą pod Grunwaldem objeżdżał szeregi sprzymierzone, zachęcając do mężnego spotkania się z wrogiem wspólnym, który tyle krzywd chrześcijaństwu wyrządził.

Jazda polska, jak zawsze tak i teraz dzielnie się sprawiła, gdyż jednym zamachem przecięła linję bojową Turków. Ci zaś, parci nieustannie przez wojska chrześcijańskie, nie zdołali się już na swych stanowiskach utrzymać i cofali się w nieładzie do obozu. Teraz dopiero, kiedy niebezpieczeństwo było największe, objął Kara Mustafa dowództwo, broniąc z całą armją obozu. Dokoła obstawiano go działami, z których strzelano nieustannie. Armja chrześcijańska zachęcona dotychczasowem powodzeniem z niesłychaną gwałtownością mknęła na chmury dymu i kurzu, chcąc obóz turecki opanować. Około piątej z południa hr. de Montigny, dowódca cesarskiej piechoty, pierwszy na rozkaz króla wpadł do obozu nieprzyjacielskiego. Zmieszało to wielce Turków, gdyż teraz dopiero poznali wielkość niebezpieczeństwa.

Wielki wezyr mówi do tatarskiego hana:

— Czy rozumiesz, iż tu jest król polski?

— Rozumiem i poznaję — odpowie mu han.

— Radź o mnie — mówi znowu wezyr.

— Radź ty sam o sobie, a ja o mnie — brzmiała odpowiedź.

I rzeczywiście niebezpieczeństwo było tak wielkie, iż wszyscy dowódzcy głowę tracili. Zewsząd w obozie tureckim dały się słyszeć głosy: „Allah! Allah!“ Zaraz jak piłką rzucił, poszli w rozsypkę Tatarzy; Turcy też poczęli słabnąć, a potem w nogi. Puścili się nasi za nimi na koniach, i nuże siec i rznąć szablami, a kłuć kopiami. Pierwszych gnano stadami do Wiednia, aby za karę naprawili te dziury, które powybijali w murach, reszta utonęła w Dunaju. Kara Mustafa nie czekając końca bitwy, uciekł zostawiwszy cały swój namiot! Sobieski pierwszy wpadł do namiotu, wybiegli zeń niewolnicy, poddając mu się jako swemu zwycięzcy.

W bitwie tej padło kilkanaście tysięcy Turków. Polacy mieli około tysiąca zabitych. Nazajutrz po wschodzie słońca, już całkiem inaczej wyglądał wyswobodzony Wiedeń. Zamiast ciemnych chmur jańczarów, snujących się koło murów, leżało dookoła mnóstwo zabitych Turków, a obok nich szable, buńczuki, zawoje i chorągwie z półksiężycami, których

uratować nie mogli z powodu szybkości zwycięztwa chrześcijańskich wojsk sprzymierzonych.

I cóż się stało tak strasznego w ich obozie, że tak rychło uciekli? Jakaż to moc rozpędziła chmurę, groźniejszą stokroć od tej, co wisi w obłokach, lada chwila grożąc zalewem? Co spowodowało Turków do tak rychłego odejścia z pod murów stolicy Austryi? Czy może jakaś siła potajemna, która niweczy i najskrytsze myśli człowieka? Turcy, ten naród bitny i tak wówczas liczny i bogaty, odszedł z pod murów oblężonego miasta, bronionego zaledwie przez 12.000 żołnierzy! Ci Turcy, liczący pod Wiedniem przeszło 300.000 wojska, które na wyścigi do szturmu szło, oczekując chciwie śmierci, ci Turcy pierzchli ze wstydem przed pięć razy słabszym nieprzyjacielem! Nie mogli podołać wojsku polskiemu, dowodzonemu przez sławnego pogromcę Turków Jana III. Sobieskiego, króla polskiego.

Jeszcze raz zabłysła sława dla Polski, chylącej się już ku upadkowi, bo za następców Sobieskiego opłakane dla niej czasy nastają. Już prawie ostatnim świetnym czynem uwieńczyła ona swe poprzednie. Mimo ofiar, poniesionych dla ojczyzny nie zawahała się przed ostatnią jeszcze ofiarą i dała krew swoją dla chrześcijaństwa. Jedna Polska ze swymi bogobojnymi i walecznymi królami na czele stanowiła nieprzełamaną zaporę w obec wszystkich nieprzyjaciół wiary świętej. Ona to kilkakrotnie ratowała Zachód, zagrożony napadami Tatarów, a z Turkami walczyła od początku ich osiedlenia się w Europie! Ileż to walecznych a wiarę i ojczyznę swych przodków kochających hetmanów i żołnierzy poległo od kul i krzywych szabel tureckich! Przenieśmy się tylko myślą pod Cecorę, Chocim, Żurawno, Lwów, a nareszcie pod Wiedeń, gdzie przy odsieczy około tysiąca Polaków poległo! Wszystko za wiarę i ojczyznę!

ROZDZIAŁ V.

Wjazd do Wiednia i powrót do domu.

Wielkie zwycięztwo pod Wiedniem zrobiło Sobieskiego panem bogactw, opuszczonych przez Turków. Jak się wyżej rzekło, zostawili oni przeszło 120.000 namiotów, pozostawili stada wołów i wielbłądów, których zabrać nie byli w stanie, około 300 armat i niezliczoną ilość broni różnego kalibru; a co dopiero perskich dywanów, szalów i t. p. przedmiotów, służących do ubrania! Łóżko z pościelą tureckiego dostojnika na kilkadziesiąt tysięcy talarów szacowano. Kilkaset sierot chrześcijańskich dostało się w ręce biskupa Kolonicza, który je znowu chrześcijańskiej wierze wrócił. Król wiele rzeczy oddał Wiedeńczykom, chorągiew wielką proroka Mahometa posłał Ojcu św. do Rzymu, resztę łupów zatrzymał dla siebie.

Uwiadomiono natychmiast królowę Marją o odniesionem zwycięztwie, a ta podziękowała za to Bogu, niezliczone ofiary mu składając. Wieść o zwycięztwie lotem błyskawicy przebiegła całą Europę. Wszędzie odprawiano dziękczynne nabożeństwa tak w chrześcijańskich kościołach, klasztorach i cerkwiach, jak i w żydowskich bożnicach. Mieszkańcy Wiednia przez dwa miesiące oblężeni, otworzyli na wpół zburzone bramy miasta i wyszli na spotkanie swego wybawcy, który do spustoszonego miasta tryumfalny wjazd odbyć postanowił.

Na spotkanie króla polskiego wyszło z miasta duchowieństwo, dowódzcy niemieccy i inni dostojnicy. Wszyscy witali go jako zbawcę, publicznie mu dziękując. Lud cisnął się tłumnie do jego kolan; chcąc ucałować ręce dzielnego króla, a nie mogąc tego z powodu ciżby dokonać, dotykał się szat Sobieskiego, lub całował je. Tysiące westchnień podnosiło się z dusz przed chwilą zagrożonych niewolą, a teraz już wolnych mieszkańców stolicy. Ręce do nieba wzniósłszy, prosili o błogosławieństwo dla króla; a Niemki patrząc na dzielnego Sobieskiego podkręcającego dziarsko długiego wąsa, wołały:

„Oto król polski, co nas wybawił,
Jakże mu pięknie z temi wąsami.“

I oglądał król spustoszone miasto dokoła, zachęcając do naprawy murów. Dowódzca załogi miejskiej, hr. Starhemberg zaprosił go do siebie na obiad, gdzie prawie każdy pił zdrowie króla polskiego i jego dzielnych żołnierzy. Cesarz Leopold, dowiedziawszy się o czynie Sobieskiego, pospieszył coprędzej do Wiednia, który był niedawno zmuszony opuścić i dziękował swemu obrońcy. Powitanie jednak było bardzo zimne z powodu ceremonjału u dworu niemieckiego panującego. Hetman wielki koronny tak dalece się nawet rozgniewał, że przejeżdżając obok cesarza, nie ukłonił mu się. Nie miał więc co robić Sobieski pod Wiedniem, gdyż nawet wojsku jego żywności nie dawano. Wszyscy pragnęli co rychlej powrotu do stron rodzinnych. Życzeniu ich nie uczyniono jednak na razie zadość, bo Sobieski postanowił Turków zupełnie z Austryi wypędzić.

Puścił się więc za nimi i dopadł ich pod Parkanami na Węgrzech, gdzie atoli bitwa nie bardzo korzystnie dla Polaków wypadła. Niezrażony tem ścigał Sobieski nieprzyjaciół dalej, odebrawszy im prawie całe Węgry.

Teraz dopiero myślał Sobieski o powrocie do swej ukochanej Marysieńki, która powrotu tego niecierpliwie wyglądała. Zima też na dobre była się już poczęła, a wojsku dokuczały głód i zimno. Zajęli więc Polacy tymczasowo leże w Węgrzech górnych, nigdzie jeszcze nie mając spokoju od Turków. Z początku przeszkadzały im wojska Tekelego. Potem przeprawiono się przez kraje na południe z Polską graniczące, a dopiero około świąt Bożego Narodzenia stanęli zdrowo w Krakowie.

Przyjęcie zwycięzców było świetne i wspaniałe w całem tego słowa znaczeniu. Zadzwoniono we wszystkie dzwony krakowskie, a dzwon na Wawelu Zygmunt obwieszczał niezwykłą uroczystość narodową. Nie długo jednak trwały uczty na cześć przybyłych, bo wieczór wigilii Bożego Narodzenia zapadł i rozgonił wszystkich do domów, aby w skupieniu ducha oczekiwali dnia Pańskich Narodzin i mogli mu za zwycięztwo podziękować.

Nastał wieczór 24. grudnia r. 1683. Wigilią Bożego Narodzenia święcono w komnatach wawelskich tego roku świetniej niż kiedy indziej, gdyż z pod Wiednia wrócił zwycięzca. Domownicy, łamiąc się z nim opłatkiem, życzyli mu jeszcze długiego życia, którego im rzeczywiście było potrzeba w tak niebezpiecznych dla Polski czasach, kiedy to najbliżsi sąsiedzi sami byli jej nieprzyjaciółmi i jak wilcy owieczkę rozszarpać ją chcieli. Tymi nieprzyjaciółmi byli Szwedzi, Niemcy, Moskale, Turcy i t. d. Dzielnego na nich trzeba było pogromcę jakim był Sobieski, gdyż taki tylko zapobiedz mógł grożącemu upadkowi ojczyzny.

Uratował Sobieski chrześcijaństwo, to prawda; miał dobre chęci i dla ojczyzny, którą tak bardzo pokochał, lecz duma i swawola szlachty nie dała mu żadnego pożytecznego zamiaru do skutku doprowadzić i nawet zgon jego przyspieszyła. Sobieski przewidywał upadek Polski przy ówczesnych stosunkach. Nie miała Polska tyle wojska, ile sąsiednie państwa, porządku na sejmach nie było, gdyż lada szlachcic zrywał takowe, skoro mu się coś nie podobało, lub jeśli go nieprzyjaciele przekupili. W tak więc groźnej chwili nie mógł i Sobieski wiele zdziałać, bo złe już zanadto było się zakorzeniło; ale że zwycięztwem swem uratował Polskę od niewoli tureckiej, dla tego należy mu się od nas cześć i wdzięczność.

WIERSZ

na cześć Jana III. Sobieskiego

napisany

w 200-letnią rocznicę zwycięstwa jego pod Wiedniem

przez

SONĘ.*)

Cześć Tobie dziś i chwała, wielki nasz praszczurze,
Zadrzemałeś w pamięci pod dwóch wichrów pleśnią —
I więzów niemowlęcych pogrzebany cieśnią;
Zadrzemałeś na ziemi, — Ty — co żyjesz w górze !....
Chwałę Tobie nieść winny wszystkie ludy świata,
Boś Ty żył dolą swoją w wszystkich ludów doli —
I Tyś swym bolem cierpiał we wszystkiem, — co boli....
Lecz czekać jeszcze musisz, zanim myśl się z myślą
Jakby w jednéj źrenicy łezka z łezką zbrata —
I tobie słowo chwały na grobowcu skréślą. —
Lecz my Lachy, lecz naród Twój i kraj rodzony,
Któryś Ty cały oblał krwi każdéj kropelką;
Co tak dumą przez Ciebie wielmoży się wielką;
Którymś Ty apostole przez Twych czynów mnóstwo
I przez j e d e n czyn wielki wskazał dłonią męstwa,
Że Polacy — to naród — Bóg w ziemię wcielony,

---

*) Tym wierszem jako najstosowniejszym do tego, zamykamy szereg wspomnień o Sobieskim.

(Przyp. red.)

Że my — to ofiarniki za ludzkości bóstwo,
Gorejem na ołtarzu, jak znicz człowieczeństwa,
Gorejem, niby słońce słońc, które przenika,
Jakby serce ogniska myśl Nazareńczyka. —
Którymś, ubrany w szatę polskiego kapłaństwa,
Wierzyć kazał, że jako Nazareńczyk Boga,
Tak Polska nasza święta córa Chrześcijaństwa,
Tak ludzkość zchrześcijani, jako On ją zbożył,
I tak stworzy narody, jak on ludzi stworzył;
Coś nam wskazał, którędy w prawdę polską droga
My dzisiaj już z tą przez Cię odmłodzoną wiarą,
Którąś wyrył nam w duszy wiekopomnym czynem
I jakobyś przeczuwał, że w nas będzie sławą
Uwieńczył nieśmiertelnie żywym krwi wawrzynem;
My Tobie dziś już każdém naszéj piersi drgnieniem —
I każdą krwi kropelką — i każdem westchnieniem
Cześć i chwałę nieść pragniem wielkiém hymnu pieniem,
Lecz jakże Ciebie uczcim i w Tobie tę ziemię,
Co od wieku już jęczy pod jarzmem niewoli,
Od wieku w pierś jej ciosach wymierzanych boli?
Zbudzim skrę uczuć dla Was, jeżli w piersiach drzemie,
A może modła wzruszy usta rozbolałe,
Może łza znów upadnie w tę wielką łzawnicę
I znów zabrzmią nam w pieśni psalmu słowa wieszcze —
Może westchnienie stłumi wrzaski rozszalałe
I skroń kornie pochylim. — Lecz to mało jeszcze.
O! bo nie czas nam dzisiaj jeszcze hymny śpiewać.
Nie uczcim, gdy łzą będzie groby ojców zlewać.
Nie chylmy tak czół naszych niewolników syny!
Bo my dziś niewolniki ale tylko Boga!
I kajdany rąk naszych — to skroni wawrzyny.
A droga na Golgotę — to do Polski droga!
To nie skują nam ducha ludów niemowlęta,
Więc stańmy tam, gdzie przodki i ta w grobie święta
I rzućmy w twarz bluźniercom polskiej dumy grotem,
I zapalmy w źrenicy polskiéj myśli słońca
I rozświećmy kraj nimi od końca do końca,
I rzućmy okiem w niebo i na ziemię potem,
I stańmy, jako ludzie z marmuru wykuci,
Jako ludzie spiżowi dumą i spokojem,
Jako ludzie — wiekowym niezłamani bojem,
I nie jako wygnańcy z praw swoich wyzuci,

Ale jako pielgrzymi, co słoneczną wiarą,
Ze wszystkich ran i bolów, z wszystkiego cierpienia,
I z wszystkiéj męki swojéj składają Golgotę ;
By na niej kiedyś spełnić dzieło odkupienia,
By Polsce wskrzesić słońce zmartwychwstania złote
I tę, co będzie wskrzesić prędzej przeszłość starą!
A takim hymnem wiary pierś polska wezbrana,
To jeden wyraz chwały — i to cześć dla Jana!

Tarnów, 1883 r.

II.

INNE PRACE LITERACKIE.

Pośmiertne wspomnienie

skreślone przez

Redakcję „Roczników Samborskich.“

Mili czytelnicy moi! Zaiste przykrem i bolesnem jest zadanie żyjących, którzy przywykli patrzeć okiem przyjaźni i uwielbienia na drogie im osoby, z któremi ich łączyły długoletnie stosunki zażyłości i przyjaźni — przykrem i bolesnem jest ich zadanie, skoro śmierć nieubłagana gwałtowny rozdział tworzy między żyjącymi ziemskiem jeszcze życiem, a żyjącymi tylko duchowo, żyjącymi tylko w pamięci potomnych. Kraje nam się serce wówczas na to wspomnienie, drżącą dłonią kreślimy je, zapominamy lub staramy się przynajmniej zapomnieć o błędach i ułomnościach, o wadach, od ludzkiej natury nierozłącznych, a mamy tylko na oku przysłowie: „De mortuis nil nisi bene,“ czyli raczej: „Ich wady były czysto-ludzkiemi, a i cnoty ich tak samo.“

Wolno nam, nie dzielić pojedyńczych zapatrywań politycznych, społecznych i religijnych tego lub owego pracownika na polu literatury i sztuki, tego lub owego szermierza pióra, owego miecza obosiecznego, owej broni ognistej ducha; wolno nam nawet ubolewać nad kierunkiem ich pracy, niezgadzającym się z naszym własnym; ale nie wolno nam odmówić zasłużonej czci ich charakterowi, ich talentom, ich pracy.

Redakcja „Roczników Samborskich“ występuje niniejszem przed czytelnikami swymi z pośmiertnem wspomnieniem, poświęconem zgasłej w wieku sędzi-

wym Marji z Rusiłowa współpracowniczce naszego pisma, którą śmierć nieubłagana porwała. Zadanie nasze trudne, bardzo trudne nawet, a to tem bardziej, że z umarłą łączyły nas długoletnie stosunki koleżeństwa i przyjaźni i że przysłowie znane mówi: „De mortuis nil nisi bene.“ Ale stanowisko redaktora, stanowisko literata i krytyka nie powinno być stanowiskiem prostego panegirysty, tem bardziej, że inne znowu przysłowie mówi: „Magnus amicus Plato, sed magis amica veritas.“ I sądzę że najłatwiej zgodzimy sprzeczne zdania i odpowiemy stanowisku przez nas obranemu, jeśli sobie przypomnimy tę świętą prawdę, że tylko jeden Bóg. to źródło wszelkiej prawdy się nie myli, a żaden człowiek, gdyby nawet zajmował najwybitniejsze stanowisko na ziemi, nie jest nieomylnym, że zatem błądzić jest przymiotem, nierozłącznym od natury ludzkiej, ale że i te błędy poniekąd są usprawiedliwione, które z dobrego serca pochodzą, a nie ze złej woli; bo „wady umarłych były czysto-ludzkiemi, a i cnoty ich tak samo.“

Ś. p. Marja z Rutkowskich Bołoz Antoniewiczowa, pisząca pod pseudonimem Marji z Rusiłowa, jest to jedna z tych postaci, które wybitniejsze stanowisko zająć powinne w tradycji dawnych domów polskich. Staropolska gościnność, serdeczność, zapał niekłamany, rwący się czasem niedołężnemi nawet skrzydłami ku wszystkiemu, co szlachetne i piękne, poświęcenie i ofiarność bez granic na rzecz wszystkich celów publicznych — oto główne rysy jej charakteru.

Dzisiaj takie postacie już znikły prawie z widowni publicznej, albo stały się wyjątkiem nader rzadkim; dziś nie mamy matron polskich, kreślących dla wnuków „opowiadania babuni“ i zachęcających ich słowem i przykładem do miłości ojczyzny, dziś opowiadania tych matron nudzą młode pokolenie i przebrzydły mu nawet; bo niedorostek gardzi cnotą przodków, bo młodzik dzisiaj jest już starym i przemądrym i śmieje się z mądrości i nauki starszych.

Słowa, które niniejszem nakreśliłem, nie jedynie od niechcenia zostały wypowiedziane; nie musimy mieć dzieci, ale raczej niedorosłych tylko półmędrków, kiedy jedyne pismo w Galicji, wychodzące dla zaspokojenia potrzeb świata dziecięcego a redagowane sumiennie przez Władysława Bełzę we Lwowie, nie zdołało się utrzymać.

Marja z Rutkowskich Bołoz Antoniewiczowa urodziła się dnia 9. kwietnia r. 1815go w Jasielskiem, a przeniosła się w roku 1883im, dnia 24. marca w Starogrodzie po długich i ciężkich cierpieniach do wieczności, przeżywszy lat 68. Tyle powie nam może krótki epitaf, poświęcony w pismach perjodycznych pamięci znanej autorki; o ile więcej jednak opowie nam jej życie, jej działanie ciche a ofiarne, opowiedzą zresztą jej myśli.

Niechaj mi wolno będzie, kilka skromnych kwiatów rzucić na grób autorki, która się szczyciła najbliższem pokrewieństwem poetów, jakimi byli Karol i Mikołaj Bołoz Antoniewicze, a przyjaźnią autorów, jakich świat czytający uznał, czcząc zasługi Kraszewskiego, Pola i Lenartowicza. Poświęcając zaś krótką tę wzmiankę pamięci zgasłej, wiem że nie działam niepowołany do tego, ale za wyraźnem jej życzeniem, wolą i wiedzą i ta pewność, ta świadomość czynów moich, doda mi też potrzebnej odwagi do wystąpienia przed publicznością z artykułami podobnego rodzaju.

Ci co tylko pobieżnie i bez należytej rozwagi czytają poetyczne utwory znanej pod pseudonimem Marji z Rusiłowa autorki, nie pojmą może tej tęsknoty nieograniczonej, zawartej prawie w każdym jej wierszu, tęsknoty za krajem ojczystym, która się u niej przemienia w tęsknotę za ulubionym zakątkiem, który nieraz trzeba było porzucić, a znudzą się może nieustającemi skargami, powtarzającemi się w rodzaju wiersza „Smutno mi Boże!“

„Smutno mi Boże! zapewne temu,
Żem się rozstała z nadzieją;
Że nie pogwarzy nikt po dawnemu;
Że chłody w koło mnie wieją;
Że kryje zimna mogiła

Tych, co tak tęskno za nimi!
Ach! czemuż bym po nich żyła?!
Zostawili mnie na ziemi!"

Ale niechże sobie też przypomnieć raczą, że jeden z wielkich i zasłużonych poetów Polski, Wincenty Pol, z którym autorka żyła w stosunkach przyjaźnych, który się w znacznej części przyczynił do budzenia i kształcenia jej talentu poetyckiego, który pod niejednym względem jako wzór pisania, naśladowany przez wdzięczną uczennicę, tejże służył, że sam Wincenty Pol o sobie powiada:

„Ani z roli, ani z soli,
Ale z tego, co mnie boli,
Ja wyrosłem."

I z bolów swoich i na podstawie tychże bolów wyrosła także ś. p. Marja Antoniewiczowa. Jej było przeznaczone, po dziesięcioletniem szczęśliwem pożyciu małżeńskiem stracić męża ukochanego; jej było przeznaczone, opuścić na zawsze w wspomnienia po mężu bogaty, uroczy zakątek Rusiłów; jej było przeznaczone, tułać się od kąta do kąta i opuszczać często miejsca namiętnie ulubione przez nią, jak ziemię sanocką i opisaną przez nią wdzięcznym wierszem Hoczewkę; jej było przeznaczone, patrzeć bezustannie na kalectwo brata, spowodowane nieszczęsnym wypadkiem, a na końcu samej okaleczyć i stać się, tak jak pisze „posągiem z nadzwyczaj silnej i zdrowej."

Nie mamy pewnych dat, co do powstania pierwszych prac literackich Marji z Rusiłowa; przypuszczamy jednak, a to nie bez podstawy, że już za młodu miała niepospolite zamiłowanie do poezji; że korespondencja i obcowanie z autorami znakomitymi, z Antoniewiczami, Kraszewskim, Lenartowiczem, Sabowskim, Polem i innymi musiały się przyczynić do budzenia poetycznego daru; ze już za młodu pisała, choć się może wówczas jeszcze kryła ze swojemi pracami a dopiero nieszczęsne kalectwo, którem ją Bóg nawidził, zmusiło ją do zupełnego zaniechania prac około gospodarki domowej.

Kalectwo to, które jej mowę nadzwyczajnie utrudniło i w cichy szept przemieniło, odejmując jej

równocześnie wszelką władzę w nogach, rozpoczęło się w r. 1873im i trwało już bez przerwy aż do dnia śmierci. Kobieta przyzwyczajona już za młodu do życia czynnego i nie znosząca próżniactwa, mimo kalectwa dokuczliwego nie chciała być ciężarem społeczeństwu, a więc jak niegdyś ster domu, tak teraz ujęła pióro w rękę, ale dłoń ta była już słaba i wiekiem ubezwładniona.

Zarzucają pisowni Marji z Rusiłowa rozmaite wady, czasem słusznie, czasem i niesłusznie; ale nie pamiętają o tem, że pisownia i styl chorego człowieka odmienne cokolwiek od sposobu pisania zdrowego, a choć się niekoniecznie piszemy na zdanie: „In corpore sano, mens sana!...“ to wiemy przecież z pewnością, że chory autor, tworzący z febryczną niecierpliwością i pośpiechem, nie ma na równi ze zdrowym czasu do wygładzenia i wydoskonalenia prac swoich.

Te też wady spostrzegamy często-gęsto w pracach ś. p. Antoniewiczowej: pracowała za wiele, pracowała bez wytchnienia i z natężeniem i powtarzała się czasami; rzuciła się na rozmaite przedmioty naraz zamiast się ograniczyć na obrobienie jednego; nie zostawiła sobie należytego czasu do wygładzenia rozpoczętej pracy, lecz ukończywszy zaledwie jedną, zabierała się już niebawem do drugiej; naśladowała czasem obce wzory, nie dorównując im co do siły.

Mimo wytkniętych tu wad, widzimy jednak także wielkie zalety w jej pisowni: opisy jej z natury wzięte, są nieraz dobre; patrjotyzm jej jest zawsze szczery, niekłamany, pełen zapału; znawstwo świata dziecięcego głębokie, o czem świadczą oceny Władysława Bełzy i innych, i ten szczegół, że śp. Marja z Rusiłowa była stałą współpracowniczką „Towarzysza pilnych dzieci“ i że rzeczone pismo często-gęsto zasilała swojemi pracami.

Pierwsze jej prace a zwłaszcza szarady, do których ś. p. Marja z Rusiłowa niezrównany dar miała, umieścił — zdaje się — Wołody Skiba w swoim „Dzienniku mód,“ wychodzącym wówczas w Krakowie. Następne prace swoje umieszczała także w „Towarzyszu pilnych dzieci,“ w „Rocznikach Samborskich,“ w „Ruchu

literackim," w ostatnich latach zaś w amerykańskich pismach i w „Przyjacielu domowym," wychodzącym we Lwowie pod redakcją Klemensa Łukaszewicza.

Redakcja „Roczników Samborskich" wydała swoim nakładem dwie serje „Opowiadań Babuni" Marji z Rusiłowa. Robiono nam z tego powodu rozmaitc wyrzuty; wobec ludzi zaś, ceniących nisko literaturę dziecięcą i usiłowania około jej rozwoju, możemy się odwołać na ocenę „Kłosów", które o tem wydawnictwie piszą: ..... „Dla zawstydzenia zaś Lwowa i honoru prowincji musimy donieść o Poezjach Marji z Rusiłowa, wdzięcznych wierszykach dla dzieci, wyszłych ..... w Samborze!" Być może, że i w tych zbiorach, wydanych naszym nakładem, niektóre rzeczy się powtarzały bez potrzeby; być może, że autorka, która także dla starszych, nie tylko dla małych dzieci pisała, nie rozróżniając przedmiotów należycie, czasem takowe bez potrzeby mieszała. Z tem wszystkiem jednak nie da się zaprzeczyć, że w tych zbiorach autorka bardzo wiele zdrowych i zbawiennych myśli zawarła, i że wiele z tych wierszów i po dziesiątkach lat nie stracą swej doniosłości dla pokolenia młodego, nie zużyją się.

Jako dowód prawdy przytaczam wiersz wstępny do pierwszej serji „Opowiadań babuni":

Pracuj młode pokolenię,
W miłości, nadziei, wierze,
Oto babusi życzenie!
Nauki nic nie odbierze!..."

Sądzę, że też nikt nie zaprzeczy pewnej poetycznej wartości piątemu opowiadaniu „do chłopczyka", które sędziwa autorka z początku wnukowi swojemu, małemu wówczas jeszcze Pawlusiowi poświęciła:

„Baw się armatką, dziecino mała,
Mustruj drewnianych żołnierzy!
Kiedy dorośniesz a zagrzmią działa
I dobosz w bęben uderzy,
Pójdziesz ochoczo, gdzie szczęk oręża
Pobudką będzie dla ciebie:
Bo wiarą, a nie siłą, zwycięża
Kto walczy w kraju potrzebie.

A więc zawczasu w młodej swej główce
Wojenne układaj plany,
Jak bez bojaźni stać na placówce,
Jak bronić kraj ukochany,
Jak go zasłaniać swemi piersiami,
Jak czoło opleść wawrzynem,
I jak ojczyźnie dowieść czynami,
Żeś nieodrodnym jej synem.
Ucz się jak zawsze walczyć na przodzie,
Jak nigdy nie bywać w tyle,
Jak zdobyć sobie miłość w narodzie
I chlubną pamięć w mogile.
Kiedy zabłyśnie dzień dla nas błogi,
Którego pragniesz doczekać,
Ujrzysz z radością, jak nasze wrogi
Będą przed tobą uciekać.
Ujrzysz zgromione moskiewskie roty,
A w wolnej twojej krainie
Dziś jak przed wieki słoneczne loty
Biały nasz orzeł rozwinie;
Lecz nim archanioł w trąbę uderzy,
Nim Polska wezwie swe dziatki,
Dziś malowanych mustruj żołnierzy
I ucz się strzelać z armatki."

Niezaprzeczoną też wartość poetyczną mają rzeczy jak „Pogadanka z Walentym," zawarta w drugiej serji „Opowiadań babuni," albo historyczne i miejscowe podania, zawarte w pierwszej serji, jakoto: „Obrona Częstochowy," „Widzenie sieroty" i t. d.

Głównemi cechami charakteru ś. p. Antoniewiczowej były gorąca miłość ojczyzny, głęboka pobożność, która jednak nigdy w bigoterję i fanatyzm nie przechodziła, zapał święty i niekłamany ku wszystkiemu, co piękne, zapał, który niestety! teraz już tak dalece ostygł, że jeśli się wyjątkowo u młodych pojawia, to chyba szyderstwo budzi, a jeśli u starych, to wzgardę i śmiech politowauia. Gościnność prawdziwie staropolska była u niej cnotą wrodzoną, a ofiarność na cele dobroczynne nie znała granic, kiedy natomiast inni się chełpią tem, jeśli z prawdziwą ujmą dla celów dobroczynnych i literackich mogą uchodzić za protektorów tychże.

Choroba straszną, czyniąc coraz większe postępy, ubezwładniła śp. Antoniewiczową w ostatnich latach prawie zupełnie. Mimo wszelkich cierpień fizycznych nie stała się jednak nigdy przykrą i opryskliwą dla swego otoczenia, i co najwięcej, jeśli się w listach żaliła na swoją niemoc. Dziewiętnastego maja r. 1879go bawiłem u niej w gościnie w Starogrodzie. Wrażenie, jakie na mnie śp. Antoniewiczowa wywarła. opisałem w moich „pierwszych wrażeniach z dłuższej wycieczki po kraju", i przytaczam takowe niniejszem celem zaokrąglenia i uzupełnienia tej wzmianki o umarłej:

„... Nieszczęśliwa ta staruszka, paraliżem tknięta jest tak dalece ubezwładniona, iż nie może się bez obcej pomocy poruszać w swoim fotelu i w rozmowie połyka bardzo wiele słów, przez co często trudno ją zrozumieć. Ale mimoto duch się jeszcze u niej nie zestarzał, pióro zastępuje miejsce języka, a ręka przyzwyczajona do pracy włada tem piórem. Pisanie i drukowanie utworów swoich, to jedyna jej przyjemność, to narkotyk, którym usypia serca bole, koi tęsknotę za czasami ubiegłemi, za tą złotą przeszłością, która wionęła jak jakiś sen cudowny, która uleciała, by nie powrócić więcej, i z uśmiechem lekkim, ubarwiającym sympatyczne jej rysy, wskazała ona na palce swoje poplamione atramentem. Wszakże atrament — to płyn czarowny autora, a pióro — to narzędzie czarodziejskie, którem wyraża myśli swoje, którem przelewa je na papier. Miejmy cześć i uszanowanie głębokie dla tych plamek atramentowych, któremi autor udowodnił, że pracował dla świata i pragnie mu być użytecznym."

Ostatnie prace swoje umieściła śp. Antoniewiczowa, jak już poprzednio nadmieniłem, to w amerykańskich czasopismach, to w „Przyjacielu domowym," w ostatnim jednak prawie wyłącznie szarady, a ścisłe stosunki przyjaźni łączyły ją także z młodym Stanisławem Artwińskim, wydawcą pism polskich w Brooklynie.

Rzewne i głębokie wrażenie budzi jej „głos z Polski," umieszczony w nowojorskiej „Zgodzie" z 12go kwietnia r. 1882go, niespełna rok przed jej zgo-

nem napisany, a poświęcony „Braciom za oceanem na wesołe Alleluja!"

„Czy to okręt płynie z dala,
Mknie po wodach Atlantyku,
Czy to szumi modra fala
Wśród morskiego ptactwa krzyku?
Czy to może wiosny tchnienia...
Czy w powietrzu orzeł buja?
Nie — to z Polski szlą życzenia...
Wesołego Alleluja!

Kiedy nie możecie z nami
Dzielić się święconem jajem,
Pospieszamy z życzeniami
Starodawnym obyczajem.
Każdy z braci na obczyznie
Dziś tęsknotę więcej czuje,
I nam tęskno... choć w ojczyźnie...
Przy święconem Was brakuje.
Brak was w kraju i w rodzinie,
Brak tak w dobrej, jak w złej doli,
I nie jedna łza tu płynie,
Wszak za Wami serce boli.
Kiedyś w bliskiej już przyszłości
Przy święconem tu pospołu
Witając drogich nam gości,
Zasiądziemy w koło stołu,
Korne modły szląc w niebiosy
Z dziękczynnemi szczęścia łzami,
Oto dziś z ojczyzny głosy:
Bóg z Wami!"

Jak żołnierz na posterunku, tak też ś. p. Marja z Rusiłowa umarła prawie z piórem w ręku. Cześć jej popiołom!

Sambor, 17. października 1883.

Oda do Wódki

(z trzeciej pieśni Chochołowa.)

Święć się przeczysta Helikońska wodo!
Z twojej to czerpał nasz piewca krynicy,
Gdy budził polskę „do młodości odą"
I dźwięcznem pieniem litewskiej dziewicy. —
Ależ — gdy poczet wybranych nie wielki,
Łacniej się nurzać w gorzelnianym zdroju,
Czerpiąc natchnienie z wódczanej butelki,
Śpiewać pochwałę własnego napoju:
Święć się o święć się wódeczko perlista,
Srebrnym strumieniem z trubnika bijąca
Taka perlista — taka srebrzysta —
A jak całusek kochanki gorąca! —
Zaledwo czary twej dotkną się usta,
Wnet jakiś ogień śmiertelnych przenika,
Wnet brzmi piosenka wesoła i pusta,
To znów na przemian ponura i dzika. —
Niechaj kto w ziemię spojrzenia zanurza,
Krokiem leniwym przepełza to życie,
Drży przelękniony, gdy ozwie się burza
Co w odmęt ciska i stawia na szczycie,
Ale kto myślą przelata obszary,
Kto życiem żyje — duchem tonie w niebie —
Niech tylko z wiarą się dotknie twej czary
A wnet zapomni i ziemi i siebie —
I z jasnej przędzy wysnuje marzenia
Jak sny dziecięcia promienne, tęczowe
I wesół piosnkę wydzwoni natchnienia
I złotą w uściech wypieści wymowę. —
Święć się wódeczko! — gdy ciemna czereda
W zgniłej ponurej gnuśności się tarza,
Nim wtóry Judasz Chrystusa zaprzeda
Stypę rozłoży na wzgórkach smętarza...
Tyś już do czynu czeredę powiodła
Brata na brata popchnęła do boju,
Aż we krwi tłuszcza tarzając się podła

Uczciła twe gody, wszechwładny napoju! *)
Toć ludzkość wdzięczne podnosząc okrzyki
Obok ołtarzy dla złotego cielca
Wiernie wystawi wieczyste pomniki
Dla Adolara, Gumbinera, Szmelca. **)
Burza wolności ryknęła po ziemi
I samowładztwa zachwiała potęgę
I nieśmiertelna czyny zuchwałemi
W dziejów ludzkości wpisała się księgę.
Aż ty trysnęłaś z oksetów na tłumy,
Zgasiłaś płomień oświaty rozwoju
W karb posłuszeństwa wtłaczając rozumy,
Wzmocniłaś trony wszechwładny napoju! ***)
Niechaj zamorskie swobodne plemiona
Ukołysane wolności rozkoszą
Czyny Kościuszki, czyny Wasingtona
Wdzięcznem wspomnieniem w potomność prze-[noszą —
Niechaj burzliwa osada Tokaju
Miłości szałem i winem zatruta
Sławi krzykliwa w Nadcisańskim kraju
Wolność i wino, Bema i Koszuta.
Ty święć się u nas na gruzach Krakowa,
W pożogach Lwowa, okrzykiem pijana,
Święć się wódeczko nasza narodowa
Z krwią dzieci, starców na brukach zmieszana!
Święć się o święć się, wódeczko perlista,
Srebrnym strumieniem z trubnika bijąca,
Taka perlista i taka srebrzysta
A jak całusek kochanki gorąca!

Pius Nałęcz z Witoszyna.

*) Rok 1846 — Narajów, Horożanna, Gdów, Tarnowskie.

**) Powagi gorzelniane. —

***) Oksety z wódką dla wojska w roku 1848 przy bombardowaniu Lwowa, Krakowa i węgierskiej kampanii, w boju przed frontem.

LUDWINIA.

OBRAZEK
z życia naszej młodzieży

napisał

Zadora.

Zima była ciężka. Ptaszki spadały nieżywe z powietrza, a ubogi ludek tulił się przy kominkach, płacząc za umarłą ciepłą jesienią. Niejeden z tych biedaków zamarzł w polu, choć serce miał gorące pod szarą, brudną sukmaną.

Byłem wtedy właśnie u znajomego księdza na wsi, w okolicy Lwowa i od kilku dni wybierałem się do stolicy kraju, gdzie żyłem życiem nędzarza, któremu żebrać nie wolno. Zanadto byłem dumny, aby przed znajomym objawić swe przykre położenie.

Postanowiłem więc odjechać w niedzielę rano. Ostatnią noc spędziłem okropnie, bo nawet nie zmrużyłem oka. Walka o byt nie trwożyła mię wcale — obawiałem się tylko, że będę bezbronnym losu przeciwnikiem. Zwątpiłem o wszystkiém, oddałem się niemal rozpaczy, lecz po chwili zimnego namysłu nabrałem otuchy i nadzieja we mnie wstąpiła, że przecież znajdę jakieś zajęcie i choć po cierniach stąpając, ujrzę się nieco bliżéj celu.

Szczęśliwy, kto nie zna takich nocy, o stokroć szczęśliwy, w czyjém sercu mieszka gromadka jasnych myśli, swawolnych ducha dzieciaków!

Nazajutrz rano kazał ksiądz założyć konie, a pożegnawszy się ze mną, odjechał do cerkwi, na milę od mieszkania odległéj. Ja pozostałem w domu i naradzałem się ze starym Iwanem, w jaki sposób dostać się do Lwowa. Poczciwy chłop ofiarował mi swe konie, żądając dwóch złotych. Na tak nie miłą propozycyą przerwałem narady i usiadłem na krześle obok pieca.

Po upływie pół godziny, byłem już na drodze do stolicy wiodącéj. Zimny wiatr styczniowy zaglądał co chwila pod poły lekkiego paltota, mróz mi dokuczał nieznośnie, więc szedłem prędko, ruszając silnie rękami.

W połowie drogi uczułem się tak znużonym, że nie byłem w stanie już iść dalėj, a napotkawszy karczemkę wstąpiłem do niej uradowany. Usiadłem na drewnianéj ławie, oparłem głowę o stół i po chwili wskutek zmęczenia usnąłem. Spałem długo i twardo, bo obudziłem się dopiero nad wieczorem. Upatrzyłem sposobnéj chwili, gdy arendarza nie było, a wymknąwszy się co rychło, ruszyłem w dalszą podróż.

Mdłe niebo iskrzyło się tysiącami gwiazd, a ziemię okrywał biały całun śniegowy. Powietrze było łagodniejsze, wiatr ustał, a ja pokrzepiony na siłach byłem jedną może żyjącą istotą na przestrzeni całego widnokręgu.

Po niedługim czasie ujrzałem wreszcie mury Lwowa, mglistą parą osłonione. Krew uderzyła mi raźniéj w żyłach, w głowie uczułem zamęt, a serce mi się ścisnęło jak nigdy.

Posądzisz mię może, czytelniku, że się piszę na dziwactwa Kerninga i Mohrlanda, lub że byłem naówczas w niepoczytalnym stanie, jeżeli ci opowiem, co mi się zdarzyło.

Oto kilka kroków przed sobą ujrzałem swego sobowtóra. Szedł ze spuszczoną głową, a tryskające z oczu łzy padały na drogę i topiły grubą warstwę śniegu. W tém zwrócił ku mnie wybladłą twarz, otworzył usta, a dźwięk słów jego, podobny jękom konających, zabrzmiał złowrogo:

— Ścieżki twego życia, młody starcze, wiodą na pole, zasiane laurami, lecz niestety! tam nigdy nie zdążysz. Wśród pochodu napotkasz bryły lodu, co serce ci oziębią, ducha zamrożą i życie z żył twego ciała wycisną. Znajdziesz wprawdzie tu i ówdzie burzą przygnany listek wawrzynu, lecz ten szybko uwiędnie i opadnie na pierś zbolałą, wypali w niéj ranę, śmierć niosącą. Będziesz wiele cierpiał, ale cierpienia nie wzmocnią ducha, owszem, powalą go na zawsze Jednę tylko mogę dać ci radę. Chodź za mną. Zaprowadzę

cię na wysoką skałę. Skoczysz w przepaść i dobrze ci będzie. Wszak życie, to płocha istota! Ulęknie się twego olbrzymiego kroku, ucieknie od ciebie, za tobą nie pójdzie!

W tém powiał mroźny wiatr. Ocknąłem się, patrzałem przed siebie wytężonym wzrokiem, lecz nic nie widziałem. Stanąłem, oglądam się w koło i widzę po prawéj stronie piętrzące się góry.

Chwila ta była okropną. Uczułem nieustraszoną odwagę szarpnąć się na własne życie, które znienawidziłem. Śmiało brodząc w śniegu dostałem się na szczyt jednéj ze skał i przygotowałem się do zrobienia owego „olbrzymiego kroku." Chciałem się pomodlić, lecz nie byłem wstanie zebrać myśli. Rwałem włosy na głowie, pierś ma silnie falowała, w oczach zrobiło mi się ciemno. Po chwili zawołałem głośno „o Boże!" i rzuciłem się w przepaść.

Wleciałem głęboko w śnieg, lecz nic więcéj mi się nie stało, a w górze nad skałami dał mi się słyszeć szyderski śmiech szatana.

Wstyd i śmiertelna trwoga ogarnęły mię, padłem więc na kolana i modliłem się długo, gorąco.

Modlitwa dodała mi odwagi, rozpędziła brzydkie myśli.

Po dwóch godzinach ujrzałem się w murach Lwowa.

Przyszedłszy do miasta, udałem się do jednego z kolegów, który mi pozwolił tak długo u siebie mieszkać, aż znajdę jakieś zajęcie i będę w stanie opłacać sobie stancyą.

Po kilku dniach miałem byt zapewniony, bo przy protekcyi kilku mało znaczących osób dostałem zajęcie w jednym z urzędów.

Pokój, który z kolegą zajmowałem, należał do pani X. kobiety zacnéj i dobréj. Szybko zrobiłem z nią znajomość, bo widząc jak pieści swe ładne dziateczki, doznawałem ulgi w cierpieniach, przypominałem sobie młode lata, w których i ja na łonie matki byłem szczęśliwym!

Gdy zdaniem mego kolegi, polepszyły się moje stosunki, wtedy oświadczył mi, że nadal razem mieszkać nie możemy, ponieważ pokój jest za ciasny i niski. Zacząłem więc go prosić i przedstawiać mu, że mi nie na rękę nowego szukać pomieszkania i obiecałem połowę czynszu płacić.

Szanowny kolega spojrzał mi znacząco w oczy, uśmiechnął się i rzekł: Rozumiem. I ja kochałem i mnie kazano wyprowadzać się z domu, w którym mieszkała najdroższa dla mnie istota na świecie. Była nią kobieta, któréj poświęciłem najpiękniejszy kwiat uczuć. Rozumiem, o co ci chodzi, więc możesz nadal pozostać u mnie.

Ostatnie jego słowa bardzo mię ucieszyły, rzuciłem mu się na szyję i ucałowałem go serdecznie.

Kolega mię „zrozumiał," lecz ja go wcale nie zrozumiałem. Mówił o kwiecie swych uczuć, o kobiecie, którą kochał kiedyś, ale cóż mnie mogło to dotyczyć? Po chwili namysłu pojąłem, o co idzie.

Sądził on zapewne, że się kocham w Ludwini, która dotąd była dla mnie tém, czèm jest dla każdego rozkwitający pączek róży, patrzący niewinnemi oczkami w słońce, wdzięczący się do białych chmurek na niebie. Każdy nań z przyjemnością i rozkoszą spogląda, ale nic więcéj.

Ha! cóż robić? Kolega kazał kochać, więc trzeba kochać, bo mi pomieszkanie gotów wymówić. Przychylił się bowiem do méj prośby jedynie dla tego, aby nie gwałcić uczuć, których się we mnie dopatrzył.

Z początku wprawdzie dość rzadko mówiliśmy o Ludwini, późniéj coraz częściéj zwracałem rozmowę na te tory, a wreszcie i sam zacząłem o Ludwini śnić i marzyć. Po kilku tygodniach wstawałem już z jèj imieniem na ustach i z tém imieniem spać się kładłem.

Słyszałem często w przyległym pokoju jéj śpiew, który na mnie dziwnie oddziaływał. Każdy ton, piękny i porywający, roztapiał mą duszę, wdzierał się w serce i całą mą istotą głęboko wstrząsał.

Od tego czasu zacząłem więcéj nad sobą i przyszłością myśleć, a jak dawniéj byłem wrogiem swego życia, teraz ukochałem je całą duszą. Dawniej w pośród walki o chléb codzienny nie widziałem, zaślepiony nędzą, żadnego celu przed sobą — teraz leży przedemną zadanie spełnić szczytne powołanie człowieka i syna Ojczyzny. Dawniéj pracowałem cały dzień, aby nie umrzeć z głodu — teraz żyję i pracuję nad przyszłością.

U państwa X. bywałem często, prawie codziennie i zauważyłem, że Ludwinia mię kocha. Niedowierzałem sobie z początku, lecz w pewności mego przypuszczenia utwierdziła mię jéj krewna, z którą w pewnym domu często się widywałem.

Pewnego wieczora, gdy przypadkowo z Ludwinią sam na sam w pokoju zostałem, ująwszy jej drobną rączkę, wyznałem swą miłość drżącym głosem. Twarz jej zapłonęła, a błękitne oczy wymownie zapewniły mię o wzajemności.

Szczęście moje nie miało granic. Kochać całą potęgą uczucia i być kochanym przez kobietę, która dziewiczością myśli i serca była obrazem Anioła — to zaiste szczęście, które nie każdy pojąć potrafi.

U mogiły.

(Podanie ludowe)

Na czerwonem polu
Skonał orzeł biały,
A do jego gniazda
Kruki się zleciały;
O zamarłe członki

Żrą się między sobą,
A ich rzesza czarna
Większa z każdą dobą.
I o serce rwą się,
A to serce żyje,
Jeszcze czuciem pała,
Krwią się własną myje;
Ta krew na ofiarę
Już od wieku płynie,
Coraz więcej mogił
Jedna w drugiej ginie.
Aż gdy całą ziemię
Zsiejem mogiłami,
Może się zmiłuje
Ojców Bóg nad nami;
Z krzyżem pomnikowym
Kiedyś na bój staniem,
I zwyciężym wiarą —
Tyla krwi wylaniem!
I mogiły sterczą —
Bracia po nich depce,
Bracia ta w niezgodzie —
Zły duch w sercu szepce;
Lecz anioły Boże
Przy niej straż trzymają,
Do zwycięztwa wiodąc
Upaść jej nie dają. —

* * *

Braciom, co pomarli
W walce o zbawienie
Których chwała w sercach
Ludu się promieni —
Sypią gdzieś mogiłę....
Wysokaż — wysoka!
Jak grób stu milionów,
Jak morze szeroka!
Na mogile urna,
W urnie łza ostatnia,
A z łzą krew ofiarna
I chorągiew bratnia;

I anioły Boże
Przy niej straż trzymają,
I do zmartwychwstania
Znaku nieb czekają!

Bronisław Zamorski.

Trzy boginie.

Nad kołyską dziecięcia małego
Czarujące boginie trzy stały:
Wzrok wlepiwszy w twarzyczkę śpiącego,
Ciche modły nad dzieckiem szeptały.
„Ja odsłonię przed tobą me skarby,
W świat zawiodę cię wielki, daleki,
Wyobraźnię twą zdobiąc w tęcz farby —
Szepce pierwsza nad główką kaleki.
„Choć zagrożą ci serca katuszą,
Złota olśni twe oczy ułuda.
W ideałach utoniesz swą duszą,
I jak Stwórca — tak stworzysz ty cuda.
„W świat urojeń w młodzieńczym zapędzie
Zapuść skrzydła z szybkością sokoła;
Życie tobie uśmiechać się będzie
W kształcie cudnym dziewicy-anioła.
„Po kwiat lauru, po kwiecie miłości
Będziesz sięgał w niebiańskim zachwycie,
Upoiwszy się z czary radości....
Spij snem słodkim aniołów, spij, dziecię!"
W tem się druga do dziecka przybliża
Z twarzą pełną powagi i męztwa;
Do spiącego w kolebce się zniża,
A w jej oczach lśni iskra zwycięztwa.
„Ja nie wskażę ci drogi swawoli,
Szepce druga, ni pieszczot kobiety,

Wcześnie uczuć masz sercem co boli,
Wcześnie będziesz sierotą, niestety!
„Nie kołysać ci serce w ułudzie,
Nie w marzeniach ci spędzić wiek złoty!
Lecz pracować w męczącym cię trudzie,
Lejąc pot z czoła — to los sieroty.
„Nie ci marzyć o ziemskiej miłości,
Tyś nie śpiewak, jak inni śpiewacy,
Myślą wielką się unoś ludzkości,
Aż cię na wskróś przeniknie duch pracy."
W tem się trzecia ku dziecku nachyla,
Błogosławiąc mu w świętem natchnieniu,
A jej skrzydła lśnią gdyby motyla,
A jej twarz i jej oczy w płomieniu.
„Patrz! — i ręką na północ wskazuje —
Patrz, jak dym się unosi pożogi!
Barbarzyńca świątynie plądruje,
Kraj ojczysty pustoszą tam wrogi.
Patrz, jak boje tam toczą zażarte!
Wiary boskiej wytępić chcą zaród:
Jak gracz szczęście swe stawia na kartę,
Tak swą przyszłość na bitwy los naród!
„Lecz garść wiernych rozgromi lud tłumny,
I jak trup, co go ziemia już kryje,
Na głos Boga powstanie z swej trumny,
Tak i Polska wśród zmarłych odżyje.
„Bo w niej wiara i męztwo i siła;
Wiara w Boga, co zbawi grzesznika,
Męztwo, które w nas wiara zrodziła,
Siła, którą nas męztwo przenika.
„Tobie zaś nie przystoi, z daleka
Stanąć, czekać na odgłos sygnału:
Ty, choć słaby, ułomny, kaleka,
Leć, gdzie śmierć cię nie chybnie, lecz z chwałą.
„Wiara silna w kraju odrodzenie,
Słabe siły twe wzmocni jak w raju.......
Duchem walcz ty imieniem tych cieni,
Którzy z chlubą polegli dla kraju.
„Gdy cię miłość dziewicy zawiedzie,
Gdy nie stanie ci sił do walczenia;
Sztandar mój ty wywieszaj na przedzie,
A on drogę ci wskaże zbawienia.

„Gdy cię praca nadmiarem unuży,
Gdy ci w locie upadną już skrzydła;
Mym obrazem zażegnaj głos burzy.
Wrogów uchodź w imieniu mem sidła;
„Bom ja większa nad wszelkie wielkości.....
Szczytnie dla mnie znieść rany i blizny.
Bom ja wyższa nad wszelkie miłości,
Bom ja miłość, ja miłość Ojczyzny!“
Obstąpiwszy kołyskę dokoła,
Stały chwilkę dumając boginie,
Pocałunek ostatni u czoła
Kładły jeszcze niewinnej dziecinie.
Dziecię oczka wpółsenne natęża....
Nie ma bóstw już, już znikły mu z oczu;
Lecz to dziecię wyrosło na męża,
A mąż spełnił przepowiedź uroczą.
Czerpiąc z źródła natchnienia obficie,
Serce czyste zachował wśród kału,
A gdy ziemskie obrzydło mu życie,
Duchem uniósł się w kraj ideału.
Ztąd, gdy z oczu mu znikła ułuda,
Znów do rzeczywistości się wraca,
Siłą woli działając swe cuda,
A tą siłą ożywczą — to praca
Gdy nie uniósł nic z wspomnień krom blizny,
I gdy praca już siły wytęża,
Utonąwszy w miłości ojczyzny,
W niej swe myśli skupiając zwycięża.

Sambor, 20. sierpnia 1877.

G. Kohn.

MODLITWA

w podziemiach kopalń Sybirskich.

Boże! wygnani jęczymy w podziemiach —
Brzękiem żelaza, kajdan naszych dźwiękiem

Przeleci odgłos modłów po sklepieniach —
Gubiąc się w duszy, by upaść tam jękiem:
„Boże! zlituj się nad nami!"
Kartki modlitwy — to skalisk pokłady,
Co dźwignią, młotem zwracamy powoli.
Ciężkie żelaza i na taczkach składy
Dudnią podziemiem — modlitwą niedoli:
„Boże! zlituj się nad nami!"
W minach sybirskich jak się modlić można,
Gdzie nie masz domu czci Twojej i chwały?:
Z łoskotem młotów biegnie myśl pobożna,
Głosem organów zadudnią nam skały:
„Boże! zlituj się nad nami!"
Tu światłem Twojem, co na cześć Ci szlemy,
Nędzne światełko naszych lamp podziemia,
Naszemi łzami, które Ci składamy,
Może w przyszłości wypowie ta ziemia:
„Boże! zlituj się nad nami!"
Naszym ołtarzem — obelisk z granitu,
Przed którym w trudach pracujem zmęczeni,
Może tą modłą dojdziem szczęścia szczytu,
Może wyjękniem na klęczkach znużeni:
„Boże! zlituj się nad nami!"

M. W.

MOWA

na 50-letnią rocznicę

powstania listopadowego w Warszawie,

miana u OO. Bernardynów w Samborze.

„Militia est vita (hominis) super terram."
„Bojowaniem (żołnierstwem) jest życie (ludzkie) na ziemi."
Job 7. 1.

Zebrani słuchacze!

Patrzącym na ostatnie chwile człowieka konającego, gdy widzimy resztki jego wysileń, mimowoli ściska się serce; a tem większa boleść nas przejmuje, gdy widzimy w konwulsjach przed skonem osoby nam drogie — każdy ich rzut przenika nas — ze łzawem okiem spieszymy niosąc im ulgę, ratunek, pomoc, — a gdyby wtedy stanął ktoś, któryby szydził z tej bolesnej chwili; to z pewnością, co najmniej rzucilibyśmy mu słowo pogardy, — a gdybyśmy te same osoby drogie, n. p. ojca lub matkę, widzieli pomordowane, którym z daleka zabójcy szyderczo się przyglądają, czy na ten widok stokroć bardziej nie rozraniłoby się serce nasze? Z pewnością nie patrząc a raczej nie widząc i nie zważając na zabójców rzucilibyśmy się ku drogim osobom z ratunkiem, — a jeżeliby po chwili pewnej udało się nam te ofiary mordu, w których jeszcze tkwi iskra życia przebudzić, widząc wysuwających się zabójców, chcących im powtórnie zadać ostatni cios, to wtenczas czyż my z miłości wielkiej ku rodzicom nie rzucilibyśmy się z całą

siłą, aby obronić i ocalić im życie? Z pewnością nie zważalibyśmy ani na nierówne siły, ani nawet przez myśl by nam nie przeszło, że sami możemy paść pod zabójczym nożem, bo miłość ku ojcom i rozpacz dodałyby nam siły i podniety.

Z takiem rozdartem sercem stanął przy końcu zeszłego wieku nasz naród nad swą matką Ojczyzną przebitą — z rozpaczą wyciągał zaciśnięte pięści przeciw sprawcom jej ran — konwulsyjnie rzucał się w jej obronie nie zważając ani na przemagające siły, ani na rozstrój czyli boleść wewnętrzną, bo widok mordowanej matki wzbudzał w nim moc olbrzyma, a każdy świeży napad usiłował odeprzeć z wytężeniem ostatka sił. Były chwile, w których ta matka zbroczona krwią — jęcząca — z rozpaczą odpychała od siebie płaczące syny, aby pomścili ten mord, a ci kochający ją rzucali się w bój, i na jej rozkaz a dla jej miłości nie szczędzili krwi i skropili nią każdą piędź ziemi naszej. I dziś właśnie obchodzimy pamiątkę jednej takiej chwili, w której przed laty 50ciu ojcowie nasi w Warszawie porwali za kord, aby odeprzeć i powstrzymać zapęd drapieżny dziczy moskiewskiej. Z radością i żalem przychodzi wspomnieć o owej chwili; radość się budzi, że matka znalazła obrońców, a żal ściska serce, że jej do życia zupełnego nie przebudzono, a nawet nie zdołano ulżyć boleści.

Zgromadzeni w dniu tak drogiej nam pamiątki w świątyni Pańskiej, aby pomodlić się na intencję naszej matki cierpiącej, aby pomodlić się za tych ojców naszych, którzy polegli w boju o jej życie, a zarazem, aby pokazać światu a raczej ludziom nam nieprzyjaznym, że nie wstydzimy się sprawy ojczystej, nie wypieramy się naszej matki, tego Joba leżącego na śmiecisku — przypatrzmy się przeszłemu jej życiu, dla którego padła ofiarą, co stanowiło jego podstawę, przypatrzmy się tej sile, która nie pozwoliła jej skonać nawet wśród tylu ciosów śmiertelnych, a to nam wytłumaczy ową noc listopadową w Warszawie, to nam wytłumaczy ową ideę, dla której synowie Polski rzucają się śmiało w taniec wojenny — to nam wskaże, że ta siła musi być większą niż cały zastęp nieprzyjaciół, to nam przypomni, że ta idea musi być wyższą,

niż przemysł człowieka, kiedy jej w nas nie zdołała zabić siła ludzka, — to nam wskaże, że ta idea musi być daną tylko od samego Boga.

I przenieśmy się myślą w ową błogą chwilę, kiedy to Bóg obdarzył człowieka życiem i bytem na ziemi, wtedy wlał w niego dwie wielkie potęgi, które określiły należycie jego stanowisko. Podyktował mu prawo zwane wiarą; pierwszą potęgę, która pouczyła go dostatecznie o Stwórcy i naznaczyła mu obowiązki; ale ta potęga wskazywała mu tylko jeden kierunek, bo go podnosiła tylko duchowo, a jesteśmy przeświadczeni, że Bóg dał człowiekowi i ciało, otóż potrzeba było, aby dał człowiekowi wiedzę i o drugiej połowie, aby wpoił w niego znajomość ciała. I dał Bóg taką znajomość pod nazwą wolnej woli czyli wolności — i to druga potęga. Atoli one same dla siebie są rozerwane, chociaż są w posiadaniu jednej istoty; pierwsza podnosi go ku Bogu, a wolność czyni go panem danej mu ziemi. Stwórca dając człowiekowi tylko te dwie potęgi postawiłby go przy punkcie, z którego wychodzą dwa sprzeczne kierunki, a mianowicie ducha i ciała, ale On, jako mądrość najwyższa zapobiegł tej sprzeczności — łączy te potęgi w jedną siłę, dając człowiekowi ich poznanie, dając mu odrobinę Swej wiedzy, t. j. rozum, ową spójnię między wiarą i wolą. I teraz dopiero stanął człowiek w całej pełni swej siły, bo zupełnie świadom i otoczony prawem Bożem. Z wiekami w miarę tego, jak człowiek coraz dalej odsuwał się od owej chwili, kiedy to Bóg pouczał go o owych potęgach, gasło a raczej coraz bardziej mgłą pociągało się to poznanie czyli rozum, a wynikiem tego było, że kiedy uwidział się w tysiącznych odcieniach, wiązał się wedle tego przymglonego poznania w gromady, a te kupiły się w narody, które w dalekich już czasach, czując w sobie owe potęgi, ścierały się i usiłowały swe poznanie postawić na szczycie. Tak! w dalekich już czasach rozpoczęła się ta straszna walka o przekonanie, — o wiarę i wolność. Wskazują nam dzieje, że narody walczące w imię tych potęg były niezwyciężone; widzimy naród Izraela walczący potęgą wiary i wolności, a pokonywujący licznych nieprzyjaciół; widzimy Greków, którzy w imię

wolności łamali szeregi najeźdźców, — ale z czasem te potęgi zostały niepojęte, zupełnie niezrozumiane a wreszcie zaniedbane; miejsce ich zajął rozbój — grabież i kajdany! I Bóg znowu przypomniał ludzkości te potęgi, — zeszło słońce na horyzoncie! Widzimy Chrystusa Pana, który ogłosił prawo czyli wiarę, przyznał człowiekowi daną mu wolę czyli wolność. To słońce rzuciło blask — głos Boży odbił się w sercu człowieka — narody wstydząc się, nieśmiało i powoli wracały w pierwotny stan, ucząc się poznać bliżej Boga, ucząc się tej wiary, której ogień zgasiły w swem sercu, czując zaledwie jej dym — poczęły budzić w sobie wolną wolę — poczęły wracać do wolności. Lecz powrót ten był krwawy, bo na każdym niemal kroku trzeba było iść na przebój przez zwarte szeregi nieprzyjaciół. A któż byli ci nieprzyjaciele? Byli to ludzie przeciwni temu prawu odwiecznemu — wierze danej od Boga — wierze Chrystusa, przeciwni wolności! Ale w tym powrocie walczono w imię tych dwóch Bożych potęg — w imię Boga, potęgi najwyższej, to też i przebój był pewnym, a im większy zastęp nieprzyjaciół, im więcej padało męczenników sprawy świętej — męczenników za wiarę i wolność, tem więcej wydobywało się, jakby z pod ziemi, nowych szermierzów. I w imię tych idei stawały do boju już całe narody, — kruszono kopie — krew się polała, a ci szermierze potęg Bożych chylili karki — nidleli — opuszczali pobojowiska, aż tu niespodzianie wśród łomu dzirytów zrywa się orzeł biały z pośród sów gromady i pędzi do wrzawy na oślep, w szponach dzierząc miecz i krzyż.

Wzniósł się orzeł biały, pędząc co tchu do boju, z krzyżem znamieniem wiary i wolności, pewny że w tym znaku zwycięży; stanął na bojowisku nie w celu żeru ani w nadziei grabieży, ale aby wzmocnić szereg, a raczej zastąpić znękaną brację zachodnią w walce o wiarę i wolność. To też z pogodnem czołem powitano go w szeregu; i w owem dla nas wiekopomnem 10tem stuleciu, kiedy Polska czując w sobie głos Boży i życie pierwotne, wyłoniła się ku wierze i wolności, zachód obtarł powoli miecz i wsunął do pochwy, a ona stanęła do boju w imię tych potęg Bożych i od-

tąd stała się przedmurzem zachodu. Uczą nas dzieje, że na Polskę garnęły się ćmy nieprzyjaciół, a nawet ci, którzy ją tak witali, sprzeniewierzali się; a ona walczyła — odpierała i broniła wiary w imieniu całego zachodu i swej wolności. I nie miała prawie chwili spokojnej, w którejby mogła naprawić swoją strzechę, bo nie gasły prawie zgliszcza, a zieleń nie miała czasu pokryć skib polskich rozsiekanych kopytami końskiemi hord mongolskich, które spieszyły wydrzeć nam te dwie potęgi; a znowu na drugim końcu naszej ziemicy w jej zanadrzu wygrzało się gniazdo żmij i wybiegało zabić nas swym jadem i narzucić pęta niewoli, ale Polacy w imię wiary i wolności miażdżyli to gniazdo jaszczurcze, — i nie krzepła prawie krew tu przelana a mogiły darniem się pokryć nie mogły, aż tu znowu nowe najazdy hord północy — nowe zapasy, a polski rycerz niesiony skrzydłami orła spieszy — pokonuje, bo walczy za potęgi Boże, walczy za wiarę i wolność, i swą piersią zasłania resztę drzemiącej Europy, która wśród tego bezpieczna, jak za taborem z zawiścią patrzyła na wzrost tych dwóch potęg w naszym narodzie — na to życie kwitnące naszej matki; a czując się być zasłoniętą na polu walki w imię potęg Bożych, wśród dłuższej nieczynności zleniwiała, a w lenistwie tem traciła powoli wiarę, a tem samem nie poznawała i prawdziwej wolności.

Oto stanowisko Polski — oto jej życie, którego rdzeń stanowiły potęgi Boże: wiara i wolność. I gdy ona z pogodnem czołem wznosiła ręce ku Bogu prosząc o wytrwałość w tym boju, ulękli się sąsiedzi, aby ona z czasem tych dwóch potęg nie zechciała im przypomnieć — poczęli ją wieść na pokuszenie i Polska patrząc na obłudny zachód poczęła także powoli leniwieć — poczęła zapominać o wierze, chociaż tej potęgi nie pozbywała się, a na odgłos owego lenistwa uradzili sąsiedzi kochani pociągnąć ją w wir zapomnienia tych potęg — uchwalili mieć ją również na baczności, aby się nie wymknęła, a później rozwalić to przedmurze wiary, bo jako taka była im już niepotrzebną. Ale Polska miała jeszcze wolność, — porozumieli się z głównym jej nieprzyjacielem i postanowili wydrzeć jej wolność, a ją samą wziąć pod

opiekę. Jaka to opieka?! Na jakiej podstawie rozburzono to przedmurze wiary i wał wolności?! Trudno mi tłumaczyć — dodam, że „ad explicanda omina, sunt odiosa nomina“! Tu przytoczę ostatnie chwile Jezusa Boga-Człowieka, na ziemi; kiedy to prowadzono Go od Kaifasza do Piłata, a Piłat odesłał do Heroda, szedł niewinny wśród zgrai wołającej: „ukrzyżuj go“, chociaż byli i tacy, którzy żałośnie spoglądali na niewinną ofiarę; — w obec sądu tych trzech pokazała się niewinność Jezusa a Piłat nawet ręce umył, nie chcąc być winnym Jego śmierci, przecież dekret śmierci wydany i Jezus przybity do krzyża. —

I Polska skazaną została na zabicie!!! W mgnieniu oka zalały ją zbrojne zastępy i utopiły w piersi, owej kochającej Boga matrony i miłującej swe dzieci matki trzy oszczepy, a Polska jak ów Winkelried narodów, pochwyciła je kurczowo i topiąc je w swej piersi wskazywała swą niewinność narodom, ale ta została przygłuszoną świstem kul — domagała się praw wdzięczności, ale się odwrócono — wołała o litość, ale znalazła wzgardę — wołała do narodów o pomoc w imię wiary, ale ją wyszydzono; tak zbolała padając pod ciosem w imię tych dwóch potęg, z ran bryzgnęła krwią, która spadła na narody; a jak krew Jezusa padając na syny Izraela zrosiła i użyźniała serca ludzkie, tak i krew naszej matki dopiero poczęła budzić narody ze snu. Padając pod ciosem nasza matka wołała i do Boga o sąd, ale Bóg, który przez tyle wieków obsypywał ją darami, — wiódł zwycięzko do boju, — wsławiał jej imię i bronił przed powodzią, słowem otaczał ją wieńcem chwały, chciał ją także postawić pod krzyżem. I dozwolił włożyć rzeczywiście na przebitą i rozdartą ciężki krzyż — poddał ją próbie. Nasza ojczyzna poczęła go dźwigać, a upadając pod nim powstawała z nową siłą idąc naprzód, ale w tym krwawym pochodzie poczuła z jednej poszczególnie strony ciężar wielki, bo ten krzyż najbardziej zdał się jej być tłoczony przez Moskwę. I tu pominę opiekę innych mocarstw, a zatrzymam się przy opiece rosyjskiej, bo ona jakoś nam najbardziej nie w smak; a na wspo-

mnienie Moskala, tak jak na wspomnienie tygrysa, lub dzika, jeży się każdemu prawemu Polakowi włos na głowie i za co może chwyta, aby zabezpieczyć się przed jego napadem. Oto wykazuje nam historja, że Rosja, zagrabiwszy jure caduco (Faustrecht średniowieczne) dział wielki królestwa polskiego, rozpoczęła w niem swoje azjatyckie rządy, zaczynając rabunkiem a kończąc rzezią. Wskazują nam dzieje, że porabowała kościoły i klasztory, zamykała szkoły, złupiła biblioteki i pozabierała majątki; jej rycerze bezcześcili niewiasty i znęcali się nad bezbronnym ludem; ludzi którzy zdradzali poczciwość, kuto w kajdany i chowano w więzienia, aby się im świat nie przypatrzył a kto odważył się odezwać w imię poczciwości t. j. wiary i wolności, kto śmiał nazwać się Polakiem, tego pędzono pod knutem lub bezpłatnie przewożono, aby oglądnął Sybir; — słowem, historja nam dziwy opowiada; nam nawet nie chce się wierzyć w to, a przecież są to czyny dokonane!

Napastwiwszy się do woli, zmuszona pozwoliła Polsce trochę odetchnąć, dając jej pewną konstytucję, ale był to tylko blichtr, aby zatrzeć Europie oczy, u której Polacy domagali się sprawiedliwości, bo w rzeczywistości opieka azjatycka przybierała coraz szybsze rozmiary, czekając tylko dogodnej chwili, aby, jak sęp krwi chciwy, rzucić się z całą wściekłością na biedne ofiary niewoli. Zobowiązywania się carskie, poręczające swobodę królestwu, były kłamstwem wobec Europy a obłudą wobec naszego narodu, bo z każdym dniem gasły nawet pozory wolności, a z samowolą satrapy Konstantego, tego człowieka, jak mówi Morawski szalonego, pokazało się, że konstytucja była pod stołem, jak zauważył Badeni minister, a na stole bat. I Polacy już słyszeli jego trzask, bo wszelkie uczucia narodowe zostały zaczepione i zagrożone, a gwałty te z rządem Mikołaja przybrały straszne rozmiary — naciągnięto strunę, czekając chwili pęknięcia, aby wtedy zalać Polskę absolutyzmem — bezprawiem i pognębić przemocą. W tym to czasie okazało się widocznie, że w naszej ojczyźnie owe dwie potęgi Boże; wiarę i wolność nastąpi wnet knut. Nasza matka okrutnie

poraniona boleśnie patrzyła na te gwałty i powoli z zasklepionych ran poczęła się sączyć świeża krew. Z załamanemi rękami stanęli przy jej łożu synowie i zapłakali rzewnie; ale Bóg dawca życia, który patrząc na Polskę cierpiącą, patrząc jak ona mężnie dźwigając krzyż na górę pokoju, nie zatarła w sobie owych potęg, pokrzepił jej ducha — wzbudził w niej siłę olbrzyma — i matka patrząc na syny zrozpaczone, konwulsyjnie odpycha ich znowu od siebie i woła: „nie płaczcie nademną ale nad losem waszym — stańcie w obronie potęg Bożych — stańcie w obronie wiary i wolności i odeprzyjcie groźny cios!!" I ten jęk ojczyzny knutem nękanej znalazł odgłos w sercach synów, bo w poniedziałek dnia 29. listopada r. 1830, zerwał się orzeł biały przeciw sów gromadzie, stanęli nasi ojcowie do boju przeciw Moskwie. Pomiędzy pierwszymi byli: Piotr Wysocki, Zaliwski, Maurycy Mochnacki, a później: Niemojewski, Sołtyk, Lelewel, Czartoryski i wielu innych, których imiona zawsze zostaną w pamięci potomków. I jakież było hasło tego boju? Nie inne tylko w imię Bożych potęg! Jak przed wieki tak i teraz stanęła Polska w obronie wiary przeciw szyzmie — w obronie wolności, oświaty i postępu; a w chwili tak ważnej wywiesiła sztandar: „za waszą i naszą wolność." I nie dziw, że Polacy rozpoczęli otwarty bój w imię jednej tylko Bożej potęgi, bo czując w sobie wiarę, która gdzieniegdzie tylko się przyćmiła, w obec Boga byli usprawiedliwieni, a walcząc w imię wiary zostali przez narody haniebnie oszukani, sądzili, że poruszą je na głos wolności. I rzeczywiście! Na odgłos strzałów ocknęły się, a na widok łuny rzuciły rozognionem okiem; poczuły ważność tej walki — poznały, że nie jest to walka tylko Polski z Moskwą; ale walka Polaków o ideę postępu — cywilizacji i wolności wszystkich narodów z dziczą moskiewską, bo nawet posłały w bój swe dzieci, jakoto: Ramorina, Mühlberga i innych; ale jeszcze w tej nie dojrzały. Sama tylko Polska w imię Boże, ze słowem: „śmierć tyranom," z nutą: „jeszcze Polska nie zginęła" zajęła bojowisko; zaczął się krwawy pochód z niewoli do niepodległości, a miejscami zatrzymania się mozolnego były pomiędzy innemi: Grochów, — Ostrołęka, —

Bolimów, w którym to pochodzie odznaczyli się szczególniej: Różycki, Dwernicki, Bem, Dembiński; imiona ich zawsze z uwielbieniem wspomni historja Polski.

Krwawy to był pochód, bo znowu zrosił obficie niewinną krwią obrońców łany polskie — znowu pochłonął tysiące ofiar, a stał się tem bardziej boleśniejszym, że wkrótce zamienił się w powrót pod krzyż. Moskale przemogli — knut zawisnął i boleśniej jeszcze dał się czuć znękanej ojczyźnie — wielu obrońców sztandaru ojczystego, stojącego na przedniej straży cywilizacji i wolności przeciw barbarzyństwu północy, rozbiegając się uniosło za granicę na przechowanie ów skarb: wolność — nastąpiła cisza grobowa po kilku miesiącach objawu narodowego pełnego poświęcenia, a od łoża świeżo poranionej matki wionęło na naród powietrze cmentarne, — przed oczyma stanęły mu krzyże i mogiły. Polacy pokonani, ale nie idea, dla której walczyli, bo jak w ogniu żelazo się hartuje, tak i tu wśród ognia rzucony był silny świeży zasiew sprawy wolności, podlany obficie krwią polską! Polacy ulegli barbarzyństwu, ale nie idea, dla której walczyli, bo ta zaczęła się odtąd wzmagać, a narody poczęły poznawać, że Polacy nie są rebellantami — nie są duchami niespokojnymi, ale ludźmi domagającymi się swych praw, dążącymi z wiarą i postępem do wolności.

Polacy zasłali pobojowiska, ale orzeł biały, ów znak niewinności, znikł z pośród trupów nieschwycony, unosząc ze sobą potęgi Stwórcy: wiarę i wolność, aby na głos Boży znowu stanąć do boju i walczyć i zwyciężyć! Polacy padli wprawdzie pod bagnetami hord północy, ale niezwyciężeni, bo Bóg z ich popiołów powoła nowe zastępy, które na ich mogiłach wywieszą sztandar nowego życia — życia swobody — życia w imię wiary i wolności! Tak! Polacy pokonani ale niezwyciężeni, bo niezwyciężony Bóg i Jego potęga.

My dziś czcząc pamięć tej wielkiej chwili, otwarcie wyznajemy, że chociaż pokonani, ale jesteśmy niezwyciężeni, bo Bóg, którego dzieło chociaż sponiewierane, ale zniszczone być nie może ręką ludzką, nie pozwoli Polskę pogrzebać, a nad nią położyć napis:

„hic jacet mortua!“ My wierzymy słowom Zbawiciela: „Ego sum resurrectio et vita“ (ja jestem zmartwychwstanie i żywot) — ta trumna przedstawia nam letarg naszej matki — ta ciemność i kir: to symbol kajdan i niewoli; przyjdzie czas, gdzie Bóg zerwie pieczęć z tej trumny i zawoła: „Łazarzu wstań!“ Polsko! przebudź się z letargu! krzyż już odjęty — wykonaj moje prawa — walcz w imię wiary i wolności: a wtenczas? Biada gnębicielom! Ojcowie nasi walczyli za wiarę i nam ją przekazali — chowajmy ją niepokalaną, bo „kto wierzy we mnie, mówi Chrystus, nie umrze;“ walczyli za wolność i nam ją ukrytą przechowali, my ją pielęgnujmy — nie dajmy się uwieść owym apostołom knuta, którzy krążą i pośród nas, bo niechybnie za wolą Bożą przyjdzie czas, że niespodzianie orzeł biały zerwie się dzierząc krzyż i miecz — stanie na bojowisku i w imię potęg Bożych, w imię wiary i wolności stoczy z gromadą sów i upiorów bój i wywiesi dla ludzkości sztandar wolności.

Ojcowie nasi polegli za sprawę wiary i wolności; niech im ta ziemia polska lekką będzie! Cześć ich popiołom, a spokój duszom! Oby po ich mogiłach nie długo deptał wróg! Duchy ich spokojne uniosły się ku górze, bo spełniły zadanie, a Bóg ich, jako męczenników sprawy świętej niechybnie przyjął do swego tronu. Patrzą na nas, czy my chowamy ich puściznę: wiarę i wolność, — patrzą, czy my gotowi spełnić ich wolę — czy my czytamy ich testament; a ciekawi jesteście może, jaki mógł być ich testament i wola ostatnia? Oto w imię tych potęg Bożych: wiary i wolności, z barbarzyństwem północy i najazdem dalszy bój! A kto wytrwa do końca, mówi pismo święte, ten zbawion będzie!! Amen.

Sambor, 29. listopada 1880.

O. Metody Bernardyn.

Dawniej i dziś.

W bezładzie krążą myśli szalone,
I duch wściekłością zapałał srogą,
I serce bije szałem spienione,
I cały żyję zwątpieniem, trwogą,
Nie! — jam oszalał, jam już szalony!
Zazdrość jak wicher złowrogo wieje
I w wszystkie sercem nagina strony,
Krom jednej, jednej, — ach krom nadziei...
W dumie szalony pędzę w zagładę,
To znów na szczyty lodowców, głazów,
Rzucam się w przepaść — wszędzie zawady,
A żyć nie mogę, życie odrazą!
Jam syt wszystkiego, jam miłość przeżył,
Miłość najczystszą, miłość młodzieńczą......
Dziś grom zawodu w pierś mą uderzył,
Zawodu kwiaty skroń moją wieńczą.
Jam kochał silnie, jam żył kochaniem,
Jam wierzył oczom, wierzył spojrzeniu —
Dziś mi zostało: r o z c z a r o w a n i e!!!
Miłość pogrzebłem w cyprysów cieniu,
Wszystko mię nuży, ludzie, świat cały;
Ja żyć już nie chcę, życie ciężarem!
Umrzeć me hasło — nie pragnę chwały,
Bom już cierpieniem zgrzybiały, stary.
Śmierć jedna jeszcze mi się uśmiecha,
Śmiechem mej duszy i serca mego;
W niej ma jedyna rozkosz, uciecha,
W niej zbawiciela przeczuwam swego.
Jam kochał strasznie, miłością żyłem,
Nie czuł cierpienia, bolu, zgryzoty;

Wszysko głuszyły miłości siły,
Prócz siebie samej, oprócz tęsknoty.
Jam szalał nędzny — i dziś szaleję,
Lecz jaki kontrast szał ten tłumaczy . . .
Dawniej z miłości w słodkiej nadziei,
Dzisiaj z zawiści w dzikiej rozpaczy.

H . . . . a.

Śpiew lirnika.

I.

Zaśpiewaj piewco głosem słowika,
Wynurz swe tajnie, ułóż je w rymy,
Zanuć boleśnie szały młodzika,
Niech choć przez palcu, zamglone dymy
Ujrzym ten obraz, co w sercu płonął,
Jak żar je palił a w końcu spalił,
W pył je rozsypał, skoro wiatr wionął,
I pyszny pałac w gruzy rozwalił.

Wezwij na pomoc śpiewu boginię,
Odśpiewaj wszystkle rozkosze jego,
Śpiewaj o zbrodniach, o każdej winie,
Co złego zdziałał i co dobrego.

„Dobrze, zanucę! — czuję natchnienie,
„Dobiorę nuty, głos mię usłucha,
„Wyrzucę bole, cisnę cierpienie;
„Lecz biada, biada, gdy mego ducha
„Dusza nie pojmie, serce nie jęknie!
„Przekleństwo rzucę przy lutni dźwięku,
„Przeklinał będę aż struna pęknie,
„W ostatnim jeszcze urwanej brzęku
„Przeklnę na wieki i . . . . "

II.

Tu umilkł starzec, w ręce wziął lutnię,
A twarz promienna chmurą nabiegła,

Uderzył w struny — zadrgały smutnie
I cichość wielka salę zaległa.
Wzniósł oczy w górę a ręce złożył
I długo patrzał, czerpiąc natchnienia;
W tem lutnię ścisnął, usta otworzył,
Jakby chciał zacząć żałobne pienia.
Lutnia zajękła strasznie, boleśnie,
On zadrżał cały — wszyscy się zlękli,
Bo straszna nuta w lutni tej pieśni
Jak grom zajękła — i wszyscy jękli.

Uchwycił lutnię, sam słuchał pilnie,
Lekko przebiegał napięte struny,
Lub też uderzał, uderzał silnie:
Były tam jęki, były pioruny!
Zręcznie przebierał palcy drżącymi,
Głową takt dawał i grał z zapałem,
A dźwięk się wznosił skrzydły wiotkiemi
Nad rzeki, góry, doliny, skały.

III.

Powstrzymał palce, lecz struny grały
Coraz — to ciszej, coraz to wolniej
Wtem starca lica silnie nabrzmiały,
On zaczął piosnkę nucąc powolnie:
„Byłem ja młody, miałem rodziców,
„Bogatych, dobrych, jakich wy w świecie,
„Choćbyście chcieli szukać ze świecą,
„Pewnie, ach pewnie już nie znajdziecie.
„Byłem kochany i sam kochałem,
„A dziś mój Boże walam się stary;
„Szukam miłości, której doznałem.....
„Lecz darmo, darmo! — chyba te mary,
„Na których stare kości me złożą,
„Uścisną czule — po raz ostatni!
„I w zimną ziemię zmarłego złożą
„Oddawszy pokłon i uścisk bratni.
„Byłem młodzieńcem pięknym, przystojnym,
„A świat mię wabił wdzięcząc się mile;
„Wydał się pięknym, wydał się strojnym,
„Więc też upadłem uległszy sile.

„Poznałem płonne świata rozkosze,
„Jego uciechy i przyjemności;
„Stokroć wolałbym, co teraz znoszę,
„Nad te olbrzymie jego nicości.

„Hej ty młodości, wróć się raz jeszcze,
„Będę cię umiał godnie używać;
„O niech się jeszcze tobą popieszczę,
„Bym mógł choć w grobie bez trosk spoczywać!

„Poznałem więcej, Boże mój drogi,
„Poznałem miłość świętą, prawdziwą,
Poznałem zazdrość, jej ciosy srogie,
„Poznałem zawód, Syrenę żywą!
„Kochałem silnie, namiętnie, stale,
„Więcej niż ojca, niż matkę rodną,
„W większej niż Boga miałem ją chwale;
— „Miłości takiej byłaż-że godną?!

„Lecz wy pytacie — kochałeś, kogo? —
„Dziewicę, rzeknę, piękną przecudnie!
„Skoro ujrzałem, przysiągłem Bogu,
„Posiąść ją pierwej, zanim południe
„Trzysta sześćdziesiąt razy się zjawi.
„O byłbym wtedy upadł nieżywy!
„A dziś, daj.... przebóg! oko się łzawi
„Z hańby, co kala włosy me siwe.....

„Kochałem nędzny wierząc kobiecie,
„Kochałem sercem, kochałem duszą,
„Błędny chodziłem po bożym świecie,
„Nosząc się z bolem, serca katuszą;
„Ni dnia, ni nocy dla mnie nie było,
„Zawszem ja tylko o jednej marzył
„I dla niej tylko serce me biło,
„Wszystkom na świecie podług niej ważył,
„Bo ona światem, niebem i rajem,
„Ona mi wszystkiem, ach wszystkiem była!
„Słów drodzy! nawet już mi nie staje,
„By oddać, jaką miłości siła!
„O dzisiaj jeszcze kocham ją strasznie,
„I chyba z końcem mego żywota,

„I miłość święta ustanie, zgaśnie,
„I dla niej wdzięczne zawrą się wrota.
„Lecz w górze może silniej zapłonie,
„Złączą się serca tutaj zerwane,
„Jedno uczucie ducha owionie,
„Miłością wieczną wiecznie związane.

„Święta miłości! — zkąd takie siły
„Tyle powabu, żaru, uroku
„W mem zimnem sercu nagle wznieciły!"

IV.

Tu łza zawisła na starca oku,
Jęknął, odetchnął, spojrzał dokoła,
Twarz mu skraśniała strugą promieni
Srebrzystych jak włos starca — anioła,
A świętość w łzawych oczach się mieni,
Łza smutku zmywa lice zsępione,
On z jękiem wznosi schyloną głowę,
Oczyma strzela na wszystkie strony,
W końcu wygłasza tę oto mowę:
„Pozwólcie drodzy! niech wytchnę chwilę,
„Niech ból przepłaczę, wzniecony śpiewem,
„Niech pierś powietrzem świeżem zasilę,
„Pobratam spokój z tyrańskim gniewem.
„O — bo nie wiecie, co za cierpienia
„Dręczą me serce już tak zranione;
„Straszny jad mieszczą wszystkie wspomnienia
„W tej pieśni mili! wam objawione."
Umilkł głos jego a pierś się wzdyma,
W oku łza błyszczy, w rzęsach uwisła;
Chwieje się chwilę — jeszcze się trzyma . . . .
W tem spada czysta a druga trysła,
Za drugą trzecia i potok cały,
A pierś zajękła płaczem donośnym,
Łzy wszystkim w oczach się ukazały
I wszyscy płaczem wybuchli głośnym.

I była chwila święta, ach! święta,
Niebo otwarło ciężkie podwoje,
I jasność wielka i niepojęta

Rzuciła na nas promienie swoje,
A starzec drżący wzniósł oczy łzwawe
I bił się w piersi szepcąc wzruszony:
„Dzięki Ci Panie, oschły łzy krwawe,
„Rozpaczy pęta znowu ścieśnione!“

V.

Rękawem otarł oczy zwilżone,
Uchwycił lutnię, choć ręce drżały,
Wciągnął powietrze w piersi spragnione,
A one z wnętrza tę pieśń wylały:
„Och ja niebaczny w miłość wierzyłem,
„Dla niej-bym chętnie oddał był życie,
„Kochałem wściekle, wściekle lubiłem,
„Lecz tylko w tajni, w milczeniu, skrycie,
„Aż raz gdym siedział obok anioła
„I w twarz nadobną utkwił swe oczy,
„Owiany czarem tchnącym dokoła,
„Wiedząc, że nikt nas tutaj nie zoczy,
„Wylałem piosnkę uczuć wezbranych
„Pełną wzburzonych mych namiętności . . . . .
„Jej takt: — westchnienia piersi wzdymanych,
„Akord: — wyznanie świętej miłości.
„Wyznałem miłość — prawdę wyznałem!
„A ona? — Przebóg! — ona się śmiała,
„Śmiała się z tego, że ją kochałem.“
. , ...

VI.

Drgnął starzec silnie, opadła głowa,
Bezwładne ręce struny trąciły.
On rozwarł usta, lecz jego słowa
W jęku urwanych strun się zgubiły.
Powstał gwałtownie, oczy krwią zaszły,
Pociągnął lutnię skurczoną dłonią;
W tem wszystkie struny jeszcze raz trzasły
I w uszach jękiem złowrogim dzwonią.
Jeszcze raz porwał lubą swą lutnię,
Do ust przycisnął, złożył przy sobie,

Lutnia raz jeszcze zadrgnęła smutnie
Jękiem okropnym, jak pieśń przy grobie.

W tej chwili starzec upadł z łoskotem,
I nikt z obecnych nie słyszał jęku;
Lecz starzec słyszał i twarz swą potem
Śmiertelnym zlaną oparł na ręku,
Oczyma powiódł po widzach w koło,
Jakby się żegnał z nimi na wieki . . . .
Jeszcze się zaśmiał prawie wesoło —
— Nagle się zwarły jego powieki
I.... i dnch uleciał . . . .

Sambor, 20. marca 1883.

H . . . a.

DWIE SIEKIERKI,

Humoreska.

Jadę zatem do Przemyśla — nie byłem nigdy w tem mieście, a powiadają że warto je oglądnąć, bo ma swoje różne osobliwości; ma San wśród miasta płynący, ma dziennik tę samę nazwę noszący, ma swój magistrat, swego niedźwiedzia na wieży i swoją Harmonję; to ci panie miasto, powiada pan Ignacy, to niech się i Kulików schowa do mysiej dziury.

Ten ostatni argument wpłynął na moją decyzję — jadę.

Dwa razy dzwoniono, wsiadam przed słońca wschodem do wagonu.

Zanim jednak zdążyłem wsiąść, słyszę za sobą znajomy mi głos tubalny pana Ignacego:

— A, wszak to pan Toja, gdzież to pan jedziesz, czy zapytać wolno?

— Do Przemyśla, mój panie.

— A co za szczęście, że cię zdybuję — odzywa się znowu pan Ignacy — wyobraź sobie, spóźniłem się wczoraj z oddaniem listu do mego szwagra pana Hilarego Kukawki, który mieszka w Przemyślu; interes nader pilny, chodzi mi o to, żeby miał ten list w ręku dziś jeszcze przed godziną 8. Możebyś mi pan zrobił tę łaskę i oddał mu to pismo, dozgonną wdzięczność, panie tego.... bo sprawa bardzo pilna.

— Owszem, owszem, z największą chęcią — odrzekłem odbierając spory, szczelnie opieczętowany pakiecik od pana Ignacego — ale zechciej mi waćpan wskazać mieszkanie tego pana, bo nie wiem czy go będę mógł znaleźć o tak wczesnej porze.

— Nic łatwiejszego, panie dobrodzieju; oto jak pan wyjedziesz z dworca, pójdziesz najpierw wprost, potem w prawo a potem w lewo i wyjdziesz na szosę, potem pójdziesz wprost, koło klasztoru Ojców Reformatów zwrócisz się w prawo, a dalej w lewo w wązką uliczkę, tam zdybiesz kupę śmiecia, od której weź się w bok na lewo, a trzymając się dalej już prosto dojdziesz do kamienicy czerwonego Herszka, naprzeciw której mieszka na pierwszem piętrze mój szwagier, pan Hilary Kukawka, zaraz koło krzywego Judki.

— Trochę niewyraźnie, zauważyłem, a dajmy na to, że tę kupę śmiecia, od której mam się wziąć na lewo, tymczasem uprzątnięto, jakże się wtedy zorjentuję.

— Niema obawy, mój łaskawco — odzywa się znowu pan Ignacy — od kiedy zapamiętam, ona tam leży i służy obcym do orjentowania się w mieście, plac na którym leży nazywają „na śmieciu;" zresztą przecie będziesz znał czerwonego Herszka i krzywego Judkę.

— Nie mam przyjemności znać tych panów — odparłem — wolałbym przeto wiedzieć nazwę ulicy i liczbę domu, w którym mieszka szanowny szwagier pański.

— Numer wiem, d w i e s i e k i e r k i, 77 — zaczął znowu pan Ignacy — a co do ulicy, to widzisz, mój kochany panie, Przemyśl jest wprawdzie sobie dużem miasteczkiem, jednakże nie tak wielkiem, żeby potrze-

bowało aż nazywać swoje ulice. Co tam ulica, koło czerwonego Herszka, taj już.

Zadzwoniono trzy razy, ozwał się sygnał i pociąg ruszył zostawiając pana Ignacego w Mościskach a mnie uwożąc do Przemyśla z pakietem w ręku.

Niema to jazdy nad jazdę koleją, nie upłynęła godzina od czasu rozstania się mego z panem Ignacym, a już znalazłem się w ulicach Przemyśla szukając onej kupy śmiecia, dwu siekierek, czerwonego Herszka i krzywego Judkę, ale cóż, fatalizm prześladuje mnie we wszystkich moich podróżach.

Było to rano przed godziną 7 w dzień sobotni; w dnie takie, jak wiadomo, miasteczka nasze galicyjskie przebierają sie w szatę świątecznego spokoju, zwłaszcza rano, obywatele wyznania mojżeszowego śpią, ustaje wszelki handel, ruch wszelki, nikogo nie zdybiesz na ulicy.

Przemyśl pod tym względem nie stanowi wyjątku; chodzę już kilkanaście minut po ulicy, nigdzie nie spotykam żywej duszy, któraby mi powiedzieć mogła, gdzie czerwony Herszko albo krzywy Judka.

Te wskazówki więc dla mnie nieprzydatne, weźmy zatem inne, ową kupę śmiecia, i dwie siekierki.

Co do śmiecia to już łatwiej, bo co krok to kupa, lecz od której brać się na lewo jak pan Ignacy każe? — to sęk, przypatruję się jednej — drugiej — trzeciej, żadna nie ma takiej fizjonomji jak gdyby od niej trzeba się wziąć na lewo — więc i ta wskazówka mnie zawodzi; jak tonący deski, czepiam się ostatniej, owych dwu siekierek.

Głowa w górę i chodzę po ulicach jak astronom gwiazd szukający i czytam numera nad drzwiami.

Nudna robota, wolałbym przeczytać cały dział spostrzeżeń meteorologicznych w S a n i e, już mnie kark rozbolał, nareszcie doczytawszy w ten sposób z kopę różnych numerów, wołam klasycznie „Eureka!“ bo widzę przed sobą na jednej z kamienic jak najwyraźniej dwie siekierki, widzę na jawie numer 77 — więc tu cel moich poszukiwań, tu mieszka pan Hilary Kukawka, któremu mam wręczyć pakiecik od pana Ignacego jak najspieszniej.

Rozpatruję się w sytuacji: przedemną porządna kamienica jednopiętrowa, o czterech oknach na piętrze, o czterech drzwiach żelaznych na dole; opodal stoi melancholijna latarnia na słupie, a o nią oparta drabinka, jak łzawa dziewica przy brzozie płaczącej.

Szukam wejścia do kamienicy — daremnie, jest wprawdzie czworo drzwi na dole, te jednak żelazne i zamknięte żelaznemi sztabami poprzecznemi, prowadząc widocznie do sklepów, co zresztą i napisy nad drzwiami dowodzą, innych drzwi niema.

Nie sztuka, mój panie Kukawka — pomyślałem — mieszkać na pierwszem piętrze, jak kto ma pieniądze, ale którędy tam się dostałeś?

Bo i proszęż państwa, którędy on się tam mógł dostać, kiedy drzwi niema?

Patrzę w górę, może kogo ujrzę w oknie, coby mi rozwiązał fatalną zagadkę.

Okna puste, jedno tylko otwarte, lecz i tu nikogo nie widać, a na ulicy ani żywej duszy.

Oglądam się — może kto nadejdzie — nie widać nikogo, tylko łzawa drabinka, oparta o słup melancholijnej latarni zdaje się ubolewać nad mojem fatalnem położeniem.

Myśl, jak błyskawica, zaświeciła mi w mózgu — ta drabinka wyprowadzi mnie z nieprzyjemnej sytuacji.

Porywam ją w objęcia — przystawiam do otwartego okna kamienicy pod dwiema siekierkami.

Dość długa.

Należę do straży ogniowej ochotniczej w Mościskach, wprawdzie tylko do czwartego oddziału, który nosi wodę ale to nic, mimo to umiem łazić po drabinie.

Zebrałem odwagę, poplułem w garście i lezę, ale i tu fatalizm! pierwszy szczebel się łamie, ja na drugi, drugi łamie się także, wskakuję na trzeci, ten już mocniejszy, utrzymał mnie, tak dalej po szczeblach dostałem się do otwartego okna zagadkowej kamienicy.

Wejrzałem w okno — spostrzegłem kobietę w negliżyku, siedzącą przed lustrem, trzymała właśnie w ręku pyszną szczękę w złoto oprawnych zębów i czyściła je.

Nie spostrzegła mnie.

Nowy fatalizm — nie spodziewałem się zastać tu kobiety, jestem bez rękawiczek, dobywam je z tylnej kieszeni tużurka i naciągam czemprędzej.

Niewygodnie mi na tej drabinie.

Naciągnąłem je nareszcie, lecz zapiąć już nie potrafię, mniejsza z tem, później to załatwię.

Jak tu zacząć rozmowę w tak niezwykłej sytuacji, wyszukuję więc w skali mego głosu jak najłagodniejszy tenor i biorąc w rękę mój nowy kapelusz, u Hibsza we Lwowie przed tygodniem kupiony, zaczynam pianissimo:

— Pani dobrodziejka łaskawie daruje . . . ,

Ani piorun, spadający nagle z pogodnego nieba, ani strzał wysłany z paszczy Uchatyusa, ni ryk lwa lub skok tygrysa, nie może wywrzeć takiego wrażenia, jakie wywarł w tej chwili mój łagodny tenor, dobyty pianissimo.

Usłyszałem okrzyk przerażenia i w okamgnieniu znikła mi z przed oczu owa postać czyszcząca zęby.

Znalazłem się wobec pustego pokoju, w dalszych tylko częściach mieszkania słyszę głosy, których dźwięk odróżniam dokładnie, prim bierze jakiś przestraszony mezzosopran podobny do diakującej indyczki, odpowiada mu ktoś fortissimo birbasem.

Sytuacja zaczyna być coraz bardziej niewyraźną, chcę się z niej wycofać, w czas jednakże przypominam sobie że dwa pierwsze szczeble drabiny złamane, a skakać nie umiem.

Trzeba wytrwać do końca.

W tem otwierają się drzwi gwałtownie i jawi się w pokoju nowy aktor tej smutnej komedji, niski, pękaty, łysy mężczyzna, w szlafroku w duże kwiaty, w pantoflach, w ręku powiewa chustka kolorowa. Wpadł jak bomba do pokoju, machając gwałtownie rękami.

Staje przed oknem i następuje djalog:

On (gwałtownie): Co pan za jeden?

Ja: Do usług Leander Hyacynt Toja, literat z Mościsk.

On: Literata i oknem leziesz? a drzwi od czego?

Ja: Widocznie zapomniano zrobić drzwi w tej kamienicy — a mając pilny interes do pana Hilarego Kukawki . . . .

On: Do mnie? . . . . do mnie?

Ja: Tak . . . . oto pan Ignacy Cholewka przysyła ten pakiecik.

On: Od Ignasia? (porywa pakiet) pieniądze! nareszcie! Niechże cię uściskam pośle upragniony. Ale proszę bliżej, proszę na śniadanko, tędy, tędy, tą najkrótszą drogą, przez okno — bo kto pieniądze przynosi może wchodzić którędykolwiek, choćby i kominem. Ale podam panu dywanik, byś się nie obielił przy oknie.

Poleciał po dywanik.

W tej chwili uczułem się pochwycony za nogi przy kostkach niewidzialną ręką żelazną i usłyszałem głos pod sobą:

— A tuś mi ptaszku! to ty drabie będziesz po maistrackiej drabinie łaził do cudzych okien, złaź mi zaraz i haj do pana inspektora: ja cię nauczę, pójdziesz kozę doić.

Struchlałem cały z przerażenia, obejrzałem się ostrożnie i spostrzegłem pod sobą na drabinie umundarowanego stróża bezpieczeństwa, który trzymał mnie za nogi, usiłując ściągnąć z drabiny.

Zacząłem mu perswadować, by odstąpił od swego zamiaru, przemawiając jak najłagodniej:

— Ależ mój łaskawy panie, pan się mylisz mocno biorąc mię za przestępcę jakiego, bo ja widzisz pan jestem sobie spokojny literat z Mościsk i idę na wizytę do pana Kukawki . . . . słowo honoru panu daję, zaprosił mnie na śniadanie.

— O jaki mi honorowy, — odburknie znowu policjant — z wizytą idzie przez okno . . . na śniadanie! dam ja ci śniadanie!

I dalej ściągać mnie z drabiny.

Ja w krzyk — on sobie,

Na to nadbiega pan Hilary a widząc co się dzieje spieszy mi na ratunek, chwyta mnie pod pachy i ciągnie do góry, policjant sobie na dół za nogi.

Powiadam państwu, sytuacja okropna.

Zawisłem jak Twardowski między niebem a ziemią.

Wszyscy trzej krzyczymy w niebogłosy, żaden drugiego nie rozumie.

Dwa draby rozciągają mnie jak harmonikę jaką, co chwila zdaje się, że mnie rozerwą w połowie.

Pot kroplisty wystąpił mi na czoło — odkąd żyję nie byłem w takich obertasach! A krzyk — sądny dzień!

Po chwili takiego szamotania się szarpał pan Hilary energiczniej i wyrwał mnie z żelaznych rąk straży bezpieczeństwa; jednym skokiem znalazłem się w pokoju, ale niestety .... bez butów, bo te zostały w ręku policjanta.

Nie łatwo daję się skonfundować, lecz przyznacie państwo że być pierwszy raz w porządnym domu, w eleganckim modnym garniturze, w nowym kapeluszu od Hibsza ze Lwowa, w należycie opiętych rękawiczkach i znaleźć się raptem bez butów, rzecz nader nieprzyjemna — szczęściem, że miałem nowiutkie skarpetki na nogach.

A mówiłem zawsze szewcowi memu: panie Wincenty, robisz mi ciżemki za wielkie; — gdzie tam, upiera się, zdaje się panu, leżą jak ulane.

A teraz masz, policjant raz szarpnął i już człowiek bez butów, — bez butów w cudzym domu na śniadaniu proszonem! A do tego wchodzi pani Kukawczyna już ubrana kompletnie, z zębami jak perły, zaczyna się prezentacja, pan Hilary odkrząknąwszy należycie przedstawia: Moja Wiktosiu mam zaszczyt przedstawić ci pana Hyacynta Leandra Toję, literata z Mościsk, przyjaciela brata twego... tu próbuję się ukłonić tak zgrabnie jak tylko można w skarpetkach — pani Wiktosia spojrzawszy na moje nogi, parska śmiechem i ucieka.

Męczarnie, powiadam państwu.

Próbujemy obaj z panem Hilarym pokryć jakoś ten mankament, ale daremnie bo on żyje na wielkiej stopie, nosi ciżmy jak dwa czółenka, ze stołu bym w nie wskoczył z łatwością — nie zdadzą się na mnie; trzewiki zaś pani Wiktosi jak na złość za małe.

Nakoniec poświęcenie pana Hilarego postawiło mnie na nogi — raczej na buty, pobiegł bowiem do policji, wyjaśnił rzecz całą i odebrał moje ciżemki złożone tam jako „corpus delicti."

Zaraz następnym pociągiem udałem sie do poczciwych Mościsk, gdzie nie przerabiają sieni wchodowych kamienic na sklepy, gdzie nie każą wchodzić do mieszkań gdzieś przez trzecią kamienicę, tyłami po bantach, gdzie zatem niema kamienic bez wchodu, gdzie niema policjantów, którzyby spokojnych turystów z drabiny ściągali ; gdzie wreszcie nie zdejmują ludziom butów na gładkiej drodze.

Jadąc do domu rozmyślałem nad moim fatalizmem, przypomniała mi się wróżba cyganki z lat młodzieńczych, która mnie przestrzegała ! strzeż się siekierki paniczu w życiu twojem.

A tu aż dwie siekierek, a gdy się rozpatrzyłem znalazło się ich więcej : bo dzień ten był siódmym w miesiącu i w tygodniu i godzina siódma rano, ów policjant nosił numer siódmy na pasie, a i w liczbie roku siódemka się rozparła — co tu siekierek ! i jakże nie ma być fatalizm.

Odtąd wystrzegam się siekierki w życiu jak ognia.

Leopold Hauser.

Do chmurki.

Chmurko jasna, chmurko biała
Na błękicie tam —
Miłą wolność gdzieś zyskała,
Że się śmiejesz nam ?
Ty jak myśli lekkich tkanka
Płyniesz sobie w dal —

I w marzeniach jak kochanka
Koisz w sercu żal...
Chmurko moja, chmurko droga
W krasie twoich szat —
Igra promyk, pamięć błoga
Młodocianych lat....
Bo choć nieraz nieszczęść siła
Szerzy smutek w nas,
To cierpienia, chmurko miła!
Przezwycięża czas....
Więc w wspomnieniach i nadziei
Płyń, o luba! płyń
Słońce jasność niech ci sieje,
Ty — urokiem słyń.

Marceli S.....
ze Śniatyna.

ALEKSANDER REICHARD.

„— Omne tulit punctum, qui miscuit utile dulci.“
(Hor.)

Niewielu artystów może się poszczycić karyerą tak piękną jak Aleksander Reichard i niewielu zyskało tak jednogłośne pochwały dzienników europejskich, jak ten artysta. Sądzimy przeto, że zainteresują czytelników szczegóły jego życia od pierwszych wystąpień publicznych aż do chwili obecnéj. Polaków nadto obchodzi on o tyle, że pochodzi z rodziców, którzy mieszkali w ziemiach polskich, że jego rodzina mieszka w kraju polskim a mianowicie w Galicyi w mieście Tarnowie, że rodzina ta należy już do narodowości polskiéj, że wreszcie karyerę swą artystyczną rozpoczął był we Lwowie. Inne powody, dla których imię jego obchodzi Polaków, zamilczamy na razie, nie chcąc

obrażać skromności tego artysty, gorącém sercem kochającego naród polski, którego sztuce wielką przysługę oddał a większą jeszcze oddać zamierza.

Aleksander Reichard urodzony na Węgrzech wystąpił po raz pierwszy na scenie lwowskiéj w roli Rodriga w Otellu Rossiniego. Nie miał on podówczas więcéj nad lat 18 a okazał już wtedy zarówno w grze jak w śpiewie tyle talentu, iż doznał gorącego ze strony publiczności przyjęcia. Ofiarowano mu też niebawem miejsce zaszczytne w teatrze opery wiedeńskiej (Hofoperntheater), gdzie uzupełnił swe muzyczne i dramatyczne wykształcenie pod kierownictwem najsłynniejszych mistrzów tamecznych. Wystąpieniami swemi na wielkiéj scenie wiedeńskiéj zjednał sobie największe powodzenie, wzrastając odtąd nieustannie w poważaniu i sympatyi nietylko u publiczności, lecz i u kolegów, artystów pierwszorzędnych. Od tego czasu nie miał sobie Reichard równego w wykonywaniu melodyj Bethovena i Schuberta, co mu nawet otworzyło salony arystokratyczne. Książę Paweł Esterhazy, którego kaplica słynęła ze zgromadzenia największych w swoim czasie talentów, zaszczycił go tytułem „artiste di camera" i zjednał go sobie do brania udziału we wszystkich produkcyach artystycznych, jakie się odbywały w jego pałacu.

W roku 1846 A. Reichard przedsiębierze pierwszą podróż artystyczną po Niemczech. Występuje w teatrze dworskim w Berlinie, gdzie słynny krytyk Dr. Rellstab przepowiada mu najświetniejszą przyszłość.

W Hannowerze śpiewa z powodzeniem niesłychaném przed królem Ernestem Augustem. Stąd udaje się do Paryża celem słyszenia najsłynninjszych owéj epoki śpiewaków a za powrotem do Wiednia zostaje prawdziwym ulubieńcem publiczności wiedeńskiéj, znawczyni nielada i trudnéj do zadowolenia w owych czasach, a dzienniki stolicy austryackiéj obsypują go literalnie pochwałami. —

W roku 1851 udaje się Reichard do Londynu, gdzie bierze udział w koncertach towarzystwa muzycznego, używającego europejskiéj sławy. Powodzenie jego staje się tak stanowczém, że Towarzystwo to zaproponowało mu warunki zarówno korzystne jak

zaszczytne. Śpiewa na pokojach królowéj Wiktoryi, od któréj otrzymuje najpochlebniejsze pochwały. W sezonie następnym nie masz ani jednego koncertu, w którymby jego imię nie figurowało w programie. Spotyka się tu z Berliozem, którego kompozycye tłumaczy z niezrównanym talentem jednającym mu powszechną sympatyą.

Za powrotem do N i e m i e c występuje Reichard najchlubniéj na wielkiéj scenie hamburskiéj w rolach Fra Diavola, D. Almawiwy, Faminy i wielu innych. I oto doszliśmy do punktu kulminacyjnego karyery Reicharda. W latach 1854, 55, 56, 57 zachwyca on dyletantów najwybredniejszéj publiczności wykonywaniem ról najtrudniejszych. W „Cyruliku Sewilskim“ okazuje się on aktorem pełnym elegancyi i swobody i artystą niezrównanym. Czystością i łatwością śpiewu przypomina najcelniejszych śpiewaków włoskich. Z podobném powodzeniem śpiewa niejednokrotnie partyą Raoula w „Hugenotach“ wlewając w nię potęgę i dźwięk, wywołujące ogólne zachwycenie. Jego organ, przypominający słodyczą i miękkością tonów głos Maria, w akcentach najwyższéj delikatności porywa słuchaczy oddając równie znakomicie polot silniejszy i szeroką deklamacyą lirycznego dramatu. Rola Florestana, nieprzystępna dla pierwszorzędnych tenorów, znajduje w Reichardzie wykonawcę bez współzawodników, jedynie zdolnego odpowiedzieć wymaganiom głębokiéj i silnie wzruszającej muzyki Bethovena. Występuje kolejno w „Lucretia Borgia“, w „Romeo i Julii“, w „Proroku“, „Don Juanie“ etc., a każda z ról wzmiankowanych nowego przysparza mu tryumfu. Mistrz w oratoryach, w oddaniu arcydzieł Haydna, Mendelsohna i Haendla okazuje zawsze świetną szkołę stylu i intelligencyi niezbędnéj przy wykonywaniu arcydzieł sztuki klasycznéj. —

To też wszędzie poszukiwany, doznaje zawsze objawów uznania i podziwu. Dyrektorowie największych scen angielskich poczytują sobie za szczęście, gdy Reichard wystąpić może obok pierwszorzędnych znakomitości ówczesnego świata artystycznego. W „Hugenotach“ śpiewa z Grisim, w „Córce pułku“ Pikoli-

minim; występuje z mistrzami takimi, jak Cruvelli, Alboni i Paulina Viardot, Fornièse, Romeoni i Lablache.

Dziennikarstwo angielskie obsypuje go jednogłośnemi pochwałami, i bez żadnej przesady możnaby tom cały złożyć z pochlebnych artykułów, poświęconych jego sławie w najcelniejszych dziennikach Londynu. Manchesteru, Glasgowa i Edinburga.

Nie dostawało więc jeszcze Reichardowi tylko tego namaszczenia, jakiego udziela jeden Paryż wsławionym artystom. Otóż w roku 1857 przybywa on do stolicy Francyi, a koncert dany w salonach Erarda wystarczył do usprawiedliwienia tego europejskiego rozgłosu, jaki Reicharda poprzedzał. Sędziowie najsurowsi, krytycy najsubtelniejsi, uznają ten rzadki talent, Florentino udziela mu pochwał, Hektor Berlioz, ów wielki Berlioz, odzywa się o nim w tych mniej więcej słowach: „P. Reichard, który tak silne wywarł na umysłach wrażenie tymi dniami w sali Erarda, jest tenorem najczystszej wody; śpiewny, miękki, czuły, sympatyczny, czarujący. Tylko obawa narażenia go na zmęczenie powstrzymuje od domagania się, by nam powtarzał to wszystko, cokolwiek śpiewa."

Czyż można żądać pochwały więcej pochlebnéj z ust takiéj powagi w świecie artystycznym?

Ale Reichard nie był jedynie wykonawcą pierwszorzędnym. Jest on również kompozytorem niepoślednim, twórcą wielu melodyj, słynących we Francyi, Anglii, Niemczech i Polsce. Toż samo, co w śpiewie jego, znajdziesz i w kompozycyach: wdzięk, dystynkcyą, ekspressyą pełną delikatności i ciepła. A przeto można orzec, że trudno o świetniejszą karyerę artystyczną.

Rzadko również dostrzedz w muzyku lub śpiewaku życie chwalebniejsze, od wszelkich zarzutów wolne. Światowym będąc w najlepszem znaczeniu tego wyrazu człowiekiem, Reichard zostawił wszędzie najmilsze po sobie wspomnienia. — Zawsze gotowy do poparcia celów szlachetnych dobroczynności publicznéj, nieraz przyszedł biednym z pomocą. Dosyć tu będzie przytoczyć czego dokonał w Boulogne, gdzie się stale osiedlił, porzuciwszy deski teatralne. W marcu 1868 urządził w tém mieście na instytucyą przytułku

dla biednych koncert, który przyniósł przeszło 2000 franków. W roku 1873 powtórzył to samo na cel podobny i ofiarował miastu 2200 fr. W styczniu 1875 urządzony przezeń na cel dobroczynny koncert przynosi 3500 fr. To téż reprezentacya miejska, odwdzięczając się za filantropią Reichardowi, nadała utworzonéj z rzeczonego dochodu fundacyi nazwę „Fundation Reichard" Nareszcie w maju 1878 zajął się Reichard urządzeniem wielkiego wieczoru muzykalnego na dochód domu przytułku dla biednych w Boulogne, i tym razem przeszło 12.000 franków wpłynęło na ulżenie doli biednych.

Z tego wszystkiego widać, że Reichard umie bardzo dobrze użyć swego talentu i tego wpływu, jaki mu zapewniła jego zasłużona sława, że umie „połączyć nadobne z pożytecznem" (miscere utile dulci) na drugich nie na swoją wyłączną korzyść. Nie jest to tylko wielki artysta, ale oraz szlachetny i zacny człowiek. Przyznają mu to jednozgodnie mieszkańcy miasta Boulogne sur Mer, gdzie obecnie mieszka, pracując dla sztuki, jako prezes towarzystwa muzycznego, któremu zapewnił powodzenie, zebrawszy dostateczne dlań fundusze i zjednawszy mu sławę a przedewszystkiem wlawszy weń ożywcze ciepło życie.

Melodye jego serdeczne, urocze, dużo polskiéj tkliwości i elegijności mające, jak n. p. owa piosnka „Znam oczko ja!" (Ich kenn' ein Aug') rozbrzmiewają po salonach całéj Polski, choć może nie wszyscy znają ich autora, a mało kto zna jego żywot. Podajemy tu w przekładzie polskim Fr. Habury piosnkę angielskiego poety Campbella p. t. Prośba miłości, do której Reichard śliczną dorobił melodyą. —

F. H.

PROŚBA MIŁOŚCI.

(Lovės Request — Campbell Clarke Esq.muz. Aleks. Reicharda.)

Na dworze liście szeleści,
Wiatr wieczorny pieści je,
A ty nie szczędzisz boleści,
A Ty chcesz pożegnać mnie?!....
Zostań tu, aniele mój,
Wszak w mojem sercu prawdziwy raj Twój!

Ja Cię kochałem statecznie,
Nigdym nie zasmucił Cię,
Ty mi dłoń ściskasz serdecznie
I gorącą ronisz łzę.
Nie płacz, nie, aniele mój,
Bo w mojem sercu prawdziwy raj Twój!

O tam w zimnėj świata sferze
Ludzie nie tak dobrzy są,
Ja dla Ciebie mam w ofierze
Całe życie i krew mą.
Zostań tu, aniele mój,
Bo w mojem sercu prawdziwy raj Twój!

Tarnów, dnia 22. października 1883.

F. H.

MYŚLI

NA WIDOK OBRAZU H. SIEMIRADZKIEGO

p. t. Pochodnie Nerona.

Kłamią, co mówią, że umarły Lachy,
Że Polska w dziejach na zawsze zginęła,
Skoro ma syny, których arcydzieła
Piętrzą się w niebo, jak piramid gmachy;
Skoro ma mistrzów co jéj chwałę pieją,
Przed całym światem Sztuki świętą mową,
A narodowi dają broń duchową,
Krzepiąc go lepszych przeznaczeń nadzieją.

Umiera — w kim się serce zestarzało,
W kim myśl z próżniactwa nudów zdziecinniała,
Choćby mu cała ziemia hołdowała
I morze skarby pereł dlań wylało.
Bo z braku ducha w zwierzę się przemienia,
I traci z oczu gwiazdę przeznaczenia.
Tak światowładna za czasów Nerona
Roma, choć dzierży i lądy i morze,
I wszystkie ludy wzięła na obrożę,
Na złotolitym tronie z nudów kona:
Uczucie ludzkie w piersi jéj skonało,
W mózgu jéj cmętarz po myśli pogrzebie,
W zwierzę ją dzikie przemieniło ciało,
Więc wyrok śmierci wydała na siebie.
Spłoszone łuną pochodni Cezara
Wszystkie ją stare bogi opuszczają,

Za zabój życia idzie śmierci kara:
Bo te pochodnie żywe przyświecają
Jej pogrzebowi. Z pochodni wylata
Duch, co ma stworzyć nową postać świata,
I myśl obudzić w człowieku uśpioną
I serce wyrwać ze zwierzęcych kałów,
Myśli pokazac prawdę utajoną,
Sercu zapalić gwiazdy ideałów.

Naród, którego myśli żyżne plony
Mędrcy chowają w niepożyte księgi.
Naród, którego czuciem ożywiają
Sztukmistrze kamień, farbę, słowo tony,
Choć go Nerony na pale wbijają,
Nie stracił jeszcze duchowej potęgi,
Nie umarł; — żyje na państwa mogile,
I wstanie kiedyś w Tytanowéj sile,
A blaski ducha bić mu będą z czoła,
— I będzie widno narodom .... dokoła.

Tarnów, dnia 31. marca 1878.

F. K.

WĘDROWIEC.

(Fantazmat.)

Góry, z jednej strony okolica odkryta w dal na równiny poprzerzynane lśniącemi strumieniami i okryte pasmami sinych lasów; z drugiej pas co raz wyżej piętrzących się gór, na których sosny i świerki malowniczo porozrzucane; wyżej — pojedyńczo między nagiemi skałami, dalej to w małych grupach, to rozścielają się lasem na podnóże; — niektóre z gór śnieżnemi szczytami zlewają się z niebem, Na stoku jednej góry prawie pod wiszarem przy małej polance góralska chatka otoczona drzewami i roślinami, obok niej ruczajek.

Dzień na schyłku. — Na przyźbie chaty siedzi odpoczywający po pracy starzec, obok niego na ziemi bawią się dzieci. Na drodze ze strony nizin na zakręcie koło chatki wychodzi wędrowiec posępny i zamyślony; na widok jego dzieci pierzchają do chatki, lecz wędrowiec mija ją i wyżej o staję zatrzymuje się przy urwisku skały, spojrzawszy na słońce zwraca się w stronę nizin, patrzy się chwilkę, i półgłosem mówi:

— Żegnaj mi, luba wiosko! tu na tej rozstani,
Nim góry mi zasłonią cię w błękitnej dali; —
Żegnaj wiosko szczęśliwa... serce mi się żali,
I tęskno mi że nigdy do ciebie nie wrócę,
I żałośno, że wszystko wraz z tobą porzucę,
Prócz boleści, prócz skargi, co mi serce zrani
A ludzi poodstrasza by upiora twarzą....

Czemuż twego spokoju nie można na drogę
Wziąć ze sobą, gdy w świecie tak pierś każdą rażą...,.
Ludzie smutku nie lubią, ja śmiać się nie mogę,
Nie mogę się oddrętwieć by się stać szydercą,
I sobie i wszystkiemu wiecznym być bluźniercą,
Czemuż wiosko, o czemuż? choć twoim pokojem
Nie oblekę, mej duszy cierpieć zniewolonej —
Nie okryję mej piersi ciosem narażonej?
Lub gdy wszystko zataję na obliczu mojem,
Co w duszy i co w serca głębi się odbywa;
Nie zataję w pokoju co mi pierś rozrywa,
Nie zataję jednego uczucia, co boli,
Co nie mówiąc, nie płacząc skarzy się swej doli.

— Gwiazdy! słońce i kwiaty! pożyczcie języka,'
I jak niegdyś wy do mnie, dzisiaj mówcie za mnie,
By nikt myśli przeniknąć, ani ująć treści,
Ani w czem się domyśleć mógł jęku boleści,
Tylko słuchać i uczuć jak weń czucie wnika
I nie wiedzieć, czy boleć, czy co kochać dla mnie,
I nie wiedzieć zkąd płyną, z duszy czyli z serca
Słowa, których tknąć nie śmie mędrzec ni szyderca...

Bo jak promień słoneczny, co się w świat tęczami
Rozrzuca, aż się w nicość rozmgławi w eterze,
Chciałbym rzucić się w tęczę jak on nie ujęty
I nie spotkać się z żadnym bratnim mi promieniem,
Lecz obwinąć się w sferach Saturna pierścieniem,
I zarzucić mą pamięć poza firmamenty,
By jej nikt nie dogonił nawet wspomnieniami.
I nie wiem, czy szaleństwo czy rozpacz mię bierze —
Lecz mi spieszno, to życie przebiedz jak najchyżej,
Byle być zapomnienia grobowego bliżej!

Jakoż duch mój bezwładny ledwie świadom siebie,
Ledwie świadom że gwiazdom istnienie jest w niebie,
Niemal że nie w rozpaczy, że nigdy nie zginie,
Choćby w większej niż dzisiaj cierpienia był sferze.
I coś co jest w mym duchu jak iskra trawiąca
Tylko dalej i dalej goni mię do końca;
Że w obłędzie me życie czy leci czy płynie,
Czy wiruje na głębiach czy się w głębiach nurza,

Rozmija się z swym celem lub go samo zburza;
Że nie wiem — nie wiem nawet, czy mam ufać wierze,
Czy te żółte narcyzy co pod śniegiem rosną,
Okazały mi kolor zdrady z pierwszą wiosną...

Bo mi żal jakiś w sercu do ludzi, do braci
Budzi smętne wspomnienie co mnie gniewem pali,
Wywołuje z pamięci ich lube postacie,
Co się każda wzajemnie również na mnie żali;
A ja jako duch jaki co w zaduszne modły
Słucha niesprawiedliwie w hymnach modłów skargi —
I nie może wyrzucić słów z gniewliwej wargi
Do tych, co go tu płaczą lecz tutaj zawiodły;
Zawiodły kędy nocy grobowej ciemnice —
I nieboskłony zdjęły gdzie są w tajemnice.
I jako duch co celu postradał widzenie
I gniewny że rozprószyć nie ma mocy cienie,
Wśród tęsknoty i wspomnień i cierpień pomroku,
Napróżno szuka złotej gwiazdki na obłoku. —
Napróżno chce z przeszłości grobem spopielałej
W bycie swoim żałobnym choćby iskry małej;
I gubi się szukając wśród cieniów przyczyny
Tej w przeszłości najmniejszej z popiołów drobiny...

. . . .

— Kędyż gwiazda co wiodła do przystani ducha?
Czy zagasła na niebie, gdy zbłądziłem z drogi?
Wszakżem modlił się przecie, wszak kościelne progi
Piersi mojej żar czuły, co dziś jeszcze bucha....
Co słowik niedośpiewał, kończyłem hymnami,
Że i ludzie wiedzieli, żem żył z aniołami....
Żem mógł ufać; tak jasne były wiary godła,
Tak gorącem uczuciem serce się paliło; —
Jednak — jednak myśl błędna serce mi uwiodła
I niebo się spokojne nagle zachmurzyło
I porwał mię wir jakiś — co się dolą zowie —
Ani spocząć duchowi — ani spocząć głowie....
Lecz ja się uniewinniać nie będę z mej doli,
Nie będę skarżyć nieba że mię opuściło,
Wszak mnie każdy zrozumie gdy jak ja zaboli....
A niebo się przedemną wiecznością okryło.

I gdy mi ztamtąd gwiazda promieniem wystrzeli—
O! to jeszcze zazdrościć będą mi anieli!

— Nie mnie badać przyczyny kiedy mam nadzieje —
Czemu gwiazdy są bledsze gdy lazur ciemnieje;
Czemu się bez przyczyny wątek zdarzeń zrywa?
Kiedy serce jest czyste a dusza szczęśliwa;
Bo sądy orzeczenie swe mają na tronie,
Skarg tak wiele więc swoją topię w własnem łonie.
— Skarg tak wiele, lecz moją czyż rzucę na kogo?
Chociaż prawo w mej duszy i piorun mam na to; —
Wszak nie miecza miłości wyszedłem w świat drogą?...
I siebie nie obwinię, bo nie skłamię sobie....
Lecz cierpienie mi piersi rozsadza wulkanem...
Tak że dla mnie i w niebie purpurą oblanem
Słońce, co innym barwy roztacza bogato
Świeci, jakoby lampa gdzieś na cudzym grobie;
Że nie mogę ja na jaw serce me wyświecić,
Lecz z ukrytą boleścią jakoby w noc lecieć. —
Lecz cierpienie mi piersi wulkanem rozsadza,
I żalem powściągana przeklinania władza...

(Zamyśla się. Po chwili.)

— Powiedz mi druhu bratni, czemuż ty mię — czemu?
Z złocistych chmur na niebie na ziemię ściągnąłeś?
Czemuż odemnie ich śnieżność nie wziąłeś,
A dałeś mi garść prochu, co kurhan opyla...,
Wszak do ziemi należyć ja wcale nie mogę,
A w niebie zatraciłem ślady gwiazd i drogę.
A chociaż nieraz skrzydło moje się wysila,
Nie lecieć mi w błękity życiem związanemu —
Nie śpiewać mi już hymnów, tylko gdzieś na grobie
Jęczyć psalmy pokutne i klęczyć w żałobie;
I żalić się przeszłości, — nie skarżąc się o nic —
Resztą życia miłości, resztą wiary płonic...*)

A ty! coś się aniołem okazać mi chciała,

---

*) Płonienie, płonice — rzeczownik.

Żal się, żal, moja miła! bo jam ci stracony;
A nie roś łez, choć rosa gdzieś w chmury wzleciała,
Nie operli paproci, róż nie zwilży tobie —
Że się kwiatów twych w słońcu ulotni zarzącem
Woń i pierś twą ochłodzisz chyba na mym grobie; —
Gdy jesień tłumiąc mgłami rozkrzyczane dzwony,
Z za mgieł ukaże słońce tak blade jak wtedy,
Gdym pierwiosnek ogrzewał na łonie gorącem,
I szeptałem: miej ufność; wszakże może kiedy
Szczęsny czas się uśmiechnie, bo tych uczuć trocha
I niebo pozazdrości widząc — jak człek kocha. —

— Czemuż do mnie z oddali wyciągacie ręce?
Sercu bliskie istoty lecz dalekie duszy,
Obce gdy od was bratniej dłoni zażądałem;
Jam u was ciernie zbierał i nic a nic więcej,
A jeślim uszczknął różę, to kroplę krwi dałem; —
Więc poszedłem gdzie zimne serce ogień głuszy,
Gdzie jak w bezdni ginącej nikt nie zna ofiary,
I niebo zapomina zaprzysięgłej kary. —
Ja u ognisk domowych nie czerpałem ciepła.
Chociaż serce płonęło lecz krew we mnie krzepła.
A losy mię ciskały paląc wstydem lica,
Gdzie obce płyną zdroje, aby w zapomnieniu
Wybielić mi ideał, który zszarzał w cieniu.
Bom urodził się karę wypełnić rodzica!....
Żegnajcie mi! już z wami mej duszy nie dzielę,
Idę gdzie się kwiatami gwiazdom droga ściele. . . .

— Choć zadrżała mi ręka gdym brał kostur w dłonie,
Choć zadrżało mi serce żegnać swoje słońce —
Kwiaty więdły przedemną, złociło się błonie,
Lecz szał zmroczył mi oczy że gwiazdy gasnące
Mówiły mi że nadto było zapomnienia:
Że nadto krwi rozwrzałej i życia płomienia,
Że one tak spokojne nad przestrzenią siną
Promienieją jak duchy co nad niemi płyną.

Jam przepomniał natchnienia: bo noc smutku ciemna
Niepokojem ujęła tęskne serce moje;
A niepokój rozpalił myśli strasznym żarem,

Że jak chorym mnie każda rzecz była ciężarem:
I potrzebną mi była jakaś pomoc ziemna,
Żem zstąpił tam gdzie gminnych pszczół pracują roje,
Lecz miododajne kwiaty gorycz z siebie rodzą,
Bo w kielichy ich dawno krople dżdżu nie schodzą.

(zbliża się starzec).

— Jakiś starzec się zbliża, spytać go potrzeba,
Kędy szukać napoju, co spokojem chłodzi?...

Starzec.

Z Bogiem witaj wędrowcze!— Zkądże aść przychodzi?

Wędrowiec.

Pytaj raczej gdzie idę?...

Starzec..

Lepiej wiedzą nieba,
Nam nie badać, gdzie one ludzi i świat wiodą.
Czemże mogę ci służyć?

Wędrowiec.

Jakoś tu miejscowy
Powiedz gdzie w okolicy napój jest miodowy,
Co jak snem uspokaja, a rzeźwi jak wodą,
A nie wichrzy w mózgowni....

Starzec.

To co jest na niebie,
Nie mogę ci pokazać w żadnej okolicy.
A choć wiek mój nie jednej świadkiem tajemnicy,
Nie jednej rany czasu oglądał oczami,
To wiem: — niebo się zawsze okupuje łzami,
Więc nic oprócz nadziei, nic nie ma dla ciebie;
A jeśli ta ci siły nie może użyczyć,
Bez niej nawet od obcych słońc światła pożyczyć.

Nie można bardziej jeszcze im skalistsza droga,
Im wyższa jest wysokość wieku iść do Boga, —
Zstąp więc gdzie smutnych mogił ścielą się doliny,
A jeśli z owej trumien posępnej krainy
Do twojej smętnej duszy lekki uśmiech ciszy
Nie wejdzie niespokojne serce ukołysać,
Rady nie mam dla ciebie na błękitnych górach.

Wędrowiec.

Starcze! tylko ustałem: małom latał w chmurach,
Lecz każden krok na ziemi musiałem opisać;
I stóp moich gorącem ta piędź ziemi dyszy,
Po której jam się wspinał na tę wyż olbrzymią,
Pod którą wieki wszystkie skamieniałe drzymią.
Tylko tylko ustałem z cierpień własnych wielu.
Pokaż mi źródło jakie, gdzie nogi spuchnięte
Obmyję z czarnej ziemi, co mi w ciało wrosła
I odwilżę me usta i piersi zaschnięte,
By mię dola rzeźwiejszym w dalszą drogę niosła.....
Choćby już bez wytchnienia do samego celu.

Starzec.

Jeśli źródło słodyczy może w sercu własnem
Wyschnąć, wtedy napróżno szukać źródeł w świecie,
Bo i to co początek swój ma w niebie jasnem,
Tylko w życie się ludzkie przesącza przez ludzi.
Lecz nie wtedy gdy doli poddać się jak dziecię
I płakać na cierpienie, że tak piersi trudzi
Człek zmuszony, co z ducha najwyższem znamieniem
Wolną wolą się rozstał: tylko tem cierpieniem
Co wewnętrznej ze światem walki jest wypływem.
— O! wędrowcze! co powiem nie będzie ci dziwem,
Nie jeden z was młodzieży szedł w światy idei
I przez mój kraj doświadczeń który zwą mądrością,
Przechodził zamiast silny pozbawion nadziei;
I nim doszedł gdzie drogi życia są twórczością,
Znalazł przepaść, nad którą zapragnął pokoju,
I szczęśliw był, gdy nad nią mógł usnąć ze znoju,
I szczęśliw był, gdy nad nią zawisnął w uśpieniu,
Zostawiwszy cel życia młodości marzeniu;

Szczęśliw, że nie umiejąc cierpieć zrzekł się lotu,
Chociaż wtedy gdy życie wzbroniło powrotu,...
O! wędrowcze! najwyższym niebios upominkiem
Lecz po walki przybyciu — cierpień i zwycięztwie,
Pan Bóg duchów wybranych darzy odpoczynkiem. —
A dziś krzep się, jeżeli możesz w własnem męztwie.

Wędrowiec.

— Więc nie ma pokrzepienia? — Starcze! zerwę
z dolą,
A choć serce mię boli — chociaż nogi bolą,
Zanim słońce krąg złoty za górę zatoczy,
Lub stanę na jej szczycie lub gdy mrok zapadnie,
Mnie nie będzie — zmów pacierz....

Starzec.

Tam przejść nie tak snadnie,
Drogi nie znasz, a skały z przed nóg w przepaść lecą...

Wędrowiec.

Zmówisz pacierz za duszę... żegnaj... ideały,
Starość szybko obleka jako śnieg te góry,
Choć dolinom wiosenne śmieją się lazury,
Żegnaj... idę, nie wracam... ty obłamów skały
Uważaj, a jak z otchłań mocniej jęki wzlecą...
Wiesz resztę, głaz nie jęczy.... a spieszyć się muszę,
Choćby niebios wyrokiem było zgubić duszę....
— Czekaj, zamilcz te słowa, powiedz że księżyce
Odwróciły od słońca swoje blade lice,
I nie widzą gdzie władza prawem wiąże krańce
I zagasły i świecą jak jakie kagańce,
Co migocą gdzieś w karczmie, gdy żyd lichwiarz liczy
Niecne zyski i myśli o nowej zdobyczy.

(Odchodzi.)

Starzec (po długiem milczeniu.)

— O! czemuż dobra wiara wiedzie na bezdroże?

Czemu miłość swym ogniem przyświecać nie może?...

(Słychać huk spadających w przepaść skał.)

Mocny Boże zachowaj! przebacz młodzieńcowi,
Choćby był w obec Ciebie na chwilę zuchwałym,
To serce w nim zgrzeszyło przeciwko duchowi.

(Wpatruje się w góry, w dali na jednej z nich zarysowuje się postać człowieka.)

Szczęśliwy!

(Z chatki wybiegają dzieci i okrążają starca.)

Dzieci.

Dziadziu! dziadziu! co to był za jeden,
Dziadzio mówi szczęśliwy, a on taki bieden.
Czy on zwie się szczęśliwy?

Starzec.

On jest nieszczęśliwy!

Dzieci.

— Cóż mu takiego? Ojciec odumarł go małym,
Czy jak my nie ma mamy? Biedny, biedny człowiek,
Choć się zowie szczęśliwy; — tak mu łzy z pod powiek
Błyszczą; co dziadziu prawda to nieszczęsny człowiek?

Starzec.

Tak. Nieszczęsny że poszedł, że przeszedł szczęśliwy! —

Lwów 15. marca 1881.

Jan Narcyz Daszkiewicz.

ŻOŁNIERZ.

Hejże! koniu — szybciej — bliżej!
Jeszcze tylko staje kilka!
Hej karoszu! chyżej! chyżej!
Odpoczniemy.... jeszcze chwilka....
Dwa dni pędzę — już tak blisko,
Wnet nam skrzypną rade wrota,
I zaszczeka znane psisko —
Klaśnie w dłonie dziewa złota.
Cóż to księżyc już zachodzi?
Czy zbłądziłem? — Och! niestety!
Czy mię obłęd jakiś zwodzi....
Z szubienicznych drzew pikiety,
Na nich trupy rozwieszone
Przed rogatką wiejską stoją:
— Matko Boska! weź w obronę,
Bo mi djablo biesy broją!
— Cóż to wioska ma rodzinna?....
Kędyż domek mojej matki?
— Ach! to wioska jakaś inna,
Nie znajduję naszej chatki!
Co? tu gruzy? a tam zgliszcze?
Tam topole porąbane?...
Jakoś dziko wiater świszcze,
To pustkowie mi nieznane....
— Co to było? hejże koniu!
Lećmy jeszcze do kościoła!...
— Na wyniosłem stoi błoniu!...
— Co? ten kościół nasz jest zgoła?
Coś jęknęło? Święty Boże!...
Jakże strasznie echo niesie!
Czy to jaki upior może?
Czy to sowa huczy w lesie?
Co!... czy sen mi klei oczy,
Nic nie widzę coraz ciemno;
Stój, mój koniu! coś mię mroczy....
Coraz smutniej, straszniej ze mną....

Ha! tu ludzie już pomarli,
Mnie jednego brakowało....
— Widzę jeszcze tu się zwarli
Ludzkie trupy... co się stało!...
Coraz ciemniej — ha! rozpaczy...
Krew się we mnie lodem ścina....
Koniu kary! co to znaczy?
Drżysz? — do ziemi coś cię zgina...,
Wiater wyje, o! na Boga!
Pieśń żałoby lasek szumi,
W oczach ciemniej... dolo sroga,
Krew się wszystka w sercu tłumi....
— I koń pada — i ja spadłem,
Co? koń kona: — boli serce....
— Między własnem ginę stadłem
Lecz wpierw byli tu morderce.
Już przekraczam urlop dany,
Wrócę chyba wieczność minie...,
Pułkowniku mój kochany!
Niech ci wszystko szczęściem płynie...

1881.

Jan Narcyz Daszkiewicz.

W dzień komunii.

Uczucie Bożej miłości!
Wznieś, o! wznieś słabe me serce,
Niech całe światów jestności
Stleją w twej jednej iskierce,
A ogniem niebios obszary
Spłoną dla Bożej ofiary.
Prawico Boskiej potęgi!
Ja Tobie światła pochodnie
W błyskawic jarzące wstęgi,

Co spalą wszystkie wnet zbrodnie,
Przez Cię w mej duszy rozniecę,
Płomieniem ku Tobie wzlecę,
Uczucia skrzydły rączemi
Przebiegnę świata krainy,
I miejsca święte — świętemi,
Strzeżone przez Cherubiny
Przelecę czuciem miłości
I zniknę u stóp Boskości.

1876.

Jan Narcyz Daszkiewicz

Do orła.

Orle Polski! orle biały!
Któż ci rozdarł szpony?
Kraj nasz polski! kraj nasz cały
Zbity, okrwawiony. . . .
Któż ci strącił jabłko złote?
Kto twe berło skruszył?
Kto w twe serce wlał sromotę?
Piekło na cię wzruszył?
Jasne niebo na pytania
Czarna chmura plami,
I odpowiedź mi wyłania:
„Ach! polacy sami!

1873.

Jan Narcyz Daszkiewicz.

Na carskim dworze.*)

Jakiż to śmiech i gwar,
Wesołe brzmią okrzyki!
Wiwaty z pełnych czar,
Radości zamęt dziki! —
Rycerze pośród dam
Ochocze wiodą tany,
Jednak nie świeci tam
Nadziei blask różany! —
Bo chociaż głośny śmiech
Po sali brzmi balowej,
Znać podłej zdrady grzech
I krople krwi różowej.
Ochoczych tonów dźwięk,
A krew im krzepnie lodem,
Wśród pieśni niby jęk
Grobowym wieje chłodem!
Północy biały car
Dla wiernych dzisiaj czuły,
Bogaty niesie dar —
Nadaje chrest — tytuły!
Jak fale złotych zbóż
Poddani chylą skronie!
Szkarłatnych wieńce róż
Cudowne niosą wonie!
Choć to radości dzień,
Choć chrest dostali w darze,
Bojaźni blady cień
Padł na dworaków twarze. —
Bo car północnych stref,
Jakkolwiek dziś łaskawy,
Na czole widny gniew
I srogość znać z postawy.—

*) Epizod powieściowy „Wakacje,“ tak samo jak i wiersze szanownej autorki, chociaż po raz pierwszy okazują się w druku nie wymagają jednak osobnego polecenia, ani komentarza.
(Przyp. red.)

Nie dość mu jeszcze krwi,
Co z polskiej wypił ziemi,
O nowych laurach śni —
Chce skroń uwieńczyć niemi!
I zwraca biały car
Swe myśli na południe,
Gdzie słońca skwarny żar,
Granaty kwitną cudnie!
I swej potęgi moc
Pokazać pragnie światu!
Niewoli zanieść noc
W słoneczny kraj granatu.
Jakiż to śmiech i gwar!
Wesołe brzmią okrzyki —
Wiwaty z pełnych czar,
W umysłach zamęt dziki.—

Janina Antonowiczówna.

Do moich koleżanek.

Duch świetlany, duch uroczy
Z niebieskawych spływa fal —
Jasny — czysty wzór przezroczy,
Myśli wiedzie w dal!
Gwarzym teraz tak radośnie
O cnych przodkach, o ich sławie,
O nadziejach i o wiośnie,
Ziemia niebem dla nas prawie!
Czasem łezka cicha spłynie,
Czasem srebrny śmiech zadźwięczy,
Miłość serca czarem płynie,
Miłość wiedzie w kraje tęczy!
Wszystkie wspólne nasze cele
Jednakowy węzeł splata;

J e d n o wszystkim nam wesele,
J e d n a boleść nas ugniata.
Z wiarą w duszy byle wyżej —
Oto nasze życia hasło!
Byle Boga dojrzeć bliżej;
By nam ś w i a t ł o nie zagasło!

Janina Antonowiczówna.

WAKACJE

urywek z życia marzycielki,

nakreśliła

Janina Antonowiczówna.

WSTĘP.

Święć się, święć się, wieku młody!
Śnie na kwiatach — śnie, mój złoty,
Ideale wiary, cnoty —
I miłości — i swobody!
Bohdan Zaleski.

Nieraz już zdarzało mi się czytać — częściej słyszeć, że najściślejsze, najprawdziwsze przyjaźni zawiązują się na ławie szkolnej i trwają długie, długie lata — wytrzymując wszelkie próby, wszelkie przejścia w życiu. Nie mam zamiaru zbijać, ani podawać w wątpliwość tego twierdzenia — bo prawdziwość jego, nadto wiele innych, szczęśliwszych w tej mierze odemnie własnem doświadczeniem udowodnić może. O sobie powiedzieć mogę tylko tyle, iż znalazłam koleżankę życzliwą, z którą dotąd jeszcze dosyć często listy wymieniam i od czasu do czasu się widuję. Kochamy się bardzo, wspominamy mile ubiegłe lata, tęsknimy za sobą na-

wet — ale mimo to — łączącemu nas związkowi nadać nie mogę miana przyjaźni. O przyjaźni takie mam wysokie wyobrażenie, że spodziewam się, Marcelko kochana! nie pogniewasz się na mnie, czytając te wyrazy, iż cię nazwałam koleżanką. — Uczucia nasze zbyt słabe, a ustawiczny rozdział jeszcze je więcej osłabia. Być może iż w przyszłości — jeżeli zbliżymy się do siebie, czego bardzo pragnę, na podstawie dotychczasowej serdecznej sympatyi, wykwitnie dla nas purpurowy kwiat szczerej, prawdziwej przyjaźni. Lecz nie zawsze umiałam tak jak dziś rozumować i nad usposobieniem swem dla kogoś dokładnie się zastanawiać. Nie zawsze miałam takie wyidealizowane pojęcie o przyjaźni. Lada ściślejszy związek koleżeński, lada serdeczniejsza rozmowa, lada poufalsze zwierzenie, a już sądziłam, że mam przyjaciółkę. I nieraz też czułam się boleśnie rozczarowaną, gorącemi łzami oblewałam utratę każdej takiej mniemanej przyjaźni, opłakiwałam ją łzami młodości. postanawiałam uroczyście nie zaprzyjaźniać się i nie wywnętrzać więcej — ale postanawiałam na to tylko, aby wkrótce znowu to samo uczynić, pokochać jeszcze silniej, wywnętrzyć się szczerzej i płakać potem boleśniej.

Dziś już tego postanawiać nie potrzebuję, ażeby się zbytniej nie oddać ufności. Doświadczenie — prawda życiowa — jak cień szary ustawicznie idzie za nami i zwolna krok w krok postępuje. A skoro kwiat jaki wykwitnie, łamie go i rzuca zwiędły pod nogi — skoro kłos pełny się ukaże, ścina i rzuca przed oczy, byśmy lepiej jeszcze zawiedzionym nadziejom naszym przypatrzeć się mogli. Aż znużeni stajemy! Oglądamy się dokoła — za nami puste ściernisko, nad nami chmury, przed nami grób! —

Niedawno znalazłam zwój listów, związanych niebieską wstążką — lecz listy pożółkły a wstążka wypełzła. Pierwotną jej barwę rozpoznałam tylko w tem miejscu, gdzie w węzeł była splątaną — podobnie jak niejedna mniemana przyjaźń moja wybladła, a resztki tej barwy — to jak resztki pozostałych wspomnień, co migają się w duszy i błądzą czasami jak zwodnicze blaski nocnego świetlika, błędne jak one, i zimne jak one.

Rozwinęłam je i zaczęłam czytać, a im więcej czytałam, tem więcej mi się podobały; ozwały się dawne wspomnienia, a taka woń się z nich roztaczała poezji, takie prawdziwie młodzieńcze złudzenia, że zapragnęłam, luźne te kartki oprawić w ramy powieści. Listy te pisała koleżanka moja pod wrażeniem rzeczywistości przed 17 laty — dla tego tyle w nich prawdy i uczucia. Prosiłam ją, by mi pozwoliła, niektóre przynajmniej zamieścić w całość, ale odpowiedziała mi, iż jest to niemożebnem ze względu na jej obecne stosunki. Imiona osób i nazwy miejscowości zostały zmienione, bo nie chciała, aby mąż jej kiedykolwiek się dowiedział, że to ona jest bohaterką tej powieści.

Zastosowałam się więc do jej życzenia i nadałam tym listom inną cokolwiek formę, zachowując tylko w zupełności ich treść pierwotną.

Czortków dnia 3. maja 1883.

Janina Antonowiczówna.

10. lipca 1866 r.

Wyobraź sobie więźnia skazanego niewinnie na długie lata, więźnia męczennika, skutego łańcuchem i rzuconego na wilgotną garstkę słomy w celi ciemnej, zimnej, samotnej jak grób. W dzień tylko o południu zaglądało doń przez maleńką szybkę wysoko w ścianie umieszczoną, blade światełko i wpadała wiązka słonecznych promieni, co złotem się rozsypywały po przeciwległej ścianie i odbijały w kroplach zebranej wody, ściekającej z muru na ziemię. I w noc pogodną dojrzał czasem ów więzień brzeg tarczy księżycowej a nawet kilka gwiazdek naliczył przez okratowane okienko więziennej swej celi. Ale więcej dni było szarych i pochmurnych aniżeli pogodnych, a wtedy ciemniej jeszcze było i samotniej i straszniej w duszy nieszczęśliwego więźnia. A ileż to było nocy jesiennych — szum wichru podwajał grozę samotnej boleści a deszcz tłukł grubemi kroplami o szybkę okienka. Więzień siedział na wiązce słomy, o mur oparty i dumał, i

słuchał tej burzy jesiennej i brzęku łańcuchów i wewnętrznej burzy swych myśli. Wyobraź sobie, gdyby kto do takiej celi męczennika wszedł z archanielskiem zwiastowaniem wolności. Jakie uczucia musiałyby wstrząsnąć jego duszą, zanim zdołałby objąć myślą te słowa: „jesteś wolnym!"

W podobnem ja się znachodzę położeniu. Rok cały byłam więźniem pracy żmudnej i ciężkiej, najprzykrzejszych stosunków, rozlicznych kłopotów i fatalnych okoliczności. Dusza moja pełna zapału rwała się ku ludziom, ku nowym stosunkom, tymczasem ciasna sfera formułek towarzyskich krępowała wszelkie objawy myśli, wszelkie szczersze wynurzania w powijaki bezwładności. Często wchodząc w liczniejsze towarzystwo z nadzieją miłego przepędzenia kilku godzin na rozumnej i dowcipnej pogadance, zwolna pod wpływem oziębiającej i dusznej atmosfery całego zebrania sztywniałam coraz bardziej — lodowaciałam dochodząc aż do nieczułości automatu, — do stanu zupełnej bezmyślności, niby do jakiegoś odrętwienia moralnego.

Całe dnie schodziły mi na licznych zajęciach poza domem. Miałam kilka godzin w szkole i kilka lekcyi prywatnych, chwili prawie wolnej nie było i dopiero wieczorem uśmiechały mi się i to nie zawsze lube godziny samotnego czytania. Czytałam też mnóstwo dzieł rozmaitej treści. Były między niemi dzieła poważne i lekkie — rozprawy, krytyki, biografie, poezje i powieści. Najwięcej oddawałam się klasycznej literaturze niemieckiej — ale i tu mi zabrakło żywego słowa, zabrakło doraźnej wymiany myśli i poglądów, bo zanim zdołałam się zabrać do pisania, by myśl moją i słowo opisać, już z myśli tej pierwotnie pięknej i plastycznej, ciało opadło, duch znikł ożywczy i zostawał nędzny szkielet, który ci zwykle dopiero przesłać mogłam. Nie zawsze możemy pisać, a wszystkiego coby się dało, powiedzieć niepodobna.

Towarzystwo tu dziwnie dobrane, a charakteryzuje się ogólnym brakiem wykształcenia i dobrego wychowania nawet. Rozmowa toczy się zwykle ubitym gościńcem około jałowych i pospolitych wydarzeń codziennego życia. Kobiety strojne fałszywym aksamitem i pozłacanemi blaszkami i łańcuszkami, tem

łacniej wynachodziły we mnie mnóstwo wad i przywar rozmaitych, im więcej na pstrem tle tej mięszaniny odbijałam postacią, ułożeniem i całym trybem życia. Suknia moja czarna i chmurne oblicze odstraszały odemnie te muzy dobrego humoru i wesołości. Im więcej się zaś zbliżałam do nich, chcąc się dostroić do ogólnej harmonii, tem mniej mi się to udawało. Każde odezwanie się moje tłumaczono fałszywie, brano za chęć popisania się lub złośliwy docinek. Ganiono ruchy jako zbyt energiczne, chód nazwano szyderczo majestatycznym, a zamiłowanie w naukach próżniactwem. Bo i jakże nazwać pracą — zajęcie nie wymagające szczotki lub żelazka — jak nazwać osobą pracowitą — tę, która nigdy nie robiła ani jednej wstawki szydełkiem, nie wyhaftowała ani jednego kołnierzyka i nie narzekała na ustawiczną pracę; wszakże o pracy ducha „poczciwe" — w swym małomiejskim trybie życia i sposobie wychowania nie tylko nic nie wiedziały, ale nie przeczuwały nawet, iż takowa istnieje i że potęgą swą pochłania siły fizyczne w nierównie wyższym stopniu, aniżeli ich całodzienna krętanina. A ręce moje białe i delikatne — iluż to szyderstw były powodem! Ileż to razy pokazywano mi ręce zaniedbane i niezgrabne, z nieczystemi paznogciami i popiekanemi przez niezręczność palcami, jako wymowne świadectwo mozolnej pracy ku zawstydzeniu mego próżniactwa.

Szydercze miano literatki obijało się o me uszy tysiąckrotnie — zdawało mi się, że wszystkie ściany echem je powtarzają. Zaczęłam coraz bardziej unikać towarzystwa, chroniłam się do samotności — do mych książek poczciwych, co balsam pociechy wlewały w utrapiony mój umysł.

Okropne też było moje otoczenie. Jedno okno mojego pokoiku wychodziło na ulicę, o którą przypierał z jednej strony nasz ogródek, a z przeciwległej strony większy ogród, należący do najbliższych naszych sąsiadów. Lubiłam nieraz otwierać to okno i bawić oko widokiem kwiecia i dziatwy igrającej w ogrodzie — ale niestety! — z wiatrem na falach powietrznych dolatywał mię nienawidzony tytuł literatki, dolatywały mię szepty i urywkowe wyrazy — a wszy-

stkie złośliwe, wszystkie płynące z serc nieprzychylnych mi. Przez drugie okno można było widzieć obszerny plac zupełnie pusty, na którym pasły się swobodnie stada żydowskich gęsi i rozrastały kępy bodiaków, dochodzących olbrzymiej wielkości. Z dala wznosił się mur wysoki, zamykający obszerne podwórze i rezydencją rabina. Za pustym placem była nader ożywiona targowica. Skoro jedno okno zamknę a otworzę drugie, dolatuje mię wstrętny hałas z targowicy. Tu już przedstawiała mi się ludzkość ze swej najwstrętniejszej strony. Zdaje się niby w pierwotnej dzikości — lecz pozbawiona owej uroczej ułudy dziewiczej, piętnującej każde niezepsute dziecię natury. Tu ludzkość przybrana w łachmany i strzępy cywilizacji. Wyobraź sobie — czytam jakieś piękne dzieło — zagłębiam się w niem i pragnę myśl autora zrozumieć, a do ucha wpadają mi słowa przekleństw i klótni o mięso, o cuchnącą rybę, lub o zgniłe pomarańcze. Zamykam okno — nic nie pomaga — gwar uliczny ciśnie się przez szpary u okien i wdziera mi się do uszu przemocą. Czekam więc nocy. W nocy dopiero orzeźwiające powietrze pełną strugą wpływa do pokoju a ja siedzę długo, czytam, piszę i marzę cudne poemata przyszłości, aż różowa jutrzenka odbije się na widnokręgu. Wtedy rzucam się na łoże, by snem się pokrzepić na jutro — na to ciężkie jutro, co znowu ołowianem zaciąży mi brzemieniem. A tem snadniej mi dumać, że okno me położone wysoko na piętrze, więc nie zwracam uwagi spóźnionych przechodniów.

Teraz i dla mnie zabłysła era wolności. Na chmurnem niebie codziennego życia zajaśniała śliczna złota gwiazda nadziei. Wzniosła się z łona szarych obłoków i rzuciła swe blaski złote na ciemną i ciernistą ścieżkę, po której dotychczas kroczyłam. Aż mi się jaśniej i cieplej zrobiło w myśli. Mam znowu chęć do życia, do pracy, — mam nadzieję kilkotygodniowej swobody a może i rozrywki. Będę razem z bratem na wsi swobodna i szczęśliwa. Jestem jak więzień po odczytaniu wyroku, zwiastującego mu wolność.

Żegnaj mi droga — niezadługo ci znów spowiedź moją nadeślę, a kochaj mnie jeszcze, ach! kochaj!

Marcela.

15. lipca 1866 w Sr......

Od czego mam zacząć, najdroższa? Czy od tego, że do okna mi gałąź jabłoni zagląda i szepce jakiś szmer cudny, niby smutny i cichy a pełen nieopisanej harmonii? Czy od tego może, że obudziwszy się zrana ujrzałam pochylone nad sobą ukochane lice mej ciotki — żem się zbudziła od jej pocałunku! Nie wiem sama, co dla mnie najmilsze! Nie wiem, co dla mnie najdroższe, bo wszystko przejmuje mnie radością i uczuciem takiej błogości, której ci nawet opisać nie jestem w stanie.

Wyjechałam z domu o wpół do ósmej wieczór pociągiem pospiesznym. Kochany, dobry ojciec mój sam mię na dworzec odprowadził i wiedząc doskonale, ile przez rok miniony wycierpiałam, cieszył się, że teraz mi się nadarza sposobność przyjemnego i spokojnego po całorocznych trudach wypoczynku. Pożegnał mię tak serdecznie, iż od łez się wstrzymać nie mogłam. A na widok tego smutku rozlanego w drogich rysach ojcowskiego oblicza, zbladł cały urok uśmiechającej się swobody. Jużbym była i pozostać wolała, byle z nim razem, byle nie widzieć cierpienia na twarzy ukochanego ojca. Lecz smutne te myśli zostały przerwane sygnałem do odjazdu. Zadzwoniono po raz drugi — weszłam do wagonu i stanęłam w otwartem oknie. Ojciec podał mi rękę, przycisnęłam ją do ust z uczuciem niewypowiedzianego przywiązania. Sygnał trzeci się ozwał, trąbka konduktora i dało się słyszeć donośne „gotów" i pociąg ruszył. Do ucha wpadły mi jeszcze pożegnalne słowa ojcowskie. Jeszcze jedno spojrzenie na niego — i uniosła mię w dal siła pary wodnej, owiewającej białym turbanem dyszące skronie wiozącej nas lokomotywy.

Łzami dopiero wtedy oblałam się rzewnemi. Taka mię dziwna próżnia otoczyła i taki smutek ogarnął, iż długo płakałam, a w sercu dźwięczały słowa ojcowskiego pożegnania „bądź zdrowe, moje dziecię!"

— „Bądź zdrowe, moje dziecię" — pożegnanie tak proste, niewyszukane, a jednak ileż to ciepła, ile harmonii, ile prawdziwego uczucia wlać w nie może miłość ojcowska! „Bądź zdrowe, moje dziecię" —

to życzenie zdrowia dla ciała jako najwyższego dobra cielesnego. Wszak w zdrowiu wszystko znieść łatwiej, a szczęśliwy kto skarb ten posiada! Życzenie to i dla duszy także — bo wszelkie złe — grzech i występek — to choroba duszy! Wszelkie chorobliwe marzenia, dziwaczne pomysły, złe zasady i zgubne dążenia, to także ciężkie choroby duszy. A gdy przyjdzie cierpienie i gdy smutek zgnębi nas niszczącą swą potęgą i cieniem myśl naszą przyćmiewa — czyż to nie choroba duszy naszej? — Otóż ojciec tkliwy, dobry, głęboko odczuwający wszystkie bole ukochanego dziecięcia — a ochronić go od złego nie mogący, radby już choć serdecznem zaklęciem zażegnać te burze, grożące młodemu, niezahartowanemu jeszcze umysłowi — radby mu oszczędzić bolu walki i łez, błogosławiąc mu słowem gorącem „bądź zdrowe, moje dziecię.“—

. . . .

Z tych dumań i łez ocknęłam się we Lwowie dopiero, gdy pociąg się zatrzymał. Pierwszy też raz spojrzałam na me towarzyszki. Starsza z nich musiała pewnie drzemać, bo zaspane przecierała oczy i mrukliwym głosem upominała młodszą, prawdopodobnie córkę, by wszystkie te liczne pudła i pudełeczka, pakiety i pakieciki, torebki, parasoliki i kuferki pozbierała. Młodsza utkwiła we mnie wielkie czarne, łagodne źrenice z wyrazem dziwnie ujmującym. Zrobiła na mnie miłe wrażenie, lecz nie czas było na obserwacje, bo w tej chwili ujrzałam brata, czekającego na mnie na peronie.

Wyskoczyłam więc co prędzej z wagonu i pospieszyłam ku niemu. Poszliśmy do sali i wyszukawszy sobie ustronne miejsce, usiedliśmy i oddaliśmy się swobodnej i szczerej pogadance. Zwolna poczęli się zgromadzać podróżni i zbliżać coraz więcej ku naszemu zacisznemu kącikowi — więc wyszliśmy na peron i przechadzaliśmy się oczekując niecierpliwie godziny odjazdu.

W końcu wybiła dwunasta, zadzwoniono po raz pierwszy, wszyscy rzucili się tłumnie ku drzwiom i szukali miejsc jak najdogodniejszych. Ja zaś zupełnie byłam pod tym względem obojętną. Troskę o wynalezie-

nie miejsca zostawiłam bratu, a tak mi było dobrze i miło w jego obecności, że rozgadawszy się z nim zapomniałam o poprzedniej, tęsknej zadumie i oddałam się całkowicie wesołym myślom o wakacjach. Po drugiem dzwonieniu zbliżyliśmy się ku pociągowi — w tem głos jakiś dźwięczny się ozwał — „proszę, niech pani tu wsiada — pojedziemy znowu razem dalej.“ — Spojrzałam w górę i ujrzałam tuż przed sobą w otwartem oknie wagonu śliczne, czarne oczy mej towarzyszki podróży. Odpowiedziałam uprzejmie, iż chętnie bym to uczyniła, ale obecnie pojadę dalej w towarzystwie brata — jeśli zatem obecność jego paniom przeszkadzać nie będzie, wówczas z łaskawego zaproszenia oboje skorzystamy. Na to widocznie zmieszała się młoda panienka i nie wiedziała nawet na razie, coby najstosowniejszego odpowiedzieć mi — ale matka przyszła jej w pomoc, zapraszając nas ponownie. Wsiedliśmy zatem raźno i wkrótce dał się słyszeć przeciągły świst lokomotywy. Lecieliśmy szybko wśród nocy, a przez okno migały iskry w tumanach pary i dymu. Brat mój, żywy, dowcipny, rozmowny, i nader łatwy w towarzyskiem obejściu, zawiązał bardzo prędko wesołą pogadankę z uroczą właścicielką płomiennych czarnych oczu, i w pół godziny żartowali już i śmieli się jak starzy znajomi. Mnie daleko trudniejsze zadanie dostało się w udziele: musiałam to rozmową, to znów na przemian cierpliwem słuchaniem bawić starszą panią, która mi niesłychanie obszernie opowiadała o swym mężu, o dzieciach, o domowych stosunkach i starała się nawzajem mnie jak najdokładniej wybadać. Udawało mi się dość długo zachować zupełne incognito, aż gdy rozmowa zeszła na pole wychowania dzieci, a w szczególności kobiet, zdradziłam erudycją i znajomością rzeczy, iż jestem nauczycielką. Poczciwa ta pani widocznie wiele czytała i zastanawiała się w życiu, a do tego łączyła także niezmierne bogactwo doświadczenia. Rozmowa teraz stawała się bardziej zajmującą i śliczne jej zasady byłyby mię wśród innych stosunków zachwyciły —lecz wtedy zmęczona byłam bardzo. Ciało domagało się spoczynku i sen poczynał strasznie ciężyć na powiekach. Nader płynna jej wymowa zaczęła mię nużyć, dozna-

wałam szumu w głowie i obawiałam się, aby się nie zdradzić kurczowem ziewaniem, które co chwila mię napadało. Zwolna jednostajny ruch wagonu ukołysał ją do snu, i ułożywszy się wygodnie usnęła. Również i ja zamieniwszy kilka frazesów z bratem i z panną Marją, bo takie było jej imię, oparłam się w kącie wagonu i dobroczynny sen otulił mię pieściwie miękkiemi skrzydły.

Obudziłam się nad ranem. Mgły się rozpościerały po błoniach a nieprzyjemne zimno czuć się dawało. Dreszcz przebiegał mi po członkach, a i staruszka moja obudziwszy się poczęła narzekać na zimno. Tylko panna Marja i Kalikst zimna nie czuli. Śmieli się i rozmawiali, a smętne oczy młodej dziewczyny straciły pierwotny melancholijny i łagodny wyraz i ożywiły się młodzieńczą wesołością. Wkrótce zróżowiały niebiosa na wschodzie, gwiazdki poznikały zupełnie, a z łona sinawej mgły wzniosła się promienna kula słoneczna i blaskiem swym złotym oblała całą przestrzeń, zostającą się przed okiem, spoglądającem wśród niemego zachwytu na te wiecznie jednakie, a wiecznie nowe cuda przyrody! Ociepliło się trochę, towarzyszka moja znów się ożywiła i przy dziennem świetle przypatrzyłam się jej lepiej. Oczy miała bardzo ładne mimo wieku, a włosy siwe uczesane były gładko na skroni. O dziesiątej stanęliśmy u kresu podróży, pożegnaliśmy nasze towarzyszki i wbiegłszy na peron ujrzeliśmy oczekującego na nas chłopaka wiejskiego, służącego naszej wujenki. Był to bardzo poczciwy chłopczyna. Od dziecka był u wujostwa, a i po śmierci wuja oddalić się nie chciał. Pojechaliśmy do wiejskiej gospody, ażeby pokrzepić się jakiemkolwiek śniadaniem i przebrać się odpowiednio do dalszej podróży, gdyż było jeszcze przeszło 6 mil do miejscowości, w której mieszkała wujenka. W karczmie niestety, choć było parę gościnnych pokoi — ale te były zajęte, bo właśnie był tam jarmark nader ożywiony. Musieliśmy poprzestać na odpoczynku w żydowskim alkierzu, który nam arendarz z czystej jak mówił „gościnności" ofiarował. Zabrałam się do uporządkowania mej toalety na dalszą drogę, a Kalikst poszedł wyszukać trochę owoców, bo miałam ogromne

pragnienie, a wody nie pijam prawie nigdy i tem mniej mogłabym pić ją w karczmie. Rozpakowałam nasze zapasy, nakryłam stół serwetką, małą wprawdzie ale czystą i świeżą, dobyłam talerzyki i widelce i oczekiwałam, czy też rychło Kalikst się pojawi, bo głód już się czuć dawał po trosze. Nadszedł też wkrótce i przyniósł wyborne wiśnie, które ułożone na zielonych liściach nader ponętnie wyglądały. Już mieliśmy się zabrać do śniadania — w tem wszedł stary arendarz z prośbą, czy nie zechcielibyśmy przyjąć tu jednego pana, który nie ma gdzie odpocząć, bo wszystkie pokoje zajęte, a izba gościnna i sieni nawet przepełnione mnóstwem gości jarmarcznych. Spojrzałam na brata, a on na mnie, i w tem spojrzeniu odbiła się jedność zapatrywania. Kazaliśmy prosić do nas tego pana, jakkolwiek nie zbyt radzi temu, iż nam miły spoczynek zakłóca. Za chwilę wszedł nasz nieznajomy. Elegancja ruchów, całego ułożenia i ubioru znamionowała człowieka światowego, bywalca, a obejście jego było nader miłe i niewymuszone. Przedstawił się na wstępie, po czem zaprosiłam go na śniadanie. Przyjął zaproszenie i kazał służącemu otworzyć walizę i wydobyć wino i kozinę, co wraz z naszą szynką, wybornem masłem i domową bułką, znakomite stanowiło śniadanie zwłaszcza jak na ubogą bukowińską karczemkę. Następnie zaprosił nas pan K. na herbatę. Zdziwiłam się nieco, powątpiewając o możności wypicia herbaty. Lecz gość nasz, widocznie bardzo o swe wygody troskliwy, kazał otworzyć drugą małą walizkę, z której w mgnieniu oka wydobył służący wszystkie przybory do herbaty, między któremi znachodziła się jednak tylko jedna filiżanka, gdyż jak twierdził „nie spodziewał się, iż mieć będzie tę przyjemność, ażeby módz kogoś w podróży na herbatkę zaprosić.“ Filiżanka ta mnie się dostała — dla siebie i dla Kaliksta kazał przynieść dwie szklanki od arendarza. Po zabawie powstałam, gdyż komu w drogę temu i czas, a dwunasta już dochodziła. Pożegnaliśmy się dosyć serdecznie, jak na taką przypadkową znajomość a po chwili wyruszyliśmy w drogę. Przy rozstajnej drodze nastąpiło jeszcze jedno pożegnanie i rozjechaliśmy się w przeciwne strony i prawdopodo-

bnie w tem życiu nie spotykamy się już nigdy więcej. —

Przebacz mi, droga moja! że tak rozwlekle i drobiazgowo ci wszystko opisuję — ale pisanie długich listów stało się moją słabością od czasu, jak mi ciebie zabrakło, bym mogła wszystko co czuję wypowiedzieć. Usposobienie moje jest tego rodzaju, iż nie mogę sama w sobie się zamknąć. Nie wystarczam sobie samej — potrzebuję koniecznie kogoś, ktoby cierpliwie mię wysłuchał. Życząc ci dobrej zabawy na zamierzonej wycieczce, o której mi wspominałaś w ostatnim liście, ściskam cię serdecznie.

Marcela.

21. lipca 1866.

Nie cierpię jarmarków! Zgiełk — natłok, gwar panujący zwykle na jarmarku, robi na mnie jakieś ogłuszające wrażenie, i długiego czasu później mi potrzeba, abym po tem otumanieniu mogła napowrót przyjść do siebie.

Zdaleka lubię się przypatrywać ruchowi malowniczemu, ale znachodzić się pośród tego tłumu, to rzecz tak wstrętna, iż potrzebowałam niemałej dozy poświęcenia, aby dać się namówić do towarzyszenia wujence na jarmark do pobliskiego miasteczka. Lud okoliczny zgromadził się bardzo licznie. Zdala już widać było to skrzętne wieśniaków mrowisko, a wszyscy przybrani odświętnie w czystej bieliźnie. Dziewczęta postrojone w błyszczące szklanne paciorki i w różnobarwne kwiaty i wstążki.

Kobiety w białych zawojach i żółtych butach. Mnóstwo było koni, bydła, owiec, skrzyń malowanych zielono lub żółto, wozów, pługów, przędziwa, płócien i innych artykułów, niezbędnych w codziennem życiu wieśniaka. Wjechawszy do miasta zaledwie noga za nogą posuwać się można było a i często trzeba było przystawać na drodze, bo zgiełk i ścisk nam drogę tamowały. Z wielką biedą dostaliśmy się do sklepiku znajomego kupca. Wujenka poszła z Kalikstem oglądać konie, a ja pozostałam w sklepie tymczasem.

Siedziałam dość długo, przypatrując się licznym kupującym. Jakaż litość, jaki smutek mię przejął na widok tej okropnej ciemnoty naszego ludu! Toż to oni najdrobniejszego rachunku zliczyć nie umieją, a kupiec oszukuje ich na mierze, na wadze, na jakości i na cenie sprzedawanych artykułów. A do tego mózgi ich po większej części w stanie podnieconym i tem mniej zdolne do trzeźwego rozpatrzenia się w czemkolwiek. Mój Boże! za krwawą pracę, za te całodzienne znoje wśród skwarnych dni i lata darzy ich społeczeństwo kroplami spirytusu, który odbiera im resztki dobrych myśli, by trzeźwi nie zastanowili się dokładniej nad sobą. Piją — nieszczęśni! Piją i niosą piekło niezgody do swych zagród rodzinnych! Tracą grosz trudem uzyskany, tracą zdrowie i wyzuwają się nawet z godności człowieczeństwa.

Smutne te myśli roiły mi się tłumnie po głowie, a wywołać je musiał koniecznie widok młodszych braci naszych, skrępowanych w powijaki nieuctwa i bezmyślności. —

Gdy tak rozmyślałam poważnie, zwrócił moją uwagę młody człowiek, który wszedł do sklepu, pozdrowił mnie ukłonem i usiadł opodal. Mimowoli spojrzałam na niego kilka razy i zawsze spotkałam się z jego wzrokiem, wyrażającym żywe zajęcie się moją osobą. Jakoś nie swojsko mi było pod magicznym wpływem tych przeciągłych spojrzeń mego milczącego obserwatora. Czułam zdradliwe rumieńce na twarzy i wyszłam na rynek, bo zdawało mi się, iż to siedzenie moje w sklepiku musi wydawać mu się tak dziwnem, a może niestosownem. I zaledwie ta uwaga przez głowę mi przemknęła, znów w twarzy uczułam gorąco. Lecz z drugiej strony duma i pewność siebie szepnęła mi: a cóż mię tam obchodzą jego sądy o mych czynnościach — wszak nie ma prawa żadnego ku temu. —

Błąkałam się dość długo w tym tłumie pstrokatym, ruchliwym a gwarnym. Spotykając znajomych udawałam wielce zajętą kupowaniem różnych rzeczy i rozpoczynałam je targować i oglądać ani myśląc na serjo o ich nabyciu.

Chciałam odnaleźć wujenkę, lub brata, ale to mi się nie udało, więc znużona postanowiłam wrócić do sklepu, sądząc iż nieznajomy obserwator najpewniej się już ulotnił. Ku wielkiemu memu zdziwieniu zastałam wujenkę siedzącą w krześle poręczowem, umyślnie dla niej z „salonu“ wedle wyrażenia nadobnej kupcowej wyniesionem i rozmawiającą z „nim“ — jak to sobie w myśli powiedziałam bez wszelkich innych określników. Wujenka zwróciła się do mnie natychmiast z zapytaniem, dokąd też wychodziłam i wyrzucała mi, iż tyle niepokoju jej niepotrzebnie sprawiłam moją przydłużoną nieobecnością. Znowu fatalne te rumieńce nabiegły mi gorącą falą do głowy. O! cóżbym była dała za to, by bladą pozostać! Niestety! Uplotłam jakieś bardzo niezgrabne usprawiedliwienie i skończyłam zapytaniem o brata.

— Więc mnie nie widzisz? — ozwał się tuż obok mnie.

Spojrzałam na niego zdziwiona i jeszcze dziwniej zmieszaną się uczułam tą nieuwagą.

— Szukałem ciebie wszędzie, ale nie mogąc znaleźć dałem za wygraną i uznałem, iż lepiej będzie tu przy kufelku i miłej pogadance z Adolfem oczekiwać twego powrotu — choć Adolf początkowo silną stawił opozycją twierdząc, iż lepiej będzie, gdy wyruszymy na wspólne poszukiwania — ale w końcu uległ moim namowom i patrz! najspokojniej wysącza do dna ten złotawy napój ze swego kufelka.

Adolf, z bratem tak poufale — nowe zdziwienie — widocznie dziś dzień niespodzianek.

Adolf powstał i zwracając się z ukłonem do mnie rzekł:

— Czyż pani mnie wcale nie poznaje?

— Nie — o ile mi się zdaje, to widzę pana pierwszy raz w życiu.

Uśmiechnął się.

— A ten śliczny lasek z brzóz płaczących i jary z owym potoczkiem, rozbijającym się w tysiące kropel o złomy skał i kamieni, a młócarnia na toku i pawie gnieżdżące się na stertach, które tylekrotnie spędzaliśmy z gniazda!

Wraz z temi słowy, za każdym wolno i dobitnie wyrzeczonym wyrazem jawiły się oczom mym zaginione obrazy dobrze znanych mi okolic. Wyłaniały się z mgły zapomnienia jasne i wyraźne w tak ostro wyrzeźbionych konturach, iż przypomniałam sobie zaraz wszystkie okoliczności i wszystko, co się działo w owej epoce. Byłam dzieckiem a towarzyszem mych zabaw w brzozowym lasku i nad spadzistymi „jarów" brzegami był trochę starszy odemnie i silniejszy chłopczyna, mały „Dolo," jak go wówczas nazywano.

— A pan N.... — powiedziałam wyciągając ku niemu rękę z powitaniem dawnego druha z lat dziecięcych. Teraz rzeczywiście przypominam sobie pana bardzo dobrze.

— Jednakże nie poznałaś mnie pani!

— Cóż to dziwnego? tyle lat minęło od owych czasów, pełnych uroku i swobody. Wówczas jeszcze babka moja żyła, a ojciec co rok do niej na wakacje przyjeżdżał. Nazwisko pańskie pamiętałam zawsze i wspominałam je nieraz — ale widząc pana teraz, nie przyszłoby mi nawet na myśl, aby to nazwisko z osobą pana połączyć.

— Zmieniłem się, wyrosłem, z dziecka stałem się mężczyzną, ale matka mi mówi, żem jeszcze ciągle do małego Dola podobny i zawsze mię tak zdrobniale nazywa. Ale pani pozostałaś tą samą zupełnie, rysy twarzy zmężniały tylko i wyrobiły się, nie tracąc wcale podobieństwa.

Rozmawialiśmy jeszcze trochę, a wujenka załatwiała tymczasem rozmaite sprawunki, aż w końcu oświadczyła gotowość wyjścia na targowicę, i pożegnaliśmy pana Adolfa, którego brat mój jako dawnego dziecinnych zabaw towarzysza a później z Czerniowiec szkolnego kolegę do siebie na najbliższą niedzielę zaprosił.

Za długa ta relacja moja, nieprawdaż? ale przebacz mi, moja droga. Ja tak lubię wywnętrzać się, spowiadać i tyle myśli w głowie mi się snuje, że pragnę choć cząstkę tego ciężaru ująć.

Pomyśl czasem o mnie, jeżeli oprócz panem

O...... jeszcze kimkolwiek na świecie w ogóle się zajmujesz, bo coś o tem zaczyna powątpiewać kochająca cię zawsze

Marcela.

26. lipca 1866.

Gdybyś wiedziała, moja droga! jak mi tu miło, jak swobodnie, pojęłabyś wtedy, z jakim żalem liczę te dnie i godziny płynące zwolna a ciągle. Pojęłabyś, z jakim żalem zatrzymuję oko na zegarze! Radabym wstrzymać wskazówki, co tak jednostajnie krążą w okół białej tarczy i świadczą o znikomości wszystkiego, co naszem nazywamy na ziemi. Radabym całe moje otoczenie i siebie z niem razem zaczarować na zawsze w ten pokój świąteczny, jaki mię teraz tak lubo otula i pieści. Radabym zakląć się w ten świat ciszy i pokoju, ten świat kwiecia i blasków słonecznych, ten świat natchnień i miłości, a zakląć na wieki. Niestety! ni cofnąć słońca z onych szlaków błękitnych — ni wstrzymać wskazówek krążących w okół białej tarczy na zegarze, ni siebie zakląć w te pieściwe oddechy pokoju i swobody. Dzień za dniem zbiegnie. Jak perły różowe stoczą się te dnie jasne na pochyłej drodze wieczności, a ja powrócę do..... okropność! Dreszcze mię przebiegają na samo wspomnienie — powrócę do mej niewoli jak ów więzień, dla którego wyrok wolności był tylko demonicznym wynalazkiem ku zwiększeniu męczarni, by tem ciemniejszą się wydała wilgotna kaźń męczennika.

Jakie to szczęśliwe musiały być dawniej kobiety, nie znające innego świata prócz rodzinnej wioski, innego nieba prócz swojskich obłoków, innego uczucia prócz miłości rodzinnej, silnej i potężnej bogactwem swem niezmiernem, cały żywioł wypełniającej! Jakże im ślicznie splatało się życie w cudny wieniec cnót i poświęceń. Poświęcenia te były wprawdzie drobne, codzienne, ciche, lecz niosące czar prawdziwego szczęścia, spokojnego jak tonie oceanu i głębokiego jak one! A gdy fale dziejowe burzą się wzdęły i powołały ojców i braci, mężów i kochanków z rodzinnej za-

grody, by krwią swą spłacili daninę ojczystej ziemi — toż duch bohaterski mężów spływał i w serca niewieście i w łagodnych źrenicach rozpalał płomienne blaski zapału. Z takiem okiem błyszczącem i podniesionem czołem żegnały swych bohaterów i same zostawszy, pracą skracały dnie bolòw i tęsknot a modlitwą łagodziły wszelkie gwałtowniejsze objawy żalu i trwogi. Szczęśliwe niewiasty! Im przynajmniej wolno było pozostać tem, do czego natura sama je uposażyła, dając kobiecie na cały zapas życiowy skarbnicę uczuć i anielską cierpliwość i łzy a uśmiechy. Dziś inaczej. — Wyrobiłyśmy sobie zdolności umysłowe i oddały je w służbę społeczeństwu, które nam płaci — miedzianą monetą i lodowatem uznaniem. Wyrobiłyśmy sobie równouprawnienie, porobiono z nas urzędników i profesorów i stanęłyśmy niby niezależne i dumne okruchami pracy, rzuconemi nam niby dziecku na igraszkę i okruchami płacy drobnej i miedzianą wypłaconej monetą. Zyskałyśmy posady ekspedytorek, telegrafistek, nauczycielek, buchhalterek, a potraciłyśmy posady pewniejsze szczęśliwych żon i matek! Zaprzeczysz mi pewnie, już słyszę twe oburzenia i zgrozy pełne wyrazy i widzę gniewnie ściągnięte brwi i oczy zdradzające jaśniejszemi iskierkami, migającemi w źrenicach gwałtowną chęć opozycji.

Wyjaśnię ci po części, na czem opieram moje twierdzenie.

Kobieta powinna być przedewszystkiem kobietą, aby być szczęśliwą i aby uszczęśliwiać drugich, a przy dzisiejszym trybie wychowania i nauczania — czyni się z niej jakąś połowiczną istotę. Chciałaby we wszystkiem użyć tego równouprawnienia z mężczyzną, chciałaby wyzuć się z krępujących formułek, a tysiące i tysiące powodów uczynić jej tego nie pozwalają, czuje się więc niezadowoloną a nawet nieszczęśliwą.

Powiesz mi, że może wyjść za mąż, że niezależne stanowisko nic jej w tem przeszkadzać nie będzie. —

I w tem się mylisz, moja droga! jeżeli tak sądzisz.

Niezależne stanowisko przeszkadza jej bardzo wiele. Czyni ją dumną, bo na to swe niezależne sta-

nowisko patrzy przez powiększające szkła miłości własnej i zadowolonej próżności. Sama o sobie ma nader wysokie wyobrażenie, a innych niżej ceni, niż oni zasługują. Następnie obowiązki jej rzucają ją częstokroć samą między obcych a pozycja taka nie zbyt ponętna dla kobiety zwłaszcza, jeśli jest młoda i choć troszkę do ludzi podobna. Nakoniec mężczyźni sami nie zbyt chętnie lgną do kobiet urzędniczek, a gdy się doda do tego taką samotną pozycję młodej kobiety, którą języki ludzkie a często złe i uszczypliwe bardzo skwapliwie wyzyskują, co się także nie przyczynia do utrwalenia zacnych młodzieńców w ich matrymonialnych zamiarach. I młode dziewczę niebaczne czasem rzuci uśmiech lub miłe słówko, a z tych uśmiechów i słówek wytwarzają już życzliwi sąsiedzi jakieś czarne potwory, zbrodnie i występki. Cieszy się to dziewczę młodością swą, nauką, niezależnem stanowiskiem ani myśląc, iż przyjdzie chwila, kiedy natura upomni się o swe prawa. A jeszcze później przyjdzie chwila, kiedy boleść zawyje straszliwym orkanem w zwiędniałem sercu kobiety! Kiedy głuche echa wspomnień i nadziei, bolów i złudzeń z minionych lat młodzieńczych szarpać ją będą i sączyć krwawe jady goryczy w pustą pierś samotnej starej panny z czołem pożółkłem i osiwiałą skronią. A gdy konać będzie samotna — miedzianą monetą swej płacy okupi rękę podającą jej lekarstwo do ust spieczonych — ale czy okupi tą monetą miedzianą choć jedną łzę współczucia, choć jeden kwiatek na wieko swej trumny! Okropne to wszystko, jeśli się nad tem pomyśli, a ja myślę często i część tylko podałam ci zapatrywań moich i gdybym miała cokolwiek talentu literackiego, pisałabym wiele w tym duchu, by wszystkie siostry moje młodsze odstraszyć i odpłoszyć od tego strasznego widma emancypacji, aby zdobywanie niezależności pozostawiły tym, co rzeczywiście nieszczęśliwym trafem losu i nieprzyjaźnych okoliczności do tego są zmuszone. Aby zaś ułatwić wyjście za mąż biedniejszym bezposadnym panienkom, lepiej będzie jeśli zaprowadzimy ogólną oszczędność baczną na wszystko; bo nędza obecna wyrobiła się tylko w skutek zbytków, a raczej naśladowania zbytków, jakie u nas

jak zaraźliwa epidemia się rozszerzyło. Na prawdziwe zbytki nas nie stać, bośmy już zubożeli materjalnie, ale naśladujemy je, ile się da tylko. Łudzimy sami siebie, stroimy się w fałszywe aksamity i w szklanne perełki! Kupujemy coraz nowe meble i stroiki, a nemezis mści się za to i posyła nam głody i nieurodzaje, posyła nam epidemie chorób fizycznych i epidemie chorób cięższych, bo duchowych, chorób serc naszych i mózgów.

Dziwne te myśli ludzkie rozpierzchają się jak wolne gołębie w rozległych przestrzeniach naszych sfer duchowych. Miałam ci pisać o nowych znajomościach a rozpisałam się o emancypacji kobiet. Myśl ma czepiła się ogadanego tematu, zwietrzałego już bardzo i nie ponętnego. — I nie dziw, że doń przylgnęła, bo temat to kwestji naszej żywotnej, a bodajby był nigdy nie istniał.

Żegnam cię, ma luba! i nie napiszę więcej ani słówka do ciebie, dopóki kilka wierszy przynajmniej nie skreślisz do twej przyjaciółki

Marceli.

2. sierpnia 1866.

Serdeczne szlę dzięki za list twój i za miłe wieści. Jesteś narzeczoną i to narzeczoną takiego układnego i rozumnego człowieka, jakim jest p. O. . . Serdeczne zasyłam ci życzenia na tę drogę życia, którą z nim wespół masz odbyć. Nie podoba mi się trochę twoje zwlekanie i odkładanie ślubu, bo powziąwszy raz zamiar sądziłabym, iż lepiej go rychło wykonać, a życie we dwójkę raźniej wam pójdzie. Wypleń z duszy dawne wspomnienia twoje a zajmij się teraźniejszością, jeśli to zbyt wielkiej nie wymaga ofiary. Lecz nie chcę ci nic w tym względzie doradzać.

Powiadasz, że niestosowna dla mnie taka siwobroda powaga i takie arcymądre myśli. Co do drugiej definicji wyrażam moje niezadowolenie, bo formalnie ze mnie żartujesz a wierz mi, że mądre czy nie mają tę przynajmniej zaletę, iż są prawdziwe — piszę co czuję. Smutno to wprawdzie, jeśli do pączków zakra-

dnie się robactwo i toczy je i niszczy, zanim one w pełny kwiat się rozwiną, lecz stokroć smutniej, jeśli do różowych blasków młodości zabłąkają się zimne i szare cienie zwątpienia — czy tylko przeczuć może smutnych. Zwątpienie podobno bywa dziecięciem doświadczeń i zawodów, jam jeszcze zawodów prawie żadnych nie doznała a już jestem smutną.

I znów mię unoszą myśli dalej i dalej, i znów się pogniewasz na mnie, kochanko — a jam i tak winna ci karę za to, iż nazwałaś me twierdzenia arcymądremi, a karą to będzie, iż o niczem więcej pisać nie będę, jak o codziennych zdarzeniach naszych. Wyliczać ci będę codzienne ploteczki osnuwające się na barwnej kanwie naszych dni wolnych, spędzonych w domu drogiej mojej wujenki. Będzie to i dla mnie małą nauczką przezwyciężania mego ja, bo ludzki egoizm wymaga, iż w tem się najchętniej zagłębiamy, co nas najbardziej boli, lub co nam najmilsze.

Poznałam zacną rodzinę państwa W. Mają dwie córki. Starsza, miła i rozumna a przytem wykształcona bardzo, młodsza piękna jak wiosenne uśmiechy a i zaletami ducha starszej nie ustępuje. Odwiedzamy się często, chodzimy codziennie prawie na przechadzki, które przeciągają się często aż do późnego wieczora.

Chodzę też często we dwójkę tylko z Kalikstem i wyznaję, iż teraz dopiero poznałam prawdziwy jego charakter, i wyznaję ze wstydem, iż bardzo często osądzałam go niesprawiedliwie. Szlachetny jest i tak idealny w swych młodzieńczych złudzeniach, że często słuchając go nie próbuję nawet, przekonywać go, iż niektóre jego zdania są tylko marzeniem młodości, złudzeniem. Żal mi burzyć te kryształowe pałace! Jeszcze czas na to przyjdzie aż nadto rychło i spiesznie. Aż nadto rychło zwarzy proza życiowa zimnym swym szronem te idealne kwiaty poezji.

Najczęściej chodzimy do lasu. Cudnyżto ten las tutejszy, ciemny, smutny niby a poważny, jak Pańska świątynia. Nie dziwię się dawnym Germanom, iż lasy obierali jako miejsce do modlitwy. Te szepty liści nad głową, te szmery strumyków w wąwozach, te kapele słowików w gęstwinie czynią mimowoli wrażenie na każdego chociażby profana w dziedzinie po-

ezji. Dziećmi jeszcze różową dłonią czerpaliśmy wodę z tych strumyków — i marzyli! Dziś dziecinne marzenia rozpłynęły się w toniach przeszłości, a znów nam inne się roją nadzieje w sercach i głowach! Czyż i te zginą tak samo?

4. sierpnia 1866.

Nie czekając twej odpowiedzi, znów piszę do ciebie. Ha! czyń co chcesz, spal ten list, podrzyj, nie czytaj, ja pisać muszę.

Po raz pierwszy ujrzałam Adolfa w otoczeniu nader pospolitem, w nędznym żydowskim sklepiku i na jarmarku.

Spotkanie opisałam ci obszernie i poznać z tego opisu musiałaś, że zajął mię więcej niż inni młodzi moi znajomi. Lecz nie musiałaś poznać z listu mego, iż doznałam lekkiego zawodu w samem zaraniu poznania naszego.

Pisałam ci już, że na mnie spoglądał długo i przeciągle, a to niestety! dla tego tylko, że mię znał dzieckiem — a jam sądziła.... Mniejsza zresztą o to, co ja sądziłam.

Opiszę ci jego odwidziny u nas.

W niedzielę popołudniu nadeszli panowie Kazimierz, Zenon i Adolf. wszyscy trzej spokrewnieni ze sobą. Postanowiłam okazywać się teraz w obec Adolfa bardzo dumną, nieprzystępną i obojętną — śmieszne to było postanowienie, niby zemsta za ową doznaną porażkę, lub zbrojenie się przeciw temu, aby znów nie poddać się nadto żywym wrażeniom.

Najwięcej rozmawiałam z najstarszym Kazimierzem, i spoglądałam ciągle ku oknu, spodziewając się panien W., które byłyby dziś dla mnie podwójnie pożądanymi gośćmi!

— Pani dziś doznasz zawodu, oczekując panien W. Nie przyjdą z pewnością — rzekł Adolf, zwracając się do mnie z miłym uśmiechem.

Mnie się wydał uśmiech ten ironicznym, ale sama sobie sprawy zdać nie umiem, dla czego w tej chwili

nie czuję tej goryczy, jaka mię wówczas znagła opanowała.

— Jak widzę, chciałbyś pan szczycić się darem czytania w cudzych myślach — niestety nie powiodło się panu w rzeczywistości odgadnąć.

— O ile mi się zdaje, wyglądałaś pani panien W. a ponieważ przed godziną widzieliśmy całą rodzinę państwa W. jadącą do K.. dla tego uważałem za stosowne, powiedzieć pani o tem.

— Omyliłeś się pan tą razą — rozpoczęłam frazes zaprzeczający nie wiedząc, jak go ukończyć — w tem ujrzałam listowego wchodzącego na podwórze i dodałam:

— Oczekuję listu od ojca i wyglądam, czy nie nadejdzie listowy, bo o tej porze zwykł wracać z miasteczka i jak pan widzi, oczekiwanie mię nie zawiodło.

Uśmiechnął się Adolf na to kłamstwo moje, snać je przeniknął, a mnie teraz wstyd ogromny, żem je popełniła.

Otrzymałam rzeczywiście list od ojca i od Romana. Mój Boże! czyżby on na serjo mię kochał! list ten taki serdeczny a mimoto coś niby chłodem zeń wieje. Zdaje mi się, że Roman o cały świat wiedzy, rozumu i praktycznego doświadczenia mnie przewyższa, a mimoto okazuje mi tyle zajęcia się mną, że doprawdy....

Po przeczytaniu tych listów straciłam humor. Dowcipy Kazimierza nie wydawały mi się już zabawnemi — Adolf odpłoszony odemnie, rozmawiał z Kalikstem, a Zenon, najmłodszy w naszem gronie skubał lekki meszek, ukazujący się na wierzchniej wardze i milczał.

Po podwieczorku wkrótce odeszli.

Znużona jestem, więc w myśli dobranoc ci zasyłam i całuję pąsowe usteczka, jutro znów będę pisać trochę i pojutrze, i razem dopiero odeślę.

5. sierpnia 1866.

Coś się ze mną dzieje niezwykłego! sama siebie pojąć nie mogę.

Dziś z rana przy śniadaniu zagadnął mnie Kalikst znienacka:

— A jak ci się też Adolf podobał?

— Pospolity — odpowiedziałam bez namysłu.

— Pospolity! — zawołał brat mój, zdziwiony bardzo.

Wejrzenia ciotki, wujenki i brata spoczęły na mej twarzy, po której się już pąsowy rumieniec prześlizgnął.

— Wydał mi się takim przynajmniej.

— Chyba nie chcesz powiedzieć prawdy, bo najwybitniejszą cechą charakteru jego jest właśnie owa nieujęta nawet w stałe formy odrębność, wyróżniająca go stanowczo od innych.

— Widocznie nie poznałam go jeszcze.

— Z pewnością, i poznawszy go lepiej, zaręczam że niesłuszny sąd swój o nim zmienisz na inny wcale korzystniejszy.

— Zdaje mi się, iż na moim, a nawet w ogóle na czyimkolwiek sądzie Adolfowi bardzo mało zależy, bo ma o sobie wyrobioną opinią chodzącej doskonałości.

— Marcelka się uprzedza widocznie do ludzi — ozwała się wujenka, a jeśli już masz takie usposobienie, moje dziecko, nie zdradzaj się z niem wcale a przedewszystkiem nie wydawaj takich sądów niekorzystnych o tych, których znasz zbyt mało, abyś należycie ocenić ich mogła.

Na tem skończyła się rozmowa nasza o Adolfie.

6. sierpnia. —

Dziś trochę się nudziłam — po raz pierwszy w S. Wieczór chodziłam z bratem daleko bardzo na przychadzkę.

7. sierpnia.

Znów nikogo u nas nie było.

8. sierpnia.

Kalikst chodził z rana do lasu i przyniósł mi śliczny bukiet z leśnych kwiatów. Zdziwiła mię ta uprzejmość, bo zwykle przynosił mi kilka najfatalniej wymiętych i zwiędłych kwiateczków, a ten bukiet ułożony był umiejętnie i starannie.

9. sierpnia.

Znów mi miło tu, cicho i dobrze. Jakiś spokój i cisza w duszy mej się rozlega. Niestety czas mija szybko! Wszak bajka, czy podanie jakieś ludowe twierdzi, że w raju milczą i stoją zegary — dla mnie zegar tutaj jest torturą prawdziwą.

10. sierpnia.

Zabrałam się po obiedzie do czytania „Klubu Pickwicka": jest to wyborna powieść Dickensa. W tem Kalikst spojrzał uważnie na mój biały szlafroczek z krótkiemi rękawami, i rzekł:

— Marcelko! możeby lepiej było, abyś ubrała się inaczej trochę a nie ukazywała się Adolfowi w tym stroju.

— Adolfowi? — wyrzekłam zdumiona.

— Zaprosił się na dziś do mnie na szachy.

— Nie myślę się wcale ukazywać.

Znów spojrzeli na mnie wszyscy zdziwieni opryskliwością, która zwykle wcale się w mem postępowaniu nie objawia.

Czytałam dalej. Czarne litery migały mi przed oczyma niby jakie nieokreślone zygzaki. Czas wydawał mi się długim bez końca. Wzrok spoczywał co chwila na białej tarczy zegarowej — liczyłam kwadranse i minuty, a oczy od zegara biegły ku oknu, to chroniły się do książki, by znów uciec od niej co rychlej a wyjrzeć ku furtce aż ujrzałam na podwórzu białą czapeczkę Adolfa, zerwałam się z fotelu i zamknęłam do mego pokoiku.

Rozłożyłam „Pickwicka,“ by udawać zajętą czytaniem, a w rzeczywistości słuchałam tego dźwięcznego głosu i urywkowych słów, dolatujących mię z bawialnego pokoju.

Nadeszła wujenka. Odgarnęła mi włosy z czoła, spojrzała w oczy i rzekła:

— Przebierz się, Marcelko — ja tymczasem pójdę sama kawę przyrządzić, bo Frania poszła do Kor . . . a nie możesz przecie tu się zamykać.

— Jeśli wujenka każe — szepnęłam, w duszy pragnąc tego, aby kazała.

— Nie każę, moje dziecię, ale proszę.

— Dobrze, wujaneczko!

Ucałowałam jej rękę, zmieniłam sukienkę szybko i przygotowałam stolik do kawy, a znów odnowiłam zamiary moje ukazania się zimną i obojętną. Niestety! jako sine mgły znikają i pierzchają pod wpływem gorących promieni słonecznych, tak też pierzchnęły one postanowienia moje w obec ujmującego zachowania się Adolfa. Anim się spostrzegła, kiedy szary zmrok nas ogarnął! Anim zauważyła, kiedy lampę zapalono i kędy zbiegły godziny w miłej rozmowie. Około dziesiątej odszedł Adolf zaprosiwszy do siebie Kaliksta.

Doprawdy że ty musisz się gniewać już na mnie, że tyle ciągle ci piszę o sobie tylko, ale daruj mi — gdybyś tu była, moglibyśmy sobie coraz inne temata do rozmowy obierać, pisać zaś o wszystkiem nie mogę, więc opowiadam ci o tem tylko, co mnie najwięcej zajmuje. A więc żegnaj mi, droga moja i pamiętaj o twojej

Marceli.

14. sierpnia 1866.

Nie pojmuję, jak możesz myśleć o tem nawet, aby wyjść za mąż, jeżeli tamto pierwsze uczucie jeszcze nie uśpione zupełnie i jeżeli myślisz, że nigdy go z serca wyplenić nie zdołasz. Radziłam ci pierwej, byś zapomniała, jeśli możesz: ale są rzeczy, których się nie zapomina, i są uczucia, które nie giną. Jeśli

i u ciebie pierwsza miłość tak była potężną, że wypełniła całe twe jestestwo i jeśli sądzisz, iż nigdy kogo innego kochać nie będziesz, to nie wychodź za mąż wcale. Lepiej bowiem być samą i wolną przynajmniej, niż przyjąć na siebie obowiązki, których spełnić nie potrafisz.

Noc miałam okropną. Śniło mi się, że leciałam w jakąś przepaść. Na dnie coś szumiało i huczało a brzegiem stały pałeczki wysokie i cienkie, a na nich pozatykane głowy ludzkie, wyszczerzające zęby w jakichś strasznych uśmiechach. Obudziłam się i usnąć już nie mogłam. Przed południem zaprosiłam Kaliksta na ganek, (bo dzień był to chmurny i chłodny), by zagrać z nim w szachy. Zamyśliłam się, w tem stanął tuż przed nami niespodziewanie Adolf.

Powitaliśmy się uprzejmie, brat mu ofiarował krzesło i prosił go, by usiadł.

— Dziękuję ci, Kaluniu — odrzekł, nie mogę teraz zatrzymywać się długo, bo wuj na mnie czeka, przechodząc ujrzałem tu państwa na ganku, nie mogłem sobie odmówić tej przyjdmności, aby nie wstąpić i powiedzieć „dzień dobry," co uskuteczniwszy...

— Co uskuteczniwszy — przerwał Kalikst — usiądziesz i wypalisz ze mną papierosa, a może zagrasz z Marcelką, odstąpię ci moją partją, a wybornie jest obecnie ustawiona.

— Doprawdy, mój drogi, że niepodobnem jest dla mnie dłuższe zatrzymywanie się tutaj, ale jeśli pani zechce mi łaskawie pozwolić przyjść dziś popołudniu, to korzystać będę z jej pozwolenia, aby mieć przyjemność, zostać zwyciężonym.

Dziwną była ta partja popołudniowa. Graliśmy oboje najniedołężniej w świecie, posuwając figury bez myśli prawie, choć namyślaliśmy się ogromnie długo. Kalikst zaś obserwował nas z daleka, w końcu przyszedł, popatrzył uważnie i rzekł z uśmiechem:

— Przegraliście oboje!

Mimowoli spojrzałam na Adolfa i spotkałam wzrok jego smutny a dziwnie głęboki i przejmujący na mnie zwrócony, i zrozumieliśmy się nawzajem. To jedno spojrzenie odkryło nam wielką i świętą tajemnicę miłości.

— Jakto oboje? — zapytał Adolf.

— Tak, że i ty stoisz licho i Marcelka, i tu i tu można za piątem pociągnięciem dać mata.

— Odstępuję ci — rzekłam wstając, i po kilku pociągnięciach Kalikst dał mata Adolfowi. I tak j e d n o słowo nieoględne zburzyło cały świat marzeń moich i nadziei. Złowroga wróżba wpiła się do mózgu jak upior, krwi chciwy i nie dała się odpłoszyć perswazją, ni rozumowaniem. Adolf posmutniał i pobladł. Oczyma tylko mię ścigał smutnemi i niewiele już mówił. Nadeszły panny W. — ale ani ich naturalna, ani moja wymuszona wesołość nie zdołała spędzić czarnej chmury z czoła Adolfa; niedługo też bawił i odszedł. Ja musiałam jeszcze odbyć przechadzkę i bawić gości mych do 11-tej godziny, a teraz dopiero, wypráwiwszy ich do domu, piszę do ciebie, moja droga! bo do snu nie czuję pociągu.

M a r c e l a.

20. sierpnia 1866.

Od owej partji szachów nie widziałam Adolfa; zaprosiłam na jutro panny W., brat zaś zaprosi młodych panów, bo i stryjostwo zapowiedzieli, że przyjadą z córkami, będziemy tańczyć całą noc. Adolf być musi, odmówić zaproszeniu byłoby niegrzecznością, jakiej człowiek z jego wychowaniem się nie dopuści. Wujenka uśmiecha się, domyśla się pewnie, dla czego ja nabrałam takiej niezwykłej ochoty do gwarnej zabawy, ale nic nie mówi i zezwala na nią dość chętnie.

23. sierp.

Po świetnej zabawie zostały już tylko wspomnienia! Bawimy się niemi wciąż jeszcze, a wujenka cieszy się tem, iż ukochane jej dziatki trochę się rozerwały w jej domu. Daremnie jej przedstawiamy, że nie tylko bawimy się wybornie codziennie u niej, ale więcej jeszcze, bo odżywamy dopiero tutaj i odpoczywamy

i nabieramy nowych sił fizycznych i moralnych. Droga i zacna wujenka nasza nie wierzy temu i powiada, że dla młodych potrzeba towarzystwa, potrzeba ruchu, tańca, muzyki, ożywienia.

Tańczyliśmy też do białego dnia — goście rozeszli się dopiero po białej kawie porannej. W tem licznem zebraniu dopiero wystąpiły na jaw świetne przymioty towarzyskie Adolfa. Zachowanie jego odznaczało się taktem i wytwornością, a z dziwną jakąś nieopuszczającą go nigdy powagą łączy bardzo miły humor i bywa wesołym i dowcipnym. Rozmawialiśmy bardzo wiele, a rozmowa ta i wejrzenia ciemnych oczu powiedziały mi tyle pięknych, nieznanych mi dotąd rzeczy, iż nie dziwię się, że miłość bywa jedynym tematem powieściopisarzy — co więcej — nie dziwię się nawet, iż ożywia natchnienia poetów i artystów. Nie dziwię się, iż budzi do czynów i podnosi w światy bożego piękna i bożego natchnienia.

Adolf był wesołym i ożywionym, toż i ja napiwszy się tej wesołości z oczu jego prześlicznych, stałam się jak on wesołą i ożywioną. Toż ja już nie mogę być wesołą, jeśli on nie wesół — a cień smutku lub tęsknoty z jego czoła i na mnie pada mrocznym swym kirem.

24go sierp.

Dziś wieczorem wyszliśmy wszyscy na ganek. Zaledwie wieczorne zorze pomknęły w przestrzenie lazurowe i pobladły, zajaśniał księżyc na niebiosach. Światło jego zimne jakieś i śmiertelne oblało twarze nasze posągową bladością. Siedzieliśmy zadumani — czy smutni w milczeniu i ciszy. Radość, to pierzchliwe dziecię słońca, umknęło od nas na swych skrzydłach z iskier i złota, a mgła zamyślenia owiła nas srebrną przędzą, utkaną perłami! Marzyliśmy wszyscy — starsi o minionej przeszłości, młodsi o nieznanej im jeszcze i zagadkowej przyszłości. Ja nie myślałam o niczem. Całe życie me, wszelkie promienie ducha zbiegły się w jedno ognisko uczucia! Chwilka to była krótka, ale tak błoga, iż objęła sobą całe wieki szczę-

ścia i wszechmiłości. Jeśli przyobiecane rozkosze niebieskie mają choć jeden moment taki dla swych zbawionych, toż warto i na stosy pójść ogniowe.

Adolf stał oparty o białą kolumnę, zapatrzony w niebo kilkakrotnie ku mnie wzrok swój skierował, wzrok pełen uczucia i rozrzewnienia.

Kalikst nareszcie przerwał zadumę naszą i milczenie odzywając się, iż szkoda czasu na to wzdychanie i wpatrywanie się w księżyc — gdyby go można stopić na dukaty, to co innego — a tak lepiej będzie, jeśli Adolf zechce nam zagrać cokolwiek.

Otrzeźwieliśmy wszyscy, i propozycja została przyjętą. Za chwilę znów silnemu uległiśmy wrażeniu, bo Adolf rozpoczął rzewną jakąś melodją ukraińską na cytrze a tak ją wykonał, iż porwał nas za sobą i zdawało się nam, iż tuż przed nami rozlegają się bujne stepy południowe i że słyszymy te szepty traw stepowych. Znagła zmieniła się rzewna nuta ukraińskiej dumy na wesołego kozaczka a i ten musiał miejsca ustąpić arjom z oper rozmaitych, to znów pieśniom i marszom i tańcom narodowym. Niewyczerpany zasób pieśni mieści się w pamięci Adolfa, a często też natchnienie mu niesie cudne melodje i wygrywa je, nie spisując ani nie pamiętając ich wcale.

Żałuję że nie posiadam talentu do muzyki, jakkolwiek wrażeniom jej chętnie się poddaję mimo iż zbywa mi na słuchu muzykalnym. Siedzieliśmy długo na dworze i Adolf odszedł, a nam jakoś żal było, pójść do pokoju, bo też noc była prześliczna.

Żegnam cię, moja droga!

Marcelka.

30. sierp. 1866 r.

Jeszcze ci jedne odwiedziny Adolfa opiszę. Deszcz lał okropny dzień cały, wiejskie drogi rozmiękły zupełnie. Przepędziliśmy dzień cały w rodzinnem kółku i byłoby mi przyjemnie i błogo, gdyby nie ten ciągły niepokój, co upiorem wżarł się w me serce.

Siedziałam przy biórku, wujenka w fotelu, ciocia

na kanapie a Kalikst na otomance. Rozmawialiśmy wesoło, bo Kalikst cieszy się takim dobrym humorem, że w jego obecności tylko wesołym być można, a przynajmniej śmiać się trzeba koniecznie. Lubi też przytem pozować na materjalistę, jakkolwiek aż nadto wyraźnie przez tę opokę sarkazmu i szyderstwa przeziera poczciwe jego serce i poetyczne usposobienie. Spoglądałam co chwila ku oknu, a Kalikst zauważył to i rzekł, zbliżając się ku mnie:

— Nie trudź się daremnem wyglądaniem twych przyjaciółek, bo dziś nie przyjdą, a pan W. koni nie da z pewnością.

Czułam, że mi się twarz oblała szkarłatem. Drażniła mię ta domyślność Kaliksta i rzuciłam mu ostrą dosyć odpowiedź, ledwie wujenka zażegnała burzę, bo już się na nią zanosiło. Zaczęło się ściemniać, jakieś szare mroki zawieszały się po kątach pokoju i zwolna otulały nas swą szatą mroczną i smętną. W tem skrzypnęły zawiasy u furtki, szybkie spojrzenie rzuciłam ku oknu i ujrzałam — Adolfa. Szedł zwolna przez podwórze, w przedpokoju zostawił płaszcz i kalosze, potem słyszałam kroki ku drzwiom — położył rękę na klamce, drzwi się otwarły.... wszedł....

Droga moja! Gdyby po tysiącu lat zbudzono mię do życia, a jeśliby choć jeden atom z obecnej składowej mego ciała, w tej nowej istocie żyjącej jeszcze się znajdował, to w tym atomie jednym w najmniejszej części mego jestestwa pamięć tej chwili żyłaby równie silna, jak dziś mię przenika. O jakież to wielkie, jakie wszechpotężne uczucie pociąga jednostki ludzkie jedne ku drugim. Przed tygodniem w ów wieczór księżycowy sądziłam, iż do dna już wychyliłam kryształową czarę miłości, że nowych już wrażeń doznać niepodobna — tymczasem miłość ta w sercu mem rośnie i rośnie, a takie szczęście wielkie mi niesie, iż drżę i lękam się, by nie przyszły kiedy inne chwile, chwile czarne, i by mi ta miłość nie zgasła. Miłość nie tylko ducha i myśl zabiera w swe wszechwładne panowanie, ale jak sama się przekonałam i ciało ma całkiem w swej mocy.

Uścisnęłam rękę Adolfa a raczej odwzajemniłam

jego uścisk tylko, a takie mię dreszcze przeszły gorące, tak w skroniach zaszumiało, takie lotne iskry i płomyki mignęły przed oczyma, że aż usiadłam, by nie uledz wzruszeniu i gestem jakim nie zdradzić słabości. Patrzył na mnie ciągle, i ja też od niego oczu odwrócić nie mogłam. Zdawało mi się, iż w posąg się zmieniam nieruchomy, lecz w dziwny jakiś posąg, ulany chyba z żelaza i rozpalony w ogniu do czerwoności, bo tętniły mi pulsa, twarz płonęła, a w oczach żary jakieś czułam piekące.

Rozmowy opisać nie mogę, nie wiem co mówiono, ja słyszałam tylko gwar jakiś niby z oddali dochodzący mej samowiedzy, a j e d n a tylko melodja płynęła mi wprost do duszy — melodja jego głosu.

Gdy Adolf odszedł, otworzyłam okno. Noc była ciemna, iż na krok nawet nic rozpoznać nie można było. Dochodziły mię tylko jęki wichru, mieszającego się w żałobne akordy ze skrzypieniem spróchniałych konarów w pobliskim lesie. Zamknęłam okno coprędzej i pogawędziwszy trochę — bo straszny smutek mię znów ogarnął — musiałam odczuć, że są istoty drogie mi tuż przy mnie ; chciałam więc wynagrodzić im niejako pieszczotą i wesołością to, iż serce swe tak całkowicie i tak wyłącznie i niepodzielnie oddałam innej miłości.

Nad ranem dopiero usnęłam i spałam aż do 10-tej rano.

1go września 1866.

Śliczny dzień dzisiaj! Adolf przyrzekł mi przynieść książkę do czytania.

2go września 1866.

Adolf przysłał mi książkę, owiniętą starannie, opieczętowaną i do mnie na wierzchu zaadresowaną. Wewnątrz znalazłam wiersz zaczynający się od słów:

„Czemuś tak smutnie twą główkę skłoniła
„I tak milcząca ku ziemi spozierasz,

„A łezkę, co ci źrenice zaćmiła,
„Niepostrzeżenie twą rączką ocierasz?"

Prosiłam Kaliksta, by zaprosił Adolfa na wieczór, uczynił też to przez posłańca, a ja dałam Adolfowi do przeczytania moją odpowiedź na wiersz powyższy także rymowaną. Odpisał ją sobie.

4go września.

Dziś dostałam bukiet ładny, ułożony z drobniuchnych, różnobarwnych kwiateczków i ślicznie mchem obłożony, zachowam go na pamiątkę.

8go września.

Byliśmy na zabawie u państwa W. Tańczono przez noc całą ochoczo. Adolf był blady i smutny, a wiesz już droga, że gdy on smutny, to i ja nie wesoła.

10go września.

Dziś piszę ostatni raz z S. do ciebie, następny list dostaniesz już z N. i opiszę ci w nim przebieg ostatnich dni naszych wakacji. —

Drogiej mojej niezmienna przyjaciółka

Marcela.

17go września 1866.

Minął już sen mój złoty, zbudziłam się do życia rzeczywistego, a zbudziłam się, jak ów więzień na zgrzyt żelaznych łańcuchów. Ni mej izdebki zacisznej, ni zielonej jabłoni pod oknem, ni serdecznej pieszczoty na dzień dobry. Znów mię dochodzą uliczne gwary,

znów dolatują targi przekupniów, znów mię owiewają mroźne oddechy nienawiści,

Ostatnie dnie wakacji zbiegły nam na przygotowaniach do podróży i na licznych pożegnalnych wizytach. Ostatniego dnia, t. j. 14-go b. m. poszedł Kalikst do Adolfa i do braci jego na pożegnanie, a oni zapowiedzieli, iż będą jeszcze u nas wieczorem.

I przyszli. Rozmowa płynęła wezbranym a szumnym strumieniem i pieniła się w biegu, a fale błyskotliwe migały barwami tęczowemi. Chcielibyśmy w ten wieczór ostatni razem spędzony wlać tyle życia, tyle ognia, by nam płomiennem wspomnieniem jaśniał na tle przeszłości. Ile też myśli świeżych, jędrnych i ognistych wypłynęło w ożywionej rozmowie, ile dowcipu, ile przebłysków inteligencji, rozumu i zapału młodzieńczego — któż to wyliczyć i opisać zdoła. Znalazły się skrzypce i flet, Adolf posłał po swoją cytrę. Zabrzmiały pieśni, a nie jedna łza zabłysła w przygasłem oku staruszki ciotki naszej, niejedna piosnka uderzyła melodją swą wujenkę, jak echo młodości, niejedna iskra natchnienia zajaśniała w naszej źrenicy.

Adolf był duszą zebrania.

Oczy moje mimowoli biegły ku zegarowi, wiszącemu na ścianie i w każdej takiej wędrówce spotkały się z oczyma Adolfa, który również jak ja śledził minuty, których niestety ni wstrzymać, ni cofnąć, ni przedłużyć nawet nie można było. Po wieczerzy odezwał się Kazimierz, iż czasby już im odejść, Adolf toż samo potwierdził z uwagi, iż jutro rano musimy wyjechać i potrzebujemy wypoczynku.

Spojrzałam na Kaliksta — od niego wszystko teraz zależało.

Zrozumiał mnie i tą razą względniejszy jak zwykle, prosił ich, by jeszcze pozostali, wujenka również jakieś słówko rzuciła i zostali.

Okno było otwarte. Na niebie migotały srebrne gwiazdki i ciepło było, jak w lecie. Adolf stanął na dworze w pewnem oddaleniu od okna i patrzył się we mnie długo, aż siłą tego magnetycznego wejrzenia pociągnięta, zwróciłam się ku niemu i zbliżyłam się do okna.

Kalikst prosił, by się zatrzymali do dwunastej. Adolf podszedł ku oknu, oparł się na niem i znów spojrzeliśmy na zegar.

— Jeszcze trzy kwadranse — szepnął z cicha.

— Tak — odrzekłam, jeszcze trzy kwadranse.

— Czyż to wystarczy na długi, długi czas rozdziału?

— Musi....

Po chwili wszedł Adolf do pokoju, a blady był dziwną marmurową jakąś bladością. Rysy mu stężały, stały się jak wyrzeźbione, tylko wielkie, rozszerzone źrenice jakimś nienaturalnym, fosforycznym blaskiem jaśniały. I ja musiałam się zmienić na twarzy, bo zauważałam, że wejrzenia obecnych z dziwnym wyrazem ku mnie się zwracają.

Uderzyła dwunasta. Uczucia mego opisać nie potrafię. Pożegnawszy się ze wszystkimi, zbliżył się Adolf do mnie, obiema rękami ujął me dłonie w uścisku i szepnął blademi usty:

— Do widzenia!

Nie mogłam się zdobyć na żadną odpowiedź, staliśmy wpatrzeni w siebie, milczałam.

— Pani! — wyrzekł, raz jeszcze powtarzam: do widzenia! i błagam o toż samo „do widzenia“ z ust twoich.

— Do widzenia — powtórzyłam jak echo.

Przycisnął do ust me ręce, ścisnął je raz jeszcze, skłonił się, chwycił za kapelusz — jeszcze jedno wejrzenie i już go nie było.

Tak, moja jedyna, zakończyły się wakacje, a w tym krótkim przeciągu czasu zasiało się w sercu mojem uczucie, które w cudny kwiat wykwitnie i stanie się treścią całej mojej przyszłości.

Kocham i jestem kochaną — resztę polecam Opatrzności, a żyć będę nadzieją i wiarą.

Na drugi dzień wyjazd nasz bardzo rano nastąpił. Nie obeszło się bez łez i czułych pożegnań, Kalikst tylko nadrabiał miną i dowcipkował — ale i jemu nie szło to z serca, bo skorośmy wyjechali, zadumał się, pochylił głowę i trudno zeń było i słowa wydobyć.

Zawsze twoja

Marcela.

EPILOG.

Upłynęło lat 14 od owych poetycznych wakacji, w ciągu których Marcelka zasypywała mię swymi listami, malującymi tak żywo świeżą i niezepsutą a chciwą wrażeń duszę młodej dziewczyny. Stosunki się zmieniły. Marcelka wyszła za mąż przed sześciu laty, a teraz zaczęło jej coś zdrowie niedopisywać, a lekarze radzili jej zmianę miejsca, rozrywki, podróże, a także i kąpiele morskie. Mąż jej przedsięwziął właśnie podróż do Smyrny w interesach handlowych i zaproponował jej, czy nie zechciałaby mu towarzyszyć. Namyśliła się długo, w końcu wezwała mnie do siebie i radziła się, co począć.

— Ależ jedź... ma się rozumieć.

— Pojadę, ale pod tym warunkiem, że i ty z nami pojedziesz.

— Zgoda — wyrzekłam uradowana, że będę mogła trochę odświeżyć swój umysł wrażeniami podróży.

Postanowiliśmy odbyć podróż do Jałty i ztamtąd miał pan G. udać się do Smyrny, a my zamierzałyśmy zatrzymać się parę tygodni w Jałcie i za jego powrotem dopiero razem pojechać do kraju. W Odesie wsiedliśmy na parowiec. Brzegi Krymu rysowały się malowniczo, nad nami zawieszały się błękity i płynąca w nich złota kula słoneczna. Dzień wrześniowy cudny, a powietrze zdawało się wlewać strugi życia i zdrowia w płuca nasze, zmęczone wsiąkaniem przykrych wyziewów miejskiego powietrza, jakiem oddychać wszyscy mieszkańcy miast są zmuszeni. Wszystko co żyło, wyruszyło na pokład, a ludność była nader rozmaita. Żydzi i Turcy, Arabi, Moskale, Polacy, Niemcy, Ormianie roili się gwarnie i bawili się rozmową w różnorodnych językach i narzeczach.

Marcelka zwracała na siebie ogólną uwagę. Nie była nigdy piękną, tem mniej teraz, gdy dawno już stanęła w południu niewieściego lata — a jednak

wdzięk jej ułożenia, miłe rysy twarzy i smakowne a wytworne przy całej prostocie swej ubranie wyróżniały ją wśród tłumów i pociągały mimowoli ku sobie. W sympatycznej twarzyczce przebijała się dziwna dobroć i łagodność, a oczy miały wyraz nieokreślonej tęsknoty — prawie smutku. Trzymała za rączkę śliczną dziecinę swą, maleńką 4-letnią zaledwie Marylkę, Rozmawiałyśmy o tych cudach z niesłychaną hojnością ręki bożej po wszechświecie rozsianych. Mąż Marcelki, człowiek światły, gładki w obejściu i prawy w postępowaniu kochał bardzo swą żonę, mimo że nie zawsze dobrze się rozumieli nawzajem. On był zwolennikiem realistycznych prądów, nurtujących teraz coraz silniej w społeczeństwie — ona zaś jako marzycielka hołdowała zasadom idealizmu. Przebolawszy ową pierwszą miłość swą, wyszła za mąż dla tego, że ojciec sobie tego życzył. Mimoto żyją jednak ze sobą zgodnie, co o ile zauważyć mogłam, jest tylko zasługą łagodnego usposobienia Marcelki.

Niezadługo zwróciła uwagę naszą jakaś nieznajoma otyła pani — prawdopodobnie Włoszka lub Rumunka w towarzystwie mężulka, któremu się zaledwie oczy świeciły wśród spasionych policzków. Dama ta miała włosy czarne ufryzowane nad czołem w drobne loczki, włosy spiętrzone wysoko — na nich filuternie przekrzywiony kapelusik, strojny w krzyczące papuzie pióra. Na aksamitny stanik spływały czarne loki, a cały strój był niezmiernie bogatym. Mnóstwo złota i brylantów świeciło się na niej. Miała złote kolczyki, broszkę, bransolety, pierścionki, zegarek z łańcuszkiem i medaljonikiem. Byłaby to wcale nie brzydka osoba, gdyby nie piętno jakiejś cielesnej zmysłowości, które cechowało wyraz jej twarzy. Ani iskry ducha nie można było dostrzedz w czarnem, namiętnem oku, a pąsowe usta, grube i zmysłowe, rozchylone były jakimś nader trywialnym uśmiechem i zalotnością, z którą zwracała się do towarzyszącego im wysokiego a młodego oficera. Lat mogła mieć zarówno dobrze 25 — jak 40. Na pąsowym, jedwabnym sznureczku ze złotym kutasem prowadziła białego pincza, ubranego w pąsowy płaszczyk ze złotą frendzelką i obróżką na szyi. Mąż jej ocierał chustką

krople potu, spływające mu po skroni, i przygładzał rzadkie włosy, wachlując się zdjętym z głowy kapeluszem. Zauważyłam że Marcelka patrząc na nich pobladła i prosiła męża, by poszedł z Marylką do bufetu, bo dziecko prosiło już o drugie śniadanie. Widocznie chciała uniknąć badawczych spojrzeń jego, a nie mogła nad sobą zapanować. Zrazu nie pojmowałam tej zmiany w twarzy Marceli, ale z wyrazu oczu i z ust zaciśniętych poznałam, że coś ją dotknąć musiało głęboko. Po chwili otyły jegomość, wysapawszy się należycie, począł się rozglądać i mimowoli zwrócił ku Marceli swe pożądliwe i bezmyślne wejrzenie. Marcelka pobladła jeszcze więcej, ale oczu nie odwróciła od niego. Po tej niemej obserwacji, na tłustej twarzy nieznajomego rozlał się jakis wyraz inteligentniejszy trochę, niby duch się w nim nagle obudził z apatji i wypięknił rysy twarzy szlachetnością, oczy straciły zmysłowy i bezmyślny wyraz pierwotny, a odbiły się w nich iskry zapału czy wspomnień. Jakieś blaski młodzieńcze mignęły w źrenicy i odkryłam, że w tej masie ciała żyje jeszcze duch o potężnej inteligencji i sile — tylko snać wpływy inne przemogły i człowiek ten usnął duchowo, by żyć dla materji.

Podniósł się z krzesła i zwolna zbliżył się ku nam a raczej ku Marceli, skłonił się jej z całą wytwornością światowca i rzekł:

— Czy mam zaszczyt, widzieć pannę Marcelę X?

— Byłam nią — odpowiedziała dumnie i chłodno.

— A dziś, jeśli mi zapytać wolno?

— Dziś nazywam się G...

— I znów jak to ongi przed laty zapytam panią, czy pani nie poznajesz we mnie Adolfa?

— Nie panie — niepodobieństwem byłoby, w panu poznać Adolfa.

Odpowiedź ta zmięszała go nieco, podniósł pulchną, białą rękę, na tłustych palcach błysnęło złoto i brylanty, pogładził rzadkie włosy, między któremi przebijała czerwona i spocona łysina i wyrzekł:

— Ale pani się mało zmieniłaś doprawdy.

— To mię dziwi — odrzękła.

W tej chwili ozwał się gruby głos otyłej małżonki: „Bibi! Bibi!“ Spojrzeliśmy wszyscy w tę stronę, a biały pińczyk wymknął się z rąk swej pani i przebiegł, wlokąc złoty kutas za sobą.

— O przepraszam panią! muszę pójść poszukać pieska mej żony.

— Proszę — odparła, a w głosie jej brzmiała zraniona godność kobieca i żal głęboki i ostatnie westchnienie konającej miłości.

Odszedł szukać pieska, Marcelka patrzyła za nim długo, usta jej okrążył uśmiech niewysłowionej pogardy i cierpienia zarazem. Zwróciła bladą twarz swoją ku mnie, na prawym policzku płonęła plama dziwnego rumieńca, zapewne z wielkiego wzruszenia. Pochyliła się nad balustradą, u stóp naszych perliły się srebrzyste piany wodne, nad nami złote promienie słońca. Zadumała się głęboko, i na pożegnanie zgasłej miłości, spłynęło po bladych policzkach kilka łez gorących i utonęło w ruchliwych falach Czarnego — morza. —

JESIEŃ.

Szum, jesienny wietrze, szum,
  Echa smętnych twoich dum
Takie śpiewne,
Takie rzewne,
Że kołyszą niby w sen!
      Lećcie, listki, lećcie z drzew!
      Waszych szmerów tęskny śpiew
      W lubą ciszę
      Mię kołysze
      I łagodzi serca ból!

Snuj się, pajęczyno, snuj!
Srebrnej przędzy twojej zwój
Płynie w dal
Powietrznych fal,
Aż oplącze się o kwiat!
Świeć, jesienne słonko, świeć!
Niech promieni złotych sieć
Nas ogrzeje,
Nim zawieje
Przyjdą tu zimowych burz!

Czortków, 10. września 1883.

Janina Antonowiczówna.

Aksiomat życia.

Najwyższe szczęście — pokój z samym sobą,
On wszelkie bole ukoi na świecie
I wszelkie czyny krasi swą ozdobą,
Gdy się w nie tęczą swą promienną wplecie.
Wszystko przemija jak powietrzna mara,
Wszystko, co „naszem" zowiemy na ziemi;
Zostaje tylko w głębi duszy wiara:
Ta się nie lęka czasu, ni przestrzeni!

Janina Antonowiczówna.

III.

Z podań legendy żydowskiej.

Żydówka

z Alfreda Meissnera.

Słychać pieśni dźwięk żałobnej:
Stary żyd rozpruwa szaty,
Płacze córy swej nadobnej,
Co z ojcowskiej znikła chaty —
Zimny czeka grób.
Jest u żydów obrząd stary,
Uświęcony przez zwyczaje,
Że kto ojców zrzekł się wiary,
Zwie się zmarłym, grób dostaje —
Zimny czeka grób.
Wzmianka krótka pozostała
Światu wiadomość udziela,
Że się grzeszna dziś rozstała
Dusza z gminą Izraela —
Zimny czeka grób.
Na weneckich wód przestworzu
Piosnką gondoliera kona;
Młodzian płynie tam po morzu,
Tuląc żydówkę do łona. —
Zimny czeka grób.
Włos całując jej i lice
Zwie ją swoją narzeczoną,
Ona wpaja weń źrenice,
Tchnąc miłością nieskończoną —
Zimny czeka grób.
Potem dumki ulubione
Gra na cytrze dziecię hoże,
Aż chrześćjanin odurzone
Dziewczę wiedzie w miękkie łoże.
Zimny czeka grób.

Raz zbudziwszy się nad rankiem
Widzi dokoła pustynie,
A z wiarołomnym kochankiem
W obce strony okręt płynie,
Zimny czeka grób.
    Nad wybrzeżem tam dziewczyna
    Bolem ku ziemi przygięta,
    Po raz pierwszy przypomina
    Słowa ojca: „Tyś przeklęta!
    „Zimny czeka grób!“ —
Teraz pod ciosem przekleństwa
Wraca przez Alpów zamiecie,
I bez łez — błogosławieństwa
Chowa martwe swoje dziecię —
Zimny czeka grób.
    Na cmentarzu grób przy grobie —
    Któż ich ciszę niepokoi?
    To żydówka, co w żałobie
    Zwidza groby, gdzie spią swoi —
    Zimny czeka grób.
Z wytężeniem sił odtrąca
Głaz, co jeszcze na zawadzie,
I z pacierzem — konająca
Sama w zimny grób się kładzie. —
Zimny czekał grób.

Sambor. 27. października 1883.

N. Kohn.

MAVSOLEVM.

„STANISLAVS AVGVSTVS PONIATOVIVS,“

in anagrammate.

AAAA
G
III
L
NN
OO
P
SS SS SS
TTT
VVV
VV
V

soluto nomine, legitur:

AMITTIT. ANIMVM. AQVILA. ALBA.
GAVDENTIBVS.
INIMICIS. INTERITV. ILLIVS.
LVGET.
NATIO. NOSTRA.
OMNIS. OPTIMVS.
POLONVS.
SVORVM STATVM. SVMMVM SIDVS. SVPREMAM SALVTEM.
TRISTES. TEGVNT. TENEBRAE.
VTILIA. VIM. VITAM.
VRBES. VLTORES.
VOTA.

Z rozrzuconych głosek z imienia „Stanislaus Augustus Poniatovius,“ a ułożonych w ładzie abeca-

dłowym, powstaje od A do Z rzut pomnikowy anagrammatu według dziejowego Ducha Czasów, jak następuje:

UCHODZI DUCH ORŁA BIAŁEGO
Z POCIECHĄ NIEPRZYJACIÓŁ
CIESZĄCYCH SIĘ ZGUBĄ JEGO;
OPŁAKUJE
NASZ NARÓD,
JAK KAŻDY DOBRY
POLAK,
ZIOMKÓW SWYCH STANU, ŚWIETNÉJ GWIAZDY,
WYSOKIEGO SZCZĘŚCIA;
KRYJĄ SMĘTNE CIEMNOŚCI
POŻYTEK, POTĘGĘ, ŻYCIE,
MIASTA, MŚCICIELI,
ŻYCZENIA.

Nárbrzan Bętkowski.

Tragedja przerwana.

(Ustęp z życia artysty.)

— Cesiu, Cesiuniu! zapewne myślisz o poruczniku od ułanów i niezważasz, że kieliszki próżne — wołał melodyjnym a pełnym siły głosem nasz tragik Ryszard L. do dziewczęcia posługującego w jednej z pierwszorzędnych kawiarń warszawskich.

Śmiech homeryczny obecnych gości był odpowiedzią na dowcipny wyrzut Ryszarda zrobiony Cesi, bo dowcip tryskał z każdego jego słówka, jak szampan z pełnego po brzegi kielicha. Na tę uwagę pod-

biegła co żywo Cesia i napełniła kielich artysty i kilku kolegów, wspólnie z nim ucztujących. I Ryszard pił znowu i uśmiechał się, uśmiechał się i pił, jak prawdziwy artysta, duszkiem do dna, a po każdym spełnionym kielichu, twarz jego czem raz więcej rozjaśniała się i wypogadzała. Tymczasem zewnątrz na rogu kawiarni przylepiony afisz oznajmiał publiczności, że dziś w teatrze wieczorem przedstawionym będzie „Wilhelm Tell," a rolę starosty Gesslera odegra Ryszard L. Na zegarze ratuszowym uderzyła siódma, a dwóch posługaczy teatralnych wbiegło do kawiarni z zawezwaniem reżysera, żeby Ryszard w tej chwili do garderoby pospieszył.

— Dobrze, dobrze, chłopcy — odparł tenże z flegmą, powiedźcie waszemu reżyserowi, niech mną sobie głowy nie kłopocze, występuję dopiero w akcie trzecim i z pewnością na czas przybędę.

Potem melancholicznie spojrzał na próżne dno swego kielicha i rozpoczął choć ciężkim językiem zajmującą dysputę, jaka jest różnica między kobietą, pozwalajacą się kochać a zakochaną. W końcu powstał, a balansując to w prawo, to w lewo zawołał:

— Dziś najchętniej poszedłbym do domu spać, zamiast brać udział w przedstawieniu.

— A więc Ryszardzie, zrób tak! tak będzie najlepiej — zawołali podochoceni koledzy.

— Widzicie, to nie uchodzi, a zresztą czyż możliwym jest Wilhelm Tell bez Gesslera? dyrektor zrobiłby fiasko.

— Et co ci tam dyrektor — wołali drudzy, Ryszardzie! ty zostaniesz z nami, my cię nie puścimy.

— Brawo! brawo! — krzyczeli wszyscy, Ryszard zostanie z nami.

Ryszard zamyślił się poważnie, a po chwilce odpowiedział:

— Nie! pójść muszę, obowiązek obowiązkiem, dyrektor człowiek uczciwy, gażę rzetelnie mi wypłaca, ale daję wam słowo, że Tell w godzinie się skończy, daję wam słowo artysty, a potem dalej będziemy hulać noc całą.

— W jaki sposób? to niemożebna — wołali wszyscy.

— Chodźcie ze mną, a zobaczycie.

Towarzystwo całe zgodziło się na wniosek Ryszarda, i w jednej chwili wyruszyli wszyscy do teatru. Skutki szampanu były jednak zanadto widoczne, latarnie bowiem niby skoczne dryady uciekały przed nimi, a naprzeciw nich stojący most impertynencko rozpierał się nad wodą, zamykając im drogę, księżyc zaś tak naiwnie spoglądał na nich z góry, że nie mogli się wstrzymać od konwulsyjnego śmiechu z jego głupiuteńkiej miny.

W końcu weszli do przepełnionego teatru. Dziwnie głębokie wrażenie robi zawsze na mnie zapełniony teatr, te setki głosów młodych i starych, przystojnych i brzydkich, zwrócone i wpatrzone z całem skupieniem ducha w jeden punkt, to jest na scenę.

Akt drugi właśnie miał się ku końcowi, artyści grali wzorowo, publiczność była rozentuzjazmowaną. W tem znowu dzwonek z budki suflera się odezwał, kurtyna podniosła się i akt trzeci zaczął się od słów: „Miejsca, miejsca dla starosty,“ i wyszedł Ryszard. Jak dumnie on stąpał, z jakim majestatem patrzał, mimo, że w żyłach jego pulsowała krew dwa razy szybciej, rozegrzana szampanem; jak sympatycznie dźwięczał jego głos, gdy tymczasem na parterze z tem większą niecierpliwością i trwogą oczekiwali jego koledzy na przyrzeczony im figiel, lecz wróćmy do akcji samej.

Gessler.

Tellu! ty włożyłeś
I drugą strzałę w twój kołczan — dla czego?
Widziałem dobrze — więc powiedz, dla czego?

Tell.

Zwyczaj strzelecki czynić nam tak każe.

Gessler.

Tą odpowiedzią nie dam się oszukać:
Ta strzała inne przeznaczenie miała.

Powiedz mi prawdę śmiało i odważnie,
Jak ci przystało — zapewniam ci życie...
Pocóż ta strzała?

Tell.

Więc dobrze, mój panie!
Ponieważ życie mam zabezpieczone,
Powiem ci prawdę szczerą i otwartą:
Ta strzała tobie była przeznaczona,
Gdybym me dziecko przypadkiem był zabił,
A ciebie, panie, z pewnością bym trafił.“

Wtedy przystąpił Ryszard bliżej, uderzył go serdecznie po ramieniu i zawołał:

Tak przyjacielu — podobałeś mi się,
Bez komplementów powiem tobie szczerze,
Że na twem miejscu zrobiłbym tak samo.
Przeto posłuchaj mojej szczerej rady:
Po co masz jeszcze po wzburzonej wodzie
Bez wioseł płynąć i czas marnie tracić,
A przytem może na katar zachorzeć?
Ja ciebie zaraz puszczam ztąd do domu,
Odemnie pozdrów żonę twą serdecznie —
Ja ci przebaczam, żeś mnie chciał zastrzelić.

I po tych słowach z emfazą do publiczności wygłoszonych, wielkiemi krokami odszedł Ryszard z Tellem ze sceny, po za kulisy, jak gdyby mu tak z roli wypadało. Lecz po kilku chwilach tej pustki na scenie, gdy publiczność oprzytomniała i zrozumiała, że Ryszard z niej sobie zadrwił, poczęła świstać, syczyć i wśród tej kociej muzyki kurtyna spadła. Przedstawienie wprawdzie w obiecanym czasie się skończyło, mimoto Ryszard nie poszedł do kawiarni. Każdy inny aktor, gdyby sobie coś podobnego pozwolił, byłaby z nim dyrekcja natychmiast kontrakt rozwiązała, zwłaszcza że publiczność czuła się mocno obrażoną, a dzienniki w tym wypadku wystąpiły również z ostrą krytyką. Z artystą jednak, jakim był Ryszard L. nie można było sobie tak bezwzględnie

postąpić; owszem żeby ten niefortunny żart zatuszować, ogłosiła dyrekcja w dwa dni później Hamleta, w którym rolę tytułową grał Ryszard i to niezrównanie.

Z rana już przed przedstawieniem, do kasy docisnąć się nie było podobna, a bilety zostały zupełnie wyprzedane. W końcu przedstawienie się rozpoczęło, a z podniesieniem kurtyny wyszedł Ryszard na scenę. Równocześnie jednak z jego wyjściem poczęto gwizdać i syczyć. Wtedy Ryszard z zupełnym spokojem, wrócił na kulisy, wyniósł sobie krzesło naprzód sceny i usiadł spokojnie. Ta pewność siebie skonfundowała o tyle zgromadzoną publiczność, iż ucichła, a wtedy Ryszard przemówił dźwięcznym głosem:

— Proszę panów dalej bez żenady, scena była znakomicie komiczną... rzeczywiście udała się... dotychczas wprawdzie, zwykle ja miałem to szczęście bawić szanowną publiczność grą swoją, dziś jednak nastąpiła zmiana, dziękując więc serdecznie łaskawej publiczności za wyręczenie, proszę dalej bez przeszkody kończyć rozpoczętą brawurę.

Na tę przemowę nikt jednak nie odpowiedział: wtedy dopiero Ryszard grać rozpoczął. Jak on tego wieczora grał, do śmierci nie zapomnę. Był to wspaniały widok, jak pod wpływem gry jego, wszyscy przeciwnicy zapałem i uwielbieniem dla jego talentu przyjęci, kwiatami i wieńcami go zarzucili, jak cała salą trzęsła się i drżała od jednej nieprzerwanej burzy oklasków. A przecież, jak smutnie skończył ten prawdziwy jenjusz dramatyczny! Zwolna czem raz więcej począł oddawać się nałogowi i w kielichu natchnienie zagrzebał.

W końcu jednego poranka znaleziono go skrzepłego na drodze publicznej, a dzienniki w nekrologach, o nim pisanych, z żalem prawdziwym i głębokim donieśli czytelnikom, że zgasła perła i runęła kolumna i podpora sceny dramatycznej ojczystej.

Emanuel Gordziewicz.

Z teki zapomnianego poety.

1. Z dziedziny publicystyki galicyjskiej.

Zgasł „S..“ luby, albo raczej
Z jadu zgnił;
Niech mu Gutenberg wybaczy,
Że on żył!

2. Prozaiczność.

Płoszył młodzik wszystkie koty
Lutni żałobnemi jęki,
Kiedy śpiewał wiek swój złoty
I niebieskich oczek wdzięki.
Piosnkę pełną łez i szałów
Z wzgardą hreczkosiej przerywa:
„Daj nam, Panie! złote żniwa!
Cóż nam z niebieskich migdałów?“

3. Z Andersena.

„W proch uliczny z geniuszami!
Niech, co mierne, się rozmnaża!“ —
Oto piosnka nad piosnkami,
Piosnka, co się wciąż powtarza!

Saturn.

Konwalijka.

W Niedzielę, w kościele,
Na stopniu podnóżka,
Przed wielkim ołtarzem
Uklękła dziewuszka.
Ludu ciżba wielka,
Aże trzeszczą ławki,
Nie widać dziewczęcia
Jako w lesie trawki.
Spojrzała w tę stronę
Jutrzenka zaranna,
I mówi do syna
Przenajświętsza Panna.
Głos płynie z organem
W uroczystej ciszy,
Tylko go dziewuszka
I Pan Jezus słyszy.
— Spójrz na tę sierotkę
Świętemi oczyma....
Biały, leśny dzwonek
W obu rączkach trzyma.
Przyniosła go tobie
W serdecznej ochocie,
Lecz nie śmie położyć
Na srebrze i złocie.
— Zaprawdę ci mówię —
Jezus Matce powie,
Marne są te perły,
Co je mam na głowie.
Ubogie i nędzne
Te drogie ofiary —
Sierotka mi niesie
Dar nad wszystkie dary.
Droższy niż korona,
Niż ta złota lama,
Biały leśny dzwonek,
Toż to ona sama. —

Stefan z Opatówka.

Pamięci Edwarda Jurgensa.

Wiersz drugi. *)

W dzisiejszej marnych umysłów rozterce,
Co powiem braciom o tobie w pobliżu?
Że ci w moskiewskiej turmie pękło serce,
Gdy Polskę znowu ujrzałeś na krzyżu!

Wróblewice 1868 r.

Władysław Tarnowski.

---

*) Pierwszy wiersz W. Tarnowskiego poświęcony pamięci Edwarda Jurgensa drukowanym był w jednym ze zbiorów jego poezij, pełnych wzniosłego natchnienia.

Jurgens, syn ubogich rodziców, już w Uniwersytecie odznaczał się mocą i powagą swojego charakteru. Był on jednym z przewodników młodzieży warszawskiej zwłaszcza też w latach, które poprzedziły ruch narodowy 1861 i powstanie 1863 r. Nazwisko jego zapisanem zostało zaszczytnie na kartach historji, jako męża wywierającego znaczny a dobry wpływ na wiekopomne ówczesne wypadki. Umiarkowanie i rozwagę w postępowaniu łączył z gorącem uczuciem patrjotycznem. Należał do stronnictwa białych. Gdy jednak Wielopolski odebrał temu stronnictwu możność działania w myśl programu umiarkowanego, Jurgens jak wszyscy inni przewódzcy białych przechylił się do działania więcej stanowczego. Przez wygnanie Andrzeja Zamojskiego za granicę, Wielopolski zaostrzył sytuację i pchnął szlachtę ku powstaniu, — przez zaaresztowanie Jurgensa popchnął zamożniejszych mieszczan stolicy i rozważniejszą młodzież warszawską w objęcia rewolucji, Jurgens bowiem był w tych sferach przewódzcą białych i zasiadał w ich komitecie. Prawy ten a pięknego charakteru obywatel osadzony w cytadelli w chwili tak stanowczej. za kratami dowiadywał się o szerzącem się powstaniu. W nieszczęściu okazał się mężem pełnym godności. Komisja śledcza jak wieść z cytadelli rozniesiona zawiadomiła, postępowała z nim w sposób zarówno przewrotny jak okrutny. Serce mu pękło z boleści i ducha wyzionął w cytadelli (w roku 1863) jako męczennik świętej narodowej sprawy.

(*Przypisek wydawcy.*)

Żal za pieśnią.*)

Żegnajcie pieśni! coście mi życie
W ziemskiej rozterce bawiły!
O pieśni moja! ciebie w rozkwicie
Okrutne chłody zwarzyły!
Piosenko moja niezrozumiana!
Cofnij się do serca głębi,
Skryj się przed światem, pieśni kochana!
Niech cię szyderstwem nie ziębi!
Zostań na zawsze w mej wyobraźni,
A na dnie duszy zamknięta:
Tam cię fałszywy dźwięk nie podraźni,
O pieśni ma niepojęta!
Żegnaj więc, żegnaj, ma pieśni złota,
Coś biedne życie wspierała;
Teraz bez ciebie sroga tęsknota,
Sroższa samotność została.

---

*) Wiersze „Żal za pieśnią“ i „Modlitwa“ ś. p. Marji z Rusiłowa, które redakcja „Roczników Samborskich“ niniejszem ogłasza, i z których wiersz ostatni szczególne pokrewieństwo duchowe zdradza z „Konwalijką“ Stefana z Opatówka, niechaj służą jako uzupełnienie mego pośmiertnego wspomnienia. Pamięć zacnej Polki, patrjotki gorącej i autorki pracowitej, jaką była ś. p. Antoniewiczowa, nie powinna zginąć w zapomnienia toni, a kiedy wydawcy i nakładcy rozmaici, którzy za życia jej ofiarność na cele publiczne wyzyskiwali, po śmierci o niej milczą, to redakcja „Roczników Samborskich“ uważa sobie za święty obowiązek, odnowić pamięć znanej pod nazwą Marji z Rusiłowa autorki, tem bardziej że mnie do tego powołuje i upoważnia wola autorki samej, w listach objawiona, w których to listach ustanowiła mnie właścicielem prac literackich nadesłanych mi z rozporządzeniem, aby te prace, o ile można, drukiem zostały ogłoszone. Drukując więc rzeczone prace czynimy tylko zadość życzeniom i woli autorki, która się może niekoniecznie zgadza z wolą innych, ale dla mnie jest świętą. Postaramy się jednak o sumienny wybór, bo wiemy i to, że autor co do własnych prac swoich, rzadko jest sędzią kompetentnym; zbyt wysoko bowiem ceni często prace mniejszej wartości a zbyt nisko cenniejsze. (Przyp. red.)

Lub gdzie Hoczewka płynie po skale,
Gdzie szumi dąb mój zielony,
Wróć się, piosenko! w uczuć nawale
Dzwonić swe żałośne tony.
Dalej piosenko! o dalej w drogę!
Choć przyjdzie tęsknić w żałobie,
Gdy razem z tobą już być nie mogę,
Wolna — do wolnych leć sobie.

Marja z Rusiłowa.

MODLITWA.

Stwórco wszechświata! wskaż drogę,
Jak Cię uwielbiać na ziemi,
Bo ja się modlić nie mogę
Z książek słowami cudzemi;
Myśl obca modlitwę ziębi,
Choć myśl ta wzniosła i święta,
Nie idzie nam z serca głębi,
W pisane formy ujęta.
Stwórco! nie mogę ni razu
Czcić Ciebie w zimnym marmurze,
Lub modlić się do obrazu,
Bo ja Cię wielbię w naturze:
Modlitwa to, godna Ciebie,
Głoszona słowy wolnemi.
Słońce Ci hołd swój na niebie,
Roślinność składa na ziemi;
Z niemi ja w duszy głębinie
Wielbię Cię, o Boże wielki!
Modlitwa przed tron Twój płynie,
Czysta jak rosy kropelki,
Jak pieśń słowika, woń kwiatów,
Kiedy je wiosna rozwinie,

Jak urok promiennych światów.
Stwórco! ja Cię wielbię w czynie,
A nie w marnych słów powodzi,
Wypełniając przykazanie. —
Co z przekonania pochodzi,
Przyjm do łaski Swojej, Panie!

Marja z Rusiłowa.

Obrazek, jakich wiele.

NOWELA

skreśliła L. * *

I.

Na jednej z większych i eleganckich ulic prowincjonalnej stolicy wznosił się okazały i obszerny dom, w którym mieszkał radca L. z rodziną.

Do tego to domu widziano codzień spieszącą młodą i przystojną panienkę o jasnych włosach i ciemnem oku.

Była to Zofia N., młoda nauczycielka muzyki, utrzymująca się z udzielania lekcyi gry na fortepianie. Rodzice odumarli ją bardzo wcześnie, a pozostałą sierotą nikt z zamożniejszych krewnych nie chciał się opiekować, aż jedna z ciotek jej, bezdzietna wdowa po jakimś urzędniku zabrała sierotę do siebie. Ze szczupłych swych funduszów wychowała Zosię, dokładając wszelkich starań około jej wykształcenia. Zosia nietylko że ukończyła wyższy zakład muzyczny w stolicy, ale nadto uczęszczała do seminarjum nauczycielskiego, gdzie zdała egzamina z wyszczególnieniem. Kochała też bardzo ciotkę swą i była dla niej w obecnej chwili jedyną podporą i osłodą dni starości. I nie dziw, bo oprócz ciotki nie miała nikogo więcej na świecie.

W pewien dzień jesienny nad wieczorem lał deszcz strumieniami a Zosia jak zwykle powracała

od państwa L., gdzie mało co od siebie młodszej córce tychże Leonii lekcyj muzyki udzielała.

Już się zaczynało zmierzchać, a przechodniów coraz mniej widzieć można było na ulicy, bo słota nie wywabia nikogo z domu, kto nie jest do tego zmuszony.

Szybkim krokiem Zosia zdążała do domu, mieszkała bowiem na jednej z dalszych i mało uczęszczanych ulic miasta.

Na twarzy dziewczęcia odbijał się wyraz zadowolenia; był to pierwszy miesiąca, a Zosia w myśli już układała, jaki użytek zrobi z zapracowanych pieniędzy.

Zamyśliła się, a uśmiech swobodny ożywiał jej twarz i ani nie spostrzegła się, jak dwóch panów zdążało naprzeciw niej.

W chwili gdy właśnie przechodziła około jasno płonącej lampy, spotkała się oko w oko z nimi i zbudzona nagle z zadumania, uderzyła parasolem o parasol jednego z panów. Ten zaś usunął grzecznie na bok swój i zaglądnął ciekawie, czy właścicielka parasola zasługuje sobie na to ustępstwo.

Snać, że jasne pukle włosów, wymykające się z pod czarnego kapelusika i ciemne, żywe oko zaintrygowały panów, bo zaledwie uszli kilkanaście kroków, wnet się wrócili za nadobną i zgrabną postacią.

Przypatrzmy się tym dwom panom. Obaj byli młodzi, mogli mieć co najwięcej po dwadzieścia i kilka lat. Jeden z nich brunet wzrostu słusznego o ładnym wąsiku, drugi niższy nieco i blondyn...

— Słuchaj Ludwiku — rzekł blondyn, poco właściwie tak zawzięcie gonisz za tem zjawiskiem deszczowem? co za cel w tem? na co się to przyda? Czy nie dość, że raz na tydzień odprowadzasz z magazynu Manię, dwa razy ze sklepu Franię, a trzy razy Józię od rękawicznika? Mnie już nogi zbolały, bo to dziewczątko jakoś bardzo spiesznie kroczy; któż tam wie, gdzie mieszka? Przyznam ci się otwarcie, że wolałbym już siedzieć w kasynie i grać w preferansa, niż gonić światami.

— Żebym miał iść i na koniec świata, to muszę pójść za nią i dowiedzieć się, gdzie mieszka. Śliczne

jakieś dziewczę, co za niezwykły wyraz twarzy! Hm! ktoby to mógł być? na szwaczkę nie wygląda, zapewne będzie to jakaś nauczycielka, powracająca z lekcji. Wiesz co Karolu, jeśli nie masz ochoty, towarzyszyć mi w mojej wycieczce, to idź do kasyna, a ja sam za nią podążę.

— I owszem! nauczycielka, czy nie nauczycielka, bywaj mi zdrów, kochany Ludwiku; do zobaczenia jutro w biurze, tylko się nie zmęcz zanadto tą romantyczną boginią, nie spij dłużej jutro jak zwykle i nie spóźnij się do bióra. Pan radca L. wyczytałby ci reprymendę, jak mnie kiedyś, gdym się spóźnił, odprowadzając moję biedną ciotkę kulawą do kościoła. Straszny to gderalski z niego, mówiąc nawiasem. No do widzenia.

— Do widzenia Karolu.

Podali sobie ręce, Karol poszedł do kasyna, a Ludwik podążył za Zosią, Zosia tymczasem ani przeczuwała, że ktoś za nią idzie i każdy jej krok śledzi. Gdy się zbliżyła do małego domku o schludnej powierzchowności, zapukała z lekka do drzwi, poczem wyszła nie młoda już ale z ujmującem obliczem osoba i głosem pełnym troskliwości zagadnęła:

— Ach, dobrze Zosieńko! żeś przyszła, byłam tak niespokojną o ciebie. Co za szkaradne powietrze, a ty biedna tak daleko musisz chodzić; zmęczoną pewnie jesteś, moje dziecko, i zziębniętą, ale już herbata gotowa, zaraz się napijemy a ty się ogrzejesz trochę.

— Zawsze się tak o mnie troszczysz, cioteczko kochana — rzekła Zosia całując ją w rękę, a to całkiem niepotrzebnie, bo ani zziębniętą, ani zmęczoną nie jestem i na dworze nie jest tak brzydko, jak ci się zdaje. Ale — dodała po chwili, zdjąwszy ze siebie płaszczyk i kapelusz, oto są pieniądze cioteczko, proszę weź je i zarządź niemi, jak zwykle — i podała ciotce zwitek banknotów.

— Moje dziecię poczciwe — rzekła ciotka rozczulona, niech ci Pan Bóg błogosławi!

Nim podano herbatę, usiadła Zosia do ulubionego swego fortepianu i kilka dźwięcznych akordów spłynęło z pod jej białych paluszków. Dźwięki rozchodziły

się daleko po odludnej i pustej ulicy, i już dawno samowar kipiał na stole a Zosia grała ciągle.

Ludwik tymczasem stał przy furtce i zabierał się już do odwrotu, gdy go czarowne dźwięki doszły; przystanął jak przykuty do miejsca i wsłuchiwał się długo w melodyjne tony, pokąd Zosia grać nie przestała. Potem westchnął, obrócił się i zmoknięty do nitki poszedł, nie jak zamierzał do kasyna, lecz do domu. Tu, zapaliwszy cygaro, zaczął przechadzać się szybko po pokoju, a myśli rozmaite krzyżowały mu się po głowie. Dziwne jakieś uczucia miotały nim, nie mógł się oprzeć głębokiemu wrażeniu, które Zosia wywarła na nim. Kochał ją już, sam nie wiedząc jeszcze o tem.

II.

Kilka miesięcy upłynęło od tego zdarzenia.

Był to piękny wieczór wiosenny, cała przyroda oddychała życiem młodocianem, a ogrody były w pełnym rozkwicie.

I domek, który Zosia z ciotką zamieszkiwała, okalał mały ogródek, starannie utrzymywany i pełen zawsze wonnych kwiatów. Powietrze czyste i łagodne rozlewało się dokoła a woń z kwitnących drzew wciskała się do pokoju przez otwarte okna.

Był to niewielki pokoik, lecz nader czyściutko i starannie urządzony. W każdym kąciku przebijał się ów rodzaj elegancji, która nam oznajmia bytność istoty kobiecej.

Przy fortepianie siedziała Zosia w bladoróżowej sukni, która w miękkich fałdach po ziemi spływała. Wyraz szczęścia i niebiańskiego upojenia przebijał się w oczach dziewczęcia.

W małem oddaleniu siedział Ludwik i na przemiany, to wsłuchiwał się w dźwięki urocze i tajemnicze, które Zosia wywabiała z klawiszów, to wpatrywał się w jej milutkie, niewinne oblicze.

Na kanapie z pończoszką w ręku siedziała ciotka.

— Wybaczcie moi państwo — zagadnęła z uśmiechem, że was na chwilę opuszczę, ale muszę iść

zaglądnąć, co się w kuchni dzieje, na naszą Marysię nie zawsze spuszczać się można.

— Zosiu — rzekł Ludwik, gdy zostali sami, okrywając jej ręce pocałunkami, jaki ja szczęśliwy, żem ciebie poznał, teraz dopiero widzę, jaką nicość bez mej Zosi stanowiłbym. Czy pamiętasz nasze pierwsze spotkanie?

— O pamiętam, pamiętam Ludwiku! któżby o tak ważnej chwili mógł zapomnieć. Również do dziś dnia pamiętam, jak się okropnie przestraszyłam była tych pijanych ludzi, których na skręcie spotkałam. Czułam, jak się kolana uginały podemną i gdyby nie ty, nie wiem, coby się było ze mną stało, bo nie miałam już sił dobiedz do domu. Nie ma atoli złego, któreby na dobre nie wyszło; gdybym się wówczas nie była spóźniła na lekcji i nie miała tego niemiłego spotkania, nie siedzielibyśmy tu razem..

— I nie byłabyś dziś moją narzeczoną — dokończył Lndwik. Nie, Zosiu! mylisz się, ja cię bowiem od dawna śledziłem i szedłem za tobą niemal co wieczora, nie miałem tylko na tyle śmiałości, by się zbliżyć do ciebie. Wydawałaś mi się świętością, lecz wcześniej czy później byłbym się musiał zbliżyć do ciebie, bo wówczas już czułem, że cię kocham. Ciągle przemyśliwałem nad jakimś pretekstem, by wejść w wasz dom, gdy oto szczęśliwy przypadek sam przyspieszył nasze zbliżenie się.

— Słuchaj Ludwiku — rzekła Zosia z odcieniem smutku w głosie, nie wiem co to takiego, ale czegoś szczęściu memu wierzyć nie mogę, ciągle mi się zdaje, że to tylko sen piękny, pomimo że stale i święcie przekonaną jestem o twej miłości.

— Nie trap się niepotrzebnie, moje dziecię — rzekł z uczuciem Ludwik, nas nic rozłączyć nie potrafi. Niech tylko z nowym rokiem zaawansuję, a połączymy się zaraz, bo o płacy, którą teraz pobieram, trudno byłoby wyżyć, sama przyznasz! Ja zaś nie zniósłbym, by ci czego nie dostawało, lub żebyś się jeszcze jako żona moja udzielaniem lekcyj trudzić miała.

— O nie — zawołała żywo Zosia, na to ja się znów nie zgodzę, byś ty tylko sam pracował. I ja

chcę swoją pracą pomódz ci, stanowczo oświadczam ci to teraz, że i później lekcje dawać będę.

— Jakoś to już załatwimy tę sprawę, mój skarbie drogi, a zresztą zdaje mi się, że prędko awansować będę.

— To więcej jak pewna, tyś taki zdolny — mówiła z pewną dumą Zosia.

— Jeśli się życzenia moje w tym względzie ziszczą, to nie tyle moim miernym zdolnościom zawdzięczać będę mógł, jak raczej tej okoliczności, że radca L. był i jest zawsze dla mnie z wielkimi względami, a w ostatnich czasach nawet w dwójnasób powiększył swoją troskliwość. Dał mi nawet do zrozumienia, że chętnie by mnie u siebie powitał.

Gdy Ludwik tych kilka słów domawiał, przemknął się cień niezadowolenia po twarzy Zosi, lecz szybko odpędziła myśl trapiącą i zapytała tylko:

— I cóż ty na to?

— Naturalnie, że przyrzekłem i muszę się tam kiedyś wybrać z ceremonjalną wizytą, jeśli nie dla czego innego, to dlatego, by oglądać blade oblicze panny Leonii.

Nic na to nie odpowiedziała Zosia, spuściła tylko główkę i zadumała się głęboko. Czy cień podejrzenia wpadł w jej duszę, czy nią przeczucie owładnęło, zobaczymy.

Niebawem nadeszła ciotka, a za nią służąca wniosła herbatę na tacy.

Troje osób, jak zwykle od kilku miesięcy, zasiadło do herbaty, lecz zwykła wesołość nie objawiała się tą razą.

Zosia była zamyśloną, Ludwik od czasu do czasu wtrącił jakieś słówko wesołe, ale rozmowa jakoś nie kleiła się; ciotka tylko uśmiechała się dobrodusznie i rozpowiadała o latach swej młodości.

Gdy Ludwik pożegnawszy obie panie wyszedł, owładnęło nim jakieś przykre uczucie, dziwnie było mu na sercu. W myśli zaczął przebiegać ubiegłe lata życia swego.

Również jak i Zosia stracił wcześnie rodziców swoich. Najpierw opiekował się nim stryj i dopomagał mu w szkołach początkowych, później o własnych

siłach utrzymywał się Ludwik, udzielając lekcyj młodszym i zamożnym kolegom. Nieraz musiał walczyć z niedostatkiem i niejedną znieść przykrość. I tak to przebijając się mozolnie przez życie, ukończył gimnazjum a potem uniwersytet.

Po skończeniu studjów wstąpił do sądu, gdzie przełożonym w jego sekcji był radca L., szkolny kolega stryja Ludwika.

Radca był zawsze dla Ludwika nader uprzejmym i protegował go, i jego to zabiegom pewnie zawdzięczyć miał, że już w pierwszych miesiącach po wstąpieniu do służby zaczął pobierać płacę. Zresztą wszyscy lubili Ludwika, tak koledzy jakoteż i znajomi, bo był towarzyski, przyjacielski i wesołego usposobienia; w ogóle uchodził za porządnego młodego człowieka, i niejedna dobrze wychowana panienka byłaby chętnie połączyła swe losy z jego losami.

Dotychczas oprócz kilku nie znaczących miłostek nie kochał nigdy, dopiero Zosię poznawszy ukochał ją całą potęgą uczuć młodocianego serca i powziął stały zamiar ożenienia się z nią.

Stryjowi nic jeszcze o zamiarach swych nie pisał, wiedział bowiem dobrze, że częściowy dziedzic, zapobiegliwy i wyrachowany gospodarz przeciwnym będzie jego ślubowi z ubogą nauczycielką. Karol tylko był jedynym jego powiernikiem.

III.

Dnia jednego przechadzał się Ludwik spiesznymi krokami po swoim pokoju, był mocno wzruszony czy rozdrażniony i od czasu do czasu rzucał wzrokiem niespokojnym na list rozpieczętowany, leżący na biórku.

W tem zapukał ktoś z lekka do drzwi.

Natychmiast przybrał Ludwik spokojny wyraz twarzy, lecz nie mogąc w zupełności zapanować nad sobą, zawołał niecierpliwie:

— Kto tam do kroćset...

— A to ładne i gościnne przywitanie — odezwał się gruby głos męzki i z poza drzwi pokazała się głowa Karola. Jak widzę, tom trafił na złą godzinę,

w piekielnym jesteś humorze, mój kochany; cóż tam u licha? Czy cię wierzyciele ścigają, czy stryj umiera, czy może narzeczona twoja chora?

Na to ostatnie zapytanie zmieszał się Ludwik i coś nibyto smutek, czy żal jakiś przemknął się po jego twarzy.

— Gorzej dla mnie, niżby chorą była — odpowiedział, przeczytaj oto ten list, a dowiesz się o wszystkiem.

Karol przebiegł spiesznie list oczami a potem zapytał:

— I cóż myślisz począć w obec tego wszystkiego, Ludwiku? Jak widzę, to stryjaszek rozporządził twoją ręką, jak gdybyś był małoletnią panienką, wiesz, to mi się nie podoba.

— Co się ze mną stanie, sam nie wiem, głowę tracę, bo widzisz stryjowi mam niejedno do zawdzięczenia, a potem może i słusznie utrzymuje, że gdy się ożenię z biedną nauczycielką, to zawsze w niedostatku będę. Nie potrafi ona nigdy być dobrą gospodynią, a wiele wymagań mieć będzie. Jakoś dotychczas nie zastanawiałem się nad tem, aż list stryja otworzył mi oczy na możliwe następstwa tego n i e p r a k t y c z n e g o związku. Żal mi serdecznie biednej Zosi, bo to dobre, anielskie dziewczę. Wierz mi Karolu, że kocham ją jak nikogo na świecie, to też dlatego obawiam się, narazić ją na trudy życia; cóż mi więc pozostaje w obec tego wszystkiego, jak zaprzeć się własnego uczucia i pójść drogą, jaką tysiące ludzi chodzi!

— A cóż Zosia — zapytał Karol, czy wie o twoim zamiarze?

— Zosia nic jeszcze o nim nie wie, ale jest kobietą, a kobiety są i będą zawsze zagadką dla nas; popłacze, pożałuje i... zapomni.

— Wątpię, mój Ludwiku, chyba, że przyjdzie do przekonania, iż nie zasługujesz sobie na tak głębokie uczucie, jakiem jest miłość, a wtedy nie jej zagadkowości kobiecej, ale twojej zmienności przypisywać trzeba będzie, jeśli zapomni o tobie.

— Ależ Karolu, na Boga, ja ją kocham i kochać nie przestanę, chociaż się z inną ożenię.

— Jeśli tak, to cię serdecznie żałuję pomimo, że nie pojmuję wcale ciebie i nie pochwalam twego postępowania.

— Powiedzże mi — zawołał Ludwik głosem niemal płaczliwym, cóż mi innego do wyboru pozostaje, jeśli już stryj mój poprosił w mojem imieniu radcę L. o rękę jego córki? Radca przyjął te oświadczyny i czeka tylko osobistych moich oświadczyn. Pomyśl sobie, co za rozpaczliwa sytuacja. Innej drogi nie widzę przed sobą; gdybym inaczej postąpił, radca prześladowałby mnie na każdym kroku. Córka radcy jest przystojną i dobrze wychowaną panienką, potrafi się wszędzie znaleźć i....

— Jest posażną jedynaczką, a to najważniejsza rzecz — dokończył Karol; wniesie ci prócz posagu znaczny zapas grymasów i wymagań wygórowanych, a spazmy na porządku dziennym będą.

— Jak widzę, to się pod tym względem nie zgadzamy — odparł Ludwik.

— A widzę że nie, mniejsza o to — rzekł Karol. Szkoda tylko, żeś się wtedy nie wrócił wraz ze mną, gdyśmy pierwszy raz Zosię spotkali, byłbyś jej zaoszczędził wiele cierpień. Biedne dziewczę — szepnął z cicha jakby sam do siebie, żal mi jej serdecznie; gdybym znał ją osobiście, przygotowałbym ją na ten cios.

— Nic ci w drodze nie stoi — rzekł ironicznie Ludwik, możesz wziąć Zosię pod swe skrzydła opiekuńcze, możesz starać się pocieszyć ją.

— Ach! gdybym mógł to uczynić — odpowiedział z cicha Karol, dałbym połowę życia za to.

I pożegnał Ludwika i skierował kroki swoje w stronę, gdzie Zosia mieszkała.

Doszedłszy do małego domku, przystanął na chwilę i w zamyśleniu jakiemś smutnem pochylił głowę, lecz wnet się ocknął i podążył w inną stronę. Do wnętrza domku nie śmiał wejść, bo nigdy nie miał na tyle odwagi, przestąpić progi jego pomimo, że widywał Zosię ostatniemi czasy na kilku zebraniach wieczornych w kasynie.

IV.

Był to piękny wieczór letni, tysiące gwiazd błyszczało w przestworzu, a blada tarcza księżyca snuła się smętnie po niebie. Promienie jego padały w okienka dobrze nam znanego domku i oświecały Zosię, która siedziała przy oknie oparłszy głowę na dłoni. Była bladą, a w oku coś jak łza błyszczało.

Z widocznym niepokojem i troskliwością patrzyła ciotka na bladą twarz dziewczęcia

— Dziecię moje — rzekła, czy mi się zdaje, czy rzeczywiście ci coś dolega, że taką dziwną dziś jesteś? Czyś nie chora może, uchowaj Boże!

— Nie cioteczko kochana — odpowiedziała cichym głosem Zosia, chorą bynajmniej nie jestem, tylko mnie trochę głowa boli.

— Może dlatego boli cię głowa, żeś w ostatnich dniach tyle się natężała nad kompozycją tego kawałka dla Leonii. Widzisz, czy nie prosiłam, zostaw chociaż wiem, że ci dobrze zapłacą. A może ty się tem niepokoisz, że od kilku dni Ludwik ni e przychodzi, ale to nie ma się czem martwić, bo musi mieć albo wiele bardzo do czynienia, lub co innego stanęło mu na przeszkodzie; jutro z pewnością przybędzie zdyszany. Wiesz, moje dziecko, co ci poradzę: oto, żebyś się trochę przeszła, on już dziś nie przyjdzie, a choćby i przyszedł, to zaczeka; weź Marysię i przejdź się, to ci ulży — nalegała ciotka.

Zosia westchnęła nie rzekłszy ani słowa, potem zarzuciła płaszczyk na ramiona i zawoławszy Marysię wyszła. Wyszedłszy na ulicę mimowoli skierowała kroki swe w stronę, gdzie mieszkał radca. Jakaś siła niewidzialna kierowała nią; sama nie wiedziała, kiedy się znalazła tuż przy domu radcy.

Spojrzała w okna, oświetlone à g i o r n o. Z wnętrza dolatywały ją dźwięki fortepianu..., to jej kompozycją Leonia grała.

Coś nieokreślonego przeszło podówczas przez duszę Zosi, coś ją popychało do wnętrza domu, nie mogła się oprzeć dziwnemu pociągowi i weszła, kaza-

wszy Marysi zaczekać na siebie. Cichutko weszła do sieni, a potem jak cień przesunęła się przez cały szereg słabo oświetlonych pokojów i zatrzymała się przed na pół odchylonemi drzwiami salonu.

Mnóstwo było gości. Wystrojone panie porozsiadały się z wdziękiem po fotelach i kozetkach, lub przechadzały się po salonie, a eleganccy panowie hołdowali im. Przy fortepianie siedziała Leonia, która właśnie grać przestała, a obok niej nachylony....stał Ludwik i szeptał jej coś do ucha.

Na ten widok śmiertelna bladość pokryła lica Zosi, zachwiała się... zdawało się jej, że świat się z pod stóp jej usuwa; lecz wnet zebrawszy ostatek sił wyszła ztamtąd.

Przechodząc przez pokoje spotkała w jednym pannę służącą, która wzrokiem zdziwionym popatrzyła na Zosię i zapytała niegrzecznie:

— Co sobie pani życzy, panna nasza nie może się teraz widzieć z panią, bo właśnie dziś są jej zaręczyny z panem adjunktem Ludwikiem Z. Szkoda, że pani wcześniej nie przyszła, mogłaby pani była słyszeć z mego pokoju, jak panna nasza grała kawałek, który napisała sama — dodała panna służąca z dumą.

Zosia nic na to nie odpowiedziała, skinęła tylko głową i wyszła na ulicę.

Szła jak mogła najspieszniej, stopami ledwie ziemi dotykała, bo jakieś dziwne rozgorączkowanie dodawało jej sił nadludzkich i chyżości niezwykłej.

Przemykając się tak spiesznie przez ulice nie spostrzegła, jak jakaś postać męzka krok w krok za nią postępywała.

Był to Karol.

Zwolna postępywał za Zosią, a gdy się już za nią furtka ogrodowa zamknęła, szepnął sam do siebie:

— Biedna Zosiu! cóżeś zawiniła, że tak cierpieć musisz! Całą twą zbrodnią było, żeś tak bardzo ukochała... nikczemnika!

Gdy Zosia przyszła do domu, nic ciotce nawet nie wspomniała, ucałowała ją tylko milcząco na dobranoc i weszła do swego pokoiku.

Cichutko bez skargi, bez westchnienia upadła na kolana przed obrazem Ukrzyżowanego, a dwie duże, czyste łzy jak perły potoczyły się po bladem obliczu; w modlitwie szukała pociechy!

W kilka tygodni później odbył się ślub Ludwika z Leonią z wielką okazałością, i państwo młodzi przenieśli się do wytwornie urządzonego mieszkania na jednej z eleganckich ulic stolicy.

I tak dopiął Ludwik swego celu, miał wszystko, czego pragnął przedtem; dostatek a nawet zbytek otaczał go, miał z dobrego domu, młodą, przystojną i bogatą żonę, lecz czy zadowolenie i spokój zamieszkały w sercu jego, nie wiemy. Tylko tyle powiedzieć możemy, że od czasu ożenienia się swego stał się małomownym i posępnym, a na czole smutek osiadł ciężką chmurą; chodzi z wzrokiem, utkwionym w ziemię i jakiś wyrzut sumienia zdaje się go przygniatać.

Zosia zaś wkrótce potem opuściła stolicę wraz z ciotką i przyjęła posadę nauczycielki w małem miasteczku powiatowem.

Długi czas bolała nad stratą a raczej nad doznanym zawodem.

Wszystko jej zobojętniało, nawet ulubiony fortepian stał długi czas nietknięty.

I byłaby tak bolała bez końca, gdyby... do miasteczka powiatowego nie został był przeniesiony Karol.

Poznawszy Zosię bliżej pokochał ją sercem poczciwego człowieka, a że Zosia oceniając jego szlachetne serce i prawy charakter, powzięła ku niemu prócz szacunku jeszcze inne uczucie, bardzo pokrewne miłości, przeto nikt się dziwić nie będzie, że się połączyli węzłem małżeństwa.

Znów zadźwięczał fortepian, wprawdzie nie smętnymi i marzycielskimi dźwiękami, ale za to wesołymi i pełnymi życia akordami. I gdy nieraz o szarej go-

dzinie Karol objął kibić Zosi, składając pocałunek na jej czole, szeptała ona zadowolona:

— Ach! jakżem szczęśliwa, żem ciebie spotkała na drodze mego życia, Karolu, bo w tobie znajduję to, czegom w tamtym nigdy nie utraciła; prawy charakter i dobre serce!

Dunajów, 15. Marca 1883.

Moja lilijka.

„—Lilijko moja! — lilijko biała!
Czemuż to samą, w leśném ukryciu,
Tutaj cię ręka Stwórcy zasiała? —
Tak wonną, piękną, w tak smętném życiu!"—
„—Tobie być chlubą, wdziękiem ogrodu,
Z równymi sobie cieszyć się kwiaty,
Tobie nie więdnąć wśród lasów chłodu,
Tobie królewskie zdobić komnaty!"—
„Nie płacz nademną! jam tu szczęśliwa;
Co dzień, mi słońce tak pięknie świeci,
Co wieczór, słowik tak rzewnie śpiewa,
Co noc, niebianów chór do mnie leci —
I pocałunkiem świętym anioła
Do snu utula czyste listeczki,
A leśne bluszcze, trawki i zioła
Wdzięcznej mi dzięki szepcą piosneczki,
Żem tutaj dla nich zakwitła jedna! —.—
Ja zaś spoglądam w niebo wysoko,
I widzę cuda! O! jam nie biedna,
Widzę ojczyznę Bóstwa szeroką.
I widzę Jego, źródło świętości,
Jak z tronu swego, łaski spojrzeniem,
Na mnie zdrój leje Boskiej miłości,
Więc się do niego — rwę każdem tchnieniem!
— Jemum ja wonna i Jemum czysta,
Zakwitła tutaj — zdala od ludzi,
Tu mię nie złamie — dłoń ich ognista,
Lód ich nie zmrozi, kał ich nie zbrudzi! —...

Szczęsnam więc bardzo! — tylko łzę ronię
Jedną, co tęskno w niebo ulata; —
Czemu nie zasiał Pan w to ustronie
Mnie podobnego — drugiego kwiata?!...

Hanka.

Trzy ptaki

z Geibla.

Gołębiam wzywał: „Przynieś w dzióbie krasnym
Na miłość kwiecia, by w niem odżył człek,
Tam nad Gangesem ziele rośnie jasnym.“—
„To za daleko“ — gołąb rzekł.
Jam orła wzywał: „Światła sercu trzeba,
By się pozbyło chorobliwych snów,
Więc iskry Boskiej ściągnij dla mnie z nieba.“—
„To za wysoko“— rzekł ten znów.
Więc sępam prosił: „Wydrzyj z głębi łona
Dziewicy imię i uczucie zięb,
Niewiernej pamięć niechaj w sercu skona.“—
„To już za późno“— odrzekł sęp.

Sambor, 19. Stycznia 1884.

G. Kohn.

Czemu mi smutno?

Smutno jak nigdy gwiazdka ma świeci,
Bo błędnym torem promyk jej leci,
Już tylko z oddali łzami mi lśni,
Dlatego smutno mi!
Zapały młodości ulleciały,
Jak echo pieśni dawno przebrzmiałej,
Czasem tylko w duszy wspomnienie drży,
Dla tego smutno mi!
I wieniec uczuć zwiędły, stargany,
Daleko za mną leży zdeptany;
Wiele on mi czarnych zgotował dni,
Dlatego smutno mi!
Przyjaźń ludziom nieść chciałam w ofierze,
Dłoń bratnią w dobrej podawać wierze;
Lecz świat odepchnął mnie — zniszczył me sny,
Dlatego smutno mi!
I życie moje wśród pracy, znoju,
Duszy zamętu i niepokoju
Jak dogorywająca lampka tli;
Dlatego smutno mi!

Przemyślany, we wrześniu 1883.

L * * *

Róża z nad jeziora

z Geibla.

Gdzie jeziora sinego brzeg,
Wznosi się róża cicha,
Kielich jej biały gdyby śnieg
I drżący listek wzdycha.
A rozmarzona, tęskna noc
Za naradą księżyca,
Jasnych promieni całą moc
Szle na jej blade lica.
Biały łabędź opływa kwiat
I śpiewając żałośnie
Wzbudza dźwięków czarowny świat...,
Patrzy na różę miłośnie,
I nuci łabędź słodki śpiew,
Wiatr listkami powiewa,
Promień ginie w gałęziach drzew;
Wiesz, o czem łabędź śpiewa?...

*L ****

Wystawa czasopism

w Kołomyi

podczas walnego zjazdu Towarzystwa pedagogicznego tamże
w dniach 17. 18. i 19. Lipca r. 1882go,

skreślona na miejscu

przez

redakcję „Roczników Samborskich."

Wolno mówić, myśleć, żywić duchem Bożym ja się muszę;
Kto tych darów mnie pozbawia. ten zabija we mnie duszę.
Chamisso.

Literatura perjodyczna, zawarta w pismach poświęconych celom społecznym, bądźto czysto-naukowym, bądźto naukowo-literackim, jest potężnym czynnikiem budzącym życie tak w pojedyńczych indywiduach, jak i w narodach. Jeśli już ze stanowiska dziennikarskiego wielką wagę przywiązujemy do dat statystycznych, wykazujących działalność prasy polskiej w kraju i za granicą, to tem większą bez wątpienia przywiążemy do wystawy, chcącej nam dać dokładny obraz działalności literackiej i literacko-naukowej Europy. Usiłowania podobnego rodzaju tem bardziej zasługują na powszechne uznanie, iż dotąd u nas w Galicji pod tym względem wszelkie życie umysłowe spało, a praca cenna Wład. Zawadzkiego p. t. „Literatura w Galicji w latach 1772—1848" w istocie okazała się pomnikowem dziełem, jednającem autorowi sędziwemu wieniec zasługi, ale zostającem bez naśladowców.

Nie mamy zamiaru zidentyfikowania się z owym szeregiem bezmyślnych krytyków, usiłujących ośmie-

szyć podobne przedsięwzięcie dla tego, że powstało w Kołomyi, a nie w stolicy dawnej Polski. Dla nas jest to rzeczą zupełnie obojętną, czy wystawa została urządzoną w Sanoku, Dukli, Podhajcach, czy też w Kołomyi, Krakowie, Lwowie, Warszawie. Owszem! im mniejsze miasto zdobyło się na podobny pomysł, tem większa jego zasługa, tem wybitniejsze złożyło dowody swojej dojrzałości politycznej. Ale wystawa taka, jeśli w istocie ma przynieść pożądany błogi owoc dla duszy myśliciela, nie powinna na równi z teatralnem jakiemś widowiskiem ograniczyć się na krótki, jak najkrótszy nawet przebieg czasu.

Mamy tu na oku kołomyjską wystawę czasopism, która ograniczona na termin dwu-, lub trzechdniowy chybi jak najzupełniej celu, chybić go musi a nie chybiłaby go, gdyby termin jej trwania ustanowiono conajmniej na tydzień lub na dwa tygodni. Już raz w moich „Wrażeniach z podróży po Galicji" uczyniłem wzmiankę o tem, że mało skorzysta, kto przyzwyczajony patrzeć oczyma duszy, jeśli go się oprowadza pobieżnie po sali zdobnej w najznakomitsze malowidła a tłum gości ciśnie się w około i nie dozwala oku, zatrzymać się bodaj chwilkę przy przedmiocie czarującym je. Czyż korzystniejsze wrażenie wywierać może hurtowny przegląd tylu pism różnorodnych (a ma ich być kilkaset), nie zostawiający ciekawemu tyle wolnego namysłu, aby się zastanawiał nad wartością dodatnią i ujemną każdego pojedyńczego przedmiotu? Nie sądzę! to istna wieża Babel!

I z tej też przyczyny ganić muszę jak najmocniej, że komitet kołomyjski na czele wystawy czasopism ustanowił członka, który równocześnie główny udział bierze w wycieczce na Czarnohorę. Są to bowiem dwie odrębne czynności, nie dające się ze sobą pogodzić żadną miarą, a które koniecznie należało powierzyć dwom odrębnym kierownikom, aby wykonanie jednej nie przeszkadzało drugiej. Wycieczka na Czarnohorę przedstawia rozrywkę i zabawę; wystawa czasopism przedstawia naukę i powagę. Są to dwa zupełnie przeciwne prądy.

Nie możemy się oswoić z myślą i ponoś nigdy się z nią nie oswoimy, że wystawę czasopism zam-

knięto przedwcześnie dla tego, aby zarządzający nią z większą swobodą mógł uczestniczyć w zabawach i festynach nad Czeremoszem. Ale że mój obowiązek dziennikarski powołuje mnie do dania o ile możności dokładnego i wiernego obrazu wystawy czasopism, będę więc usiłował, zadaniu temu czynić zadość, a łaskawy czytelnik niech mi wybaczy, jeśli znajdzie setki niedokładności i braków, nie dających się uniknąć przy dziele tak przyspieszonem i tak pospiesznie napisanem

---

Przystąpmy więc do oglądu wystawy. Jeśli z jednej strony uznać musimy gorliwość i dobre chęci urządzającego wystawę a chcącego zapewne odwiedzającym ją dać dokładny, jak najdokładniejszy obraz publicystyki europejskiej, to z drugiej strony musimy uwagę na to zwrócić, że program jej został przekroczony. Miała to bowiem być wystawa pism literackich albo literacko-naukowych, a tymczasem mieszczą się w niej także pisma treści politycznej, pisma nie mające nic wspólnego ani z literaturą, ani z nauką, niektóre nawet, choć na szczęście nie wiele o wprost szkodliwym kierunku.

Ja tłumaczę sobie ten szczegół tem, że wydawcy, uproszeni o nadesłanie dzieł swoich, nadesłali, co im tylko pod rękę wpadło, jak to mówią „złe i dobre, groch i kapustę.“ Ale w takim razie obowiązkiem było komitetu, rozróżnić plewę od dobrego ziarna, a jeśli już ze względów osobistych nie można było wydawcom ich wyrobów bez zużytkowania tychże zwrócić, to w takim razie trzeba było wystawę na dwie podzielić części, a jedną z nich zaopatrzyć tablicą z napisem: „Wystawa tego, co literatura europejska ma złego i szkodliwego.“ Wystawa taka niewątpliwie byłaby bardzo pouczającą.

Pozwolił sobie także jeden z panów wydawców (a o ile się później przekonałem nie jedyny) żartu zupełnie niewłaściwego: nadesłał bowiem jako istnie-

jące jeszcze — pismo zawieszone już od niepamiętnych czasów. Ale stokroć milszy mi ten „Harap", smagający bez miłosierdzia błaznów reakcji, niż owe „Romanse illustrowane wszystkich narodów," albo „Świat illustrowany" pp. Bensingera i Bonde'go, szerzące w języku i przekładzie niepolskim utwory nieniemieckie pośmieciuszków sensacyjnych. *) Taka literatura nie zasługuje na miano literatury, a więcej zapewne wartałoby już wystawić na okaz pojedyncze zeszyty użytecznych i kosztownych wydawnictw, jak „Historji powszechnej Szlosera", wydanej przez księgarnię polską, albo „Pana Tadeusza" illustrowanego, na co by się ostatecznie ze względu na dobro publiczne może i zgodzili panowie wydawcy, ale rozumie się pod warunkiem, że wystawa nie 2 lub 3 dni, ale dwa tygodni co najmniej potrwa. **)

---

*) Może zdanie tu wypowiedziane zbyt ostrem wyda się niektórym czytelnikom; muszę jednak przy niem obstawać. A chociaż chętnie przyznaję, że „Świat illustrowany" w ostatnich czasach cokolwiek sumienniej został redagowany, to nie ujmuje ten szczegół przecież rzeczonemu pismu szkodliwości. A za szkodliwe dla piśmiennictwa krajowego, dopóki ono nie stanie mocno i o własnej sile, uważać będziemy wszystkie pisma polskie zagraniczne, zalewające kraj ze stron wszystkich. Co się jednak tyczy pism jak n. p. „Bluszcz", „Kłosy", „Tygodnik illustrowany" i inne, to je usprawiedliwia tendencja prawdziwie polska i treść i język wyborowy. Za „Światem illustrowanym" i „Romansami illustrowanemi" nie przemawia wszakże ani jedno, ani drugie. A wciskają się te pisma wszędzie, do chat najuboższych nawet mieszkańców, rugując piśmiennictwo krajowe na każdym kroku, rugując z serc czytelników poczucie prawdziwego piękna i dobra i denerwując pokolenie wzrastające sensacyjną, w Niemczech już nawet przez wykształcone klasy wzgardzoną literaturą. Jeśli Polacy w Wiedniu czują potrzebę posiadania osobnego organu w swoim „Świecie illustrowanym," to niechże go sobie trzymają; my w Galicji nie mamy ani obowiązku, ani potrzeby, ich wspierać. *(Uwaga późniejsza autora.)*

**) Nie chcemy bynajmniej reklamy pisać dla panów wydawców; ale określamy rzecz zupełnie objektywnie tak, jak nam się na pierwszy rzut oka przedstawia. Wiemy i to, że nie koniecznie li tylko czysty patrjotyzm jest pobudką przedsiębiorstw naszych księgarzy i wydawców; pobudką główną jest zawsze gorzej lub lepiej zrozumiany własny interes. Czasem

Przypatrzmy się teraz przedewszystkiem wewnętrznemu urządzeniu sal, mieszczących wyroby naszej prasy europejskiej. Takowe jest skromne i gustowne. W czterech salach szkoły niższej żeńskiej w Kołomyi wiszą wzdłuż ścian, lub leżą na stołach wyroby publicystyki europejskiej. Dwa pokoje przeznaczono wyłącznie na wydawnictwa niemieckie, jeden na słowiańskie, z których przeważna część czysto-polska, obok niej zaś mieszczą się — o ile można — w bratniej zgodzie pisma czeskie, ruskie, serbskie, dalmatyńskie i moskiewskie nawet. Czwarty pokój jest, żebym się tak wyraził, internacjonalny, czyli raczej kosmopolityczny. Mieszczą się w nim pisma holenderskie, francuskie, angielskie włoskie, rumuńskie, hiszpańskie, węgierskie i hebrajskie na dowód, że w państwach konstytucyjnych, nikt nie doznaje jak w Moskwie prześladowania z powodu swego języka i narodowości i że każdemu wolno się wyrażać w języku ojców swoich, byleby tylko nie nadużywał go celem szerzenia fałszów i kłamstw tendencyjnych, dążących wprost do nienawiści ogólnej i do rozdwojenia narodów bratnich.

Sale przyozdobione stosownie zielenią i kwiatami, zaopatrzone są odpowiednio do ich znaczenia biustami wielkich i znakomitych mężów. I tak w słowiańskiej sali widzimy biusty Mickiewicza i Kraszewskiego, jednego — największego poety, a drugiego — największego prozaika, jakich Polska wydała; w salach niemieckich widzimy biusty Göthego i Szylera, dwóch pieśniarzy olbrzymów, dwóch braci po piórze i po duchu, w sali internacjonalnej nareszcie widzimy biust monarchy, pod którego berłem tolerancja dla języka wszystkich narodów stała się hasłem tychże.

---

interes ten mimowoli, bezwiednie prawie idzie ręka w ręku z prawdziwemi potrzebami kraju; czasem zostaje z niemi w zupełnej sprzeczności. Sądzimy zatem rzecz, a nie jej inicjatora, sądzimy rzecz, o ile takowa korzystną lub zgubną jest dla moralności ogółu a ganimy, jeśli godna skarcenia, lub chwalimy, jeśli godna pochwały sine ira et studio.

(Uwaga późniejsza autora.)

Po wypowiedzeniu luźnych tych uwag wracajmy na nowo do pojedyńczych oddziałów. Najliczniej zaopatrzony w okazy przedstawia nam się oddział niemiecki. Według katalogu ma on w dwóch salach mieścić 381 okazów. Bogactwo umysłowe, pozazdroszczenia godne. Wobec tego nasza Polska pisząca i produkująca nierównie słabiej reprezentowana. Ale nie wszystko złoto, co się świeci. Zaraz w pierwszym pokoju mieszczącym biust wieszcza, który narodowi niemieckiemu dał swego „Wallensteina" i „Zbójców," który literaturze wszech narodów złożył na pamiątkę wiekuistą geniuszu nieśmiertelne swoje pienia —, widzimy prace jak „Tarif-Anzeiger", pismo przydatne chyba dla handlarzy i giełdzistów, ale nie dla ludzi szukających nauki i pokrzepienia umysłowego; widzimy „Wiener Beschwerde-Buch", zapewne coś nakształt księgi, w którą goście kolejowi i pocztowi zażalenia swoje wpisują; widzimy den „mährisch-schlesischen Hans-Jörgel", piśmidło hołdujące rodzajowi najpodlejszej komiki, przedstawiającej się w tłustych i dwuznacznych dowcipach; widzimy „allgemeine deutsche Criminalzeitung," zbiór najwyuzdańszych wypadków zbrodni, opisanych w ponętnej formie powieściowej i w formie tej oddanych na użytek publiczności. Widzimy nawet pisma o kierunku wprost szkodliwym, przewrotnym i zgubnym, jak „patriotische Flugblätter," nędzne, ohydne piśmidło, wydawane w duchu antisemitycznym i podburzające ludność chrześcijańską jawnie do walki ze żydami, a to w czasach, w których prosty tłum, składający się jak wiadomo, nie tylko z prostaków, niekoniecznie przychylnie dla żydów usposobiony. *) Precz z takiemi pismami,

*) W ostatnich czasach podnoszono dość często zarzuty przeciwko nieschlujności żydowskiej, przeciwko ich zuchwałości, zdzierstwu, przekupstwu i uporowi wobec zarządzeń władz. Nie możemy zaprzeczyć, że prosta masa żydów była i jest ciemną, i że nie łatwą będzie rzeczą, to złe wykorzenić. Ale jest w tem wina wieków, wieków niewoli i ucisku. Ucisk upadla człowieka. Wmawiaj w najzacniejszego nawet człowieka, że jest padlecem, a stanie się nim. W Niemczech, w Francji, w Hiszpanii brano żydów na tortury, palono Molochowi ciemnoty i zabobonów, a mimoto prześladowani przez nią gorąco kochali

precz z tą zarazą! Ale pocieszmy się i nabierzmy na nowo otuchy; bo oto między złemi i niepotrzebnemi pismami są także użyteczne i dobre, między plewą jest także zdrowe ziarno. Miejmy nadzieję, że nam przyniesie żywność dostateczną dla ducha, plon zdrowy, ziarno dobre.

Oto widzimy prawdziwie dobre, literacko-naukowe czasopismo „Orion", wychodzące w kształcie książkowym zeszytami pod kierownictwem wypróbowanem Adolfa Strodtmanna, coś nakształt „Biblioteki war-

---

ojczyznę swoją. Pytamy, czemu? bo zagrożono im niebezpieczeństwem ciała, ale nie niebezpieczeństwem czci. W chwilach zaś wolnych od ucisku dostąpić mogli najwyższych zaszczytów, a żyd Abravannel był — jak wiadomo — ministrem u dworu trzech królów, a nawet u dworu króla Ferdynanda Katolickiego hiszpańskiego, na którem to stanowisku pozostał aż do roku 1492go. W słowiańskich krajach nie brano żydów na tortury, nie palono ich (i tej mniemanej tolerancji nawet zaprzecza historyk Kraushaar) — ale dłoń szlachecka roztrwaniająca z ujmą dla kraju zagranicą krocie kapitału, zapracowanego przez chłopa, poniżała go i robiła zeń bydło. Bydło nie umiało i nie umie, po większej części nawet i teraz, ani czytać ani pisać, bydło się rozpiło ale odrobiło pańszczyznę. Nie trzeba było więcej! Żyd usłużny na arendzie jakiejś osadzony, stał się z rozkazu szlachcica czartem — kusicielem dla nieszczęsnego chłopa, i pozostaje tym czartem na podstawie nawyczki starej, choć wieki minęły, a prądy czasu teraz zupełnie inne. Ulubiony faktor szlachcica, Herszko lub Moszko, wzgardzony i sponiewierany przez swego chlebodawcę mimo usług wyświadczonych mu, został i nadal tem czem był dotąd, Herszkiem lub Moszkiem; ale synem wspólnej Ojczyzny być nie pragnął. Nastała nowa era, nowe życie budzi się w kraju. Jako zwiastuna tej ery uważamy rok pamiątkowy 1848my: jako zdarzenie pamiątkowe, rzucające krwawe światło na kwestję żydowską uważamy zamordowanie rabina Abrahama Kohna a rodzica mego przez fanatyków żydowskich we Lwowie. Myli się, kto przypuszcza, że czyn ten dokonany został jedynie z pobudek religijnych; najbrudniejsze motywa samolubstwa i spekulacji odgrywają w nim wielką rolę. Mylą się także jak najzupełniej chrześcijanie, którzy jak Emil Roniecki w swoim niezręcznie skleconym i do prawdy historycznej wcale niepodobnym „Wielki Rabbi Abraham" twierdzą, że Kohn padł ofiarą usiłowań nawrócenia żydów na łono katolickiej wiary. Całe życie tego męża i wszystkie pisma jego świadczą, iż był prawym żydem i chciał, aby wszyscy żydzi prawy żywot prowadzili, niewiarą się nie zarażali, ale też zabobonom chusyckim wiary nie dawali. I znowu minęły dziesiątki lat, wiek nasz reformuje się coraz bardziej,

szawskiej," ale kto wie, czy to nie także literacki jakiś nieboszczyk, którego pasmo dni przecięto, zeszyt bowiem, który mamy przed sobą, nosi datę r. 1863go. Do dziedziny literatury pięknej należą również: „Der Salon für Literatur, Kunst und Gesellschaft," redagowany znakomicie przez Juliusza Rodenberga a wydawany w Lipsku nakładem Payne'go i „das Magazin für die Literatur des In- und Auslandes," pismo stare i używające dobrej sławy, a tem bardziej zasługujące

---

i otóż stał się cud. Na końcu 19go wieku ukazuje się widmo średniowieczne, wypieszczone w mózgach ciemnego tłumu, widmo — Antisemityzmu, tylko że jego przedstawicielami nie jak dawniej ciemne masy ludu — ale przeciwnie nasi światłodawcy, nasi luminarze ducha, nasi dziennikarze, nasi literaci i t. d. I pytamy się, zkąd się wzięło u nas w Galicji to licho? I otrzymujemy odpowiedź: „Przybyło z Niemiec." A jabym raczej twierdził: „Przybyło z Moskwy, z kraju ciemnoty wiekuistej, z kraju nihilistów, sekciarstwa i prześladowań religijnych." W Niemczech do niedawna stosunki społeczne żydowskie i katolickie były bardzo przyjażne: w kółkach literackich nie pytano nawet, czy się z żydem, czy z katolikiem ma do czynienia, ewangelik Lessing był gorącym wielbicielem żyda Mendelsohna, a katolik Chamisso chwali w swoim „Abba Glosk Leczejka" zalety swego żydowskiego bohatera. Pierwszy z niemieckich poetów Platen podnosi jawnie kwestję Antisemityzmu, a czyni to głównie z nienawiści ku Heinemu, poecie i — wychrzcie. Nie przeczymy, że Heine z powodu lichego charakteru zasłużył sobie na podobną nienawiść, ale nie można z przyczyny jednego winować wszystkich. I otóż dochodzą nas nowe hasła. W ślad za obcemi pismami, wrogiemi żydom spieszą się „Gwiazdka cieszyńska" i „Zgoda," organ stronnictwa „Łączności i Zgody" pisać, iż czas, aby się żydzi zreformowali, ale że nie wystarczy, aby byli postępowymi, lecz mają pozbyć się zupełnie wiary swoich ojców i przyjąć natomiast wiarę chrześcijańską. Baczności, moi panowie! Pozwólcie tylko, aby się wszyscy żydzi postępowi wychrzcili, a zobaczycie, co to będzie! Ciemna masa żydowstwa, utrzymywana dotąd w karbach posłuszeństwa, bo mająca pomiędzy swoimi przełożonymi, pomiędzy swoimi radnymi, pomiędzy swoimi adwokatami i lekarzami, w ogóle pomiędzy swoją inteligencją pewien procent żydów postępowych, pozbawiona kierownictwa i wpływu tychże, zaleje wszystko, sprzeciwi się przemocą zarządzeniom wszystkim. Żyd, nie bojący się katolików, nie zadrży z pewnością na widok wychrztów! I stanie się, co powiedział Göthe:

„Die Geister, welche ich beschwor,
Die werd' ich gar nicht los!"

Caveant consules! (*Uwaga późniejsza autora.*)

na wyszczególnienie, że się w ostatnich czasach bardzo często zajmowało literaturą polską.

Z pism literacko-naukowych zasługują na szczególną wzmiankę z dziedziny szkolnictwa, która przedewszystkiem w podobnych wystawach uwzględnioną być powinna: „Kindergarten, Organ des Deutschen Fröbel-Verbandes". W czasach, w których kwestja ogródków dziecięcych czy freblowskich jest na porządku dziennym, nie możemy zamilczeć o piśmie dobrem, wychodzącem w Weimarze zeszytami a wydawanem przez ludzi fachowych, usiłujących ideę ogródków freblowskich wprowadzić w życie. Pismem takiem jest „Kindergarten". Dobre też jako przewodnik jest „Encyklopädisches Handbuch der Erziehungskunde", wychodzące w Wiedniu również zeszytami a wydawane przez radcę szkolnego Dra Gustawa Adolfa Lindnera. „Oesterreichs Neuschule", redagowana przez p. Jana Umlaufta we Wiedniu a wychodząca tygodniowo, powinna także zajmować użyteczne miejsce w wystawie szkolnictwa, ponieważ szczegółowo omawia potrzeby stanu nauczycielskiego. Na szczególną wzmiankę zasługują też pisma, wydawane w tym kierunku pod tytułem: „Wegweiser durch die pädagogische Literatur", wychodzący w Wiedniu w tygodniowych zeszytach, „Die Mädchenschule", wychodząca w Klagenfurcie dwa razy na miesiąc a redagowana przez p. Herminę Lintemer i p. Dra F. M. Wendta, oraz „Der österreichische Schulbote", wychodzący we Wiedniu dwa razy na miesiąc pod redakcją Franciszka Frisch-Klagenfurta. Pismo to oprócz tego zaleca się nader przystępną ceną, wynoszącą tylko 1 złr. ćwierćrocznie.

Jest w dziale czysto pedagogicznym pierwszego oddziału i pierwszej sali daleko więcej prac, o którychby się wiele pochlebnego pisać dało; ale że nas pod tym względem nadzwyczajnie krępują miejsce i czas pozostawione nam, oraz że wielka część tychże pism należy już do nieboszczyków, o których się zazwyczaj mówi: de mortuis nil nisi bene, więc wypada nam przenieść się do innych oddziałów literatury i sztuki. Trzymając się ściśle programu mego, pozwolę sobie zamilczeć o pismach jak „Philatelist" i „Wiener Briefmarkenzeitung", poświęconych

szczegółowo pewnemu rodzajowi rozrywki, uwydatniającej się w zbieraniu znaczków pocztowych a nie mającej nic wspólnego z literaturą i nauką.

W dziedzinie nauki rysunków widzimy „Zeitschrift des Vereines deutscher Zeichenlehrer“, wychodzącą w Berlinie dwa razy na miesiąc pod redakcją Dra H. Hertzera, i „Blätter für den Zeichenunterricht,“ wychodzące w królestwie wirtemberskiem raz na dwa miesiące.

W dziedzinie muzyki spostrzegamy dwa fachowe pisma: „Zitherfreund,“ pismo wychodzące raz na miesiąc w Ołomuńcu a premiowane na wystawie w Melbourne i „Musikalische Gartenlaube“, wychodzącą tygodniowo pod redakcją Dra Hermanna Langera. Obydwa pisma jako dobre i znane powszechnie nie potrzebują osobnego polecenia.

Nadzwyczajnie bogato zastąpiony tu dział rolnictwa i sadownictwa, tak że trudno wybierać i polecać, co lepsze. Ograniczymy się więc na przytoczeniu tytułów: „Der Ökonom, illustrirte landwirtschaftliche Zeitung“, „Landwirtschaftliche Zeitschrift von und für Oberösterreich“, „Öster.-ungarische Wein- und Agrikulturzeitung“, „Wiener landwirtschaftliche Zeitung“, Frauendorferblätter“ i t. d.

Są tu także pisma, odnoszące się do sztuki teatralnej jakoto: „Wiener Theaterzeitung“ i „Wiener Theaterchronik.“

Że zaś a mianowicie we Wiedniu istnieją pisma szerzące intolerancję i nienawiść ku innowiercom, więc należy wyszczególnić z powodu umiarkowania i taktu, którym się odznaczają: „Populär-wissenschaftliche Monatsblätter zur Belehrung über das Judenthum für Gebildete aller Confessionen“, redagowane przez Dra Adolfa Brülla, wychodzące w Frankfurcie nad Menem i działające w duchu zgody i pojednania. Pismo to zupełnie objektywnie trzymane, opiera się na historycznych źródłach i oprócz tego jest nadzwyczajnie tanie i przystępne. Kosztuje bowiem rocznie 6 marek.

Przekroczyłbym o wiele zakres mojej pracy, gdybym pojedyncze działy wiedzy, znajdujące się w pierwszym oddziale, łącznie pierwszej sali tegoż

oddziału pojedyńczo opisywał. Przytoczę je więc zbiorowo, aby także dla innych sal zostawić miejsce.

Pisma, które przytaczam, są następne: „Schweizerische Wochenschrift für Pharmacie,“ pismo dla aptekarzy; „Der Bergmannsfreund,“ pismo tygodniowe poświęcone górnictwu a wychodzące w Saarbrücken; „Beamtenzeitung,“ pismo dla urzędników; „Der Bautechniker,“ pismo dla techników; „Jagdzeitung“, pismo poświęcone łowiectwu; „Badezeitung“, pismo kąpielowe; „Homöopathische Monatsblätter“ i „Neurologisches Centralblatt“, pisma poświęcone sprawom lekarskim i t. d.

Jako użyteczny podręcznik dla nauczycieli kwalifikuje się jeszcze „Lehrmittelkatalog“, wydawany perjodycznie w książkowym formacie przez Pichlera wdowę we Wiedniu, a jako użyteczne podręczniki dla amatorów książek: „Österreichische Buchhändlerkorrespondenz“ i Wilhelma Fricka „Monatsblätter.“

W drugiej sali, przyozdobionej biustem Göthego, zauważyłem z dziedziny pedagogiki „Neue illustrirte Kinderzeitung“, pismo wychodzące dla dzieci a redagowane przez profesora Hilarego Vogla we Wiedniu. Pismo to wychodzi 3 razy na miesiąc w formacie „Towarzysza pilnych dzieci,“ a cena prenumeracyjna bardzo przystępna, wynosi dla Wiednia 1 złr. a dla prowincji 1 złr. 25 ct. ćwierćrocznie. Dalej widzimy „Bukowiner pedagogische Blätter“, wychodzące pod redakcją Jana Hlibowickiego a wydawane przez Demetra Isopescula w Czerniowcach. Format ten sam jak i poprzedzającego pisma. Pismo to wprawdzie nie zawiera wiele treści, ale poleca się za to taniością. Wychodzi raz na miesiąc a kosztuje rocznie 2 złr., nauczyciele pomocniczy płacą 1 złr. a seminarzyście i uczniowie 60 ct. rocznie. Zasługują także na wzmiankę „Österreichische Jugendbibliothek“, wychodząca zeszytami w małym, książkowym formacie i „Illustrirte Jugendzeitung.“ Zresztą w sali tej dział naukowy bardzo słabo przedstawiony, chyba że wliczymy weń znowu dwóch nieboszczyków, którzy się od dawien dawna rozstali z tym padołem płaczu i czernidła drukarskiego.

Tem obficiej widzimy wystawioną belletrystykę

a zwłaszcza dział humorystyki, prawda że nie zawsze szczęśliwie. Natomiast illustracje są przepyszne. Przytoczę tu niektóre z pism: „Neue illustrirte Zeitung," pismo dwutygodniowe wychodzące w Wiedniu w formacie „Kłosów," a redagowane dawniej przez Nordmanna. Pismo to jest dobre i zaleca się obfitą treścią. „Illustrirte Welt", miesięcznik wychodzący w Stutgardzie w tymże samym formacie, jak poprzedzające pismo. Gazeta literacka ta, stara i znana powszechnie, nie potrzebuje dalszej rekomendacji. „Über Land und Meer." Stare to pismo daje nam nowy dowód, jak bajecznie mało w Niemczech pisma illustrowane kosztują. „Das Buch für Alle," pismo dwutygodniowe illustrowane, wychodzące również w formacie „Kłosów" a wydawane nakładem Hermana Schönleina w Stutgardzie, kosztuje od zeszytu 30 feników. Jeszcze tańszy jest dwutygodnik „Abendglocken", wychodzący nakładem starej i znanej zaszczytnie firmy A. H. Payne'go. Pismo to wychodzi w formacie „Towarzysza pilnych dzieci," a zeszyt kosztuje 25 feników. Przytem illustracje są przepyszne, bo wyraz „gustowne" byłby jeszcze za słaby a każda illustracja przyozdobiona kolorową obwódką. Ale najtańsza cena jeszcze niczem nie jest w porównaniu z tem, co kosztuje „Deutsches Familienblatt", wychodzące w Berlinie w tymże samym formacie jak poprzedzające. Cena zeszytu grubego tygodniowego wynosi bowiem 18 ct. w. a. Z pomiędzy małych a przytem bardzo przystępnych co do ceny illustrowanych pism zaleca się „kleine illustrirte Zeitung," wychodząca we Wiedniu dwa razy na miesiąc a kosztująca rocznie 2 złr.

Z działu mód wymieniam „Bazar" i „Modewelt." Dział humorystyczny obficie przedstawiony, może aż zanadto. Przytoczę tytuły niektórych lepszych pism. Są to: „Neue fliegende", „Dorfbarbier", „Figaro" i „Wiener Punsch." Bez wartości natomiast jest „Hans Jörgel von Gumpoldskirchen."

Z działu sztuk pięknych wymieniam jeszcze z dziedziny dramaturgii „Deutsch-österreichische Theaterzeitung," wychodzącą w Berlinie tygodniowo a z dziedziny muzyki: „Musikercourier," „Musikerkorrespondenz" i „Musikzeitung."

Ogrodnictwo reprezentowane przez pisma jak: „Flora“, „Freyhofts Garten-, und Ackerbauzeitung,“ i „Garten-, und Blumenfreund.“ Pisma, zajmujące się przyrodą są: „Humboldt“, miesięcznik illustrowany, wydawany w Stutgardzie przez Dra G. Krebsa, (cena 1 marka od zeszytu) i „Der Naturforscher,“ tygodnik wychodzący w Berlinie pod redakcją Dra Wilhelma Sklarka. Cena 16 marek rocznie.

Wielce interesującą i polecenia godną jest „Gewerbehalle,“ pismo wychodzące w formacie „Kłosów“ i dające rozmaite wzory z dziedziny techniki i architektury w bardzo pięknych próbach illustracyjnych. Pismo to wychodzi u Engelhorna w Stutgardzie a zeszyt kosztuje 1½ marek. Pokrewne z poprzedzającem, ale o wiele zdobniejsze i piękniejsze jest pismo perjodyczne p.t. „Meisterwerke der Holzschneidekunst“, wychodzące zeszytami w Lipsku, nakładem znanej i zasłużonej firmy J. I. Webera. Format ten sam jak i poprzedzającego pisma. Cena 1 marka od zeszytu.

Dalej wymienię tylko według tytułu pisma, należące do rozmaitych kategorij, jakoto: „Centralblatt für die deutsche Metallindustrie,“ „Deutsche Alpenzeitung,“ „der Herold,“ „das deutsche Wollengewerbe,“ „Färberei-Musterzeitung,“ „Chemische Zeitung,“ „Juristische Blätter“ i t. d.

A teraz przejdźmy do trzeciej sali, mieszczącej okazy literatury perjodycznej słowiańskiej, względnie polskiej. Dział tej ostatniej mieści 132 okazów. Na samym wstępie witają nas postacie Mickiewicza i Kraszewskiego, z których i jeden i drugi pismami swemi stali się nauczycielami ludu, bo jeden uczył go czuć i myśleć, a drugi uczył go czytać po polsku i zaniechać ulubionej dotąd po dworkach szlacheckich francuzczyzny i niemczyzny.

Że zaś zgoda we wszelkich kierunkach narodowych jedynie prowadzi do celu upragnionego, do zbawienia narodów, więc na tem miejscu przedewszystkiem godzi się podnieść użyteczną działalność dwóch pism, pracujących szczerze w duchu pojednawczym. Z tych jedno „Ojczyzna,“ która sobie za zadanie obrała, szerzyć między izraelitami miłość wspólnej naszej Ojczyzny, i z tej też przyczyny wychodzi równocześnie

w dwóch językach, w hebrajskim i polskim. Dążności są zacne i wszelkiego wsparcia godne, a można już teraz świetny horoskop stawić „Ojczyznie,“ bo liczba przedpłacicieli wzrasta z dniem każdym a pismo ma czytelników i współpracowników nietylko między żydami, ale i między katolikami. Drugie pismo — to „Świtło,“ *) wychodzące w Kołomyi dwa razy na miesiąc pod redakcją Mychajła Koroniewicza. Wychodzi ono w języku ruskim, ale łacińskiemi, czyli właściwie mówiąc uniwersalnemi całego świata wykształconego czcionkami, a kosztuje tylko 2 złr. rocznie. Niektórzy gorszą się tem, że wydawnictwo ruskie podobnego rodzaju nie wychodzi ruskiemi czcionkami. Ja w tem nic zdrożnego upatrywać nie mogę, ani ze względu na narodowość, ani ze względu na język, bo już za młodu wprawiłem się do czytania rozmaitych pism, a czytałem ja w wieku dziecięcym nawet książki niemieckie, drukowane hebrajskiemi czcionkami. Mimoto przecież ani Niemiec, ani żyd, autora podobnego dzieła nie posądził o zdradę ojczyzny.

A teraz według ulubionej metody swojej, przy której i nadal pozostać pragnę, podzielę wystawę prac polskich na grupy i oddziały pojedyńcze. Pierwszy oddział jak wszędzie stanowi szkolnictwo. Tu przedewszystkiem razi nas dotkliwy brak pism polskich, poświęconych sprawie wychowania. Czy o tyle mniej podobnych pism wychodzi w Polsce, czy może tak małą stosunkowo ilość tychże nadesłano na „wystawę czasopism w Kołomyi,“ nie pragnę zgłębiać przyczyny i konstatuję tylko fakt.

Właśnie w tej chwili mam przed sobą trzy pisma, poświęcone sprawom szkolnictwa i im pokrewnym. Z tych główne „Szkoła,“ tygodnik i organ powszechny Towarzystwa pedagogicznego. Pismo to jak i towarzystwo, którego jest organem, położyły wielkie, choć nieznane może każdemu zasługi około dobra narodu. Słyszałem nieraz z ust niepowołanych krytyków wyrazy wzgardliwe i mogące oburzyć człowieka nawet

---

*) Rzeczone pismo zostało na pewien czas zawieszone. *(Uwaga późniejsza autora.)*

wcale niewybrednego: „Co to za jeden? bakałarz, wiejski nauczyciel, hołysz, zero, wielkie nic?! I dla takiego to towarzystwa pan się poniewierasz dobrowolnie i unikasz towarzystwa porządnych ludzi!" Powoli, powoli, moi panowie krytycy! Najporządniejszym i najzacniejszym w oczach moich człowiekiem jest właśnie ten wzgardzony przez was i lekceważony nauczyciel, który was wszystkich i bogatych i ubogich miał w swojej pieczy i bez którego nadzoru i wychowania bylibyście mimo wszelkich dostatków i pochodzenia najświetniejszego — bydłem. *)

---

*) Wyrazy wzgardliwe tu przytoczone słyszałem rzeczywiście i to z ust ludzi, roszczących sobie aczkolwiek zupełnie niesłuszne pretensje do inteligencji. Zkąd człowiek, liczący się do stanów lepszych, a wywierający wpływ na swoje otoczenie stanowiskiem, fortuną i pozornem wykształceniem, takie spaczone i nie licujące wcale z duchem czasu pojęcia mógł czerpać, to byłoby dla nas rzeczywistą zagadką, gdyby nie stary nałóg badania przyczyn złego u źródła. I tak jak Francuz mówi: „Gdzie złe, tam szukaj kobiety," takbym ja twierdził: „Gdzie źródło złego, tam szukaj nauczyciela." Na nauczycielach bowiem i na ich sposobie wychowania polega przyszłość narodu; ale czy i jak pojmują oni święte to zadanie? Nauczyciel może być słowem, przykładem i życiem jasną pochodnią dla narodu, może kierować jego przyszłością, może mu rozświecić horyzont wiedzy, może wychować obywatela, który będzie chlubą kraju, nieodrodnym synem Ojczyzny. Wdzięczna potomność a czasem nawet współcześni czcili i uczczą imiona dobrze zasłużonych około oświaty ogółu. Ale czy się zawsze tak dzieje? Panowie nauczyciele! czyście zawsze i wszędzie zasłużyli sobie na cześć ogólną? Uderzcie się w piersi! Toż nie jednemu wyrzuci sumienie, że zbyt ostrym, dokuczliwym i niesprawiedliwym był w obec synów ubogich, a zbyt nadskakującym i pobłażliwym w obec synów wpływowych i możnych rodziców. W tem właśnie leży wada naszego wychowania publicznego. Rozpieszczony synalek bogatego i wpływowego ojca, widząc jak mu pobłażają wszelkie wady, jak czapkują przed nim starsze nierównie osoby, jak nakazują ubogim współuczniom cześć i uszanowanie dla osoby magnackiego lamparta, myśli że bogactwem wszystko można sobie zdobyć: talenta, wiedzę, szacunek, wpływ ogólny — może nawet cnotę. Cnotę! wszakże pieniądze, to jedyna cnota takich dorobkiewiczów i parwenjuszów! I nietylko w tem leży wada stanu nauczycielskiego. Młode pokolenie patrzy na swego przewodnika oczami wrażliwemi dziecięcia: co widzi złego lub dobrego w słowach i w życiu jego, to naśladuje. Widząc czasem nauczyciela, zapominającego i w domu i poza domem o obowiązkach swoich, lub pełniącego je w spo-

Mówić o zasługach wielkich „Szkoły“ i towarzystwa wydającego ją, toby znaczyło tyle, co sowy nieść do Aten. Przypomnę tu tylko jeden szczegół, a mianowicie, że wydawcy „Szkoły“ nie kontentują się tem jednem wydawnictwem, ale starają się ustawicznie za pomocą wydawania coraz to nowych książek i broszur pouczających, jakoteż dzieł ludowych wpłynąć zbawiennie na oświatę ciemnego dotąd ogółu.*)

---

sób nieodpowiedni, czy może mieć dla niego uszanowanie? Czy nie musi uważać nauczyciela, tego urzędnika publicznego, zajmującego w hierarchii społecznej, stanowisko szczytniejsze od książąt i królów, za rodzaj płatnego rzemieślnika? Niech mnie nikt nie posądza o antypatję dla stanu nauczycielskiego, albo o niesłuszne zachcianki poniżenia go. Może niewielu ludzi jest w kraju, którzyby tak poważali stan nauczycielski, jak *ja* go poważam i którzyby tak wygórowane o nim mieli wyobrażenie. My wszyscy, pedagogowie, poeci, historycy, badacze, malarze, mistrze pędzla, dłuta, tonów — my wszyscy a wszyscy nauczyciele! Życie, to nasza szkoła, a ucząc się uczymy innych, i chcemy znowu być pouczeni! Godzi się te słowa przedewszystkiem odnieść do stanu nauczycielskiego, kiedy jeden z wielkich i słynnych krytyków niemieckich, Wolfgang Menzel, omawiając prace najgłośniejszych autorów, słuszny im wyrzut robi z powodu, że wielka część ich prac przyczyniła się do demoralizowania a nie do kształcenia ogółu i odpowiedzialnymi ich czyni za smutne następstwa, które prace te na umysłach niewytrawnych wywarły. Panowie nauczyciele! wasze słowa, wasze życie, to księga otwarta, z której czytać się uczą współcześni, z której uczyć się będzie jeszcze potomność. Starajcie się, żeby księga ta zawsze była w zgodzie z wymaganiami oświaty i moralności publicznej.

(*Uwaga późniejsza autora.*)

*) Z wielkiej liczby dzieł, wydawanych nakładem Towarzystwa pedagogiczuego podczas przeszło 15-letniego istnienia tegoż wymieniamy tu niektóre. Są to: „Chemia w obrazkach układu Johnstona“ przez Hipolita Witowskiego; „Listy pedagogiczne“ Andrzeja Józefczyka; „Jak uczyć języka niemieckiego“ przez Alfreda Zgórskiego; „Jan Amos Komenius i znaczenie jego systematu wychowania“ przez A. Bądzkiewicza; „Listy z wystawy wiedeńskiej“ przez Maksymiliana Kawczyńskiego; „Żywoty Benjamina Franklina i Jerzego Washyngtona“ przez Z. Sawczyńskiego; „Obrazki geograficzne“ Łucjana Tatomira i inne. Do szeregu wyżwspomnionych dzieł przybyło w ostatnich czasach jeszcze bardzo wiele innych cennych publikacij, z pomiędzy których wymieniamy „Żywot J. I. Kraszewskiego“ przez Bolesława Baranowskiego i „Ślady króla Jana III. Sobieskiego przez

W pokrewieństwie dalekiem ze „Szkołą" jest „Przewodnik gimnastyczny," organ towarzystwa „Sokół" we Lwowie. W bliższem nierównie pokrewieństwie ze „Szkołą" znajduje się „Towarzysz pilnych dzieci," wydawany i redagowany przez Władysława Bełzę we Lwowie. Dwutygodnik ten kosztujący w miejscu 1 zł. a na prowincji 1 złr. 20 ct., z każdym dniem staje się lepszym, a tem więcej zasługuje na szczere wsparcie ogółu, ponieważ to jedyne pismo w Galicji, poświęcone dziatwie polskiej. *)

Łucjana Tatomira. Towarzystwo pedagogiczne, reprezentowane na wystawie przemyskiej z r. 1882go doborem najcenniejszych prac swoich, nie zostało jednakże wyszczególnione ani nawet honorową wzmianką, co świadczy smutnie o poglądach i pojęciach pp. sędziów, wyszczególniających pojedyńczych członków Towarzystwa a mianowicie księgarzy lwowskich i innych za dzieła, nie mające nic wspólnego ze ścisłą nauką, a odsądzających od nagród wszelkich w dziedzinie nauki i wychowania Towarzystwo, które jedynie prawie tę dziedzinę na wystawie reprezentowało. Przy tej sposobności nie mogę zataić życzenia, aby się Towarzystwo pedagogiczne wystarało o zdolnego i uczonego współpracownika celem wydania osobnego dzieła, mającego zawierać spis wszystkich rzeczy, wydawanych dotąd przez Towarzystwo pedagogiczne, połączony z umiejętnym poglądem na te dzieła i oceną tychże. *(Uwaga późniejsza autora)*.

*) „Towarzysz pilnych dzieci" upadł, i nie dziwimy się temu wcale w obec apatyi ogólnej, panującej w dziedzinie literatury dziecięcej. Dziś każdy czuje się już być dorosłym człowiekiem, nim przeszedł przez stadjum wieku dziecięcego. I ztąd owe zapoznanie najżywotniejszych potrzeb dzieci, tak ubolewania i skarcenia godne. Nie dość na tem, że rodzice dzieci swoje posyłają do szkół; tem nie uczynili jeszcze zadość wszystkim swoim obowiązkom. Niech baczą, czem i jak się dziecko zajmuje i bawi w domu; niech baczą, żeby zabawka i zajęcie, a zwłaszcza zajęcie umysłowe zastosowane było do pojęcia i do rozwoju umysłowego dziecka. Wielką wagę zatem przywiązujemy do wydawnictw książek dla dzieci, umiejętnie do wieku tychże zastosowanych; bo starzy mają swój rozum i mogą co złe odrzucić, dziecko zaś jest zupełnie niedoświadczone. W wydawnictwach podobnego rodzaju wszelka spekulacja powinna być wykluczoną i jest nawet skarcenia godną. Do wydawania książek dla dzieci niech się tylko ci zabierają, którzy dokładnie obznajomieni są z potrzebami świata dziecięcego, a w podobnych wydawnictwach nie szukają źródła zarobku. Wielkie uznanie pod tym względem należy się zasłużonej

A teraz przejdźmy do działu literatury pięknej. Tu przedewszystkiem muszę z urzędu uwagę na to zwrócić, że i w polskim dziale ta sama niesystematyczność nas razi, jak i w niemieckim. Przedewszystkiem trzeba uważać za prawdziwą profanacją, jeśli w jednejże sali obok „Kłosów," „Tygodnika warszawskiego" i „Bluszczu" znachodzą się piśmidła w rodzaju „Świata illustrowanego" i „Romansów illustrowanych." W polskim oddziale widzimy także pisma może niekoniecznie tak złe, jak powyżej przytoczone,

---

uczciwie około dobra ojczyzny firmie Jana Rosenheima w Brodach; uznanie należy się firmie Henryka Bohussa w Jarosławiu, firmie Himmelblaua w Krakowie, szczytnie znanemu po cie ludowemu ś. p. Anczycowi i zasłużonemu wydawcy i poecie, Władysławowi Bełzie we Lwowie. Ale quod licet Jovi, non licet bovi. Do tej nieparlamentarnej uwagi powoduje mnie dzieło, które przedemną leży. Nosi ono cokolwiek roz wlekły i przydługi tytuł: „Piękna Historya o cierpliwej Helenie, córce króla Antoniusza, cesarza tureckiego z Konstantynopola. która będąc u dworu, później przez lat 22 pielgrzymując, wielkie strapienia i nędze cierpliwie i mężnie znosiła." Książka ta przeznaczona dla dzieci i mająca dosyć wielki pokup na jarmarkach z powodu taniej ceny, wyszła w Wadowicach nakładem Foltyna, a wydanie z rzędu już jedenaste!! Otwórzmy książkę i przeczytajmy sobie, co w niej zawarto; Stronica 9. rozdział III „Helena ojca żadną miarą namówić nie mogła, chociaż go i prosiła aby pożądania swego zaniechał, poszła z wielkim serca zasmuceniem i desperacyą do pokoju swego. Tam puściwszy bieg wolny serca swego, zaczęła nad szaleństwem rodzica swego łzami się zalewać Klarysa jej dworowa mistrzyni słysząc to i widząc siliła się na wszelki sposób pociechy jéj dodać, lecz serce jéj smutkiem wielkim przepełnione było. że żadna pociecha miejsca w niéj znaleźć nie mogła, a widząc miecz w téj saméj izdebce wiszący. pochwyciwszy, gniewliwem głosem do Klarysy mówiła: weźmij ten miecz a przebij mnie nim, bo mi milej śmiercią sromotną czystości mojéj ratować niż przez grzeszne życie do piekła się zaprzedać; wzbronisz mi tego, to ja ciebie sama tym mieczem przebodę." Niech mnie kto (oczywiście przypuściwszy, że nie ma rogów na czole) mieczem przebodzie, jeśli w całej tej prze wlekłej gadaninie znajdzie bodaj szczyptę zdrowego rozsądku dla dorosłych, a szczyptę zdrowego pokarmu dla dzieci! I w takim to tonie napisane całe dzieło od początku do końca, i takie to dzieła czytają nasze dzieci z zamiłowaniem. I tu przydałaby się przestroga: caveant consules!

(Uwaga późniejsza autora.

ale z rozmaitych względów nie kwalifikujące się na wystawę pism literackich. Nic z literaturą i nauką nie mają one bowiem wspólnego. Nie należą żadną miarą do wystawy: „Samorząd, Strażnica, Sztandar polski,“ jednem słowem wszystkie pisma o czysto-politycznym zakroju. Pisma te mamy ciągle pod ręką; stały się one powszedniemi jak chleb codzienny, czyż jeszcze na wystawach publicznych jako rzadkość literacką, podziwienia godną, oglądać je mamy? Prędzej ustanowiłbym już wyjątek pod tym względem co do „Ojczyzny“ i co do „Świtła“ z powodu tendencji tychże pism i co do gazet polskich, wychodzących w Ameryce, a mianowicie co do „Zgody,“ wychodzącej pod redakcją E. Odrowąża w Nowym Jorku i co do „Gazety katolickiej,“ wychodzącej w Chicago i wystawionej wraz z poprzedzającą na widok publiczny; bo pisma amerykańskie rzeczywiście rzadsze.

Nie uważam za potrzebne, polecać z osobna publiczności rzeczy znane już prawie każdemu czytającemu. Pisma jak „Kłosy,“ „Bluszcz,“ „Tygodnik illustrowany warszawski,“ „Tygodnik powszechny,“ „Biesiada literacka,“ „Ateneum“ znajdują się w ręku każdego. Illustracje w niektórych z tych pism zawarte, budziły podziw poza granicami Polski, a u nas w Galicji szczery żal, że dotąd mimo wszelkich usiłowań nie ma w kraju zakładu artystycznego, któryby się z warszawskimi mógł porównać. *)

Ograniczę się więc na omówienie pism beletrystycznych, mniej znanych publiczności a mimoto dobrych. Do tej kategorji należą: „Przegląd polski,“ wychodzący w Krakowie w książkowym formacie nakształt „Biblioteki warszawskiej“ a redagowany umiejętnie przez Hugona Zatheya, znanego zaszczytnie tłumacza Göthego; „Przegląd akademicki,“ organ

---

*) Potrzebie tej starał się ostatniemi czasy zaradzić księgarz i wydawca Klemens Łukaszewicz we Lwowie. Jego „Ognisko domowe,“ dwutygodnik pięknie illustrowany i w doborową treść zaopatrzony, daje rękojmię, że i Galicja zarówno z Kongresówką będzie miała swoje pismo illustrowane. Pismo to wychodzi od 20. Grudnia r. 1883go.

(*Uwaga późniejsza autora*).

młodzieży polskiej, wychodzący również w Krakowie. Format ten sam, jak i poprzedzającego pisma. Na wsparcie gorliwe zasługuje również „Świat powieściowy," wydawany we Lwowie przez Wojciecha Manieckiego pod kierownictwem artystycznem Rogosza. Pismo to w ostatnich czasach pod względem wartości literackiej bardzo się podniosło i tem więcej powinno być wspierane przez ludzi uczciwych, ponieważ należy do tych organów literackich, których celem żywotnym jest sparaliżowanie literatury skandalicznej, szerzącej się w Galicji za pomocą życzliwych kolporterów „Króla Jana Sobieskiego i ślepej niewolnicy," „Adrjanny," „Świata illustrowanego,", „Romansów illustrowanych" i im podobnych pism. „Świat powieściowy" ma bardzo uzdolnionych współpracowników. umieszcza powieści swojskie, powieści dobre i oryginalne, nie potrzebuje więc wabić przedpłacicieli bohomazami kolorowanemi, jak wiedeńscy wydrwigrosze. Do współpracowników „Świata powieściowego zaliczam: A. J. Rogosza, Marję Grochowalską, Zofię Rudnicką i innych. Grochowalska zwłaszcza, której powieści są ozdobą „Świata powieściowego," której talent zaszczytnie został podniesiony przez J. I. Kraszewskiego, ma osobliwszy sposób pisania, z którym nie każdy się oswoić może, a przecież sposób ten jest dobry, bo naturalny. Grochowalska nie idealizuje, lecz maluje rzeczy jak są według przysłowia „naturalia non sunt turpia." Jest to sposób obrazowania ulubionego niemieckiego powieściopisarza Holteia. W końcu wymienię tu jeszcze „Roczniki na cele dobroczynne samborskie," wydawnictwo może nie wielkiej doniosłości i wartości, ale zasługujące bodaj z tego powodu na wzmiankę, że się stara budzić życie literackie na prowincji, gdzie takowe dotąd drzemało. *)

---

*) Do pism polskich, budzących życie, gdzie takowe dotąd drzemało, zaliczam także nowo powstałe na kresach pismo p. t. „Gazeta polska," wychodzące w Czerniowcach pod redakcją znanego jako współpracownika „Ruchu literackiego," „Przyjaciela domowego," „Roczników Samborskich" i „Świtu tarnopolskiego," jakoteż „Przedświtu czerniowieckiego" Klemensa Kołakowskiego. Gorliwemu pracownikowi oświaty na kresach zasyłamy z naszego skromnego kącika redakcyjnego serdeczne „Szczęść Boże!" (*Uwaga późniejsza autora*).

Do tej samej kategorji, co i „Ojczyznę" zaliczam „Izraelitę," wychodzącego w Warszawie a działającego w duchu zgody i miłości bratniej.

Pisma bellestryczne dla ludu są: „Zorza," pismo tygodniowe illustrowane, wychodzące w Warszawie i „Warta," tygodnik poświęcony nauce i wychowaniu a wychodzący pod redakcją Jana Nepomucena Białoszyńskiego w Poznaniu. Pismo to kosztuje w Austrji 1 złr. 35 ct. ćwierćrocznie. W numerze, który przed sobą mamy a który nosi datę 18. Czerwca r. 1882go, widzimy prześliczny ustęp z poematu „Polonia" Maltitza, przytoczony w oryginale:

Zwrotka 53.

„Und des Lichts erhab'ner Cherub jagte,
„Dass hellauf sein Strahlenfittig tagte,
„Auch gen Osten hin, im Blitzeslauf,
„Und wie Sturm es durch die Herzen brauste,
„Da's hervor aus seinem Flügel sauste:
„Wach', P o l o n i a , zur Freiheit auf!"

Szkoda że w obec tej siły oryginału tak słabo wygląda tłumaczenie Hieronima Kunaszowskiego, publikowane przez księgarnię Łukaszewicza we Lwowie! *)

---

*) Sztuka tłumaczenia jest większą i samoistniejszą nawet niżli się niejednemu wydaje, zwłaszcza jeśli się tłumaczy poezje. Nie znając doniosłości tłumaczenia, niektórzy tłumacza uważają jako narzędzie i posługacza autora, chociaż nim nie jest wcale. Tłumacz dobry stoi na równi z autorem, czasem nawet, choć nieczęsto, przewyższa go, a właściwie sam powinien być poetą, i to nie ostatniorzędnym, aby poetów mógł tłumaczyć. Nie wolno mu dosłownie oddać wyrazów oryginału, zaledwie że mu wolno duchem się wżyć w ich harmonję. Najlepszy tłumacz nie będzie tłumaczem, ale naśladowcą. Wyrazy a nawet całe wiersze niepotrzebne lub osłabiające znaczenie rzeczy, bo nie zgadzające się z duchem obcego języka wyrzuci, dla uzupełnienia znowu doda z własnej głowy i dopisze, co potrzebne, myśli nie dające się oddać temi samemi zwrotami, zastąpi pokrewną myślą, rytm oryginału zachowa lub zarzuci według upodobania i według potrzeby, porządek wierszy lub zwrotek zmieni dowolnie, ale ducha oryginału zachowa zawsze, tylko że go więcej nastroi do wymagań i do ducha narodu, dla którego tłumaczy. Takie to wolne i dowolne tłumaczenie bez wątpienia będzie najlepszem, a zdanie to podziela w zupełności także Chamisso, który nietylko jako poeta, ale także

Do kategorji pism ludowych belletrystycznej treści należą także: „Chata" i „Nowiny," wychodzące we Lwowie, „Gazeta świąteczna," tygodnik wychodzący w Warszawie, i „Gwiazda," tygodnik wychodzący w Poznaniu.

Humorystyka przedstawiona jest wcale nieźle przez „Szczutek," pismo humorystyczne, nie potrzebujące osobnej reklamy, bo długiem istnieniem swojem i tendencją zacną zdobyło sobie powszechne uznanie. W obec tego pisma ze sławą ugruntowaną i tendencją zacną „Olymp," dwutygodnik, redagowany przez Lubina Illasiewicza i „Różowe Domino," redagowane przez Chochlika, nie mają prawie racji bytu, szczególnie to ostatnie, które sprzeniewierzywszy się pierwotnej swojej zasadzie: „Jeśli co gryzę, to sercem gryzę," gwoli jałowego dowcipkowania błotem ironii i jadu obrzuca imiona zasłużonych i niezasłużonych, zamiast wytknąć i skarcić prawdziwe wady społeczeństwa. *) „Żarty," dodatek do „Dziennika dla wszystkich" tyle posiadają literackiej wartości co ten ostatni, to znaczy pierwsze żadnej, a drugi wątpliwą.

Dział rolniczy bardzo bogato zastąpiony na wystawie, bo Polska jak wiadomo, jest krajem rolniczym. Z tej kategorji wymieniamy pisma następne: „Rolnik," tygodnik wychodzący we Lwowie, „Kurjer rolniczy," wychodzący w Warszawie, „Tygodnik rolniczy," wychodzący również w Warszawie a przyo-

---

jako tłumacz wszystkim tłumaczom za wzór służyć może i który sam o tłumaczu mówi:

„Cóż to za król, cóż to za mocarz ziemi?
„Tak pyta oko wasze zatrwożone.
„Jam swój, a przecież obcy między swemi,
„I dwie osoby w mojej połączone, (t. j. autora i tłumacza.)
„Choć berło i korona mnie nie zdobią,
„To dzierżę przecież berło i koronę;
„Tu (t. zn. między nieśmiertelnymi) niechaj miejsce dla
(mnie przysposobią.

(Uwaga późniejsza autora.)

*) „Olymp" poszedł już Erebu brzegi zaludnić; „Różowe Domino," czyli jak je Lam w swojej „Kronice" dowcipnie nazwał „Różowy Debarder" istnieje dotąd, ale chyba tylko na to, aby w obec „Szczutka" udowodnić, o ile sztuczne dowcipkowanie od prawdziwego dowcipu się różni. (*Uwaga późniejsza autora.*)

zdobiony pięknemi illustracjami, „Postęp rolniczy," tygodnik wychodzący w Bytomiu, i „Ziemianin," tygodnik przemysłowo-rolniczy, wychodzący w Poznaniu pod redakcją Kazimierza Koszutskiego.

Jako pokrewny z rolniczym przytaczam dział przyrodniczy. Tu należą następne pisma: „Przyrodnik," wychodzący w Tarnowie, „Wędrowiec," tygodnik illustrowany, wychodzący w Warszawie, „Przyrodnik," wychodzący we Lwowie, „Kosmos," czasopismo przyrodników polskiego imienia Towarzystwa Kopernika, redagowane przez Dra Radziszewskiego i „Wszechświat," tygodnik popularny, poświęcony naukom przyrodniczym a wychodzący w Warszawie pod redakcją Br. Znatowicza.

Z dziedziny medycyny wymieniam „Gazetę lekarską," pismo tygodniowe wychodzące w Warszawie. Do numeru noszącego datę 13. Maja r. 1882go, dołączono illustrację, przedstawiającą wypadek choroby zwanej w języku lekarskim: fibromata multiplicia congenita mollia v. mollusca, czyli wieloliczne wrodzone włókniaki.

Resztę pism wymienię już tylko według tytułów, uwydatniających rozmaite kategorje tychże. Są to: „Ekonomista," wychodzący we Lwowie, „Słownik geograficzny" warszawski, „Górnik," organ właścicieli kopalń gorlickich, wychodzący w Tarnowie, „Czasopismo towarzystwa aptekarskiego," wychodzące we Lwowie, „Gospodyni," pismo warszawskie, poświęcone gospodarstwu domowemu, „Wiadomości kościelne," wychodzące we Lwowie, „Posłaniec św. Józefa," miesięcznik wychodzący nakładem księdza W. Kałkowskiego w Ostrorogu, „Muzeum sztuki europejskiej," przepyszne illustrowane wydawnictwo, wychodzące w Warszawie i t. d.

Wydawcom i amatorom książek zaś polecamy „Przewodnika bibliograficznego," wychodzącego w Krakowie w miesięcznych zeszytach pod redakcją Dra Władysława Wisłockiego. Cena roczna 1 złr. 24 ct.

Aby oddział słowiański uzupełnić, przytoczę jeszcze niektóre czeskie pisma; według katalogu pism tych ma być 44. Z działu pedagogicznego podnosimy: „Pädagogium," miesięcznik wychodzący w Pradze,

„Ceskă Skola" redagowana przez Vojtecha Krispina i Jana V. Poklopa, „Naši mlàdezi," Časopis pro mladež dospělejsi, pismo wychodzące pod redakcją Józefa Vlastimilla, z belletrystycznych pism: „Dalibor," „Ceskà učele," „Ozvena," z przemysłowych; „Listy prumyslové" i „Hlasý Řemeslnickié," z rolniczych: „Hospodař," z przyrodniczych: „Vesmir," pismo illustrowane, z humorystycznych „Humoristické Listy," wychodzące pod redakcją Józefa Vilimka w Pradze, z bibliograficznych: „Vestnik bibliografický" i t. d. Czeskie wydawnictwa w ogóle wyszczególniają się elegancką powierzchownością.

W sali słowiańskiej jest oprócz tego 5 pism ruskich, z których 4 wydrukowane są ruskiemi czcionkami, a mianowicie: „Prijatel ditej," „Domasnost," „Jawor" i „Szkolna czasopis," a jedno łacińskiemi czcionkami: „Śwituo." Oprócz tego w sali słowiańskiej mieszczą się 2 serbskie, 2 dalmatyńskie czasopisma i jedno moskiewskie, a mianowicie: „Nowoje Wremia."

A teraz przejdźmy do sali internacjonalnej. Tu uderza nas na samym wstępie pismo, wychodzące we Wiedniu w języku hiszpańskim czcionkami hebrajskiemi. Jest to: „El Correjo de Vienna." Uczyniłem naumyślnie o nim wzmiankę, ponieważ wydawnictwo podobnego rodzaju należy bądź co bądź do rzadkich. Widzimy tu także rumuńskie literackie pismo pod tytułem: „Contemporanul," wychodzące w Jassach. Cena zeszytu 70 bani. Z włoskich wymieniamy: „Rivista Scientifica," pismo literackie, wychodzące w tak zwanej włoskiej Szwajcarji, w kantonie Locarno zeszytami miesięcznemi. (Zeszyt każdy kosztuje franka.) Oraz „Fiammetta," pismo illustrowane, wychodzące w Rzymie a odznaczające się wielką wytwornością. Hollandja na wystawie reprezentowana pismem humorystycznem: „Humoristisch Album," wychodzącem 2 razy na miesiąc, dalej pismami: „De Holland'sche Illustrate," odznaczającem się wyborem pięknych illustracyj i czytelnym drukiem, jakoteż politycznem pismem: „Dagblad".

Najwięcej zaś jest okazów francuzkich, angielskich i węgierskich. Z francuzkich wymieniamy: „l'Illustration," pismo illustrowane, wychodzące w Paryżu

raz na tydzień, „La Chanson Illustrée," coś na kształt śpiewów ludowych illustrowanych z dodatkiem odpowiedniej muzyki, dalej „Magasin Pittoresque," pismo belletrystyczne, illustrowane, wychodzące miesięcznemi zeszytami pod redakcją Edwarda Chartona. Zeszyt kosztuje 60 centimów a illustracje i druk wyszczególniają się wielką czystością. Piękne też jest wydanie pisma ilustrowanego, noszącego tytuł: „Le Voleur." Pismo wyżwymienione wychodzi w Paryżu a kosztuje rocznie 6 franków. W numerze z 24. Czerwca 1881 roku, który przed sobą mamy, umieszczony jest obraz, odnoszący się do dziejów św. Inkwizycji, a której ofiarą zakonnik, wzięty na tortury. Pismem czysto-powieściowem jest: „Le Roman des Familles," wychodzące w Berlinie. Z humorystycznych wymieniam: „Petit Journal pour rire," z pism poświęconych modzie: „Journal des Demoiselles, Révue de Mode i Moniteur de la Mode."

Z angielskich wymieniamy: „The Penny Illustrated-Paper," pismo belletrystyczne, przedstawiające w numerze z 14. Maja 1881 roku wizerunek następcy tronu austrjackiego i dostojnej Jego małżonki; „Punch" pismo humorystyczne, wychodzące w Londynie; „The Young Ladie's Journal," pismo poświęcone modzie i „The agricultural Gazette," pismo poświęcone rolnictwu. Jako najtańsze nietylko z angielskich, ale w ogóle z wszystkich pism, wychodzących na świecie wymieniam: „Wedding Bells Novelette," wychodzące w Londynie zeszytami w formacie książkowym. Jest to coś nakształt gazety powieściowej, a każden zeszyt zawiera osobną powiastkę obejmującą około 1½ arkusza druku i kosztuje 1 penny czyli 5 ct. a. w.

Z węgierskich pism wymieniam: „Magyarorszag èsa Nagyvilág," pismo illustrowane, wychodzące w Budapeszcie i „Vasàrnapi Ujság," również illustrowane, z humorystycznych zaś: „Bosszem Jankó, Kislap i Bolond Istók."

Aby ten szkic niektóremi statystycznemi datami uzupełnić, donoszę jeszcze, że na wystawie pism rozmaitych według katalogu miało być około 670: z tych 381 niemieckich, 132 polskich, 44 czeskich, 43 francuzkich, 36 angielskich, 17 węgierskich, 3 holenderskie, 1 rumuńskie, 5 ruskich, z tych jedno złożone

łacińskiemi czcionkami, 2 dalmatyńskie, 1 hiszpańskie, 2 włoskie, 2 hebrajskie i 1 serbskie. Nie można się jednak ze wszystkiem spuszczać na katalog: niektóre bowiem pisma dwa razy w katalogu wymienione, a niektórych zupełnie w nim nie ma, chociaż swoją drogą na wystawie figurują.

Gości zaś było na pierwszym dniu wystawy przedpołudniem 3, a popołudniu 59, między tymi także Prezes i Wiceprezes Towarzystwa pedagogicznego, Zygmunt Sawczyński i Dr. Teofil Gerstmann, na drugim 70, a na trzecim czyli ostatnim 22, a że wstęp 10 ct. kosztował, więc było dochodu z rozprzedaży biletów 15 złr. 40 ct. *)

Kołomyja, 20. Lipca 1882.

G. Kohn.

---

*) Temi słowami zamykamy opis „wystawy czasopism w Kołomyi," który oczywiście ograniczyć się tylko mógł na pisma, znajdujące się na tej wystawie, a nie obejmował całego szeregu nowych pism powstałych później. Z braku miejsca nie możemy wszystkich tych pism omawiać; są jednak takie, które z pewnych względów zasługują na wyszczególnienie. I tak w Bawarji, w tym kraju, który według Wolfganga Menzla i Sawicza-Zabłockiego, najbardziej jest upośledzony co do wydawnictw perjodycznych i gazet, wychodzi teraz w zakątku nieznanym prawie, w Hilpoltstein „Die Dichterwiege," pismo redagowane przez pana C. Haasa, a przeznaczone życie literackie budzić na prowincji i kształcić młodych poetów i autorów niemieckich, a przyznajemy, że redakcja dosyć umiejętnie wywiązuje się ze swego zadania. Na wzmiankę zasługuje także nowe pismo „Die Sphinx," a to tem bardziej, że na czele redakcji stoi Dr. Edmund Veckenstedt, przychylny wielce polskiej sprawię, a który jako autor ogłosił dwa cenne dzieła, odnoszące się do Słowian, a mianowicie „Wendische Sagen, Märchen und abergläubische Gebräuche, Graz 1880" i „die Mythen, Sagen und Legenden der Zamaiten (Lithauer)" Hirschberg 1883, dwa tomy. Do pism, o których wzmianka również byłaby na miejscu, zaliczam też „Uniwersalną bibliotekę" Adama Kaczurby, wychodzącą obecnie w drukarni S. F. Piątkiewicza w Przemyślu. Nie było cennego tego wydawnictwa na wystawie, nad czem ubolewać wypada, jeśli się rozważy, że tyle nieużytecznych i lichych pism zajmowało miejsce należące się lepszym. „Uniwersalna biblioteka" obrała sobie zadanie, spopularyzować najcenniejsze prace naszych wielkich pisarzy, jakoteż obznajomić publiczność czytającą z najcenniejszemi płodami literatury obcej za pomocą udatnych tłumaczeń, i z tej przyczyny, jakoteż z powodu taniości swojej może być każdemu poleconą.

(*Uwaga późniejsza autora.*)

Chwila rozmyślania.

I otóż znowu weszłem w wasze progi,
Od prac mozołu spoczywając w cieniu,
Ażeby uczcić was, domowe bogi!
I w cichem, kornem stanąć uwielbieniu.
O Boże! panie życia! twe wyroki
Tu skierowały pierwsze moje kroki,
Ażebym uczuł bole Hiobowe,
W mą pierś zmierzone widział niebios gromy
I martwy patrzał na ten świat zepsucia,
Na świat ten, w którym jako proch znikomy
Najlepsze serca gubią się uczucia.
O życie! jakżeś gorzkie i jałowe!
Tu dni dziecięcych stała mych kolebka;
Trwożliwie z megom puścił się ukrycia,
Tu napełniona książkami torebka
Na szkołę miała przysposobić życia.
I odganiałem sen z znużonych powiek:
W obliczu Boga stanął uczeń-człowiek!
Przez cierń i gorycz Ty mnie prowadziłeś,
Nie dając chwili wolnej do wytchnienia,
Na skroń zbolałą palec twój łożyłeś,
Bym gwoli losu drogą szedł cierpienia!
Jak potok miara cierpień tych wezbrała.
Chwała Ci w niebie i na ziemi chwała!
I otóż staję przed Twym majestatem
I pytam Ciebie, Panie mój, w pokorze,
Jak długo gorzkich westchnień moich morze
Obłudnym ma być podsycone światem?
Jak długo jeszcze głową o złom skały
Mam trącić zimnej, twardej, skamieniałej?
A Ty mi na to: „Rzuć obawy wszelkie,
I idź w me ślady, w ślady Twórcy wielkie.
„Przed wzrokiem Boga milkną morza fale,
„Gdy na tron światła wstąpi w wiecznej chwale.
„Nie tobie szemrać z czołem smętnem, bladem,

„Lecz jasnych przodków twoich iść przykładem,
„Co na granicie kościół zbudowali
„I tron, burzami wieków niewzruszony,
„A w tym kościele wiara Boga chwali,
„I miłość rządzi ludzkiemi plemiony.“

Lwów, 16. Września 1877.

G. Kohn.

Północne burze.

Ach! cóż za miła, stepowa woń,
Jaką ten wiatr mi przynosi tu!
O zimną szybę opieram skroń
I marzę, marzę niby wśród snu.
I echa dawno minionych lat,
I smętne skargi w tej pieśni brzmią,
Daleko ojciec, kochanek, brat:
Ku nim ja duszą lecę, wraz z nią.
Wietrze z północy! nieś pieśni nam,
Bo choć tak zimne melodje twe —
Ja takie czoło gorące mam,
Że je w twych falach ochłodzić chcę.
Otwieram okno — o pieść mię, pieść,
I z ust spalonych gorączkę zwiej,
I od kochanka przynieś mi wieść,
I w duszę kroplę pociechy wlej!
Niczem zefiry porannych zórz
W obec ponurej potęgi twej,
W obec akordów północnych burz —
O zimny wietrze, wiej mi, ach wiej!
Coraz w silniejszą wzmagasz się moc,
Jękiem wezbrane melodje twe

Płyną, jak płynie z zachodu noc
I świat otula w ciemności swe.
O! ja w tym wichrze lodowych stref
Słyszę i skargi grobowej jęk,
I jakiś głuchy, tłumiony gniew,
I zemsty — zemsty gwałtownej dźwięk.
Jeszcze mi płonie gorączką skroń
I jeszcze usta spalone schną,
Oknem w noc ciemną chylę się doń
I piję ulgę melodją tą.
Nawet miłości minionej sny
Niesie mi wichru złotawy szmer,
Minione śmiechy, minione łzy
Z północnych płyną do mnie tu sfer!
O zimny wietrze! zkąd ty to wiesz,
Że mi tych złotych melodje słów,
Tych słów miłości młodzieńczej szlesz?
Zkąd ty wiesz o nich? mówże, ach mów!
Wszak to tak dawno, ach! setki lat
I lat tysiące minęło już,
Kiedy mój piękny, młodzieńczy kwiat
Uwiądł — i wziął go Anioł mój Stróż!
A tam się nad nim zmiłował Bóg,
I uwiędłemu kroplę dał dżdżu
Ze swych ożywczych, niebiańskich strug:
I tam mu lepiej, niż było tu!...
I czeka na mnie, nim wolny duch
Rzuciwszy ciało uleci tam,
Gdzie wieczne życie i wieczny ruch
I wieczny pokój zgotowan nam.
O jakże ciemno i straszno mi!
Darmo spojrzeniem sięgnąć chcę w dal,
Jedyna gwiazda na niebie lśni,
Jedyna — pośród ciemności fal.
Już mi gorąca ochłódła skroń,
Dreszcze z ust wzięły gorączkę już,
Lecz ty wiej wietrze i w szybę dzwoń,
I bądź zwiastunem porannych zórz!
Zamykam okno — chciałabym w sen
Ukoić myśli zmęczonych rój;
Lecz usnąć trudno, bo wicher ten,
Wicher z północy uścisk szle swój.

Milczę.... usypiam....
Rozkoszne sny,
Sny tak jedwabne jak miękki puch,
Uśmiechy znikły i oschły łzy,
Bóg tylko żyje i żyje duch.

Czortków, 3. grudnia 1883.

Janina Antonowiczówna.

Szatańska pieśń.

W samotnym borze pod starą sosną
Usiadł wędrowiec z pieśnią radosną,
Poglądał w niebo — na bór zielony
I cudne z lutni dobywał tony.
Tony płynęły świetlaną smugą,
Płynęły czysto, dźwięcznie — i długo!
Srebrne i jasne z lutni wędrowca
Aż do białego biegły grobowca,
Do drzwi kościelnych — do starej chatki,
Tylko nie doszły do uszu matki;
Bo matka w grobie dawno spoczęła,
W samotnej chacie biedna usnęła.
Lecz z dala dziewczę stoi — i słucha,
I z pieśni pragnie rozpoznać ducha.
Na piersi białe rączki złożyła,
Po twarzy zimna łza się stoczyła,
Łza tak bolesna — cicha— kamienna,
I główka chyli się — niby senna;
Bo choć tej pieśni tony tak srebrne,
Choć lecą dźwiękiem w sfery podniebne —
Jednak nie duchem — nie treścią swoją.
Takiej się pieśni anioły boją —

Bo pieśń ta pusta — jak pierś wędrowca,
Odurzająca jak woń jałowca. —
Przebrzmiały tony! Wietrzyk dokoła
Lekko jakoby skrzydłem anioła
Pieści się falą jasnych warkoczy,
Całuje dziewczę w usta i oczy —
Różane wonie niesie po polu!
Młoda dziewica pobladła z bolu,
Bo wraz z ostatnim piosnki oddźwiękiem,
Zerwane struny nadziei z jękiem.
Poszedł młodzieniec sosnowym borem,
A lata biegły zwykłym swym torem.
Zginął bez wieści! — Dziewczę tymczasem
Na cmentarzysku pod starym lasem,
Pod białym krzyżem — zieloną sosną
Spoczęło w grobie — za trzecią wiosną!

Janina Antonowiczówna.

Daj mi suknię niebieską,

PIOSNKA LUDOWA

z włoskiego. *)

Daj mi suknię niebieską, daj, ach! daj strój owy,
Który luby niedawno przywiózł mi z Dżenowy;
Nie ubieraj mnie w inne szlarki i koronki
Niż w te, co przywiózł dla mnie, dla przyszłej małżonki.
Gdybym inną suknię niż niebieską nosiła,
Myślałby mój kochanek, żem ja go zdradziła;
Gdybym się zaś stroiła w perły i klejnoty,
Umarłby mój kochanek, umarłby z zgryzoty,

*) Piosnka ta przetłumaczona wprost z oryginału, a nie z drugiej ręki. *Przyp. red.*

Myśląc, że moje serce innego już kocha,
Że się stroję dla drugich, a dla niegom płocha.
Lecz ja gardzę w mem sercu nimi, a tem bardziej
Pochwałami lekkiemi, co mi sypią, gardzę:
Wierna memu ślubowi, wierna ustawicznie,
Nie chcę znać owych chłopców, co się stroją ślicznie,
Co kochają wieczorem, by zapomnieć z rania
I szukają miłostek nowych bez przestania.
Nie chcę znać tych młodzieńców, ani ich przykładem
Pójść nie myślę; za życia nie zwabi mnie żaden,
A gdy śmierć nas rozłączy, godna mego wianka,
Umrę w sukni niebieskiej, co mam od kochanka.

Sambor, 1870.

G. Kohn.

ANTISEMITA.

OBRAZEK

osnuty na tle obecnych stosunków społecznych,

napisał

A. M. Paproć.

I.

W stołecznem mieście, przy jednej z głównych ulic śródmieścia, stoi piękna kamienica o dwóch piętrach, tworząca wraz z oficynami symetryczny czworobok; wszystkie ubikacje wynajęte, gospodarz bowiem nie wypytywał wynajmujących o ilość dzieci, drobiu, kotów, psów i t. p., a nawet pomimo znacznie podwyższonych podatków, pozostał przy dawniejszych cenach mieszkań.

Pan Tadeusz Naglicki, właściciel tej kamienicy, i jak ludziska utrzymują, napakowanej akcjami i różnemi obligacjami kasy wertheimowskiej — jest sobie człowiekiem średniego wzrostu, więcej trochę jak dobrej tuszy; twarz okrągła i rumiana spoczywa na tłustem podgarlu; czoło wysokie, okolone ciemnym już szpakowatym, krótko strzyżonym włosem; oczy koloru piwnego, łagodne; nos o zakroju greckim i usta zwykle uśmiechnięte, które zdobił wąs starannie utrzymany, zakręcony z polska — wszystko to składało się na wyraz twarzy sympatyczny i dobroduszny,

człowieka prawego, patrzącego na nędzę sercem i ujmującego się za pokrzywdzonymi.

Pan Tadeusz Naglicki przy tem wszystkiem jednakże był, jak to mówią, „gorąco kąpany.“ — Bywało nieraz, „nim nabił, wystrzelił“; lecz potem już się nie cofnął, i chociaż ze stratą, dotrzymał słowa.

— Pal go djable, panie tego — powtarzał natenczas, zabawiłem się znowu w Zabłockiego! ale honor jest w porządku!

Nie przychodziło trudno panu Tadeuszowi Naglickiemu mniejsze straty czasami ponosić, będąc w ważniejszych ostrożniejszym, miał bowiem z kamienicy dochodu do sześciu tysięcy, a drugie tyle blisko wpływało za sprzedane kupony od wartościowych papierów.

Stan majątkowy pana Tadeusza nie wzbudzał u sąsiadów podejrzenia. Wiadomem było powszechnie, iż z powodzeniem prowadził przez wiele lat handel koralami, o czem przy szklaneczce miodu chętnie rozprawiał z kolegami mieszczanami, a przyczem nigdy nie pomijał narzekania na Lejbę Herzsteina, z przyczyny którego poniósł był dwa razy bardzo znaczne straty w handlu. Gdy o tych zdarzeniach opowiadał, twarz jego przybierała kolor szkarłatny, oczy rzucały iskry, a pięścią kurczowo zaciśniętą o stół uderzał.

— Ho, ho! niedobre to plemię! panie tego — wykrzykiwał w złości, jabym to co do nogi! — i kończył gestem, podnosząc rękę koło szyi.

Od paru lat porzucił handel, zdobywszy fortunę, za pomocą której wystarczało mu na przyzwoite utrzymanie, wychowanie i uposażenie dorosłych już dzieci, i znaczną jeszcze nadzwyżkę mógł odkładać do kasy.

Pan Tadeusz Naglicki był wdowcem, żona jego Magdalena, dając życie Jadwisi, sama go przy tem utraciła. Po śmierci żony otoczył maleńką Jadwisię największą troskliwością, a gdy już rozwinęła się w dziewoję, została jego pieszczotką i oczkiem w głowie. Często, całemi chwilami wpatrywał się w jej piękną twarzyczkę, tuląc do piersi i obdarzając pieszczotami. Pod spojrzeniem swojej jedynaczki stawał się z gniewnego — łagodnym i swobodnym; a kiedy smutek rozsiadł się na jego czole, pocałunek Jadwisi

spędzał go bezpowrotnie. Wiadomą była powszechnie słabość ojcowska dla córki; to też niejeden potrzebujący pomocy a nie po raz pierwszy udający się po nią, zwracał się o protekcją do Jadwisi, której ona niezwykła odmawiać, i odnosił skutek pożądany. Równą też troskliwością otaczał p. Naglicki i syna pierworodnego Tadeusza, dziś już praktykującego lekarza.

Domowe gospodarstwo prowadziła panna Filomena, siostra nieboszczki żony, a prowadziła je wzorowo. Wszędzie: w salonie, w mieszkaniu pana Naglickiego, w pokojach syna, córki, w kuchni, w przedpokojach, na korytarzu i na schodach — wszędzie było widać rękę czuwającą nad schludnością i porządkiem, wszystko szło tu podług zegarka. Pokoik zaś panny Filomeny, niedostępny dla oczu zwykłego śmiertelnika, była to istna cela zakonnicy. Skromne łóżeczko, kanapka, kilka krzeseł, stół, starego fasonu komoda i szafka na rzeczy, klateczka z kanarkiem w oknie, w kąciku zaś urządzony ołtarzyk z obrazem Matki Boskiej, tulącej do łona dzieciątko — pamiątka po matce, — przed którym co piątku i soboty paliła się lampka, było całym sprzętem w mieszkaniu. Znajomości zawierała bardzo mało i tylko czasem, w niedzielę, można było widzieć w gościnie u panny Filomeny parę przyjaciółek, rozprawiających przy szklaneczkach kawy o kazaniach i nabożeństwach. W ploteczkach nie miała upodobania, A jednak ludzkie języki podawały sobie w ucho sekretne domyślniki o pobycie panny Filomeny w domu szwagra i z tego wyprowadzane kombinacje. Nieraz bowiem można było podsłuchać jak mówiono:

— I cóżby nareszcie w tem było tak złego? pan Naglicki liczy lat około 50, panna Filomena przeszła już trzydziestkę z dodatkiem, to właśnie dobrana para. On jeszcze krzepki i zuchowaty, ona pięknością wprawdzie nie grzeszy, ale przyjemna i dobrocią ujmująca. Rzym przecież na takie związki zezwala....

Przyznać jednak trzeba, że w tych ploteczkach mieściło się może i odrobinę prawdy. Czasem bowiem jegomość — bo tak był tytułowany od panny Filomeny i od służby pan Tadeusz Naglicki, ojciec —

powróciwszy do domu z przechadzki, zagadnął wesoło do panny Filomeny:

— Wierzaj mi jejmość, że to oczywista kara Boża z temi kobietami. Ot, panie tego — widziałem znowu tę istną czarodziejkę ; brunetka, wzrost śliczny, figurka, gdyby utoczona, oczka, to prawdziwe dwa brylanty, a co za prześliczne, bujne warkocze. Gdybym tak wiedział, panie — że mi nie da odkosza, to nie ręczę, czybym się nie odważył, panie tego....

— Wstydziłbyś się jegomość — wpadała w słowo panna Filomena, człowiek w latach, i oglądać się jeszcze za kobietami. Masz dzieci już dorosłe.... — I po takiejże reprymendzie, z westchnieniem opuszczała jegomościę.

Zwierzenia takie jegomości sprawiały widać pannie Filomenie przykre wrażenie, chodziła bowiem przez parę dni w zamyśleniu i z obwiązaną głową, dopóki jegomość, rozważywszy na zimno rzeczy, nie przeprosił jejmości.

II.

W drugiej ulicy od pana Naglickiego, znajdował się sklep żelazny, własność pana Arona Blumenzweiga. Pan Aron Blumenzweig — jestto typ zwykły polskiego żyda, nie należał on do sekty Chusytów, nie chodził w pończochach i pantoflach, lecz w butach, nosił długą opończę sukienną, przepasaną w stanie wełnianym paskiem, w powszedni dzień, jako nakrycie głowy służył mu cylinder, w dnie zaś świąteczne, duża czapka futrzana. Nie nosił pejsów w całem tego słowa znaczeniu, ale dłuższe pęki włosów poprzed uszy zaczesywane, z pod których wysuwała się już dobrze szpakowata broda, okalająca pociągłą twarz, dzieląc się na dwa bujne końce. Rysy twarzy regularne, brwi grube i zwiesiste, osłaniały w głębokich dołach oczy smętnie patrzące, które widok pieniędzy ożywiał i dodawał im ognia. Twarz w ogóle przedstawiała się poważną i zamyśloną.

Pan Aron był w mieście i na prowincji znany jako zdolny w swoim zawodzie kupiec, który nie

trudniąc się interesami pobocznymi, oddawał się z całem zajęciem swemu handlowi. Ostatnimi czasami jednak pan Aron zapadał często w zły humor, a przyczyną tego było, iż współwyznawcy widząc jego powodzenie, dwa podobne handle otworzyli i cenę towaru obniżali, wytwarzając mu tym sposobem konkurencję, którą pan Aron w kieszeni swojej dotkliwie odczuwał.

Żona jego Rebeka, słusznego wzrostu, o kształtach okrągłych, bruneta, wbrew przepisom rytualnym nie rozstała się z swemi czarnemi, połyskującemi splotami włosów, które jej kształtną głowę i twarz wyrazistą jeszcze i dziś — w latach późniejszych, zdobiły. Ubierała się według każdorazowej mody, i używała, szczególnie w domu, języka ojczystego, t. j. polskiego, na co mąż, chociaż z niechęcią, zniewolony majestatem małżonki i przywiązaniem do niej, zezwalał.

Małżeństwo to obdarzyła Opatrzność córką jedynaczką, którą nazwano Heleną.

Matka była z Heleny dumną, widziała w niej obraz swej młodości, Helena bowiem, 19-letnie dziewczę, była w całem słowa znaczeniu piękną. Postać jej wysmukła, o kształtach pełnych i zaokrąglonych, była zachwycającą; włosy krucze, czoło wyniosłe, sparte na dwóch regularnych łukach brwi, duże oczy czarne, płomienne, zdobne w długie rzęsy, nosek zgrabny, ściągły, twarz owalna, a płeć przypominająca dojrzałą brzoskwinię, rączki drobne, pulchne o różowych kończynach; było to wszystko własnością Heleny, która wiedząc o swojej urodzie, posiadając jednakże wykształcenie, była skromną i ugrzecznioną, a tem samem więcej jeszcze pociągającą.

W gronie młodzieży była Helena często przedmiotem rozmowy, które pod każdym względem wypadały na jej korzyść, lecz kończyły się zwykle ubolewaniem: „Czemuż ona żydówką!“

Tylko pan Tadeusz Naglicki syn nie ubolewał nad jej wyznaniem, i zwykle, jeżeli był rozmowom tym obecny, sprowadzał je do zakończenia; nie lubiał, aby o niej rozmawiano. On znał ją od dziecka, chodziła bowiem z jego siostrą Jadwisią do jednej klasy, często przybiegała do przyjaciółki, aby wspólnie zadania

wyrabiać, w czem im Tadeusz pomagał i odprowadzał potem Helenkę do domu.

Matka, troskliwa o wychowanie jedynaczki, oddała Helenę po ukończeniu szkoły ludowej do znanego zakładu naukowego pani S., gdzie zeszła się znowu z Jadwisią i przebyła z nią tam 4 lata, zkąd też wyszły jako szczere przyjaciółki, z nabytemi wiadomościami, które w dalszem życiu były im niezbędnemi.

III.

Jadwisia Naglicka, nieco niższa od Helenki, blondyna złotowłosa, o oczkach niebieskich — istny portret swojej zgasłej matki — nie ustępowała w urodzie Helence, sercem zaś dorównywała jej w zupełności.

Były to dwa różnobarwne kwiateczki, zarówno świeże, hoże, skromne. To też kochały się szczerze pomimo różnicy wyznania, i były dla siebie otwartemi i najlepszemi przyjaciółkami.

Jadwisia bolała często nad uprzedzeniem ojca swego, które nie pozwalało jej wprowadzić otwarcie przyjaciółki do domu, lecz znając ojca słabość dla siebie, postanowiła wpłynąć nań i podbić serce ojcowskie przynajmniej dla wyjątków.

— Mogą być wszyscy współwyznawcy Helenki źli i niegodziwi — powtarzała sobie, ale przecież ona nie może być zarówno z nimi traktowaną.

Rozumując w ten sposób, pewnego dnia Jadwisia wstąpiła do sklepu galanteryjnego, aby kupić szerokie, wspaniałe ramy, potrzebne jej do osadzenia w nich portretu Kościuszki, przez siebie wykończonego, który miała wręczyć ojcu w dzień imienin, 28. października. Tam spotkała niespodzianie Helenę.

— Jakże to dobrze, że cię tu zastaję Helusiu — mówiła, ściskając jej ręce.

— Cóż mi powiesz dobrego, Jadwisiu? — odrzekła Helena, oddając uścisk.

— Chcę ci się poradzić.

— W tej chwili będę ci do usług.

I zapłaciwszy, obie wyszły ze sklepu.

— Helusiu droga — zaczęła Jadwisia, w wielkim jestem ambarasie, ciocia Filomena chce, abym zrobiła dywan do kościoła. Ty masz wyborny gust, pomożesz mi więc wybrać desenie i ułożyć kolory; poświęć mi chwilkę czasu, mam w moim pokoju wszystko przygotowane.

— Moja droga Jadwisiu! czyż mogłabym ci czego odmówić? Lecz pomyśl... twój ojciec...

— Ależ ojczulko wyszedł właśnie z domu i nie powróci zaraz. A przecież na tyle jest grzecznym, a powtóre, ciebie teraz wcale nie zna. Nie róbże mi przykrości — nalegała Jadwisia, tylko momencik mi darujesz.

Właśnie znajdowały się przed domem p. Naglickiego i Jadwisia pociągnęła Helenkę za sobą do swego mieszkania.

Helenie, postępującej za Jadwisią, serce biło z podwójną chyżością; myliłby się jednak, ktoby sądził, iż zmęczenie było tego przyczyną. Helena w tej chwili wspomniała o Tadeuszu, synie pana Naglickiego, który w tym domu mieszkał i łatwo z nią mógłby się teraz spotykać, a chociaż takie spotkania robiły na niej przyjemne wrażenie, to jednakże, jakby obawiając się ich w duszy, unikała ich.

Jadwisia wprowadziwszy Helenę do swojego pokoju, zdjęła jej szybko kapelusik z głowy, szczebiocząc uradowana:

— Teraz cię ptaszku mam w swojej klateczce, i nie wypuszczę, aż się tobą nacieszę.

Dziewczęta uściskały się i ucałowały serdecznie, a udzieliwszy sobie wzajem najświeższych wrażeń i wiadomostek, usiadły przy stoliku, na którym leżały nagromadzone próbki kanwy, włóczki, sznelki, pelki, deseni i rysunków; zajęły się z całą gorliwością układaniem tła dywanu, dobieraniem kolorów, a przedewszystkiem wizerunkiem, jaki miał być umieszczony na dywanie, i tak dalece zainteresowały się tą pracą, iż nie spostrzegły, jak przed chwilą wszedł do pokoju Tadeusz — i nie chcąc im w ich czynnościach przeszkadzać, w milczeniu wpatrywał się w swój ideał — Helenę.

— Czy uwierzysz mi Helusiu — zagadnęła śmie-

jąc się Jadwisia, że nie polegając na sobie, zaprosiłam do jeneralnej narady nad tym moim kłopotem nawet Tadeusza?

— Powiem ci, że źle nie zrobiłaś Jadwisiu — powiedziała Helena, rumieniąc się lekko — Tadeusza gust mi się podoba.

— Helusiu — wtrąciła figlarnie Jadwisia, całując przyjaciółkę, czy tylko gust?

— Jadwisiu — tłumaczyła się Helena drżącym głosem, nie rób mi przykrości, bo zaraz ucieknę od ciebie.

— Czemu jednakże j a sprzeciwię się całą siłą — wypowiedział z udaną powagą, kłaniając się Tadeusz, podbiegając do przerażonych dziewcząt i uścisnąwszy ręce Helenki, ucałował siostrę.

— Niegrzeczniku jeden — zawołała Jadwisia z uśmiechem, załamując z komiczną powagą ręce, czyż godziło się, tak nas przestraszyć?

— O, zasłużyłeś pan na wielką pokutę — dodała Helena, pogroziwszy pięknym paluszkiem Tadeuszowi.

— Braciszek chciał się sekretów dowiedzieć? — zapytała Jadwisia z uśmiechem, oddając braciszkowi ukłon głęboki.

— Jak was kocham i szacuję, moje panie — tłumaczył się Tadeusz, że wszedłszy tu na wezwanie Jadwisi, nie miałem zamiaru podsłuchiwać tajemnic waszych, i tylko nie chcąc wam przeszkadzać w zajęciu, zatrzymałem się chwilę niepostrzeżony.

— Wierzymy! wierzymy! — zawołały dziewczęta wesoło, spoglądnąwszy na siebie.

Jadwisia podprowadziła brata do stoła i objaśniła mu ułożony plan dywanu, który po uwagach odnośnych Tadeusza, został przez obecnych ostatecznie przyjęty.

— Teraz, kiedy już wstępna robota ukończona — ozwała się Jadwisia, przybierając minkę poważną, szanowni współpracownicy raczą się momencik zatrzymać i pozwolić mi, że w nagrodę za ich trudy przyrządzę im przepysznej kawuni.

— Ależ Jadwińciu droga, nie potrzeba... zostań z nami — błagała Helena.

Jadwisia prośby nie usłuchała i wybiegła. Helena pozostała z Tadeuszem.

Chwilę panowała cisza. Helena usiadłszy przy stole mimowolnie wpatrzyła się i przerzucała włóczkę.

Tadeusz nie pojmował siebie; już dawno pragnął on chwili, aby być sam na sam z Heleną, wypowiedzieć jej swoje zamiary.. wynurzyć uczucia... ulżyć głowie i sercu... Teraz, gdy los sprzyjający postawił go obok niej — zabrakło mu odwagi. Rumieniec wystąpił na twarz jego, wstydził się swojej nieśmiałości. Lewą rękę położył na sercu, jakby chcąc powstrzymać gwałtowne bicie jego — postąpił do dziewczyny i ujął jej rękę. Helena zerwała się z fotelu, lecz rękę pozostawiła w dłoniach młodzieńca, który mówił do niej drżącym głosem:

— Heleno, przyjaciółko od lat dziecinnych — ty mię rozumiesz i odgadujesz....

Helena spojrzała na młodzieńca rzewnie, rumieniec oblał jej lica i główkę spuściła.

— Powiedz mi droga — mówił w zapale Tadeusz — czy mogę nazwać moją tę rączkę . . . . i przyciągnął lekko rękę Heleny do ust, wyciskając na niej gorący pocałunek.

Dziewczę zadrżało, oczy jej mieniły się rozmarzone, a pochyliwszy główkę na piersi młodzieńca, wyszeptała:

— Na zawsze twoja. . . . .

Byli szczęśliwi w tej chwili — bo zapominając o świecie, umysły i serca ich zajęte były tylko sobą, tylko wzajemnem uczuciem miłości. Lecz chwile takie, to promienie słońca, które wśród chmur pędzonych wichrem, znajdą wolną szczelinę, by się do ziemi uśmiechnąć.

Ocknęła się Helena, rumieniec ustąpił z twarzy, a jego miejsce zajęła bladość śmiertelna, nogi się pod nią zachwiały, usiadła i główkę oparła na dłoni.

— Heleno droga, co tobie — zawołał Tadeusz przerażony, całując jej rękę.

W tem wbiegła do pokoju Jadwisia.

— W tej chwili fetę przyniosę — zapowiedziała wesoło, lecz ujrzawszy Helenę pobladłą i smutną,

przybiegła do niej i ściskając ją i całując wypytywała o przyczynę.

— Nic mi, droga Jadwisiu, nic mi — zapewniała Helena, przestraszyłam się tylko. . . . .

— Czego? — zapytali równocześnie Jadwisia i Tadeusz.

— Rzeczywistości — odpowiedziała zwróciwszy się do Tadeusza.

— Nie rozumiem cię — odparła Jadwisia.

— Odwagi i wytrwałości, droga Heleno — odrzekł rozpromieniony Tadeusz, a niema na świecie przeszkód, którychbyśmy nie zwyciężyli.

— A! tak mi gadajcie! — podchwyciła Jadwisia, teraz was już rozumiem.

— A ty Jadwisiu, musisz być naszą protektorką — ciągnął dalej Tadeusz ująwszy siostrę za rękę.

— Dla mego brata i siostry uczynię wszystko — odpowiedziała poważnie Jadwisia.

— Więc mnie przyjmujesz za siostrę, droga Jadwisiu?

— Już dawno cię za nią uważałam, wiedząc o Tadzia zamiarze, i czekałam tylko twego zezwolenia.

I obie dziewczęta ujęły się i serdecznie uściskały.

— A teraz, moi państwo — mówiła dalej Jadwisia, każde ze swojemi siłami i ze swoich stanowisk, śmiało przystąpmy do walki z przeciwnościami.

— Brawo! — zawołał Tadeusz.

Drzwi się otworzyły, a w nich ukazała się Zosia z ogromną tacą w rękach, na której mieściła się mosiężna maszynka z kawą, porcelanowy imbryczek ze śmietanką, srebrna cukiernica, 3 pozłacane filiżanki i stos ułożonych grzanek.

IV.

Dnia 28. października w domu jegomości Naglickiego panował ruch niezwykły. Już od rana znoszono różnego rodzaju mięsiwo, który wynajęty kucharz przyrządzał i przyprawiał na rozmaite sposoby, praktykanci z cukierni p. K. znosili torty i ciasta, a

pomimo iż jegomość miał nie źle zaopatrzoną piwniczkę, słudzy z handlu p. M. dostawiali koszami szlachetniejsze rodzaje wina, w których się mieścił dobry humor zaproszonych na wieczór gości.—

Był to dzień imienin ojca i syna, które jegomość zwykle hucznie i wystawnie obchodził.

Jegomość już od rana był czynnym; odbierał powinszowania, rozsyłał zaproszenia na biesiadę wieczorną; z pomocą Jadwisi kazał ustawiać i przestawiać na przyjęcie gości sprzęty w pokojach, układał plan nakrycia i porządku, w jakim się uczta miała odbywać, a zważywszy, że każda prawie czynność musiała się odbyć po kilka razy, przyznać trzeba, iż i jegomość i słudzy mieli nie mało w tym dniu roboty. Jadwisia bowiem nie chcąc ojca teroryzować, zostawiła mu do woli w tym dniu komendę w sprawach wewnętrznych domu, i wtedy tylko zabierała głos decydujący, jeżeli ojciec po kilku próbach przesuwania i wykręcania sprzętów w różne strony, nie był jeszcze zdecydowany.

Panna Filomena dyrygowała kuchnią i nikomu nie pozwoliła się mięszać do swojego oddziału, aby potem zasłużonemi pochwałami nie potrzebowała się dzielić.

Czas przy gorliwej pracy ulatuje szybko — to też i w domu jegomości, każdy ze swej strony narzekał, że nieubłagana wskazówka na zegarze pokazywała już siódmą godzinę wieczorem. O ósmej mają się zejść goście — prawie wyłącznie mężczyźni, a to raz dla tego, iż jegomość wdowcem, a powtóre, iż biesiady odbywają się u jegomości Naglickiego więcej o zakroju politycznym.

Oczekiwana godzina ósma nadeszła. Dwa pokoje przez jegomoście zajmowane, urządzone zostały do przyjmowania gości, których w pierwszym pokoju przyjmowali ojciec wraz z synem — w drugim, obszernym pokoju były ustawione na stołach butelki z wykwintnemi etykietami, na których były napisy: „koniak" — „starka" — „pomarańczowa" — „Gazeta Narodowa" — „Dziennik Polski" — „Szczutek" — „Antisemitka" z dodatkiem „wytrawna;" — obok, na

półmiszkach stosy nałożonych zimnych przekąsek mięsnych i pieczywa różnego rodzaju. —

Ojciec i syn nie dawali próżnować nikomu i wszelakie wymówki tu nie skutkowały. Jegomość bowiem powtarzał:

— Kto nie je i nie pije, panie tego, ten mnie nie kocha.

Jegomość znany był z tego, że jeżeli gościł kogo, to już z całą serdecznością.

Wnet też ugrupowały się kółka i kółeczka, i kosztując to z tej, to z owej flaszki, rozmawiano na temat ich etykiet.

Niektórzy nowicjusze sądzili, że na tym już traktamencie się zakończy — gdy w tem otwierają się niespodzianie podwoje, prowadzące do salonu, który był zamieniony na dzisiaj w salę biesiadną, gdzie gości oczekiwały panna Filomena z Jadwisią.

Pierwszy pospieszył przywitać się z nimi pan notarjusz Nowatorski, kawaler, który cierpiał coś do Jadwisi, i jako przyjaciel domu, był jakby u siebie, za nim weszli dwaj dziennikarze z przeciwnych obozów, pp. Dowodowicz i Rezonowicz, dobrzy przyjaciele gospodarza; za tymi wtoczył się otyły pan sędzia, Burczymucha, a za nim reszta gości podążyła, zapełniając salę. —

Stoły były ustawione w podkowę i przystrojone bukietami, pomiędzy którymi piętrzyły się, niby piramidy egipskie, butelki, przejrzystem winem iskrzące.

Do stołu zasiadło około 30 osób, a pana Burczymuchę, jako najstarszego wiekiem, usadzono na pierwszym miejscu; źle mówię, nietylko dlatego, że był wiekiem najstarszy, ale, że cieszył się ogólną sympatją — mówiono o nim, że gdy mu przydzielono przeprowadzenie śledztwa z jakim politycznym przestępcą, to jakoś tak zawsze pokierował sprawą, że ten albo z małym szwankiem, a najczęściej wolno wychodził. Nie posiadał też pan Burczymucha ani orderów, ani nie dosłużył się tytułów, ale za to zdobył sobie uznanie i szacunek u uczciwego ogółu.

Ojciec i syn zajęli szare końce.

Po pierwszem zaraz daniu rozpoczął toasty p. Feliksiński, cieszący się przydomkiem „mowiec ludowy“ na cześć zacnego gospodarza; pan Nowatorski

wypił na zdrowie Tadeusza, syna gospodarza. Po długiem daniu wychylono na zdrowie dostojnych gospodyń, pp. Burczymuchy, Dowodowicza, Rezonowicza i Feliksińskiego; po trzeciej potrawie kontynuowano zdrowie dalsze bliżej znajomych, a nareszcie wzięto się do idei, które urzczywistnićby należało. Chłoszczono stronnictwa, opinję publiczną; rozbierano sprawy ekonomiczne, aż wreszcie dysputa stoczyła się na sprawę żydowską.

— Popatrzcie panowie — ozwał się pan Bączkowski, tokarz z zawodu, pozujący na astronoma — że te komety, jakkolwiek dzisiaj do nich nie przywiązują już takiego proroctwa, jak to dawniej bywało, sprowadziły przecież — chociaż nie wojnę w całem tego słowa znaczeniu — ale panie dobrodzieju — zawsze katastrofę żydowską.

Siedzący naprzeciw niego profesorowie S. i Z., słuchając niby z całą uwagą spostrzeżeń p. Bączkowskiego, trącili się łokciami i uśmiechając się, potakiwali mu kiwnięciem głowy. Jegomość Naglicki zaś przyłożył aż rękę do ucha, by lepiej słyszeć pana Bączkowskiego.

— I popatrzcie panowie, bo to ja panom wyjaśnię. W Berlinie, oto, panie dobrodzieju — wytworzyła się mgła, ciężarna pierwiastkami antisemickiemi, która uniósłszy się i zetknąwszy z gazami grabieży i zniszczenia rosyjskiego tałałajstwa, zrodziła tam burzę, a burzę nie lada — wiemy o niej wszyscy — z chmur zaś grożnych oderwany kawałek, przerzuciły nieprzyjaźne wichry aż do Preszburga. W dodatku, panie dobrodzieju, muszę tu jeszcze panom objaśnić, iż horyzont jeszcze nie zupełnie jasny, i z małych chmurek może spaść deszcz jeszcze wielki — i zakończając swoje przemówienie p. Bączkowski, przyłożył palec wskazujący do czoła.

— Brawo! panie Bączkowski! brawo! — śmiejąc się pochwalali profesorowie.

— Proszę o głos! panie tego — proszę o głos! — zawołał, zrywając się z miejsca zaperzony jegomość Naglicki.

Powstała cisza, wszystkich oczy zwróciły się na gospodarza, a świecąc ogniem sympatji, dodawały mu

otuchy; to też jegomość odkrząknąwszy mówił w te słowa:

— Szanowni i kochani moi panowie! Poruszono tu sprawę żywotną, sprawę żydowską, a jest ona dzisiaj na porządku dziennym; wartałoby zastanowić się nad nią, — i, panie, — żeby tamę położyć, żeby usunąć, żeby wykorzenić złe, które grozi, panie, zupełną ruiną naszemu gospodarstwu, naszemu przemysłowi i rękodzielnictwu, trzeba nam pomyśleć nad środkami, prowadzącymi do tego celu. Ja, panie, powiadam tylko tyle, że to plemię niedobre, i jabym ich wszystkich panie — i podniósł rękę koło szyi, kończąc jak zwykle tym ruchem przemówienie swoje w tej materji.

Po przemówieniu gospodarza powstały gwar, wesołość, brawa; wszystkich obecnych twarze, czy to podzielających wypowiedziane przekonania jegomości, lub im przeciwnych, były uśmiechnięte, wesołe; na jednej tylko twarzy malowało się niezadowolenie i niechęć, Tadeusz wolałby był słów ojca nie słyszeć. Pozostawić je bez odpowiedzi, znaczyłoby godzić się na nie, czego pod żadnym warunkiem byłby nie uczynił, występować zaś przeciw ojcu, przychodziło mu z przykrością. Ambicja jednak, a więcej jeszcze miłość Heleny i poczucie sprawiedliwości przemogło, zadecydował więc zabrać głos w tej sprawie, — w tem jednak przewodniczący biesiadzie oświadcza:

— Pan Feliksiński ma głos.

— Szanowni panowie obywatele! — przemówił donośnym głosem i właściwym sobie akcentem p. Feliksiński — żydzi dają się i nam tutaj djablo we znaki — wszystko już zagarnęli w swoje ręce: handel, rękodzielnictwo, przemysł nasz, konkurencji z nimi wytrzymać nie może; lichwę pomimo ustawy prowadzą w najlepsze! Ale kto temu winien?! Oto my, moi panowie! my chrześcijanie! którzy sami w tem wszystkiem ich popieramy! Wszyscy, moi panowie, wiemy, że u żyda gorszy towar i robota, a mimo to idziemy do niego, bo u niego o parę centów taniej.

Żydzi, moi panowie, uważając się między nami za obcych, znają nas lepiej, jak my sami siebie znamy i atakując nasze słabe strony, zwyciężają nas; myśmy

też powinni, moi panowie, także wszystko co od nich pochodzi, nieprzyjmować; i tak ich towary, jak ich roboty, ich sympatje i przyjaźnie odtrącać i odrzucać od siebie, bo oni to robią wszystko z wyrachowaniem, aby nas do szczętu wyzyskać i zgubić! Precz więc z żydami! —

Podniósł się pan Rezonowicz z miejsca i prawie wpadając w słowo, odpowiedział p. Feliksińskiemu:

— Nam Polakom nie są do twarzy takie hasła. Polacy, nasi przodkowie, przyjęli żydów gościnnie, a my odrodnymi być nie możemy, wyrzucając ich z tej gościny. Jeżeli są nam niewygodnymi, to da się to naprawić, a gdyby i na drodze prawodawczej. A przecież, do licha, nie pozjadamy się wzajemnie! Wyrozumiałości i cierpliwości, panowie, a żydzi w własnym interesie stać się muszą dobrymi współobywatelami i patrjotami. Przekonania te — kończył pan Rezonowicz, zwróciwszy się do pana Dowodowicza — podziela zapewne i starszy w zawodzie kolega.

Pan Dowodowicz, pokręciwszy parę razy brodę, wstał powoli z miejsca i zabrał głos:

— Kwestja żydowska, panowie, nie od dzisiaj dopiero jest ważną. Zastanawiano się nad nią już wtedy, kiedy nadawano żydom równouprawnienie. Pisaliśmy wtedy popierając ich, ponieważ wychodziliśmy z zasady, że wolność w państwie konstytucyjnie rządzonem, powinna być udziałem wszystkich obywateli. Byliśmy przekonani, że wspaniałomyślnością przyciągniemy ich do siebie; jednakże wiadomą jest dziś rzeczą, że żydzi trzymają zawsze ze siłą, upatrując i wyciągając z tego stanowiska korzyści dla siebie, jakkolwiek i w przeciwnych obozach wysuwają swoich reprezentantów, niechcąc żadnej pozycji pozostawiać, nie obsadziwszy jej swoimi wedetami. —

Ruch antiżydowski, w Europie ostatniemi czasy powstały, ożywił tę kwestję; to też i u nas podnoszono głosy w prasie i w ciałach prawodawczych. Siła jednakże ze swej strony, z niechęcią przykłada rękę do tej sprawy, a to z powodów łatwo zrozumiałych. Łatwiej bowiem jest, staczać walkę z pojedyńczemi i żyjącemi w rozterce ze sobą grupami, aniżeli ze zbitą i jednolitą masą. Złe więc, które nasze społe-

czeństwo toczy, nie wzrosło ani z przyczyny żydów, ani też z przyczyny chrześćjan, ale jest płodem zabiegów interesowanych trzecich, że wspomnę tu tylko o dążnościach germanizacyjnych...

Należy nam więc na przyszłość obrać taktykę, opartą na wzajemnych interesach żywotnych, dążącą do jednoczenia rozprószonych dzisiaj sił, i wytworzenia w społeczeństwie naszem zastępu jednolitego, na podstawie ustaw sprawiedliwych, zatrzymując hasło: „równi z równymi — wolni z wolnymi!“—

Oklaski ze wszystkich stron towarzyszyły zakończeniu przemowy p. Dowodowicza. Napełniono wypróżnione kielichy i gwar się znowu podnosił, gdy p. Burczymucha zazdwonił pierścieniem w kieliszek i uciszył wrzawę, udzielając głosu Tadeuszowi.

— Pozwólcie panowie — mówił Tadeusz, że kilka tylko słów jeszcze dorzucę do zdań szanownych poprzedników moich, którzy sprawę żydowską traktowali więcej ze stanowiska politycznego.

Zupełnie słusznie podniósł tu p. Feliksiński, iż handel, rzemieślnictwo i przemysł nasz z konkurencją przez żydów kolportowaną w zawody iść nie może, i to właśnie jest najdotkliwszem dla naszego społeczeństwa. Bądźmyż jednakże sprawiedliwymi i przypatrzmy się w rzeczy bliżej.

Prawdą jest, że żydzi u nas przeważnie zajmują się handlem i przemysłem, rękodzielnictwu zaś mało się oddają; handel zbożem, surowemi materjałami, końmi i bydłem, przeważnie w ich rękach spoczywa; dostawy dla rządu i jego instytucyj, jak również dla większych konsumentów oni obejmują; przedsiębiorstwa znaczniejsze oni także w swych rękach dzierżą, a sprowadzając w masach fabryczne towary zagraniczne, sprzedają je po niższych cenach, aniżeli może takowe podać tutejszy pojedyńczy rzemieślnik; to wszystko prawda. Ale zapytuję panów: czy tu w tem wszystkiem główną rolę odgrywa w y z n a n i e? Tego przecież nikt twierdzić nie będzie!.— Tu jest więc podstawą i głównym motorem ruchu całego kapitał, oni umią z kapitałem praktycznie postępować, dowody czego oczom naszym prawie codziennie się przedstawiają. Wiadomą przecież powszechnie prawdą jest, iż

wielki kapitał pochłania mały; dla czegóż w obec tego faktu stoimy z założonymi rękami, czekając chyba na jakieś zamiłowanie boskie, lub cuda! Dla czegóż nie bierzemy inicjatywy i nie wspieramy myśli zawiązywania spółek rękodzielniczych i innych przemysłowych i handlowych? a istniejące zamiast popierać z całą energią, opuszczamy je i niedowierzaniem popychamy do upadku? dla czegóż kapitały nasze lokujemy tylko w gwarantowanych niby akcjach i przeróżnych listach zastawnych, zamiast bodaj część z nich przeznaczyć na fruktyfikacyjne przedsiębiorstwa?!

Otóż, panowie, przyczyny biedy naszej ogólnej nie szukajmy w pewnem wyznaniu, i nie zwalajmy na nie wyłącznej winy, ale szukajmy jej, i znajdziemy w naszej własnej opieszałości, a także i w wadliwym ustroju społecznym, do którego naprawy z całem zaparciem i bezwzględnością zabrać się powinniśmy! —

I tu posypały się rzęsiste oklaski, a p. Bączkowski przekonany, wykrzyknął:

— Przypatrzcie się! Jak Boga kocham, prawdę mówi! panie dobrodzieju!

— Tadziu! niech cię uściskam! — wołał pan Nowatorski, biegnąc do Tadeusza, — w zupełności aprobuję twoje przekonania!

— Próżnować się nie godzi przy pracy około dobra ogólnego — ozwał się statecznie p. Burczymucha. Jednakże osiągnięcie tego dobra w zupełności, dużo jeszcze będzie kosztowało wysileń. Pocieszać się atoli należy, że ludzkość urządzi się ostatecznie tak, jak to uzna za najlepsze, bo postęp nigdy się nie cofa...

Napełniono kielichy, rozmowa w towarzystwie się ożywiła i z kolei zeszła na teatr, którego sprawa była także na porządku dziennym.

Biesiada przeciągnęła się późno w wieczór, jeszcze bowiem o 12 godzinie w nocy biło światło z okien i dolatywały głośne rozmowy z salonu jegomości.

V.

Po imieninach upłynęło już parę tygodni, kiedy Tadeusz szerokiemi krokami mierzył zajmowane przez siebie pokoje. Zatrzymywał się czasami, marszczył szerokie swe czoło, zesuwając brwi bujne, twarz jego o szlachetnych, męzkich rysach, skrzywiała się kurczowo; to muskał i zakręcał swój wąsik jasny — to ręce wsuwał w kieszenie, i znowu krocząc, stąpał silniej, a oczy jego siwe, nie obejmując otaczających go przedmiotów, wyrażały wewnętrzną walkę, którą staczał ze sobą.

Uczyniwszy krok stanowczy, oświadczając się Helenie i przekonany o jej wzajemności, obmyśliwał środki i drogi, któremi mógłby w najkrótszym czasie zamiar swój doprowadzić do skutku. Był już wprawdzie pełnoletnim, jednakże zamierzając uczynić tak ważny krok w życiu, chciał go uczynić w porozumieniu z wolą ojca. Był przekonany, że trafi na opór, znając uprzedzenie ojca do żydów.

Plan walki był już prawie ułożony, a za dowódcę wybrano Jadwisię, u której właśnie znajdowała się także Helena, oczekując wyniku ataku, który Tadeusz zamierza przypuścić do ojca; do szturmu przewidywanego miała nadciągnąć później Jadwisia ze swojemi siłami.

Stanął Tadeusz w końcu przed lustrem, poprawił fryzurę nałożył kapelusz i wyszedł. —

VI.

Jegomość zwykle po obiedzie w swoim pokoju „przewracał w gazetach,“ t. j. czytywał co nieco, szczególnie zaś lubował się w ustępach, rozbierających sprawę żydowską.

Odczytywał sobie właśnie na głos rezolucję, uchwaloną przez sejm do rządu o zbadanie talmudu, gdy we drzwiach ukazał się Tadeusz.

— Chodźno! chodź prędko Tadeuszu, coś bardzo ciekawego ci pokażę! — a wpychając mu w ręce gazetę i wskazując palcem ustęp dotyczący zawołał:

— Przecież raz zbadamy to czarne źródło, z którego wszystko złe pochodzi!

Tadeusz przeczytawszy wskazany ustęp, położył gazetę na stole i powitał ojca.

— A co?! panie tego — A co?! — Dobrze się biorą do rzeczy?

— Czy ojciec sądzisz, że mając talmud żydowski przetłumaczony, ludzkość już będzie szczęśliwą?

— Jakto?! To ty chyba nie wiesz, że właśnie talmud poucza żydów szachrajstwa, popycha do różnych przestępstw i zbrodni nawet?!

— Wyznania — odparł Tadeusz, jakiekolwiekby one były, winne być i są poniekąd tolerowane; z mojej strony uważam wszelkie rytuały religijne za rzecz dotyczącą strony tylko duchowej; oceniać je, potępiać, lub podnosić, — tę zabawkę pozostawiam tym, którzy w tej robocie znajdują zamiłowanie. Muszę jednak kochanemu ojcu przypomnieć, że czytaliśmy w dziennikach także zarzut, czyniony i pewnemu rzymsko-katolickiemu zakonowi, iż przyjął zasadę: „Cel uświęca środki.“ Co zaś do przewinień, przestępstw i zbrodni, to przecież każdy obywatel kraju, bez różnicy wyznania, podlega równym przepisom prasowym i kodeksom karnym...

— Ba, ba, ba... gadaj sobie co chcesz, ja zawsze przy swojem zostanę. Ty Tadeuszu, nie znasz ich jeszcze, bo nie miałeś z nimi do czynienia. O! to plemię niedobre, panie tego. Podajno mi jeszcze gazetę, ustępu tego muszę się na pamięć nauczyć.

— Pozwolisz, kochany ojcze — rzekł Tadeusz, podając gazetę, że ci na chwilę przeszkodzę; chcę bowiem pomówić o ważnej rzeczy, która stanowić będzie o mojej przyszłości.

— Słucham cię, słucham Tadeuszu — odrzekł ojciec, przysuwając fotel bliżej do niego.

— Mam od dłuższego czasu pewną znajomość...

— Aha! domyślam się, domyślam, filucie — wpadł w słowo ojciec, ośmielając syna do zwierzeń —

zapewne z jakąś panienką młodą, przystojną, a może w dodatku i bogatą?

— Rzeczywiście z młodą i piękną, ale zdaje mi się, że nie bogatą — odpowiedział Tadeusz rumieniąc się.

— To zapewne rodem imponuje?

— Przeciwnie, kochany ojcze, pochodzi ona z rodu, który wcale nie imponuje.

— Chciej się jaśniej wyrazić, panie tego — mówił jegomość głaszcząc się po czuprynie, bo jeśli jest młodą, przystojną a biedną, to juścić to ostatnie może zastąpić rodem, czyli chcę powiedzieć, wykształceniem — bo, przecież chłopka nie na żonę dla ciebie?....

— Powiadam otwarcie ojcze, że posiada nie tylko wykształcenie, ale wszystkie cnoty, jakie serce dziewicze zdobić mogą.

— No to, panie tego.... jeżeli ci jest wzajemną, nie stoi nic na przeszkodzie, i panie raz, dwa, róbmy, nim adwent zajdzie, weselisko. Ja, panie, niemam nic przeciw temu, jeżeli tylko ty Tadeuszu, upatrujesz w tem szczęście swoje — całując syna w czoło, mówił rozczulony jegomość.

— Tak ojcze drogi — mówił w zapale Tadeusz, tylko z nią będę szczęśliwy, i gdy ją poznasz, drogi ojcze, nie będziesz do niej żywił żadnych uprzedzeń...

— O jakich uprzedzeniach mówisz Tadeuszu? — zapytał zdziwiony jegomość.

— Co do wyznania jej....

— Alboż jest innego jak my wyznania? — zapytał z niepokojem jegomość, dodając po chwili: — ormianka, rusinka, czy nareszcie protestantka?....

Tadeusz czując, iż wypowiedzeniem prawdy sprawi ojcu przykrość i wprawi go w zły humor, zawahał się na chwilę; wspomnienie Heleny jednakże sprowadziło słowa w usta, które wypowiedział z uroczystą powagą:

— Ojcze drogi, dziewczę, które ukochałem całą duszą i które równem uczuciem dla mnie jest przejęte, jest.... izraelitką....

— Co? co? ży — żydówką?! — wyjęknął je-

gomość, ująwszy się obiema rękami za głowę. Żydówką! — jęknął po raz wtóry, rzucając się na fotel.

— Ojcze mój, wszak pragniesz szczęścia mojego — ująwszy ojca za rękę tłumaczył Tadeusz, czyż taka drobna rzecz jak uprzedzenie, ma mi wyrwać je i zniszczyć?

— Nienawidzę to plemię, nienawidzę! — wołał w rozpaczy jegomość. Synową moją żydówka! Nie! nigdy! to być nie może! A cóżby świat na to powiedział?!

— Czyż świat ma decydować o mojem szczęściu? — wypowiedział z goryczą Tadeusz.

— Zostaw mię samego! zostaw mię bodaj na chwilę! — wołał jegomość, zakrywając sobie twarz rękami.

— Odchodząc ojcze, winienem jeszcze i to wypowiedzieć, że jestem związany słowem — mówił Tadeusz żegnając ojca, a gdybym miał utracić honor, to wolałbym wprzód postradać życie...

Tadeusz się oddalił, a jegomość opuściwszy ręce na poręcze fotelu, mimowolnie kiwał głową, patrząc przed siebie wzrokiem osłupiałym, nie mogąc wstrząśniętych myśli pozbierać.

Jadwisia niecierpliwie wyczekując skutku wyprawy Tadeusza, wybiegła na ganek. Tu dolatywały ją rozpaczliwe wykrzykniki ojca, domyślała się więc sukcesu niepomyślnego, co też wychodzący w rozdrażnieniu od ojca Tadeusz potwierdził. Postanowiła więc walki ze swej strony nie zwlekać i przypuścić szturm do ojcowskiego serca, które posiadała prawie zupełnie. Upewniwszy Tadeusza, iż go o zwycięztwie uwiadomi, pospieszyła na plac boju.

Przed drzwiami, prowadzącemi do mieszkania jegomości, zatrzymała się, a zrobiwszy krzyż na piersiach, śmiało otworzyła je i przybiegła do ojca, który jeszcze siedząc w fotelu nie zmienił pozycji.

— Co tobie, drogi ojczulku — mówiła pieszczotliwie, całując go po rękach i w głowę, — wyglądasz zmartwiony, czy masz jaką zgryzotę?

Na głos Jadwisi jegomość od razu przyszedł do siebie.

— Tak.... to jest, właściwie, nie.... Et, panie —

to przeminie — wykręcał się jegomość od prawdy, nie chcąc zasmucać swego najukochańszego dziecięcia.

— Ale jesteś smutny ojczulku — nalegała z troskliwością Jadwisia.

— Nie.... nie..., troszkę, ale nie zupełnie, to się da naprawić, — całując w czoło Jadwisię i przymuszając się do uśmiechu, odpowiadał jegomość.

— Ja nie lubię widzieć ciebie, drogi ojczulku, smutnym. Siedzisz sam tutaj, oddajesz się myślom przykrym, chodź raczej do salonu, zaprezentuję ci moją przyjaciółkę, zagramy, zaśpiewamy przy fortepianie, i pozbędziesz się myśli niedobrych — szczebiotała Jadwisia.

— Czy jest tu może Ludwisia, czy Malcia? — zapytał jegomość, a wzrok jego zaczął się ożywiać.

— Ach nie, ojczulku, tej panienki jeszcze nie znasz; jest to moja najlepsza przyjaciółka z konwiktu — Helusia.

— I dotąd nie mówiłaś mi o niej?

— Ponieważ obawiałam się — odpowiedziała smutno, zwiesiwszy główkę na piersi.

— Moje dziecię kochane, czegóż to obawiałaś się? zapytał, czule całując Jadwisię w główkę, wszakże nigdy nie wzbraniałem ci przyjmować swoich przyjaciółek.

— Obawiałam się, że się będziesz gniewać, ojczulku, jeżeli Helenę tu wprowadzę.

— A to z powodu?

— Bo, bo . . . — jąkała sie Jadwisia zakłopotana.

— Bo, bo . . . — powtórzył jegomość żartobliwie.

— Bo . . . Helusia jest . . . jest . . . izraelitką — wyszeptała Jadwisia.

Jegomość odskoczył na kilka kroków, pochwycił oburącz za głowę i ryczał straszliwym głosem:

— Bożnica z domu mojego! Bożnica! A to kara Boża! Nieszczęście! Co się tu dzieje! co się tu dzieje!

Jadwisia nigdy jeszcze nie widziała ojca w takiem uniesieniu; przerażona, drżała na całem ciele; nogi się pod nią zachwiały, i padła na kolana, a zło

żywszy ręce jak do modlitwy, blada, przestraszona, błagała ojca o przebaczenie.

Jegomość, widząc swoją pieszczotkę klęczącą przed sobą i zmięszaną, czuł jak mu się serce ścisnęło, a z rozjuszonego tygrysa zmieniwszy się w potulne jagnię, podbiegł do Jadwisi, ujął za ręce, podniósł ją, i tuląc jej główkę do swej piersi tłumaczył się:

— Nie, drogie dziecię moje, ja się nie gniewam na ciebie. Ty nic nie winna — to ja, ja sam jestem winien; ależ bo nie przypuszczałem nawet, że w konwiktach mogą się znajdować żydówki. Uspokój się Jadwiniu, uspokój się, ja także o tem zapomnę.

— Tak mię przestraszyłeś ojczulko — mówiła tuląc się do ojca i całując go w rękę Jadwisia, że jeszcze nie mogę przyjść do siebie.

— Chodźmy więc, chodźmy do salonu, to jakiś, panie, dzień feralny; zaproś przyjaciółkę; będziemy grać, śpiewać, i zapomnimy o przykrościach — i ująwszy córkę za rękę, poprowadził do salonu.

Jadwisia, pomimo iż ją to dużo trwogi i łez kosztowało, uradowana w duszy z połowy zwycięztwa pobiegła do przeciwległych drzwi, które do jej pokoju prowadziły, i za chwilkę wprowadziła ze sobą Helenę, przedstawiając ją ojcu:

— Helena Blumenzweig, córka kupca tutejszego, jak ci już ojczulku mówiłam, najlepsza przyjaciółka z konwiktu, zawsześmy się kochały i kochamy szczerze.

— Ty wiesz najlepiej — odpowiedziała Helena, oddawszy zgrabny i poważny ukłon jegomości.

— Bardzo się cieszę — rzeczywiście się cieszę, — oddając ukłon, rzekł poczerwieniały aż po uszy jegomość, że moja Jadwisia znalazła w pani tak ładną — panie tego, chciałem powiedzieć, szczerą przyjaciółkę.

— Byłyśmy zawsze dla siebie siostrami — odrzekła Helena, spocząwszy płomiennemi swemi oczami na jegomości...

Jadwisia spostrzegłszy jakieś pomieszanie ojca, ujęła Helenę pod rękę mówiąc:

— Przedewszystkiem muszę ci Helusiu sprezentować rysunek mój, który ojczulkowi na imieniny wypracowałam — i podprowadziła ją do obrazu.

Jegomość pozostał na miejscu jak wryty, a śledząc każdy ruch, każdy krok Heleny, mówił do siebie:

— Ta sama, panie, ta sama — przysiągłbym że to ona. Jadwisia mówi, że ona żydówką, a ja widziałem ją przecież wychodzącą z naszego kościoła. Pamiętam ją dobrze; przechodząc wtedy koło mnie, śliczne swoje oczęta utkwiła we mnie, jak gdyby poznając kogoś znajomego. Tak, to ona sama, te same śliczne, długie, bujne warkocze, ta sama utoczona kibić. O, długo jej zapomnieć nie mogłem. Teraz, mam ją tu przed sobą, u siebie. Czy to może jakie przeznaczenie?...

Jegomość rozmawiając w ten sposób ze sobą, wzroku z Heleny nie spuszczał i przysuwał się do dziewcząt, które obrazy oglądały po kolei i właśnie przystanęły przed portretami.

— To portret mojej mamy — powiedziała wskazując Jadwisia.

— Gdybyś była troszkę starszą, powiedziałabym, że to twój własny.

— A to mojego ojczulka, kiedy był jeszcze młodszym. Jak ci się podoba? zupełnie podobny do braciszka.

— Usta tego nie mówią, co należy do serca, Jadwiniu — odpowiedziała zarumieniona Helena, a spostrzegłszy się, że na tem miejscu powiedziała za dużo, powiodła wzrokiem do koła i — spotkała się ze wzruszonym wzrokiem jegomości.

Jegomość dosłyszał słów wyrzeczonych przez Helenę, które całą jego istotą wstrząsły, i zrozumiał je tak, że Helena odpowiadając Jadwisi, właściwie do niego mówiła, a odwracając się, że wzrokiem czyniła go na to uważnym. Jegomość w ten sposób utwierdziwszy się o sympatji Heleny dla siebie, uwielbiał ją w duszy i tłumaczył przed sobą, że chociażby była żydówką — ale żydówką, która uczęszcza do kościoła, mówi poprawnie polskim językiem ojczystym; jest ładną i wykształconą. . . .

— Że mnie kocha — mówił dalej do siebie jegomość, nie podlega wątpliwości, okazywała to przy każdem spotkaniu się ze mną, tylko ja, ja tego nie rozumiałem. Nie mogąc się doczekać mojej odwagi,

sama złotko szuka sposobności zbliżenia się do mnie. O, aniele mój, ukrócę twe cierpienia, dzisiaj jeszcze zakończę sprawę. —

I byłby jegomość może w tej chwili rzucił się na kolana przed Heleną, gdyby go nie powstrzymywała od tego obecność Jadwigi, taką miłością roznamiętniał do Heleny i wmówił w siebie jej wzajemność.

Jadwisia podprowadziła Helenę do fortepianu prosząc ją by grała. Helena wymawiała się od tego, a gdy i jegomość do prośby się przyczynił, stanęło na tem, że pierwsze zagrają obie na cztery ręce.

Usiadły więc i wprawnemi rękami przebiegając po klawiszach, zmuszały piękny instrument do wydawania tonów i akordów wskazanych przez autora kompozycji, które siedzącego obok i wpatrującego się w Helenę jegomościę w zachwyt i uwielbienie dla niej wprawiały. To też gdy grę skończyły, unosił się i nie szczędził pochwał Helenie wymuszając na niej zagranie ulubionej przezeń pieśni hiszpańskiej „Mandolinato“.

Usiadł na kanapie i przy melodyjnych tonach przesuwał w myśli obrazy szczęścia swojego z Heleną, marzył o pełnej słodyczy przyszłości, od której go zaledwie jeden śmiały krok dzieli.

Powziął widać jakiś zamiar, na co wskazywało zachowanie się jego, zwykłe w takich razach; powstał bowiem z kanapy; opuściwszy głowę a podkręcając wąsy, przechodził się po pokoju, przystając niekiedy i pożerając oczami uroczą Helenę. . . . .

Gdy skończyła, zbliżył się do niej, drobną jej rączkę uścisnął, dorzucając kilka wyrazów pochlebnych, które były powodem, iż Helena pokraśniała i tłumaczyła się w zakłopotaniu:

— Nie zasłużyłam sobie na tyle łaskawych względów. . . . .

— Jeżeli grą Helusi jesteś ojczulku zachwycony, to cóż powiesz dopiero, gdy głos jej usłyszysz? — wtrąciła Jadwisia pieszcząc się z Heleną.

— A czego nam panna Helena, panie tego.... z łaski swojej może nie odmówi — dodał jegomość, siląc się na zgrabny ukłon.

— Nie odmówi! nie odmówi — zapewniała Jadwisia, i w dodatku zaśpiewa nam „Modlitwę więźnia," mało komu znaną, napisaną przez niezapomnianej pamięci (męczennika polskiego), Juliusza Guslara.

Przyparta prośbami Jadwisi i jegomości, Helena usiadła przy fortepianie, i po kilku harmonijnych akordach rozległ się w salonie jej dźwięczny i melodyjny głos, a przejmując się słowami autora, promieniała zachwytem i zapałem. Śpiewała:

Czyś opuścił nas już, Boże? —
Z polskich łez się rzeki lały;
Ze krwi polskiej stanie morze;
Z męki polskiej czyściec cały.
My całujem miecz Twój krwawy,
Chcemy cierpieć drugie tyle,
Tylko Boże, bądź łaskawy,
Na Twój naród spojrzyj mile!
 Wszak ten naród życie dawał
 Dla imienia Twego, Panie!
 I w obronie ludów stawał,
 I czcił Twoje przykazanie.
 Ale także je przekraczał —
 Za to już wiek pokutuje!
 Że z Twej świętej drogi zbaczał,
 Szczerze i mocno żałuje.
Jak okropne nasze blizny!
Tyś nas Boże! na świat stworzył,
Tyś nam miłość dał Ojczyzny,
A Ojczyznęś upokorzył!
Ojcze! patrz na twe ofiary,
Na tę ziemię z Polakami —
My nie tracim jeszcze wiary,
Patrz! — i zmiłuj się nad nami! —
 Wszak my nie pragniemy cudu,
 Tylko byś się dał przebłagać,
 Nie dał mamić twego ludu,
 I dał nam się w dobrem wzmagać!
 Byś pozwolił nam walecznie
 Ginąć za ojczyznę świętą;
 Wolnej Polsce potem wiecznie
 Wielbić dobroć niepojętą! —

Jegomość zachwycony porywającym głosem Heleny i odurzony olśniewającą pięknością brunety — zdawało się nie wiedział o sobie; drżał na całem ciele, a gorączka wewnętrzna wypiekała na twarzy rumieńce. Mniemana pewność wzajemności Heleny poiła go urojonem szczęściem, mięszała myśli i popychała do kroku, od którego jako człowiek z usposobienia namiętny i porywczy, cofnąć się nie umiał; to przechodziło jego siły.

Helena skończyła śpiewać i w zamyśleniu, uderzając w akordy, westchnęła; myślała o Tadeuszu, a wiedząc, że jest u siebie, spojrzała mimowolnie na salon, czy go tu nie zobaczy; ale jej oczy spotkały się znowu z pożerającym ją wzrokiem jegomości, który gdyby zelektryzowany, zerwał się z miejsca i przybiegając do dziewcząt zawołał:

— Zachwycony jestem! zachwycony! A powinszować! panie tego. Panno Heleno, i skałę poruszysz swoim pięknym, swoim anielskim głosem. . . . Ależ Jadwisiu — mówił roztargniony, zwracając się do córki, zapominamy się, idź dziecię do cioci, przecież może konfitur, ciast, wina, kawy; każ poznosić co znajdziesz, przyjmijże przyjaciółkę naszą serdeczną, jak na to zasługuje.

Jadwisia, tłumacząc się zapomnieniem, pomimo prośby i wymawiania się Heleny, pobiegła zarządzić przyjęcie, a przedewszystkiem do Tadeusza, aby się z nim podzielić radośną wiadomością o uprzedzającem usposobieniu ojca dla Heleny.

VII.

— Idź Tadziu do salonu — mówiła uradowana Jadwisia, a przekonasz się naocznie. Ojczulko zmienił się do niepoznania, pomimo iż wie o wyznaniu Heleny, jest nią zachwycony.

— Czy mówiłaś Jadwisiu ojcu o moim stosunku do Heleny? — zapytał Tadeusz.

— To już teraz twoja sprawa — odpowiedziała Jadwisia, twierdza już rozbrojona i nieprzyjaciel musi kapitulować. Ja teraz biegnę po konfitury i ciasta,

— Dziękuję ci, waleczny żołnierzu! —mówiąc Tadeusz ucałował siostrę, sam udając się wolnym krokiem i w zamyśleniu do salonu.

VIII.

Zaledwie Jadwisia wybiegła, jegomość oszalały namiętnością, zbliżył się do Heleny i ujął za rękę. Dziewczę zmieszało się, nie rozumiejąc tego postępowania.

— Nie obawiaj się mnie, panno Heleno — ozwał się jegomość z uczuciem pełnem szczerości, ja odgadłem serce twoje... Ty kochasz... Czy prawdę mówię?...

— Tak — opuszczając główkę odrzekła Helena, ośmielona otwartością ojca, w przekonaniu, że mówi o stosunku jej z synem.

— A więc nie myliłem się! — zawołał uszczęśliwiony. O Heleno! nie zawiedziesz się w oczekiwaniu, i będziesz szczęśliwą! Dziś zakończę twoje cierpienia!

— O! ileż wdzięczności winną ci będę, szlachetny panie — odpowiedziała z uczuciem Helena.

— Nie mów o wdzięczności, Heleno! — mówił zapamiętale jegomość, okładając pocałunkami rękę Heleny. Miłość twoja staje mi za wszystko! Ty będziesz moją królową! Wszystko, wszystko ci oddam!

— Co pan czynisz, Boże! — zawołała przerażona Helena, i oglądając się po salonie, jak gdyby szukając wybawcy, spostrzegła Tadeusza, stojącego we drzwiach a przypatrującego się w niemej rozpaczy odbywającej się scenie.

— O! nie wypieraj się miłości, do której przed chwilą przyznałaś się! — błagał jegomość, padając na kolana przed Heleną, — oddaj mi rękę twoją a uszczęśliwisz mnie!

Przerażone dziewczę dreszcz oburzenia przeniknął, — już, już miała odepchnąć od siebie natręta, gdy w tem myśl jakaś błyskawicą przebiegła jej mózg; uspokoiła się i przybrała stateczną powagę.

— Jeżeli więc jestem zmuszoną prawdę wypo-

wiedzieć — mówiła z naciskiem, patrząc na Tadeusza, to daję moją rękę i zapewniam, iż serce moje należy już do Tadeusza Naglickiego. . . .

Po słowach tych Tadeusz odwracając się, rzucił na Helenę wzrok pogardliwy i usunął się, przez ojca niepostrzeżony. Jegomość powstawszy, ujętą rękę Heleny, którą napróżno usiłowała uwolnić, pieścił w swoich dłoniach, powtarzając:

— Będziesz szczęśliwą! Będziesz moją królową! Uprzedź, proszę, rodziców o naszem szczęściu, gdyż dzisiaj jeszcze załatwić muszę tę sprawę. —

Jadwisia wszedłszy do salonu, prowadząc za sobą Zosię, obładowaną kredensem, przeszkodziła ojcu w jego miłośnych usiłowaniach. Spostrzegła jakieś pomieszanie na twarzy Helenki; ale widząc ojczulka w nadzwyczaj wesołym humorze, nie domyślała się nawet sceny, którą on przed chwilą odegrał.

— Czy Tadzio nie był tu jeszcze? — zapytała wesoło Helenki.

— Teraz nie był tu wcale — odpowiedział jegomość, był u mnie, lecz jeszcze przed twojem przybyciem; i muszę go zdradzić przed wami, oto, Tadzio zamyśla się żenić. . . .

— A z kim ojczulku?

— Tego mi jeszcze nie wyjawił, ponieważ, panie tego, jakoś nie mogliśmy się porozumieć; byłem cierpiący, czy nie w humorze; teraz jednak rozważywszy rzeczy, nie mam nic przeciw jego wyborowi, nic —, i niech się tam cały świat śmieje! abyśmy tylko byli szczęśliwi, a gdy postąpimy sobie uczciwie, toż niedługo i śmiech jego trwać będzie. —

— Więc zgadzasz się, ojczulku z zamiarem Tadeusza? — zapytała przymilając się ojcu Jadwisia.

— W zupełności panie, w zupełności, możesz mu to nawet zaraz zakomunikować — mówił jegomość, spodziewając się jeszcze chwilkę swobodnie z Heleną przepędzić.

— Jadwiniu droga — wpadła w słowo z niepokojem Helena, za długo tu już bawię; mama będzie o mnie niespokojną, muszę spieszyć do domu.

— Nie będę cię zatrzymywała, ale i nie puszczę prędzej, dopóki nie pokosztujesz przynajmniej moich

gnieciuszków — mówiła ucieszona Jadwisia, pociągając do zastawionego stołu Helenę; jegomość ze swej strony również nie szczędził zachęty.

Chcąc jak najspieszniej uwolnić się z przytłaczającego towarzystwa jegomości, Helena uległa naleganiom, i po krótkiem raczeniu, pożegnała skromnym ukłonem pana domu, a zarazem natrętnego amanta, udając się z Jadwisią do jej pokoju. —

Ciężko przyszło jegomości, rozłączyć się z swoim ideałem. Obecność Jadwisi powstrzymywała go jednak od okazania Helenie swego gorącego uczucia, i musiał poprzestać tylko na westchnieniu i przydługiem uściśnieniu jej ręki.

IX.

— O, jakże szczęśliwą jestem, że cała sprawa nasza z ojczulkiem tak pomyślnie załatwioną została — mówiła Jadwisia ściskając i całując Helenę, która oparłszy rękę o stół stała rozrzewniona i smutna.

— Cóż to, ty się nie cieszysz z tego, Helusiu? pytała zdziwiona.

— Ach, ty nic nie wiesz Jadwisiu, co przebyłam z ojcem twoim — z żalem mówiła Helena. Pozwól, niech pozbieram myśli, a opowiem ci co zaszło; potem osądzisz sama, czy mogę się cieszyć. . . . .

Usiadły, zbliżyły krzesełka, i Helena opowiedziała Jadwisi o oświadczeniu się ojca o jej rękę, o zachowaniu się Tadeusza i wskutek tego pochodzących jej cierpieniach.

— On mnie może posądzi, żem wiarołomna! — wyszeptała z boleścią Helena, i łzy obfite spłynęły po jej rozpalonych licach.

— Uspokój się Helusiu, on cię zrozumie, gdy się dowie o wszystkiem — pocieszała Jadwisia, tuląc jej główkę do piersi. Przywołam natychmiast Tadzia, to tylko nieporozumienie, rzecz się wyjaśni — i mówiąc to, wybiegła z pokoju.

Helena oparłszy głowę o dłoń, zamyśliła się głęboko, zmysły jej pracowały widać z podwójną chyżością, bo czoło jej kurczyło się co chwila i wypo-

gadzało, aż wreszcie lekki uśmiech zaigrał na jej zbolałej twarzy. Dzieje się to bowiem nieraz, że zbolałe serce, którego jeszcze zwątpienie nie ogarnęło, w najcięższej chwili wierząc w zwycięztwo uczciwej swojej sprawy, zadrży spodziewanym tryumfem. To nadzieja. . . . .

Jadwisia powróciła smutna i załamawszy ręce zawołała:

— Cóż teraz począć?! Tadzio, jak mówił mi służący, wyszedł przed chwilą roztargniony i w najgorszym humorze.

— Jadwisiu kochana, jeżeli wódz wątpi, złożyć powinien komendę — rzekła Helena z cierpkim uśmiechem, ściskając ręce Jadwisi; — pozwolisz, że przedłożę ci plan przyszłego działania, który się w myśli mej zrodził, a jeżeli uznasz go za dobry, to należy się pomyśleć, komu powierzyć mamy dowództwo.

Przytuliły się do siebie, i Helena zwierzyła swoje zamiary Jadwisi, lecz tak w sekrecie, że dosłyszeć ich nikt trzeci nie mógł. Musiały się podobać Jadwisi, bo gdy Helena skończyła opowiadanie, wykrzyknęła radośnie:

— Wybornie, Helusiu! Zuchwałość ukarana i zwycięztwo zapewnione! — a po chwilce namysłu dodała:

— Jednakże do spisku nowego jest nam koniecznie potrzebny p. Nowatorski, bo to pierwszy sekretarz ojczulka. Ale to już rzecz moja.

Dziewczęta uściskały się i Helena z nadzieją pospieszyła do domu.

X.

Pan Aron Blumenzweig siedział w fotelu, głowę opuścił na piersi, zwiesiste brwi, zesunięte, przysłaniały mu oczy w głębokich dołach, które jakby nieprzytomne wlepiły się w podłogę, a głębokie westchnienia wyrywały się od czasu do czasu z jego piersi. Ciężki smutek przytłaczał mu serce.

— Jutro już termin — jęknął rozpaczliwie, kredytu mi odmawiają, — podli ludzie — czyhają na moją zgubę. . . . .

Przysunął się z fotelem do biórka, wyjął księgę debitorów i zatopił się w rachunkach, szukając w nich ostatecznego wyjścia. . . . .

Rebeka siedziała na sofce łamiąc ręce i śledząc ruchy rozpaczliwe męża; podzielała widocznie smutek jego, co potwierdzały świecące w jej oczach łzy i wydobywające się z jej piersi ciche, lecz ciężkie westchnienia. Głucha cisza zalegała mieszkanie.

W tej chwili nadbiegła Helena; widząc ojca zajętego księgami, nie przeszkadzała mu, — zbliżyła się do matki, i przywitawszy ją, pociągnęła ze sobą do drugiego pokoju.

Helena nie taiła przed matką stosunku z Tadeuszem, zwierzyła się ona już dawniej przed nią, że go kocha całą duszą i że Tadeusz oświadczył się jej ze wzajemnością. Matka pragnąc szczęścia swego jedynego i ukochanego dziecięcia, godziła się na wszystko, ponieważ odczuwała, że wszelkie przedstawienia nic tu nie pomogą. Sprawę tę trzymały jednakże przed panem Aronem w sekrecie, oczekując, aż wszelkie przeszkody ze strony Tadeusza zostaną usunięte.

Teraz znowu Helena opowiedziała matce całe zajście z jegomością. Rozmawiały długo ze sobą, a w końcu matka uściskała swoją jedynaczkę, mówiąc z goryczą:

— Biedne moje dziecię, ja pojmuję że miłość wasza naturalna i uczciwa, ale rozważ Helenciu, jak straszne zapory, złożone z uprzedzeń i przesądów, stoją jej na drodze. . . . Jeżeli jednakże połączenie wasze jest w przeznaczeniu, to niech się dzieje wola Boża, i tylko, gdy pomyślę jaką walkę staczać będzie trzeba z ojcem twoim, dreszcz mnie przejmuje.

— Chciałżeby ojciec zagradzać mi drogę do szczęścia?

Przekonaną jestem, że cię kocha, moje dziecię, ale być może, iż wzgląd na interesa przeważy jego przekonanie. Jeżeli jednak, jak mówisz, odwrotu już niema, pójdźmy, może nam się uda nawiązać bodaj rozmowę w tym kierunku.

I matka i córka wszedłszy do biura pana Arona, zajęły miejsca na sofce obok siebie.

— I cóż, drogi Aronie — przerwała milczenie Rebeka, czy znalazłeś jakie wyjście?

— Rozpacz! — jęknął znowu Aron, opuszczając rękę na stół — bankructwo!...

Słowa te wywarły na kobietach przygnębiające wrażenie. Okropna przyszłość stanęła przed oczy; w umysłach ich zastąpiła walkę o szczęście — walka o byt... Milczały osłupiałe, oczekując z ust Arona, gdyby strasznego wyroku, orzeczenia o przyszłości...

Trzykrotne stuknięcie do drzwi przerwało ciszę. Spojrzeli po sobie; Helenę dreszcz przebiegł, pobladła... Stuknięcie powtórzyło się.

— Proszę — odpowiedział na nie Aron.

Drzwi rozwarły się gwałtownie, jegomość, a za nim p. Nowatorski, notarjusz, weszli do biura, kłaniający się uprzejmie.

— Wszakże jutro dopiero termin! — krzyknął rozdrażniony Aron, zobaczywszy znanego sobie notarjusza, sądząc iż przychodzi z jakąś egzekucją.

— Nic o tem nie wiem — odpowiedział łagodnie, skłoniwszy się p. Nowatorski, przybyłem tu tylko jako pośrednik pana Naglickiego, którego mam przyjemność przedstawić panu.

Odetchnął pan Aron, a rozsunąwszy krzesła zaprosił przybyłych do zajęcia miejsca, pytając zarazem, czemby mógł służyć...

— Zapewne jesteś pan uprzedzony już o sprawie, z którą do pana przychodzę — mówił p. Naglicki z pewnością siebie, gdyż jak to pan sam wypowiedziałeś, jutro stanowczo zamiar mój pragnę doprowadzić do skutku.

Pan Aron przechylił się na krześle, prawy łokieć sparł na kolanie, a ręką zakrył oczy, by ukryć niepokój, w jaki wprawiły go słowa p. Naglickiego; nazwisko jego znane mu było jako jednego z majętniejszych obywateli, a zarazem jako jednego z najzaciętszych nieprzyjaciół żydów. Myśli mu się plątały, a nie mogąc sobie zdać sprawy z wizyty jego, przypuszczał jednakże, iż w dobrym zamiarze nie przycho-

dzi; postanowił więc być oględnym, i zapytał drżącym głosem, podnosząc głowę:

— W jaki sposób chcesz pan dobrodziej zamiar swój doprowadzić do skutku?...

— Obecny tu p. Naglicki — odpowiedział p. Nowatorski, zaprosił mię, abym w toczącej się właśnie sprawie, był mu pomocnym; w krótkich więc słowach spełniając mój obowiązek, wyłożę państwu rzecz całą, przedewszystkiem jednakże oświadczam, iż sprawa ta przysporzyć panu może, panie Aronie, 10.000 guldenów.

Aron wyprostował się na krześle, ręce założył z niecierpliwością za pas, a oczy jego z chciwości i niepewności mieniły się.

— Mów pan, mów pan, panie notarjuszu — wybełkotał Aron, trzęsąc się na całem ciele.

— Pan Naglicki — mówił p. Nowatorski dalej, wskazując na poczerwieniałego jegomościę — znając od dłuższego czasu tylko z widzenia córkę pańską, pannę Helenę, zajął się nią, t. j. wyraźnie mówiąc, pokochał ją; dziś, korzystając z nadarzonej sposobności, oświadczył się o jej rękę, którą to propozycję córka pańska, panna Helena, przyjęła...

Pan Aron zerwał się z siedzenia, krew uderzyła mu do głowy, a oparłszy zaciśniętą rękę na stole, przeszywając wzrokiem, rzucającym pioruny — żonę i córkę, zaryczał pieniąc się od złości:

— I ja — ja o tem nic nie wiem?!...

— Mówiła mi Helena o całej tej sprawie, powróciwszy do domu — odpowiedziała z determinacją matka, lecz że byłeś zajęty księgami, nie chciałyśmy ci przeszkadzać; gdy tymczasem nadeszli właśnie panowie...

— Pan Naglicki jednakże — ciągnął dalej pan Nowatorski, tytułem odszkodowania za wychowanie i edukację córki, chce złożyć panu natychmiast po podpisaniu przez pana umowy — sumę 10.000 złr. w w. austr.

Wypowiedziana przez p. Nowatorskiego kwota rozbroiła Arona, usiadł napowrót, a oparłszy rękę na stole, położył na niej głowę i zamyślił się, rozbierając swoje położenie.

Pan Nowatorski skorzystał z tego momentu i przysunąwszy się do kobiet, rozmawiał z niemi cicho, aby Aronowi nie przeszkadzać, przyczem znalazł sposobność uwiadomić Helenę, iż odbył już z Jadwisią walną naradę, skutkiem której objął kierunek sprawy, a wiedząc o krytycznem położeniu pana Arona, wierzył w pomyślny skutek.

Jegomość tymczasem wpatrywał się w zamyśloną twarz Arona, która zmieniała się pod wrażeniem myśli co chwila, oczekując od niego wyroku swej przyszłości.

Pan Aron wreszcie westchnął głęboko, a potoczywszy badawczym wzrokiem do koła, odezwał się w te słowa:

— Pozwolicie panowie, że nim dam odpowiedź, zapytam o zdanie w tej mierze żony i głównie interesowanej córki mojej.

— Ojcze mój drogi — rzekła powstając Helena, z mojej strony godzę się z losem, jaki mi Bóg przeznaczył, i oświadczyłam już, iż za zezwoleniem twojem i mamy, panu Tadeuszowi Naglickiemu oddam rękę moją.

— Ja zaś, kochając dziecię moje, pragnę tylko jej szczęścia i twego Aronie — powiedziała Rebeka, kładąc na ostatnie wyrazy nacisk, i dla tego zgadzam się na wybór Heleny.

— Panie Aronie! — zrywając się z miejsca i położywszy rękę na sercu, zawołał jegomość w uniesieniu, zaręczam ci słowem obywatelskiem, że córka twoja będzie szczęśliwą! Otoczę ją wszystkiem, co tylko świat jej dać może! —

— Wielkich cierpień doświadczam od losu, który całym ciężarem mnie przygniata — mówił p. Aron z rezygnacją. Jeżeli córka moja widzi w tym związku swoje powodzenie, zmuszony jestem zostawić jej to do woli, — lecz jako ojciec muszę postawić warunki, od przyjęcia których zależeć będzie moje zezwolenie: 1) córka moja nie zmieni swojego wyznania — 2) kwotę, którą pan decydujesz mi się wypłacić, stawiam na 15.000 złr. w. a.

— Co do kwoty, mniejsza o to — odrzekł po krótkim namyśle zaambarasowany jegomość, — ależ

ja chcę pojąć pannę Helenę za żonę, a jakżeż to się stać może bez zmiany wyznania?

— Ależ zgoda i na to, dobrodzieju! — zauważył p. Nowatorski, zrobi się ślub cywilny, krótsza nawet droga. .

— Prawda! panie tego — wykrzyknął uradowany jegomość, podając Aronowi rękę. Zgoda na wszystko!

— A pieniądze zaraz po podpisaniu umowy, jutro przedpołudniem mają mi być doręczone — przypomniał p. Aron.

— Będą natychmiast, panie, natychmiast! — zapewniał jegomość.

— Z mojej zaś strony — rzekł p. Nowatorski, przygotuję wszystko, co do zawarcia aktu tego jest potrzebnem, tak, abyście państwo już o godzinie 11-ej jutro w mojem biurze i w obecności burmistrza, mogli układ podpisać.

— A więc, panie Aronie, sprawa ostatecznie załatwiona — oświadczył jegomość podając rękę do uścisku Aronowi.

— Ja — odpowiedział Aron, przybijając rękę na zgodę, słowa dotrzymam.

Pożegnawszy w sposób serdeczny kobiety, opuścił rozpromieniony szczęściem jegomość mieszkanie pana Arona, a wraz z nim i p. Nowatorski.

— Oszalał stary goim — rzekł przechadzając się po pokoju p. Aron, gdy drzwi się za nimi zamknęły. Z pieniądzmi przychodzi mi w porę; ale każdą umowę zerwać jeszcze można — i tu pan Aron zaśmiał się spazmatycznie.

— Co się stanie — odpowiedziała Rebeka, zostawmy to losowi, i zabierając Helenę z sobą, pozostawiła p. Arona z jego książkami kupieckiemi, z których potrzebne dane wyciągał.

XI.

Jegomość przyszedłszy do domu, zadowolniony powodzeniem, nie chciał uczynić kroku tak ważnego, jakim jest ożenienie bez uprzedzenia o tem swojej

rodziny. Zwołał więc do salonu radę familijną, nie pomijając i panny Filomeny.

Rada ta jednak, — z góry uprzedzić musimy — zakończyła się zbyt prędko, oburzeniem Tadeusza i słabością panny Filomeny. Gdy bowiem Tadeusz, Jadwisia i panna Filomena zajęli miejsca, p. Naglicki wystąpił naprzeciw siedzących i w te ozwał się słowa:

— Stało się — panie tego, i uprzedzić was muszę, że na nicby się tu przedstawienia i perswazje nie zdały, — jestem już, panie, związany słowem; przedwstępną ugodę zawarłem, cofnąć się zatem nie mogę i nie chcę przed szczęściem, które samo mię wyszukało. Zaprosiłem was tu tylko, aby was przygotować na krok, który uczynić jutro zamyślam, krótko mówiąc, żenię się z Heleną Blumenzweig, twoją przyjaciółką Jadwisiu, a przyznacie mi, że lepszego wyboru zrobić nie mogłem.

— Z Heleną! mówisz ojcze, — zawołał zrywając się Tadeusz, to być nie może! Do tego dopuścić nie mogę!

— Ależ nie sprzeciwiaj się Tadeuszu — odparł jegomość, dobrodusznie się uśmiechając — a ja nawzajem w połączeniu się twojem przeszkadzać ci nie będę.

— To ironja, ojcze! — jęknął boleśnie Tadeusz i wybiegł z salonu.

Panna Filomena siedziała przez chwilę oniemiała, a potem wybuchła płaczem i śmiechem naprzemian, dostała spazmów i musiano ją odnieść do łóżka.

Jadwisia jedna trzymała się odważnie.

— A jakżeż, ojczulku, ślub się odbędzie — zagadnęła figlarnie, przecież Helusia jest izraelitką.

— Na wszystko jest rada, moje dziecię — tłumaczył jegomość, biorę ślub cywilny, jutro robimy umowę w obec burmistrza, a za kilka tygodni złożymy tam wzajemną przysięgę.

— A pozwolisz nam ojczulku, być jutro obecnymi przy zawarciu tego aktu? — zapytała proszącym głosem.

— I owszem, tylko przygotuj Tadzia, aby mi jakiego figla w obec burmistrza nie wypłatał, zape-

wnij go, iż przeciwko jego związkowi nic a nic nie mam.

— Teraz żegnam cię ojczulku, muszę spieszyć do cioci.

— Idź, idź, moje dziecię — rzekł jegomość, ucałowawszy swoją pieszczotkę, doglądnij jej, twoja troskliwość ją pocieszy.

Jegomość pozostał sam i zajął się wyszukaniem potrzebnych aktów.

XII.

Jadwisia przybiegła do chorej cioci Filomeny, którą spazmy na chwilę opuściły, zadała jej kilka bobrowych kropli na cukrze, pierś obłożyła zimnym okładem ; pocieszyła, iż to może Pan Bóg wszystko jeszcze obróci na dobre i przyrzekłszy wkrótce powrócić, pospieszyła do Tadeusza, z którym, po rozstaniu się z Heleną, jeszcze nie miała sposobności pomówić.

Wchodząc do mieszkania Tadeusza, zastała drzwi odchylone, zdziwiło i zatrwożyło ją to na chwilę, ujrzawszy jednak w drugim pokoju siedzącego Tadeusza przy biurku, ochłonęła z przestrachu i domyśliła się że Tadeusz wchodząc, z furją zatrzasnąć musiał drzwi za sobą, które tylko odbiły się o futrynę. Zdjęta ciekawością zaparła oddech w piersi i na palcach podsunęła się do brata.

Patrząc mu przez ramię, czytała list, który Tadeusz pisał przy świetle lampy.

Pierwszem słowem napisanem było: „Najdroższa!“ — lecz to słowo było przekreślone całem piórem. Dalej następowało :

„Pani !

„Postępujesz niegodziwie ! Przypuszczać muszę, że zapewne przyrzeczone przez ojca mego dostatki i majątek, skłoniły cię do wiarołomstwa..“

Jadwisia, przeczytawszy te wyrazy, pochwyciła gwałtownie i niespodzianie list, a pomiąwszy go podarła w kawałki.

— Cóż to znaczy ! — zrywając się z fotelu, krzyknął zaperzony Tadeusz.

— Nie pozwalam obrażać Helusi! — odparła z powagą Jadwisia.

— Zasługuje na to! — mówił w gniewie Tadeusz.

— Helena jest niewinną i pozostaje ci wierną, Tadeuszu — odpowiedziała Jadwisia, uspokój się braciszku.

— Możesz mi to Jadwisiu poręczyć? — zapytał wolniejszym a drżącym głosem Tadeusz.

— Wierzaj mi Tadziu, że z uczuć twoich najdroższych nie robiłabym sobie igraszki — wypowiedziała Jadwisia tak przekonywająco, wpatrując się Tadeuszowi w oczy, iż rozbroiła go zupełnie.

— Więc to tylko komedja rozgrywa się jakaś?

— Która zbliża się do rozwiązania — mówiła Jadwisia, na usta położywszy dwa paluszki. Właściwie mówiąc, jest to pozycja, na którą oddział nasz wojowniczy sam ojczulko wysunął; a że teraz dowództwo przeszło w ręce p. Nowatorskiego, któremu ja adjutantuję, przeto spodziewamy się odnieść zwycięztwo zupełne.

— O drogi adjutancie, niechże ci za tę dobrą wiadomość przynajmniej podziękuję — zawołał w radośnem uniesieniu Tadeusz i ucałował ukochaną swą siostrę.

— Z rozkazu dowódcy masz się, braciszku, stawić u niego jutro o godzinie 9-tej rano, gdzie otrzymasz potrzebne informacje — mówiła Jadwisia, salutując do jasnych splotów braciszkowi.

— Będę posłuszny rozkazowi — odpowiedział, a na mojem męztwie i poświęceniu możecie polegać zupełnie.

— A teraz o rzeczy prywatnej, panie lekarzu! masz w domu pacjenta, któremu na razie sama zaordynowałam pomoc. Ciocia po twojem zrejterowaniu ze salonu dostała spazmów.

— Więc spieszmy, trzeba stan słabości zbadać.

Z pospiechem wyjął mały flakonik z biurka i udał się z Jadwisią do mieszkania cioci Filomeny.

XIII.

Nazajutrz już o godzinie 8-mej rano zamówiony golarz zjawił się w sypialni jegomości, który usiadłszy przed lustrem, dał znak do rozpoczęcia operacji ze szpakowatym zarostem na twarzy; po kilkakroć przeglądał się w lustrze i posuwał palcami po twarzy, a gdy namacał miejsca jeszcze szorstkie, pan golarz wprawną ręką musiał je wygładzać. Po umyciu usiadł znowu przed lustrem, rozkazał starannie ułożyć włosy i nie żałując wiksatoru, pokryć nim siwiejące już wąsy. Dużo roboty miał pan golarz z jegomością, ale widać robota się opłaciła, bo odchodząc, kłaniał się aż do wyjścia.

Ubieranie się zajęło jegomości aż dwie godziny czasu, a to z tego powodu, iż po kilka razy przebierał się w różne garnitury, próbując, w którym mu najlepiej do twarzy.

Godzina szczęścia zbliżała się — godzina 11, na którą zobowiązał się p. Nowatorski przygotować wszystko do aktu tego potrzebne i uprzedzić o tem pana burmistrza.

W biurze prezydjalnem pierwszy stawił się pan Nowatorski; za kilka chwil nadszedł jegomość z Jadwisią, ciocia Filomena bowiem słaba, zmuszoną była pozostać w łóżku; Tadeusz zaś, otrzymawszy informacje od dowódcy, wbiegł tylko na chwilę do domu, a tłumacząc się wizytami u pacjentów, oświadczył, iż na oznaczoną godzinę przybędzie wprost do biura.

Z uderzeniem godziny przybyli państwo Blumenzweigi z córką, a tuż za nimi Tadeusz.

Uprzejmy woźny, stojący u drzwi prowadzących do mieszkania p. burmistrza, podawał przybywającym gościom krzesełka i zapraszał do zabrania miejsca oświadczając:

— Pan prezes zaraz nadejdzie.

Jegomość szeptał coś z panem Aronem, a chodziło widać o pieniądze, o czem przekonywał ruch

jegomości, który uchyliwszy czamary, ukazał panu Aronowi pulares, sterczący z kieszeni.

Tadeusz zbliżył się do Heleny, a ująwszy jej rękę, żywą z nią prowadził rozmowę.

— Czy znacie się państwo? — zapytał jegomość, zbliżywszy się do rozmawiających.

— Czy się znamy? pytasz ojcze — odpowiedział z boleśnym uśmiechem Tadeusz.

Drzwi od mieszkania burmistrza rozwarły się, rozmowy ucichły, do biura wszedł p. burmistrz; przechodząc skłonieniem głowy powitał obecnych i zajął miejsce za biurkiem.

Pisarz zajął miejsce przy drugiem biurku.

Pan Nowatorski przybliżył się do pana burmistrza i wręczył mu dokumenta.

Jegomość poczerwieniał i niespokojnym wzrokiem śledził Tadeusza.

— Pan Tadeusz Naglicki i panna Helena Blumenzweig — rozległ się poważny głos pana burmistrza — mający zamiar zawrzeć małżeństwo, raczą się zbliżyć do mnie.

W tej chwili powstali Tadeusz i Helena, a ująwszy się pod rękę, postąpili naprzód.

Jegomość, widząc to, wpadł w szał i poskoczył za nimi, lecz przytomna Jadwisia pochwyciła go, błagając ze łzami półgłosem:

— Ojczulku! zlituj się, ja umrę! zastanów się, co chcesz czynić!...

— To zdrada! — syczał Jegomość.

— To narzeczona Tadeusza — odparła Jadwisia, a wszakże dałeś słowo ojczulku, że mu nie będziesz przeszkodą.

— Ona mnie rękę oddała — jęczał jegomość

— Helena przecież oddała rękę Tadeuszowi Naglickiemu — tłumaczyła Jadwisia. Czyż ojczulko już zupełnie o mamie zapomniałeś — mówiła rzewnie, zwracając ojca do krzeseł.

Jegomość usiadł, błędny wzrok zatopił w posadzkę, a złożywszy ręce, głowę opuścił na piersi, poruszając ją nieznacznie, co zwykle czynił, gdy miał wielką zgryzotę i nawał myśli, z któremi do ładu przyjść nie mógł.

Równocześnie, gdy Jadwisia staczała walkę z Jegomością, natarł na burzącego się pana Arona pan Nowatorski, w czem pomagała mu pani Rebeka, tłumacząc mu, że na zamianie osób interes jego nic nie ucierpi...

Pan burmistrz, widząc w gronie obecnych zamięszanie i patrząc na odgrywające się sceny, zapytał:

— Czy zaszły jakie przeszkody?

— Upraszamy o chwilę tylko cierpliwości — odrzekł p. Nowatorski, skłoniwszy się — rzecz zostanie natychmiast uregulowana.

Tadeusz z Heleną przystąpił do ojca, a Helena odezwała się błagając:

— Przebacz mi panie, że w obec twego obejścia się ze mną, nie mogłam i ja dla miłości Tadeusza inaczej postąpić.

Jegomość podniósł głowę, a wpatrując się w Helenę, zalał się mimowoli łzami.

— Przyrzekałeś mi panie, iż uczynisz mię szczęśliwą — mówiła dalej Helena, a bez Tadeusza tegobym nigdy nie dostąpiła. Bądźże mi drugim ojcem — błagała.

Nie dokończyła jeszcze słów tych Helena, gdy jegomość powstał z powagą, a położywszy na pochylone głowy nowożeńców drżące ze wzruszenia ręce, wypowiedział:

— Bądźcie szczęśliwi, drogie dzieci...

Za tym przykładem poszła i pani Rebeka.

Po tem porozumieniu w jednej chwili został akt umowy ukończony, a następnie pulares wyładowany piętnastoma tysiączkami przespacerował się z kieszeni jegomości do kieszeni pana Arona, który tym sposobem ocalał przed bankructwem.

XIV.

Przy wyjściu zetknął się już wesoły jegomość z panem Burczymuchą, który wszedłszy za jakimś interesem do biura prezydjalnego, był świadkiem całej przeprawy.

— Jakto jegomość? — zapytał dobrodusznie, to dla ładnej panienki wyrzekliście się swojej zasady?...

— Broń Boże, panie! tego nie popełniłem, jeżeli chciałem się z Helusią ożenić, to tylko dla zasady — odpowiedział niezbity z toru jegomość, bo uważ przyjacielu (mówił na ucho) jeżeli zabierzemy żydóweczki dla siebie, to zkąd się potem żydzi wezmą?...

Uścisnęli sobie dłonie, a pan Burczymucha dodał:

— Poczciwy z ciebie Antisemita! —

*
* *

P. S. W parę miesięcy później, zaproszony przybyłem na wieczorek familijny do jegomości i byłem świadkiem, z jaką serdecznością dawna panna Filomena, a teraz ciocia i macocha, przyjmowała państwa: Nowatorskich i młodych Naglickich, którzy po ślubie cywilnym na naleganie Heleny wzięli także ślub kościelny. —

Jegomość śmiał się teraz ze swoich oświadczyn, ale Helusia za każdem przybyciem musiała grać na fortepianie i śpiewać, a Jadwisia, teraz pani Nowatorska jej wtórowała; pani Naglicka starsza, krzątała się około herbatki, a my we czwórkę cięliśmy preferansa, rozbierając gorąco sprawę Arabiego... bo o naszą... polską... możemy być przecież spokojni, alboż jej to nie strzegą i nie bronią dzielnie rodacy, na szczytach stojący?....

KOLEGOM.

Ruszajmy do pracy, droga młodzieży,
Dopóki w nas bije krew młoda!
Jak wielkie przed nami zadanie leży,
Tak wielka nas czeka nagroda.
    Pomódlmy się Bogu i jasnem okiem
    Popatrzmy na przodków swych czyny,
    A za ich przykładem odważnym krokiem
    Pospieszą do pracy ich syny.

Niech o nas nie mówią nasi współcześni,
Że wieku jesteśmy synami,
Że całe nam życie spłynęło we śnie
I żeśmy zgubili się sami.
Niech zgodnie potomni o nas powiedzą,
Że wiek ten stworzyliśmy sami,
Nie o n nam był ojcem, lecz pracą, wiedzą
My wieku jesteśmy ojcami!
Więc niech nas doznany zawód nie zraża,
Lecz walczmy, aż wszystko zwalczymy,
Bo każde zwycięztwo ducha pomnaża,
A ducha umacniać musimy.
A kiedy nastaną dnie czarnej doli
I cios w nas bolesny ugodzi,
Gdy serce w znękanej piersi zaboli,
Nie traćmy otuchy, o młodzi!
Wszak gromy i skałę mogą poruszyć
I morską toń skłócą żywioły,
Lecz jeden grom skały nie zdoła skruszyć,
A morze powraca w swe doły.
Tak samo pierś nasza choć ugodzona,
Choć dozna wstrząśnienia czasami,
Lecz męztwa . . . o! nikt nam nie wydrze z łona
I nic nas na duchu nie złamie!
A kiedy tak walcząc, odnosząc blizny,
Do kresu nareszcie dójdziemy —
I życie rozbudzim śpiącej Ojczyzny,
I wieku ojcami będziemy!

Marjan Ciesielski.

POBUDKA

z Karola Bartelsa.*)

Tam cel; do góry się pnij!
Tam życie kwitnie u szczytu.
Do góry dąż, do zenitu,
Kajdany ucisku łam!

---

*) Przytaczam niniejszem w własnym przekładzie jedną z rozlicznych pięknych próbek poetycznych, w które obfituje nowy tygodnik literacki, „Die Dichterwige,“ wychodzący w Hilpoltstein, w Bawarji pod redakcją p. C. Haasa. Tygodnik rzeczony, który już poprzednio w moim opisie „wystawy kołomyjskiej“ omówiłem, tak ze względu na cenę przystępną (kosztuje bowiem kwartalnie tylko 2 marek) jakoteż i z tego względu zasługuje na sympatję publiczności galicyjskiej, iż sprzyja sprawie polskiej i nietylko oryginalne prace, ale także przekłady z polskich autorów drukuje. *(Przyp. red.)*

Ognia z własnego krześ łona!
Dąż do niebieskich bram;
Tam czeka ciebie korona.
I czemu się lękasz, drżysz?
I co tu rozważać? co tu?
Jak orzeł pnie się do lotu,
Tak wolny jak orzeł sam
Pnij się, gdzie niemoc kona,
Dąż do niebieskich bram;
Tam czeka ciebie korona.

Sambor, 12. Lutego 1884.

G. Kohn.

Poezja i miłość

z Józeta Lauterbacha.

Wulkan niechaj się wypróżnia,
Wypalony niech przygasa,
Gdy się z wnętrza wydobyła
Gorejącej lawy masa.
Ale pieśń, poczęta w duchu,
Wiecznie tętnić będzie w łonie,
Jasnym płonąć będzie żarem,
Jako Znicz w świątyni płonie.
Miłość grzeje gdyby wulkan,
Miłość wieczna jak natchnienie;
Młoda wiek ożywia późny,
Stara przetrwa zapomnienie! *)

*) Z temi słowami, przytoczonemi z „Neue deutsche Dichterhalle,“ z temi wyrazami najwyższego natchnienia w sercu i na drżących ustach skonał nasz ziomek Józef Lauterbach w kwiecie wieku na najstraszniejszą z chorób, na wycieńczenie sił. Co to za jeden, ów Józef Lauterbach? tak zapytasz może, ciekawy czytelniku! otóż pozwól, że ci rzecz wyjaśnię.

Lauterbach pochodził z ubogiej żydowskiej rodziny, a urodził się w Lubaczowie 24. Grudnia r. 1859go. Liczył zaledwie 8 lat, kiedy rodzice jego się przenieśli do Drohobycza, gdzie też młody Lauterbach z małemi wyjątkami prawie aż do śmierci swojej pozostał, uczęszczając do gimnazjum drohobyckiego i kształcąc się do przyszłego zawodu. Tutaj w duszy młodzieńca rozwinęły się pierwsze prądy poetyczne i począł marzyć o sławie pisarskiej. W otoczeniu prozaicznem droho-

Sprawozdanie z czynności moich.

Również jak z szóstego, składam także z siódmego „Rocznika samborskiego“ dla dwóch towarzystw dobroczynnych samborskich, dla każdego z osobna po 40 złr., t. j. razem wziąwszy 80 złr. jako wynik prenumeraty. Że się tyle zebrało, to cud wielki, bo zalegają u mnie dłużnicy z sumą 116 złr. 30 ct. Przepraszam zatem publiczność, że nie mogę jej dać więcej materjału literackiego, kiedy i tyle mi nie płaciła, ile mi się prawnie należało; przepraszam oraz starych autorów i współpracowników za odwłokę i za to, że prace ich muszą iść do 8go rocznika, zamiast figurować w 7m. Oni mi może prędzej wybaczą i pojmą położenie moje łatwiej, niż publiczność. Na końcu uwiadamiam czytelników, że ceny niektórych dzieł, omówionych najprzychylniej w pismach znaczniejszych niemieckich i polskich wyłącznie dla moich prenumeratorów i dla czytelń miejskich zniżyłem. Dzieła te, które u mnie pocztą obstalować można i ceny tychże dla prenumeratorów mego rocznika są następne: „Libertas,“ zbiór pieśni patrjotycznych polskich (zamiast 50 ct. teraz 40 ct.) „Wrażenia z podróży po Galicji“ (zamiast 1 złr. teraz 80 ct.) „Sieger und Besiegte“ (zamiast 1 złr. teraz 80 ct.) „Wędrówki Ahaswera“ (zamiast 65 ct. teraz 48 ct.) i „Miłość Giaffara“ (zamiast 65 ct. teraz 48 ct.) Tym, którzy więcej dzieł naraz nabywają, opuszcza się wszędzie stosowny rabat.

Sambor, 21. Lutego 1884.

G. Kohn,
redaktor i wydawca.

---

byckich mieszkańców, składającem się w większej części z kramarzy i spekulantów, było mu ciasno i duszno, a serce dążyło w świat inny, w świat ideałów. To też obcował tylko z równymi sobie, z braćmi po duchu i piórze, którzy go rozumieli i inaczej cenili, niż prozaiczne otoczenie. Do tych przyjaciół zaliczam Rudolfa Fastenratha, znanego poetę szwajcarskiego, Juliusza Bachstitza i Henryka Kuhmerkera, z którego cennego wspomnienia pośmiertnego niektóre szczegóły czerpałem.

Wkrótce zagranicą słynęło imię Józefa Lauterbacha jako poety niemieckiego. „Neue deutsche Dichterhalle,“ „Apollodora“ i inne pisma zbiorowe umieściły jego wiersze, poeci niemieccy i poetki używający rozgłosu, korespondowali z nim, jako z równym sobie. Ale równocześnie z wzrostem sławy upadło też zdrowie tak dalece, że nawet studjów gimnazjalnych dokończyć nie mógł. Poznałem go po raz pierwszy w r. 1878m: tłumaczył właśnie moją „gwiazdę miłosierdzia“ na język niemiecki. Poznawszy mnie, pragnął rozprószyć uprzedzenia, istniejące co do jego sposobu zapatrywania się. Pragnął, by go kraj, w którym mieszkał, także jako polskiego poetę, nietylko jako niemieckiego poznał. Wola jego była szczera, a energja niepospolita, ale siły nie dopisały. Aby w dwóch językach naraz celować, trzeba im się w równej mierze poświęcić, a siły fizyczne jego nie pozwalały na to. Zgasł jak lampa, której brak oleju, umarł 2. Września r. 1879go.

Wiersz „Poezja i miłość“ przytaczam niniejszem, aby pamięć tego idealisty odnowić u współziomków, którym żadna siła literacka w kraju, pracująca w jakimkolwiekbądź języku i kierunku, nie powinna być obcą. *(Przyp. red.)*

Spis przedpłacicieli.

Biała i pow. bialski: Dr. Bogdanik, Robert Foedrich, c. k. Starosta w Białej, Dr. Bernard Ichheiser, Jaworski, Klucki, Maygier, Dr. E. Stiasny, Alfred Strigl i wydział Rady powiatowej, w Białej, Cukrowicz, Gmina miasta Oświęcima, Katarzyna Godlewska, Dr. Kwieciński, Ludwina Lulla, J. Maykowski, Marja Meisels, Okuniewski, Partykiewicz, Polaszek i Rudnicki, w Oświęcimie.

Bohorodczany: Gąsiewicz, Graf, Kazimierz Riedl, Karol Sobota i Józef Szeliński, w Bohorodczanach.

Brody: St. Bałaban, Dr. Braun, Bronisław Garwoliński, Fr. Gaudnik, Ignacy Goldlust, M. Habich, Adolf Inlender, Józef Łobos, Zygmunt Nawratil, Antoni Popiel, Jan Weyde, Antoni i Bronisław Wito ławscy, w Brodach.

Brzeżany: Józef Bissinger, Dzbański, M. Kurowski, J. Wł. Łobos, ks. Ostrowski i Sabatowski, w Brzeżanach.

Brzozów: Maurycy Halama i Juliusz Zulauf, w Brzozowie.

Buczacz i pow. buczacki: Ignacy Czyż, Karol Hanik, ks. Karol Klusik, St. Konasiewicz, H. Marcinkowski, Dr. F. Obtułowicz, Reprezentacja miasta Buczacza, Józef Rybaczek, Karol Schrayer, Dr. W. Ślączka, Sonnewend i K. Stupnicki, w Buczaczu, Jan Biesiadzki, Szymon Chełpiński, Maksymilian Heldenburg, hr. Józef Młodecki, Franciszek Muszynkiewicz, Emil Pineles, Leonard Smolik i Gustaw Zucker, w Monasterzyskach.

Chrzanów i pow. chrzanowski: Dr. Pawlas, Kamila Sporyszowa i Feliks Włodzimirski, w Chrzanowie, J. Etgens i Stanisław Oraczewski, w Krzeszowicach.

Czortków: Adam Bieńkowski, J. Cieślikowski, Stanisław Linde, J. Roth, Jonasz Sokal i Dr. Stöckl, w Czortkowie.

Dąbrowa: Ignacy Garwoliński, Bolesław Szczerbiński, Trzeciecki, burmistrz miasta Dąbrowy, Józefa Wąsikiewiczowa, Dr. Wolff, M. Zagórski i Dr. Zaręba w Dąbrowie.

Dobromil i pow. dobromilski: Dr. Aleksander Bieńczewski, Dr. Cwiklicer, Czytelnia kasynowa, Alojzy Schneider i Piotr Zaychowski, w Dobromilu i bar. Arnolf Beess, w Boniowicach.

Dolina i pow. doliński: Gierowski, Gumiński, St. Hićkiewicz, burmistrz miasta Doliny, M. Jankowski i Wincenty Kossakiewicz, w Dolinie, ks. Babik i Brzuza, w Rożniatowie.

Drohobycz: S. A. Apfel, Adolf Barański, Karol Bayer, Dr. Alfons Bieńczewski, Dr. Jakub Fruchtman, Jackowski, N. N, Jan Niewiadomski, Ksenofont Ochrymowicz, Gustaw Szeliński, Emeryk Turczyński, Jan Uszyński, Ignacy Wierzbicki, Maciej Wlasek i Maksymilian Wolski, w Drohobyczu.

Gorlice: Wojciech Biechoński i Dr. Czesław Śleczkowski, w Gorlicach.

Gródek i pow. gródecki: Dr. Frydmann, Adolf Henze, burmistrz miasta Gródka, Lateiner, Rafał Nowosielski i Władysław Świszczowski, w Gródku i Dr. Henryk Koliszer, w Czerlanach.

Grybów: Stanisław Chełmecki i Alojzy Muszyński, w Grybowie.

Horodenka i pow. horodeński: Czytelnia horodeńska, Führer, Michał Gasparyn, Antoni Grzesikiewicz, Zygmunt Kuczkowski, Michał Lenartowicz, ks. Dominik Osadca, bar. Jakub Romaszkan, burmistrz miasta Horodenki, Antoni Schuster, Tomasz Stefanowicz, Józef Szymonowicz, Adolf Teichmann i Julian Zulauf, c. k. Starosta w Horodence, Adolf Petrowicz, w Czernelicy, Józef Bladowski, Hołyński i Albert Nahlik, w Obertynie.

Pow. husiatyński: Bolesław Tencza, w Kopeczyńcach.

Jarosław i pow. jarosławski: Ignacy Bajan, Bubella. Dr. Gustaw Haiter, Dr. Julian Ruczka i Aurelia Starklówna, w Jarosławiu, Wł. Janicki, Dr. Rychlicki i M. Świszczowski, w Radymnie.

Jaworów: Dr. Jakub Dorożyński, w Jaworowie.

Kałusz: Walenty Hisztyn, Marcela Jaworowska, J. Kolbe, Hipolit Lewicki, Nikolaus, burmistrz miasta Kałusza, Ignacy Przestalski, Leon Skrowaczewski i Baltazar Szopiński, w Kałuszu.

Kamionka strumiłowa i powiat kamionecki: Gmina miasta Kamionki, Jan Janicki, Juliusz Łempicki, Ferdynand Maresz, Karol Piepes i Wł. Ruxer, w Kamionce strumiłowej, Józef Filarski i Żukotyński, w Busku.

Kołomyja: Jan Dębicki, Doboszyński, Józef Funkenstein, Dr. Głaczyński, ks. Koblański Dr. K. Maramorosz, Dr. Władysław Piaskiewicz, Marjan Rybczyński, Alojzy Schindler, Honorat Sendzimir, Sidorowicz, M. Thürmann, Dr. Maksymilian Trachtenberg, burmistrz miasta Kołomyi, Salamon Wieselberg i Alfred Zoffall, w Kołomyi.

Kosów i powiat kosowski: St. Bursa, Edmund Górski, Hipolit Sabat, c. k. Starosta w Kosowie, Ksawery Sielecki, Jan Winiarski i Józefa Wiśniowska, w Kosowie, Mieczysław Winiarski, w Szeszorach, Leszek Zagajewski i Zarembina w Kutach.

Kraków i pow. krakowski: Dr. Adamkiewicz, Wł. Bartynowski., Dr. Blumenstock, Jan Bociański, Emil Borkowski, Karol Estreicher, Dr. Michał Ichheiser, Dr. Józef Kaufmann, Józef Łepkowski, Józef Łukaszewicz, Dr. F. Piekosiński, Dr. Józef Rosenblatt, M. Schlesinger, Dr. Ferdynand Weigel, Prezydent miasta Krakowa i Dr. Frydryk Zoll, w Krakowie, Stanisław Homolacs w Balicach.

Krosno i pow. krośnieński: Józef Brodnicki i Zieleniewski, w Krośnie, Ludwik Dłużniewski, Głuszkiewicz, Maurycy

Goldhammer, hr. Cezar Męciński, Florjan Minkusiewicz i Staruszkiewicz, w Dukli, Jan Wejda, w Cergowej.

Lwów i powiat lwowski. Bank kredytowy, Dr. Berliner, Dr. Blumenfeld, Dr. Emil Byk, Czapczyński, Antoni Czarkowski, Tadeusz Czarkowski, Dr. Józef Czeszer, M. Diamand, Fanni Ehrensaal, Mikołaj Epstein, Zygmunt Frey, Dr. Goldmann, Dr. Gottlieb, Grabiński, Dr. Piotr Gross, Dr. Robert Hefern, Dr. Edwin Herschmann, Dr. W. Holzer, Samuel Horowitz, Aleksander Jasiński, Dr. Jekeles, Klipunowski, Dr. Józef Koliszer, Wł. Kostro, Walenty Kowalówka, Mikołaj Krasucki, M. Lazarus, Teofil Łucki, Dr. Machek, Dr. M. Madejski, M. Markheim, Jerzy Mayer, Maurycy Muszkat, Maurycy Nirenstein, Antoni Pfeiffer, Jakub Piepes, Posner, Antoni Przyszlak, Kornel Puzdrowski, Michał Pyszyński, Zygmunt Richtmann, Dr. Wł. Rieger, Zygmunt Rogoyski, Dr. Tadeusz Rutowski, Dr. Szymon Schaff, Dr. Tadeusz Skałkowski, Karol Sklepiński, Dr. Skowroński, Skulski, Henryk Steif, Marceli Studziński, ks. Justyn Szaflarski, Edward Weigel, Dr. Adolf Weiss, Jan Welichowski, Jan Wewiórski, Dr. Franciszek Wolski, Liberat Zajączkowski i Dr. Filip Zucker, we Lwowie, Karol Berchard, w Szczercu i Zygmunt Groblewski, w Winnikach.

Łańcut i pow. łańcucki: Dr. Gustaw Bielański, Jan Cetnarski, E. S. Glasz, Antoni Hanusz, Alina Kahane i Dr. Tomasz Żurawski, w Łańcucie, Aleksander Czepielewski, Konstanty Eckert, Zygmunt Głembocki, ks. Maurycy Miętus i ks. Władysław Studziński, w Przeworsku.

Nowy-Sącz: Juliusz Kuhn, Feliks Ritter, Aleksander Runge, Dr. Henryk Schornstein i Wyszyński, w Nowym-Sączu.

Pow. nowotarski: Apolinary Biernacki i Dr. Józef Stummer w Szczawnicy.

Pilzno: Antoni Pacyna i Ludwik Płaziński, c. k. Starosta w Pilznie.

Podhajce: Michał Borowski, burmistrz miasta Podhajec, Alfred Dajewski, Dr. Zygmunt Dzikowski, Piotr Kuryś, Izydor Lilienfeld, Władysław Łoś, Henryk Sternschuss, Franciszek Stobiecki i August Szczurowski, w Podhajcach.

Pola (w Istrji:) Tomasz Adamowski.

Poznań (wielkie księstwo poznańskie:) Karol Kozłowski, sekretarz Towarzystwa przyjaciół nauk, w Poznaniu.

Przemyśl i pow. przemyski: Dr. Baumfeld, Dr. Czajkowski, Leonidas Czyrowski, Karol Dobrzański, Dr. Doliński, M. Dornwald, Dr. Aleksander Dworski, burmistrz miasta Przemyśla, ks. Jabłonowski, Feliks Kwaśniewski, Dr. Łobaczewski, Nowy młyn parowy, Dr. Orłowski, Dr. Rosenbach, Andrzej Skala, Dr. Skórski, Dr. Tarnawski, Karol Tomkiewicz, Walery Waygart i Franciszek Zych, w Przemyślu, ks. Kuszczykiewicz i Adolf Medveczky, w Niżankowicach.

Przemyślany i pow. przemyślański: Emil Baranowski, Towarzystwo kasynowe, Dr. Albin Waligórski i Antoni Wybranowski, w Przemyślanach i hr. Teodor Potulicki, w Glinianach.

Rohatyn. Fr. Cholewiński, Aureli Duszyński, R. Düll, Dr. Rubin Flecker, W. Schwarzowa i Leokadja Żytyńska, w Rohatynie.

Rudki i pow. rudeński: Teofil Dudryk, ks. Kamiński, Kazimierz Kurek, Michał Ostrowski i Piotr Zbrożek, w Rudkach, Apolinary Koczerski, Włodzimierz Łuszpiński i Hipolit Wąsowski, w Komarnie, hr. Karol Lanckoroński i Adam Noël, w Chłopach.

Rzeszów: Dr. Als, Dr. Barzycki, Rudolf Czyżewski, ks. Józef Fałat, Dr. Fechtdegen, ks. St. Gryziecki, Wojciech Kalinowski, burmistrz miasta Rzeszowa, Władysław Kaniewski, Michał Markiewicz, Henryk Masacz, Dr. Niesiołowski i Dr. Wiktor Zbyszewski, w Rzeszowie.

Sambor i pow. samborski; Dr. Biegelmayer, Szymon Disze, Fr. K, ks. Rufin Gąsior, Gmina miasta Sambora, Dr. Karol Irzyczek, W. Kasparek, G. Kohn, Gabrycl Menkes. Dr. Niedźwiedzki, Paszkiewicz, Ferdynand Pawlikowski, Pinkas Sobel, Jan Streeb, Juliusz Turteltaub i Eustachy Zajączkowski, w Samborze, Dr. Ludwik Dolański w Rakowej i Ludwik Balicki, w Wykotach.

Sanok i pow. sanocki: Dr. Gaweł, Ichel Herzig, Dr. Iskrzycki, Jasiński, Ludwika Kahane, Natan Nebenzahl, Rypuszyński, Franciszek Saganowicz, Dr. Wł. Skalski, Albin Świtalski, Leon Studziński, c. k. Starosta, Ludwik Świerczyński i Jan Zarewicz, w Sanoku, Stanisław Gniewosz, w Trzciańcu, Michał Groblewski, w Szczawnem, Józef Haut, w Bukowsku, Karol Szymański, w Tyrawie solnej, ks. Chilla, Dr. Dukiet i hr. Potocka, w Rymanowie.

Pow. skałacki: Józef Bobricker, H. Goldlust, Goldstein &. Löwenherz, S. Kądzielski, Emil May, Herman Ostersetzer, Resch, Dezydery Schneider i Józef Tiger, w Podwołoczyskach.

Śniatyń: Maciej Bäcker, F. Howorka i Tomasz Kolasiński, w Śniatynie.

Stanisławów: Tadeusz Artychowski, Michał Bogdanowicz, Józef Borecki, Tadeusz Grabiański, Rudolf Jastrzębski, Dr. Kamiński, burmistrz miasta Stanisławowa, Kajetan Kopacz, Karol Mikolasz, Felicjan Milerowicz, Dr. Zygmunt Mroczkowski, Dr. Przemysław Niementowski, Piotr Sedelmayer, Dr. Kazimierz Szczurowski, Dr. Walery Szydłowski, Juliusz Turczyński i Ignacy Zdrassil, w Stanisławowie.

Staremiasto: Emil Hochleitner, Feliks Kirchner i Jerzy Koudelka, w Staremmieście.

Stryj: Dr. Filip Fruchtmann, burmistrz miasta Stryja, Leon Gaertner, ks. Humiński, Józef Kosterkiewicz i Antoni Malewski, w Stryju.

Tarnopol: Jakub Blumenfeld, J. Brand, Dr. Delinowski, S. Hirschhorn, Dr. Horowitz, Celestyn Jaworski, Józef Lacek, Dr. Mantel, Emil Michałowski, Izydor Rossin, Józef Saphir, Dr. Schmidt, Alfred Silkiewicz, Walenty Stachiewicz, Dr. Sternklar, Mieczysław Tapkowski, Dr. Józef Weisstein, Leon Willner, Władysław Wszelaczyński i hr. Jan Konrad Załuski, w Tarnopolu.

Tarnów: Dr. Ludwik Glaser, Justyn Głowacki, Dr. Eliasz Goldhammer, M. Grabowski, Franciszek Habura, Dr. Karol Kaczkowski, Dr. Wilhelm Lerner, Fr. Łazarski, Dr. Herman Merz, Albert Nunberg, J. O. ks. Ludwik Łodzia Poniński, c. k.

Starosta w Tarnowie, Maurycy Reichard, Maksymilian Reiner, Dr. Adolf Ringelheim, Karol Rudolf, Jan Ruszczyński, Dr. F. Salomon, Dr. Schanzer, Dr. Stańko, Dr. Józef Stojałowski, Jan Włodarski i Ryszard Zawadzki c k. Prezydent sądu w Tarnowie.

Tłumacz i pow. tłumacki: Alfred Ornstein, Konstanty Pełłech i Feliks Sierpiński w Tłumaczu, G. Kobuzowski, Jan Małaniuk. burmistrz miasta Tyśmienicy. Adof Orange i Teofil Witosławski, w Tyśmienicy.

Trembowla: ks. Kaliniewicz, Stanisław Lipnicki, Aleksander Łukasiewicz, c. k. Starosta, Dr. Julian Olpiński, burmistrz miasta Trembowli, ks. Piaskiewicz, Stanisław Szaynowski, Ludwik Tobiaszek i Zarząd szkoły żeńskiej, w Trembowli.

Wadowice i pow. wadowicki: Czytelnia w Wadowicach, Jan Danecki, c. k. Prezydent sądu w Wadowicach, Dr. Izydor Daniel, A. Gąsiorowski, Dr. Iwański, Jan Lipka, Franciszek Olszewski, c. k. Starosta w Wadowicach, Franciszek Prezentkiewicz, Karol Schmiedehausen, K. Wilczyński i Adam Zembaty, w Wadowicach, Jan Czermiński, Wincenty Łobos i Konrad Słomka, w Kalwaryi Zebrzydowskiej.

Wiedeń: Bernard Kohn, we Wiedniu

Wiżnica (na Bukowinie:) Alma Kovàts, Władysław Romaszkan, Józef Rudkowski, Jan Sozański i Julian Stupnicki, w Wiżnicy.

Zaleszczyki: A. Bielański, A. Gross, Maciej Kubelka, Wallenberger i Jasiński w Zaleszczykach.

Zbaraż: Dudziński, ks. Kiebzak, Kożuchowski, Edward Kruh, ks. Krupiński. L. Kukawski, Władysław Macieszkiewicz, ks. Mansuet, Julian Opolski, burmistrz miasta Zbaraża, ks. Szuber, Alojzy Wilczek i ks. Wójcik, w Zbarażu.

Złoczów: Dr. Eisenberg, Dr. Heyne, Dr. Homme, Albin Kamiński, Dr. Misky, Ferdynand Pluschk, c. k. Starosta, Karol Poglies, c. k. Przezydent sądu, ks. Stachów i Dr. Wesołowski, w Złoczowie.

Żydaczów i pow. żydaczowski: Manasterski, w Żydaczowie, Antoni Stecher i Wawrzyniec Zaremba, w Mikołajowie, Erazm Hoszowski i Marjan Stroński, w Drohowyżu, Wincenty Bałaban, Dr. Jan Chomicki, Dr. Bernard Sztencel i Piotr Tyszkiewicz, w Żurawnie.

TREŚĆ.

Str.

I. SOBIESCIANA.

II. INNE PRACE LITERACKIE.

SPIS POMYŁEK.

Str.	*wiersz*	*zamiast:*	*czytaj:*
3	2	Sobiesceana,	Sobiesciana.
31	27	Knechtschafts,	Knechtschaft.
41	32	w roku 1623,	w roku 1662.
45	27	alicynis,	aliquis.
54	11	slynących,	słynących.
57	13	Montigny,	Maligny.
58	9	Tnrcy,	Turcy.
62	9	wichrów,	wieków.
63	9	on ludzi,	człowieka.
63	13	sławą,	starą.
99	15	palcu,	palce.
99	19	wszystkle,	wszystkie.
104	11	I.. i dnch uleciał,	I... duch uleciał.
107	16	ujrę,	ujrzę.
109	24	umundarowanego,	umundurowanego.
113	32	najsłynninjszych,	najsłynniejszych.
114	ostatni	Pikoliminim,	z Pikolominim.
120	10	rozścielają,	rozścielając.
191	19	Lndwik,	Ludwik.
207	11	„Historji powszechnej Szlosera“, wydanej przez księgarnię polską,	*czytaj:* „Historji powszechnej Szlosera,“ wydawanej zeszytami przez księgarnię polską, „Uniwersalnej biblioteki,“ wydawanej również zeszytami przez Adama Kaczurbę.
225		Uwagę końcową tamże uzupełnia się tem, że i „Różowe Domino“ zeszło już z tego świata, niepożałowane przez nikogo.	
227	6	Hlasy Remeslnickie,“	„Hlasy Remeslnicke.“
228	35	Bosszem Jankó,“	„Borsszem Jankó.“
247	1	półmiszkach,	półmiskach.
247	30	pierwszym,	pierwszem.
248	2	długiem,	drugiem.
248	6	urzczywistnićby,	urzeczywistnićby.
286	28	Przezydent,	Prezydent.
286	*opuszczono:*	Antoni Sworakowski	
288	„	wiersz: Chwila rozmyślania 230	